



KRZYSZTOF GOLUCH

W tajnej służbie II RZECZYPOSPOLITEJ

TOM I
OPERACJA BERLIŃSKA

THRILLER HISTORYCZNY

NOVAE RES

KRZYSZTOF GOLUCH

W tajnej służbie II RZECZYPOSPOLITEJ

**TOM I
OPERACJA BERLIŃSKA**



NOVAE RES

Rok 1918 stanowi ogromną cenzurę dziejów Europy. Kończy się Wielka Wojna, która zgruchotała istniejący od kilku wieków ład polityczny. Na gruzach starych imperiów powstają nowe państwa. Takie, które po raz pierwszy uzyskują podmiotowość, i Polska, która dawno straciła niepodległość. Zwycięzcy muszą więc rozstrzygnąć, gdzie powinny przebiegać granice, uporządkować kontynent. W tym celu zostaje zwołana konferencja paryska. O losie zachodnich granic Polski rozstrzyga jednak nie tylko wola Ententy i starannie prowadzone zabiegi dyplomatyczne, lecz także czyn zbrojny. Trwa powstanie wielkopolskie, które wymusza przyznanie nam byłej dzielnicy pruskiej bez żadnych warunków i zastrzeżeń.

Na wschodzie zaś wojna trwa bez osłonek. Walczymy z Ukraińcami o Lwów i z Litwinami o Wileńszczyznę. Na wschodzie wytwarza się bowiem próżnia po imperium carskim, które rozpada się na skutek klęski wojennej i rewolucji; pograża się w wojnie domowej i anarchii. Wykorzystują to wszystkie narody, które dawniej żyły i umierały pod berłem Romanowów. Korzystając z upadku dynastii, próbują wybić się na niepodległość i zbudować własne państwa. Walka między Polakami, Litwinami i Ukraińcami jest faktem.

W chwili gdy rozpoczyna się moja powieść, nic nie jest pewne i stałe. Na wschodzie rodzi się czerwona potęga. Lenin i bolszewicy nie mają zamiaru oddać nikomu wolności. Niemcy są osłabione i pobite. Godzą się ze stratami na zachodzie. Ale nie mają zamiaru zaakceptować strat, które poniosły na rzecz Polski. W Paryżu rozpoczyna swe obrady elita polityczna Europy. Zaś zwycięstwo bolszewików w wojnie domowej staje się faktem. Armia Czerwona rusza na zachód. Niemcy wycofują wojska Ober-Ostu. Ich miejsce

zajmuje Armia Czerwona, która idzie ze wschodu, i odrodzone Wojsko Polskie. Wojna polsko-bolszewicka staje się nieunikniona.

Tak w ogromnym skrócie przedstawia się sytuacja polityczno-wojskowa Europy, gdy na jej mapie pojawia się Polska. Gdzieś jest, lecz nie wiadomo gdzie. Oto powieść o ludziach, którzy walczyli o nią na wiele sposobów i na wielu płaszczyznach. Nadali jej kształt i wywalczyli granice, które zajmowała przez dwadzieścia lat. Zawdzięczała to politykom, żołnierzom i zwykłym ludziom, którzy żyli w tym przełomowym dla Polski i Europy czasie.

Zapraszam do lektury.

GK

Rozdział I

BERLIN, STYCZEŃ 1919

Berlin spał. Pogasły światła po mieszkaniach, po suterenach i strychach. Gaz tylko migotał w ulicznych latarniach i świeciły jeszcze okna w klubach karcianych, podrzędnych restauracjach, salach tańca i aptekach. Długa linia pałaców pod lipami też spała. Drzemały kute z brązu bramy, kunsztowne podpory architektoniczne. Ruch na tej pierwszorzędnej i reprezentacyjnej dzielnicy miasta zamarł. Czasem tylko zaturkotały koła spóźnionego powozu, który wiózł jakiegoś spitego libertyna do jego pałacu. Z rzadka mignął wracający do domu z zabawy przechodzień – Berlin spał.

Jedynie w pałacu należącym do Hindenburga czuwano jeszcze. Na podjeździe zbudowanej w neoklasycystycznym stylu rezydencji stało kilka samochodów i powozów. Wokół nich kręcili się stangreci, przestępując z nogi na nogę i ćmiąc papierosy. Niektórzy drzemali na kozłach, ze zwieszonymi na piersiach głowami. Tylko konie, wytrzymalsze i cieplejsze od ludzi, stały spokojnie w zaprzęgu. Im było obojętne, dlaczego w środku nocy wyrwano je z ciepłych stajennych boksów i kazano im jechać przez pół Berlina.

Tymczasem na drugim piętrze Paul von Hindenburg chodził nerwowo po gabinecie. Z trudem tłumił w sobie gniew, patrząc na zgromadzonych w gabinecie oficerów, którzy wodzili za nim

niepewnym wzrokiem. Wszyscy siedzieli za okrągłym modrzewiowym stołem, w głębokich fotelach, wybitych zielonym sukmem. Na stole rozłożono sytuacyjną mapę Wielkopolski, na której roilo się od chorągiewek, znaczników i rzek. Hindenburg podszedł do stołu i uderzył ręką w mapę z taką siłą, że stół jęknął, niczym żywa istota.

– Czy któryś z was, panowie, jest mi w stanie wyjaśnić, jakim cudem właśnie tracimy kontrolę nad naszymi wschodnimi ziemiami?! – wrzasnął Hindenburg, aż szyby w oknach zadrżały.

Pytanie zawisło w próżni.

Oczywiście każdy z tu obecnych oficerów byłby w stanie przytoczyć wiele logicznych i spójnych argumentów, które wyjaśniłyby marszałkowi przyczyny klęsk, jakie ponosili. Ale co by to dało? Do wkurzonego Paula i tak by nie dotarło, że państwo pruskie po prostu się rozpadało, a Polacy wykorzystali dobry moment, by zadać mu cios w plecy. Moment wybrany był z iście szatańskim rozmysłem. Wybuch rewolucji listopadowej w Niemczech spowodował chaos i rozprężenie w całym cesarstwie. Sypały się wszystkie filary, na których oparta była potęga cesarstwa: w wojsku powstawały rady robotnicze i żołnierskie – owoc nieszczęsnej rewolucji przyniesiony z Rosji. Dezorganizacja wkradła się również w tryby niemieckiej maszyny urzędniczej.

Dowód tego, że tak właśnie było, stanowiła łatwość, z jaką powstańcy opanowali Poznań i okolice. W ciągu kilku dni żywiołowe, pozbawione centralnego dowodzenia powstańcze oddziały wyparły ich z Poznania i okolic. Ruch powstańczy rozlewał się na całą Wielkopolskę. Sytuacja stawała się coraz bardziej niekorzystna. I to właśnie powodowało taką wściekłość u Hindenburga, będącego rodowitym poznaniakiem.

Wszyscy to rozumieli, ale bynajmniej nie pałali chęcią do obrony „niemieckiego wschodu”. Sytuacja w samym Berlinie nie była jeszcze pewna, choć wydawało się, że najgorsze mają za sobą.

Niemniej wstrząs, jaki spowodowała rewolucja, był zbyt silny, by ryzykować kolejną kampanię. Tym bardziej że wciąż jeszcze trwały negocjacje w Wersalu, które mogłyby przybrać wyjątkowo niekorzystny obrót, gdyby w czasie ich trwania zaatakowali sojusznika Francji. Należało powstrzymać starego zacietrzewieńca, zanim zrobi coś, co postawi ich w trudnym położeniu.

– Panie marszałku, wszyscy tu znamy naszą aktualną sytuację strategiczną w Wielkim Księstwie Poznańskim. Wiemy również, z czego ona wynika. Chcielibyśmy wiedzieć, jakie pan widzi rozwiązanie – rzekł generał Johannes von Seeckt.

Oczy wszystkich obecnych skierowały się na Hindenburga. Od jego odpowiedzi mogła zależeć przyszłość Niemiec. Twarz Hindenburga wyglądała strasznie. Pot osiadł mu gęstymi kroplami na twarzy, a skóra zmieniła kolor na siny. Obecny wydawało się, że po prostu runie pod stół. Ale tak się nie stało. Stary marszałek wsparł się rękoma o krawędź stołu i rzekł:

– Zawezwałem tu was, abyście ocenili realność planu, który za chwilę zostanie wam przedstawiony. Wszyscy wiemy, że w Rosji trwa zawierucha. – Skinęli głowami. – Obecnie wszystko wskazuje na to, że szala zwycięstwa wyraźnie przechyla się na stronę bolszewików. Umyśliłem sobie to wykorzystać. Jak wszyscy wiecie, nasza armia nadal przebywa na wschodzie, tworząc swoisty bufor bezpieczeństwa między Polską a ludźmi Lenina. – Przerwał, aby złapać oddech, po czym kontynuował: – Otóż my zaczniemy wycofywać tę armię, bo i tak musimy to zrobić, a wtedy Polacy i czerwoni rzucą się sobie do gardeł. Polacy siłą rzeczy będą musieli przerzucić gros swoich sił na wschód, by ratować niepodległość tego karła, którego stworzyli. No, a wtedy my zaatakujemy Wielkopolskę i w kilka tygodni załatwimy całą sprawę.

Generał von Seeckt uśmiechnął się. Znał starego, bo od kilku lat służył pod jego dowództwem, ale nie spodziewał się, że stać go

będzie na tak zuchwałe przedsięwzięcie. I to w momencie, gdy w Wersalu Ententa debatowała nad ich losem. Plan miał pełne szanse powodzenia. Gdyby udało się wmanewrować Polskę w wojnę z Bolszewią, to powinno się udać.

A jeśli się nie uda? – pomyślał. Przecież zorganizowanie takiej operacji wymagałoby współdziałania z bolszewikami, którzy nosili na sobie odium morderców i gwałcicieli. Gdyby jakimś cudem wyszło na jaw, że w ogóle podjęli taką próbę, niezależnie od tego, czy ich propozycja zostałaby zaakceptowana przez Lenina, czy nie, to i tak byliby skończeni.

Ale czy już nie byli skończeni? Ich prestiż na arenie międzynarodowej był żaden. Właśnie w tej chwili, gdy trwała ta narada, w Wersalu rozpoczynała się konferencja, która miała zdecydować o ich losie. O nich, bez nich. Na samą myśl zacisnął dłonie w pięści.

Hindenburg uważnie obserwował zachowanie Johannesesa. Wiedział, że ten utalentowany oficer cieszy się w wojsku olbrzymią estymą. Bez jego wyraźnego poparcia mógł co najwyżej budować zamki z piasku. Niemniej znał go od wielu lat i wiedział, że nie zniesie upodlenia Niemiec. Podobnie jak on, był zwolennikiem monarchii i z pewnością poprze jego plany. Należało jedynie zagrać odpowiednią kartą. A on dobrze wiedział, jaka to karta. Teraz należało rzucić ją na stół.

– Panowie, zdaję sobie sprawę, że mój plan jest szalenie ryzykowny. Ale zważcie, że nie mamy innego wyjścia. W chwili gdy rozmawiamy, Francuzi likwidują naszą armię. Nie łudźmy się, traktat, który jest teraz w fazie negocjacji, będzie pisany francuskim piórem. Polska będzie dla Francuzów głównym sojusznikiem w Europie Środkowo-Wschodniej. Dlatego nie możemy dopuścić do jej wzmocnienia naszym kosztem. Możemy oddać Francuzom Alzację i Lotaryngię, ale nasze ziemie wschodnie nie mogą być przedmiotem targów politycznych. Wielkopolska,

Warmia i Mazury oraz Górny Śląsk muszą pozostać w naszych rękach.

Zapadła cisza. Obecni na tajnym spotkaniu generałowie potrzebowali chwili, by przeanalizować zasłyszane rewelacje. Myśl o sojuszu z komunistami wydawała się tym potomkom arystokratycznych rodów, których herby sięgały czasów Ottonów, czymś obmierzłym. Ale ostatnie słowa marszałka zaniepokoiły ich nie na żarty. Dla tych ludzi, wychowanych w tradycji pruskiego militarysty, redukcja armii, a co za tym idzie utrata przez nich przodującej roli w państwie, była czymś niewyobrażalnym. Hindenburg, który ich znał i wyszkolił, zagrał na odpowiedniej nucie. Wiedział, że von Seeckt nie zrezygnuje z traktowania armii jako państwa w państwie.

Usiadł w fotelu, który stał u szczytu stołu, i w ciszy napawał się swoim triumfem. Już nie wątpił, że jego plan zostanie zaakceptowany, a Polska zginie zduszona w uścisku dwóch ościennych potęg. Ci polscy durnie dowodnie przekonają się, co oznacza podnoszenie buntu przeciwko prymatowi cesarstwa na tych ziemiach. Generał von Seeckt wstał i wskazał na mapie Poznań i Wałcz.

– Do ataku na Wielkopolskę mogę wysłać czterdzieści tysięcy żołnierzy w pierwszym rzucie. Jednak opracowanie szczegółowych rozkazów będzie wymagało dłuższego czasu. O realizacji planu decydować będzie to, czy uda się całkowite zaskoczenie przeciwnika, i rezultat przewidywanej przez was wojny na wschodzie. Natychmiast wydam rozkaz, aby rozpoczęto wycofywanie jednostek Ober-Ostu. Wyślę również tajnych łączników do Trockiego i Lenina, aby zaproponować im ułatwienia w zajmowaniu terenów, z których zluźujemy żołnierzy. Chcę jednak, aby sprawa była jasna. Jeśli jakkolwiek część tego planu przedostanie się do publicznej wiadomości, to nigdy nie wejdzie on w fazę realizacji.

– Jak długo potrwa przygotowanie szczegółowych założeń planu? – zapytał Hindenburg, krzyżując nogi pod stołem.

– Co najmniej do wiosny – odparł ostrożnie generał. Widząc poszarzałą z wściekłości twarz Hindenburga, dodał szybko: – Teraz mamy dopiero początek stycznia. A zarówno armia polska, jak i bolszewicka opiera się na koniach, które muszą mieć trawę, by stanowić jakąkolwiek wartość bojową. Wojna na wschodzie nie wybuchnie, zanim nie stopnieją śniegi, które w wielkich ilościach zalegają na ogromnych wschodnich przestrzeniach. Zresztą na wysłanie emisariuszy do Trockiego też potrzeba będzie czasu. Mamy kilka miesięcy, by wasz ogólny plan przekuć w konkrety. I proszę mi wierzyć, że dobrze ten czas wykorzystamy.

Paul Hindenburg zaczął lżej oddychać. Argument przytoczony przez Seeckta wydał mu się słuszny. Zresztą przygotowania do Wiosennego Słońca – taki kryptonim nadał planowi, który istniał w tej chwili jedynie w zarysie – wymagały również ofensywy dyplomatycznej na wielu frontach. Należało uspić czujność nie tylko Polaków w Poznaniu i Warszawie, ale przede wszystkim państw Ententy. To także wymagało czasu. On był cierpliwy. Poczeka na właściwy moment i odzyska niemieckie ziemie, a Polska stanie się kolejnym kadłubkowym państwem, które zniknie z mapy Europy tak szybko, jak się na niej pojawiło.

Wiosenne Słońce będzie podwaliną pod budowę nowych, potężnych Niemiec. Ciescie się, póki możecie. Pomyślał o dyplomatach, którzy właśnie dziś rozpoczynali obrady w dawnej rezydencji króla Ludwika XIV, aby uporządkować Europę po Wielkiej Wojnie, którą ze sobą toczyli. Kiedyś jeszcze i im wystawią rachunek za dzisiejsze upokorzenie, ale pierwszym celem winna być Polska.

Hindenburg zaklaskał w ręce. Na ten znak do gabinetu weszła pokojówka z tacą, na której stała karafka wypełniona po brzegi koniakiem i kieliszki z grubego szkła. Dziewczyna postawiła tacę

na brzegu stołu i znikła za drzwiami. Hindenburg rozlał koniak do kieliszków, po czym ujął swój w dwa palce i rzekł, unosząc go w toaście:

– Za powodzenie Wiosennego Słońca!

Rozległ się stukot szkła uderzającego o szkło. Był to widomy znak zakończenia tajnej narady. A także znak, że szczęk oręza, który ledwo ucichł na zachodzie, na wschodzie miał dopiero rozbrzmieć. W samym środku tego piekła miała się znaleźć odrodzona po ponad wiekowej niewoli Rzeczpospolita. Jej los zależał od wyniku walki, do której nie była i nie mogła być w pełni przygotowana.

Rozdział II

Śnieżna zadymka rozpętała się nad Poznaniem z niepowstrzymaną siłą. Ciężkie płatki mokrego śniegu opadały na wybrukowane ulice, które pokrywała gęsta warstwa białego puchu. Skrzył się on i świecił niczym diamenty, gdy padało nań światło księżyca. Ten wynurzał się co chwila zza ciemnych gęstych chmur, które pokrywały niebo.

Śnieg skrzypiał pod butami braci Adamczewskich, którzy przedzierali się ulicą Świętego Marcina w kierunku siedziby Naczelnej Rady Ludowej, którą czasowo przemianowano na główny sztab armii powstańczej. Wściekle poddmuchy wiatru uderzały co chwila w idących płatkami śniegu, które wnikały pod błękitne mundury. Zimno zdawało się przenikać przez wojskowe uniformy jak przez byle wiatrołap. Dlatego szli wolno, chowając się na przemian za sobą, by choć na chwilę przestać zmagać się z wiatrem.

Obaj młodzieńcy byli do siebie podobni niczym dwie krople wody. Wysocy, smagli, z czarnymi jak skrzydła kruka włosami. Pod mundurami rysowały się rozbudowane klatki piersiowe, które poruszały się w spokojnym rytmie. Ich jasne oczy zdawały się przenikać gęste śnieżne krupy. Dawało się w nich dostrzec figlarne błyski, typowe dla ludzi obdarzonych poczuciem humoru. Lecz teraz nie było im do śmiechu.

– Wytlumacz mi, braciszku, czemu siedzimy w Poznaniu, skoro powinniśmy być na froncie? – zapytał Wiktor, wyprzedzając brata,

by ten mógł się schować za jego plecami.

– A tobie co tak śpieszno do walki? Siedzimy w Poznaniu, bo taki mamy rozkaz. Kiedy ty się wreszcie nauczysz, że wojsko na rozkazie stoi? A żołnierz to nie cygan, który chodzi, dokąd chce.

– Ja przez całą Wielką Wojnę sobie nie postrzelałem – rzekł Wiktor z nutką żalu w głosie. – Myślałem, że może teraz, a tymczasem zajęliśmy już prawie całe miasto i okolice. Niemcy się poddają i nie chcą walczyć. Jak tak dalej pójdzie, to całą Wielkopolskę zajmiemy, a ja sobie nie postrzelam.

Mikołaj Adamczewski uśmiechnął się. Jego brat jeszcze na wojnie nie był. A co gorsza miał o niej całkiem mylne pojęcie – była dla niego wielką romantyczną przygodą. Jeszcze nie wiedział, że wojna to tak naprawdę największa głupota w dziejach ludzkości. Bo na niej człowiek walczy o nie swoją sprawę. Co im było do tego, że car Mikołaj i cesarz Wilhelm pokłócili się ze sobą? A przecież wszyscy musieli za nich walczyć i umierać. On także walczył za kajzera, choć ani go znał, ani widział. Zabijał takich samych ludzi jak on, by teraz banda dyplomatów mogła pić szampana w Wersalu.

A przecież kiedy wstępował do strzelca, był równie zafascynowany wojaczką jak jego brat. Też liczył, że będzie mógł bić się w słusznej sprawie. Miał marzenie, by walczyć w obronie swej uciemnionej ojczyzny. Po to spędzał tyle czasu na zawodach strzeleckich i gimnastycznych. Chciał być gotowy, by przydać się, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Pora nadeszła, a on nie potrafił wykrzesać z siebie ani krzty dawnego zapału. Coś się w nim zmieniło.

Wprawdzie nie uchylał się od służenia ojczyźnie – włączył się w prace konspiracyjne, ledwie wrócił z frontu. Wykorzystywał nabyte w okopach doświadczenie, by szkolić pełnych zapału młokosów, którzy chcieli być godni opisów pióra Sienkiewicza. Pracował jak człowiek, który dobrze wykonuje swoje zadanie, ale

nie sprawia mu ono najmniejszej radości. Był więc zadowolony, że jego towarzysze z pruskiej armii nie przejawiają najmniejszej ochoty do walki. Zresztą patrząc po sobie, to się im nie dziwił.

– Powalczysz jeszcze, Wiktor. Pamiętam, że byłem dokładnie taki sam. Ale ty wojny jeszcze nie widziałeś, a mnie już obrzydła. Tobie się wydaje, że na wojnie są zwycięzcy i pokonani. A ja ci mówię, że na wojnie wszyscy przegrywają. Ja do dziś budzę się w nocy z krzykiem, bo wydaje mi się, jakbym był w okopie, podczas gdy artyleria tłucze w nas, czym popadnie. Prawda, że Niemcy wycofali się z większości Poznania, ale lotnisko dalej trzymają, a o ile mnie pamięć nie myli, to nie mamy możliwości obrony. Dlatego też i tu siedzimy. A ty powinieneś oglądać się za panienkami, a nie taszczyć na plecach karabin.

– Odezwał się ten, co ma prywatny harem – mruknął Wiktor. – Ojciec już wnuków po tobie wygląda, a ty nic nie robisz, by miał kogo na rękach nosić.

Mikołaj zarumienił się. Szczęściem jego młodszy brat nie mógł tego dostrzec. A nawet gdyby widział, to pewnie wziąłby rumieńce na policzkach za efekt mrozu, a nie swoich słów. Tylko on wiedział, jak było naprawdę. Coraz częściej łapał się na tym, że myśli o ustatkowaniu się. Dawniej w ogóle nie czuł takiej potrzeby. Młodych ciał pragnął spróbować jak owocu, zanim wybierze ulubiony. A potem przyszła wojna. Nie był to dobry czas na zakładanie rodziny. Mógł i na dobrą sprawę powinien tam umrzeć. Ale teraz nic nie stało na przeszkodzie, by zająć się układaniem swojego życia.

Ba, powinno pójść nawet łatwiej. W czasie tej wojny tylu konkurentów poginęło, że i kobiety nie będą zbyt wybredne. To i on powinien coś dla siebie znaleźć. Ale czas jeszcze będzie o tym myśleć. Najpierw należało przetrwać powstanie, a potem rozmyślać o powrocie do cywilnego życia.

– Jak przyjdzie pora, to cię na družbę poproszę.

– A masz już co upatrzonego?

– Nie, nie mam. – Posłał bratu kuksańca pod żebra, dając znać, że nie życzy sobie kontynuacji tematu.

Wspinali się więc w ciszy, którą przerywało jedynie skrzypienie śniegu pod stopami. Ulica to wznosiła się, to opadała; niczym kolejka górską. Nawet dla wytrenowanych żołnierzy walka jednocześnie z wiatrem i stałą zmianą poziomów stanowiła pewien problem. Tym bardziej obaj Adamczewscy oddychali z coraz większym trudem. Na szczęście docierali już na miejsce. W oddali pojawił się zarys siedziby Naczelnej Rady Ludowej. Stanęli przed zwykłą poznańską kamienicą.

Opowiedzieli się wartownikowi, który miał na mundurze tony śniegu. Szybkim krokiem przeszli przez okutą żelazem bramę i zniknęli we wnętrzu kamienicy. Ciepło owiało ich gwałtownie. Po chwili odtajali i krople wody zaczęły cieknąć na drewnianą podłogę pomieszczenia sztabowego. Na szczęście nikt nie zwrócił większej uwagi na powiększające się kałuże pod ich stopami. W sztabie panował bowiem nieopisany rozgardiasz, tak charakterystyczny dla wszystkich sztabów świata. Żołnierze w mundurach biegali dookoła, nanosząc dane na rozpostartą na stole gigantyczną mapę sytuacyjną. Rozkazy krzyżowały się ze sobą, a łącznicy wchodzili i wychodzili, za każdym razem wpuszczając lodowate powietrze.

Przez dłuższą chwilę nikt nie zwrócił uwagi na ich wejście. Wreszcie podszedł do nich młody podporucznik o dziewczęcej urodzie. Miał na sobie idealnie dopasowany mundur, który pozornie stawiał go wyżej od wypłowiałych od słońca i deszczy mundurów Adamczewskich. Spojrzał na nich z góry i warknął głosem, który starał się uczynić poważnym.

– Co to za spóźnienia? Pułkownik Krzysztof Kossowski nie lubi czekać. Proszę panów za mną.

Odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Rozpychał się przy tym łokciami, jakby to on był tu panem. Mikołaj patrzył na to z obojętnością, bo widział w swoim życiu wielu kanapowych oficerów. Ci nie mogli już go niczym zaskoczyć, ponieważ istnieli we wszystkich armiach świata, a ich zachowanie niewiele się od siebie różniło. Za to mina jego brata warta była tego, by wyświetlać ją w kinie. Mikołaj ścisnął go mocno za rękę, dając sygnał, by nie zrobił nic głupiego. Ostatnie, czego potrzebował, to kłopoty. Pozwolili więc wyprowadzić się z zatłoczonego pomieszczenia, gdzie napływały informacje rzucające światło na to, co się dzieje na froncie.

Znaleźli się w wąskim korytarzu, którego ściany wyłożono czerwoną tkaniną. Prowadzący ich oficer wskazał wielkopańskim gestem na stojące pod ścianą krzesła i rzekł:

– Panowie zechcą tu spocząć. – Nie czekając na odpowiedź, zniknął za dwuskrzydłowymi drzwiami, aby ich zameldować.

Wiktor ledwie doczekał, aż drzwi się za nim zamkną, i wybuchnął śmiechem. Mikołaj posłał mu spojrzenie, które w założeniu miało wyrażać dezaprobatę dla jego zachowania, ale po chwili i on nie potrafił powstrzymać się od śmiechu. Śmiali się obaj, aż im łzy ciekły po policzkach.

– Ja pierdolę! Widziałeś tego pederastę? Normalnie wygląda ci taki tak, że przy ciemniejszej aurze można by go wziąć za dziewczynkę. A ten mundur? Ani grama pyłu czy potu. A cuchnie od niego jak z perfumerii. Założę się o butelkę gdańskiej wódki, że on nie był na wojnie.

– Podobnie jak ty – przypomniał Mikołaj i zamilkł.

Mógł tylko przeklinać cholerny przypadek. Po rozkazy mógł przyjść sam, ale zabrał ze sobą brata, aby namówić go do pozostania w sztabie. Już wcześniej wiedział, że będzie miał z tym kłopot, bo młody rwał się do walki, ale liczył, że uda mu się wykorzystać powagę starszego brata. A teraz mógł o tym tylko

pomarzyć. Przez głupi zbieg okoliczności Wiktor nabrał awersji do sztabowców. A przecież nie mógł jednocześnie pilnować szczeniaka i walczyć. Musiał spróbować przeprowadzić swój zamysł.

– Posłuchaj, Wiktor – zaczął niepewnie – wiesz, że na wszystko w życiu jest czas. Jesteś jeszcze młody i na pewno będziesz miał niejedną okazję, żeby powojować. Ja, stary żołnierz... stażem, nie wiekiem, ci to gwarantuję. W tym nadwiślańskim kraju nie będzie pokoju... Nie ma mowy o tym, żebyś zdejmował mundur. Chcę tylko, żebyś był poza linią frontu. Zrozum, ojciec nie przeżyje, jeśli zginiesz. Zaznaj życia. Żyj i za mnie, i za siebie.

Wiktor dygotał, jakby trzęsła go febra. Prawie nie znał swego starszego brata. Pamiętać to go pamiętał, bo miał czternaście lat, gdy on wyruszał na front. Ale nigdy nie poznał go jako człowieka. Nie wiedział, co lubi robić. Znał go jako surowego, ustawicznie zamyślnego żołnierza, który brutalnie wbijał im do głów wojskowe rygory. Nigdy w niczym nie dał mu taryfy ulgowej, a wręcz przeciwnie, gnębił gorzej od innych. I gdyby nie podobieństwo rysów, to nikt w oddziale nawet nie przypuszczałby, że są braćmi. A jednocześnie opiekował się nim niczym najlepsza niania; trzymał zawsze za sobą. Czasem sam się już gubił i nie potrafił rozgryźć tego skomplikowanego człowieka, który był jego bratem. Aż do dziś.

Teraz naprawdę wiedział, że jednak mu na nim zależy. Cieszyło go to bardziej, niż umiał wyrazić. Zawsze chciał być do niego podobny, traktował go jako swoisty niedościgniony wzór, któremu chciał dorównać. Przede wszystkim dlatego zaangażował się od pierwszej chwili w działalność środowisk patriotycznych. To dlatego szkolił się na tajnych zebraniach organizacji paramilitarnych, jakich pełno było w całej Wielkopolsce. Ale było i uczucie przeciwstawne. Teraz, kiedy bowiem nabyte tam umiejętności wreszcie miał okazję przetestować w praktyce, teraz

właśnie kazano mu siedzieć na tyłach. I kto kazał? Paradoksalnie – właśnie ów rodzony brat.

– Nie rozumiem. Najpierw wyciskasz ze mnie siódme poty, by wyuczyć mnie wszystkiego, co potrzebne żołnierzowi, abym mógł wynieść cało dupę z wojny, a teraz odsuwasz mnie od walki? Ja po prostu chcę przetestować swoje umiejętności w prawdziwej walce. I martwię się, że to może jedyna okazja, abym mógł się sprawdzić. Przecież następna wojna wybuchnie dopiero za sto lat. Po takiej hekatombie ludzie nie będą chcieli już walczyć.

– Ty jednak chcesz. A chyba też jesteś człowiekiem? – odparł spokojnie Mikołaj. – Walka leży w ludzkiej naturze. Człowiek walczył od zawsze. Najpierw o lepsze miejsce do założenia osady nad rzeką, a dziś o skwarki w misce. Dlatego nie martw się. Właśnie ta wojna może być przyczyną następnej. Szkoliłem cię po to, byś był do niej gotowy. Znakomicie posługujesz się bronią, ale nigdy nie strzelałeś do czegoś, co, choćby w części, przypominałoby człowieka. Nie jestem pewien, czy potrafiłbyś sobie poradzić z tym obciążeniem. Ale gdy upłynie jeszcze kilka lat, będziesz gotowy. Pozostaniesz w sztabie?

Ostatnie pytanie zadał na resztkach oddechu, bo mówił jednym tchem. Wbił badawcze spojrzenie w twarz swojego brata, jakby chciał w niej czytać. Odetchnął, gdy dostrzegł, że głowa młodzika opada w dół, w geście zgody. Wiedział, ile go to kosztowało, i tym bardziej to doceniał. Mógł przestać się o niego martwić. Objął go i tak trwali, aż drzwi otworzyły się i oficer sztabowy wprowadził ich do gabinetu.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było znacznie bardziej przytulne niż poprzednie, lecz jednak również znacznie mniejsze. W gabinecie panował półmrok, ponieważ za oknem szalała śnieżycą, która nie zamierzała przepuszczać promieni słonecznych. I gdyby nie trzaskający w kominku ogień, to nic nie dałoby się dostrzec. W blasku płomieni widzieli jednak miękkie

dywan, na którym ich buty pozostawiały plamy błota mogące przypisać o zawał każdą gospodynię domową. Pod ścianami stały duże regały, na których piętrzył się stos książek. Nad kominkiem wisiała sobie spokojnie Matka Boska Ostrobramska. Przed kominkiem stało kunsztownie zdobione biurko, wspierające się na nogach w kształcie lwich łap. Błat obito zielonym sukniem tak, że wyglądał jak stół do pokera. Tylko że zamiast kart leżały na nim porozrzucane w nieładzie dokumenty. Przed biurkiem stały dwa fotele, a za nim siedział pułkownik Krzysztof Kossowski. Obok stał ktoś jeszcze, ale ustawiony do nich plecami.

Krzysztof Kossowski nie wyglądał na pułkownika. A szczerze mówiąc, to w ogóle nie przypominał żołnierza. Był to człowiek niewysoki, a przy tym chudy jak szczapa. Prawie w ogóle nie dbał o estetykę. Mundur nosił ustawicznie niedopięty. Nie miał nawet marsowej miny, którą często przybierają ludzi słabi. Jego twarzy nie ulękłaby się nawet panna. Twarz ta była dziwnie blada, jakby zapadnięta. Jedyne oczy – czarne jak węgle – jarzyły się spokojnym blaskiem. Kto spojrzał w te oczy, a znał się na ludziach, ten wiedział, że ich właścicielowi lepiej schodzić z drogi.

– Siadajcie, panowie – poprosił, zakładając na oczy binokle, bo gdy długo pracował, to litery i twarze rozmazywały mu się przed oczami.

Usiedli w fotelach i czekali, aż pułkownik wyjaśni im, czego od nich oczekuje. Jeśli zdziwił się, widząc młodszego z braci, to nie dał tego po sobie poznać. Niemniej postanowił rozmawiać jedynie ze starszym Adamczewskim. Jego znał jeszcze z okopów, więc siłą rzeczy łatwo im się współpracowało. Kossowski szybko przeszedł do rzeczy.

– Wezwałem cię tu, abys zreferował mi dokładnie sytuację na lotnisku Ławica. Pozostawienie tego obszaru w rękach Niemców jest dla nas nie do przyjęcia. Sukinsyny grożą zbombardowaniem miasta. Czy twoim zdaniem taka groźba w ogóle istnieje? Zdaniem

większej części naszych żołnierzy sytuacja w Wielkopolsce jest już całkowicie opanowana. Twierdzą, że skoro Francja stoi murem za nami, to całe powstanie nie miało sensu.

Wiktor, słysząc ostatnie zdanie, omal nie zerwał się z fotela, ale brat sprzedał mu solidnego kopniaka w kostkę i sam przejął pałeczkę. Nie był politykiem, ale wprost mówił, co mu serce i rozum dyktowały.

– To nasze, co w rękę trzymamy – stwierdził Mikołaj, uśmiechając się. – Ententa dotychczas nie wypowiedziała się jasno co do przyszłości Wielkopolski i Górnego Śląska. Tereny te są świetnie zagospodarowane i cenne gospodarczo dla obydwu stron. Skoro my je mamy, to są nasze. Nie zapominajmy przy tym, że swoje przy stole rokowań będą chcieli ugrać i Anglicy. A nie na rękę im będzie nadmierne osłabienie Niemiec, bo to dałoby Francji przodującą pozycję na kontynencie. Dlatego musimy jasno pokazać społeczności międzynarodowej, że Wielkopolska była, jest i będzie polska. Nie możemy do tego dopuścić, żeby nas oszukali. Dlatego ja opowiadam się zdecydowanie za kontynuacją walki aż do wyzwolenia całej Wielkopolski. Wiadomo już, jak do naszych działań odniósł się rząd w Warszawie?

– Oficjalnie nie może się odnieść, bo państwa Ententy dość nieprzychylnie na nas patrzą. Ale po cichu z Warszawy dostarczą nam broń i instruktorów. Sprawa byłaby prostsza, gdyby Naczelna Rada Ludowa określiła jasno zakres swojej władzy. Ale mnie się wydaje, że nasi politycy mają chrapkę na całą władzę – wyjaśnił mu Kossowski.

– Nie daj Boże, żeby już zreć się między sobą zaczynali. Pchają się, żeby rządzić państwem bez granic. A tu dobrze trzeba jeszcze głowę wysilić, żeby je utrzymać. Kto wie, czy na wschodzie wojna nie wybuchnie. Dlatego musimy ręce jak najprędzej mieć wolne, żeby wspomóc tam naszych. Na rząd przyjdzie pora, gdy będziemy

mieli jasno wytyczone granice. A i Niemcy mogą bez walki nie odpuścić.

– I ja tak myślę – zgodził się Kossowski. – Tu nie ma co filozofować, tylko walczyć trza. Dlatego sprawą pierwszorzędnej wagi staje się opanowanie lotniska. Już pomijając nawet kwestię bezpieczeństwa przestrzeni powietrznej nad Poznaniem, to Niemcy zgromadzili na lotnisku znaczne zapasy sprzętu wojennego, który nam by się bardzo przydał. Ty, Mikołaju, masz stanowisko najbliższe, więc mów.

Adamczewski zamyślił się głęboko, jakby układał sobie w głowie, co powiedzieć. Mając doświadczenie wojskowe, świetnie rozumiał strategiczne znaczenie lotniska i już od dłuższego czasu rozmyślał nad sposobem jego opanowania. Oczywiście los lotniska i bez wielkiego planowania byłby przesądzony, bo powstańcy mieli rezerwy, a Niemcy nie. Jednak jemu chodziło przede wszystkim o to, by nie stracić zbyt wielu ludzi. To założenie sprawiało, że potrzeba było zdecydowanie dłuższych przygotowań. Dwa tygodnie, jakie upłynęły od rozpoczęcia powstania, pozwoliły mu na przygotowanie starannego planu. Teraz zaczął go wyklądać.

– Niemcy mają na terenie lotniska około dwustu ludzi i kilka karabinów maszynowych. Pierwsze, co musimy zrobić, to odciąć im prąd i łączność telefoniczną z Berlinem. Muszą być ślepi i głusi. Otoczymy lotnisko ze wszystkich stron, żeby mysz się nie przecisnęła. – Wstał i wyszedł na chwilę, po czym powrócił, niosąc pod pachą mapę miasta i okolic. Następnie rozwinął ją, wyglądził starannie i zaczął wskazywać punkty rozlokowania oddziałów, które miały wziąć udział w całej akcji. Działa kalibru osiemdziesiąt milimetrów miały zostać rozlokowane naprzeciw dworca kolejowego, aby stamtąd przygwaźdzać celnym ogniem obrońców lotniska. W kierunku lotniska miał wyruszyć około czterystuosobowy oddział, złożony z trzech kompanii służby straży

i bezpieczeństwa, plutonu strzelców konnych oddziału Polskiej Organizacji Wojskowej oraz służby sanitarnej.

Pułkownik Kossowski słuchał uważnie, nie przerywając. Zdawał się nad czymś rozmyślać i coś w umyśle rozważać. Czasem rzucił jakieś zdawkowe słowo, którego intencje trudno było pojąć. Plan, który mu przedkładano, zdawał się w ogóle go nie obchodzić, mimo że to on optował za jak najszybszym opanowaniem lotniska. Wreszcie doczekał momentu, gdy Adamczewski skończył wykladać założenia swojej koncepcji.

– Słuchaj, Mikołaj, plan jest dobry. Ale musi być zrealizowany natychmiast. Dziś jeszcze.

Adamczewski wytrzeszczył oczy. Kossowski nie był żółtodziobem, podobnie jak on brał udział w Wielkiej Wojnie i przeżył też niejedno. Musiał zdawać sobie sprawę, że ściągnięcie wystarczających sił do realizacji tego zadania nie leżało w mocy ludzkiej. A to oznaczało, że w grę wchodziły czynniki pozawojskowe. Coś mu mówiło, że chodzi o tajemniczego człowieka, który przez cały czas stał sztywno, jakby był biblijną żoną Lota. Niemniej miał na tyle doświadczenia, by nie pytać wprost. Wiedział, że pułkownik sam mu wszystko wyjaśni.

Nieznamy obrócił się w ich stronę. Teraz obaj mogli mu się dobrze przyjrzeć. Był to dojrzały mężczyzna, ale Mikołaj nie mógł określić jego wieku, ze względu na zmarszczki, które mocno przeorały jego owalną twarz. Rude jak płomień włosy były już mocno przerzedzone, a zakola coraz wyraźniejsze. Nad pełnymi wargami pysznił się duży sumiasty wąs, który upodabniał go do sarmaty. Piwne oczy zwiastowały człowieka silnego charakteru, który nie zwykł cofać się przed niczym. W ogóle z całej jego postaci emanował dziwny spokój, charakterystyczny dla tych, co wiele przeszli i otrząskali się z przeróżnymi niebezpieczeństwami.

Nieznamy miał na sobie futro z kapturem, który teraz swobodnie zwisał na szerokich plecach. Na nogach – sowieckie

walonki, których czubki aż błyszczały się od wody pozostałej po stopionym śniegu. Nogawki długich spodni z czerwonymi lampasami również były mokre.

– Panowie darują, iż się nie przedstawię ani nie zdradzę charakteru, w jakim tu przybyłem. – Mężczyzna mówił powoli, jakby musiał zastanowić się nad każdym słowem, zanim je wypowie. – Nie dziwię się pańskiemu zdziwieniu, mnie też wkurwiłoby takie ponaglenie. Ale sytuacja międzynarodowa może się zmienić. Przysłuchiwałem się pańskim wywodom na temat naszej sytuacji politycznej i muszę przyznać, że zaskoczył mnie pan: otwartością umysłu i jasnością sądów. – Skinął głową obu braciom. – Kilka dni temu w willi należącej do marszałka Hindenburga odbyło się ściśle tajne spotkanie, w którym uczestniczyli najważniejsi dowódcy niemieckich sił zbrojnych. Na pewno nie poświęcili tego wieczoru pokerowi i dziewczynom. Niestety, nie wiem, co było przedmiotem obrad, ale naiwnością byłoby sądzić, że nie była nim sytuacja w Wielkopolsce.

Mikołaj zaczynał rozumieć. Jeśli ten człowiek mówił prawdę, a nic nie wskazywało na to, by miał kłamać, to gra o Wielkopolskę dopiero się zaczynała. Zresztą, wcale go to nie zdziwiło. Wiedział, że Niemcy nie przywykli oddawać niczego bez walki. Polacy wykorzystali moment osłabienia przeciwnika, aby zająć rdzennie polskie tereny. Ale w żadnym wypadku nie wolno było na tym poprzestać. Należało do maksimum wykorzystać uzyskaną przewagę, zanim Niemcy przystąpią do zakrojonego na szeroką skalę przeciwdziałania. Nie wiedział, jak przeprowadzą oni swoją kontrakcję, ale był pewny, że nastąpi.

– Panie pułkowniku – Mikołaj zwrócił się do Kossowskiego – chciałem zostawić brata w sztabie. Będę spokojniejszy, jeśli zostanie poza strefą bezpośrednich walk.

Wiktor poczuł, że się rumieni. Miał wrażenie, że wszyscy obecni z niego sztydzą. Jak to? W takim czasie, kiedy nawet dzieci w wieku

szkolnym tłumnie zgłaszają się do szeregów, on, zdrowy chłopak, miałby dekować się na tyłach? Już usta otwierał, aby przeszkodzić bratu, ale przypomniał sobie, że dał mu słowo. A Adamczewscy zawsze dotrzymywali słowa. Nawet jeśli przyrzekli coś po pijanemu. I on nie mógł złamać uświęconego prawa, którego członkowie rodziny przestrzegali od wieków.

Bo taką już byli rodziną. Pierwszy zapisany z nazwiska członek ich rodu, Jakub Adamczewski, pod Wiedniem się odznaczył, o czym stare kroniki wspominają. Potem krew jego potomków wsiąkała we wszystkie pola bitew, na których szczekał oręż. Zresztą, ta miłość do ojczyzny, którą chyba razem z duszą można z ciała wypędzić, dotyczyła nie tylko męskich potomków rodu. Kobiety także walczyły, choć nie orężem. To one dbały o swoistą patriotyczną edukację młodych latorośli, same wyszywały sztandary dla coraz innych powstańczych oddziałów i zdobywały wykształcenie.

Ojciec ich, Lucjan Adamczewski, w przodków swoich się nie wrodził i żadnego zamiłowania do wojaczki nie miał. Za to na polu gospodarczym niepomierne krajowi usługi oddał. On wojował z pruskimi urzędnikami o każdą skibę ziemi i szło mu to nie gorzej niż jego przodkom machanie żelazem. A może i lepiej jeszcze. Bo z powstań nikt żadnej korzyści nie wyniósł. A stary gospodarzył tak, że nie tylko majątku Prusakom uszczuplić nie dał, ale i dostatki podwajał. I na próżno Prusacy wymyślali coraz to nowe prawa, aby sprzedaż ziemi wymusić.

Na próżno. Stary zawsze umiał ominąć wszelkie prawnicze kruczki, jakich chwyтали się jego wrogowie. Walczył ze starczym uporem i zręcznością właściwą młodym umysłem. Synów swoich kochał, ale nie po głupiemu, jak to robią niektóre matki, w puchach swoje dzieci chowające, a ci potem na maminsynków wyrastają. On hartował ich obu jak stal. Toteż Wiktor dobrze wiedział, co by

go spotkało, gdyby ośmielił się nie dotrzymać raz danego słowa, a wiadomość o tym dotarłaby do jego ojca.

Zrezygnowany spojrzął na pułkownika w nadziei, że ten odmówi. On jednak ani myślał tego robić. No i Wiktor rad nierad musiał pozostać w sztabie, podczas gdy jego brat będzie szturmował lotnisko. Czekał go cholernie nudny dzień. Przynajmniej tak mu się wydawało. Nie wiedział jeszcze, że dzisiejszej nocy miało spełnić się jego przeznaczenie, które nie miało nic wspólnego ze spokojną starością. A już tym bardziej z pracą w sztabie.

Rozdział III

Z Poznania do Ławicy droga krótka. Oddział szturmowy posunął się błyskawicznie ku lotnisku, zamykając szczelnym kordonem drogi, które do niego prowadziły. Rozstawienie armat na zaplanowanych pozycjach zajęło nieco więcej czasu, ponieważ trzeba je było pchać po rozmiękłym śniegu, który buksował pod kołami. Żołnierze pchali je z trudem i olbrzymim wysiłkiem sprawiającym, że pot zalewał im oczy, mimo że na dworze trzaskał mróz. Wreszcie paszcze armat ustawiono pod właściwym kątem. Potem zostało już tylko nagromadzenie przy nich podłużnych pocisków artyleryjskich.

Mikołaj nie miał zamiaru się oszczędzać, choć mógł. Pracował z żołnierzami ramię przy ramieniu, taszcząc ciężkie pociski pod niewielkie wzniesienie, na którym stała armata. Nadmiernie obciążone nogi zapadały się i ślizgały na śniegu, tak że kilkakrotnie omal nie upadł. Mundur lepił mu się do pleców, a twarz przypominała wodospad. Inni nie wyglądali lepiej.

– O kurwa! Nawet moja baba nie waży więcej, a swoją wagę ma – mruknął jeden z żołnierzy.

Wreszcie wokół armaty uzbierał się pokaźny stos skrzyń z amunicją i luźnych pocisków. Mikołaj otarł pot z czoła, wsparł się plecami o lufę armaty i spojrzał na widoczne ze wzgórza lotnisko. Wprawdzie niewiele było widać przez gęste opady śniegu, które nie ustawały ani na chwilę, ale udało mu się dostrzec zarysy drewnianych hangarów, w których stacjonowały aeroplany. Na

pasie startowym krzżeli się niemieccy żołnierze rozstawiający karabiny maszynowe, aby zatrzymać spodziewany szturm. Mikołaj omiół wzrokiem górującą nad lotniskiem wieżę, która stanowiła dogodny punkt obserwacyjny. Wobec nadciągającej walki należało ją unieszkodliwić, aby umieszczony na niej obserwator nie mógł ujawniać pozycji atakujących.

– Jak widać, Niemcy przygotowują się do obrony lotniska. Rozstawiają właśnie stanowiska karabinów maszynowych. Zostało im jeszcze pół godziny do upływu dziesięciogodzinnego ultimatum, który to czas dobrze pewnie wykorzystają. Ja wracam do pozostałych. Wy zaczniecie walkę, kiedy tylko upłynie termin. Musicie zasypać ogniem pas startowy, aby przygwoździć obsługę karabinów maszynowych. – Utkwił badawcze spojrzenie w młodych chłopakach. Nie potrafił nawet wyrazić, jak ogromną rolę mieli do odegrania w tej potyczce. Patrzył w ich oczy.

Byli czujne, skupione jak u zwierzęcia szykującego się do decydującego ataku. Twarze tych dzieciaków były poważne. Zero głupawych żartów, uśmiechów i poszturchiwań. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że to nie będą instruktorskie szkolenia w lasach pod Poznaniem, ale walka z zawodowymi żołnierzami, którzy byli wprawdzie zdemoralizowani, ale nadal stanowili groźną siłę. Polacy mieli tego świadomość. Wiedzieli, że część z nich tu zostanie. Myśl o śmierci jest obca dla młodego umysłu. Rolą dowódcy było, by taką pozostała.

Mikołaj Adamczewski zdawał sobie sprawę, jak wiele teraz od niego zależy. Czuł się jak stary masztalerz, który musi młode rozhukane źrebię nauczyć chodzenia w zaprzęgu. Wojna to sport zespołowy. O ile zabijanie wolno określać zaszczytnym mianem sportu. To w każdym razie było pierwsze skojarzenie, jakie przyszło mu do głowy. Armia nie lubiła indywidualistów i nie była dla nich dobrym miejscem. Tu trzeba było wzajemnie uzupełniać

swoje braki, ratować dupiska towarzyszom i liczyć na to, że oni odwdzięczą się tym samym, gdy my popełnimy błąd.

Może powinien wygłosić okolicznościowe przemówienie, coś w stylu Cezara lub Aleksandra? Postanowił zabrać głos, ale jako że nie był żadnym ze wspomnianych, tylko synem prostego rolnika z Wielkopolski, więc mówił prosto. Bez zbędnych upiększeń, których zresztą ci chłopcy i tak by nie pojęli. Sam nie wiedział, kiedy te słowa pojawiły się w jego głowie. Czuł się tak, jakby były tam od zawsze i tylko czekały na tę właśnie chwilę.

– Ta noc albo was zabije, albo ukształtuje na zawsze. Wszystkich was szkoliłem tak samo i nauczyłem tych samych umiejętności. Opanowaliście je. Inaczej nie byłoby was tutaj. Ale dopiero pole bitwy pokaże, jacy jesteście naprawdę, ono oddzieli mężczyzn od chłopców. Każdy, kto przeżyje tę noc, będzie ją pamiętał w najdrobniejszych szczegółach, nawet wtedy, gdy zapomni, jak sam się nazywa. I pamiętajcie jeszcze o jednym: miliony Polaków przez ponad wiek marzyły o tej szansie, jaką los dał nam. Gdy będziecie strzelać z tej armaty, myślcie o tych, którzy nigdy nie mieli takiej okazji, ale nigdy nie wyrzekli się marzeń o wolności. Zabijano ich za to i torturowano, ale wirus wolności przekazywany był kolejnym pokoleniom, które strzegły go jak najdroższego skarbu. Oni wszyscy dziś staną z wami do tej walki. Nie będę mówił dłużej, bo zaczynam gadać jak filozof. Macie rozpieprzyć tę wieżę w drobny mak.

To rzekłszy, zsunął się ze wzgórza i ruszył ku rozsiały wokół lotniska stanowiskom powstańczym. Idąc, rozmyślał o wielu sprawach. Łapał się na tym, że chwyta go dziwny sentymentalizm. Rozmyślał o setkach swoich rodaków, którzy zostali w okopach pod Verdun.

Jak bardzo by się teraz przydali! – myślał. A ich kości próchnieją w obcej ziemi. Zostali zmarnowani w bezsensownej wojnie, która nigdy nie była ich wojną. Ilu zabił on sam, bo spotkali się na zrytej

pociskami i drutem kolczastym ziemi niczyjej. Może przyszłe pokolenia – ich następcy – nie będą musiały walczyć przeciwko sobie? A może w ogóle zapomną zapachu prochu?

Przedzierał się przez silnie pofałdowany teren. Wokół lotniska rozciągały się liczne pola uprawne, które teraz pokrywała gruba warstwa śniegu. Buty zapadały się ustawicznie w głębokie zaspasy. Słyszał jedynie zgrzyt swoich butów i uderzające ze wszystkich stron podmuchy wiatru. Na swoje nieszczęście szedł pod wiatr, więc musiał walczyć z wichurą i z ukrytymi pod śniegiem nierównościami gruntu. Mógł iść co prawda drogą, która gwarantowała większą wygodę, ale wolał, by nikt z chłopaków nie znał lokalizacji armaty. Chcąc ją ukryć, musiał kluczyć jak ścigany zając, nadkładając przy tym znacznie drogi.

Dlatego też upłynęło sporo czasu, nim dotarł do rozlokowanych w okolicach lotniska pododdziałów. Żołnierze grzali się przy świecących mdłym blaskiem ogniskach. Broń stała sobie spokojnie zwinięta w kozły i czekała na swoją kolej, by zabrznieć. Jedynie posterunki rozstawione od strony lotniska nawoływały się ustawicznie. Mikołaj sprawnie omijał siedzących wokół ognisk żołnierzy i podszedł do klęczących przy erkaemie. Obaj wpatrywali się przez otwory celownicze w widoczny mur.

– Co tam, chłopcy?

– Niemcy się umacniają. Z tych całych negocjacji nic nie będzie. Te cymbały w dowództwie całkiem powariowały. Na co układy ze złodziejami? Trzeba było od razu z marszu uderzyć, to byśmy bez strat lotnisko opanowali. A tak, co? Nie dalej jak kwadrans temu na szczycie muru drut kolczasty przytwierdzili. Widzieliśmy szwaba jak komara na dłoni. Ale rozkaz był, żeby przed upływem terminu walki nie wszczynać.

Odsunął taśmowego i wbił wzrok w przyrządy celownicze. Przekonał się, że chłopak nie kłamał. Niemcy rozwinęli drut kolczasty. Nie po raz pierwszy w życiu miał ochotę obedrzeć

żywcem ze skóry swoich dowódców. Widział, jak morzy ich najokropniejszymi mękami podsuwanymi mu przez wyobraźnię. Dalsze czekanie było idiotyzmem. Rozumieli to nawet prości żołnierze. Ale sztab wiedział swoje. Tylko że to nie wymuskani sztabowcy będą forsować ten mur pod ostrzałem, ale on i jego żołnierze.

– Próbowaliście podchodzić pod mur? – zapytał. – Otworzyli do was ogień?

– Nie. Przy takiej zadymce to ani pomarzyć o celnym ogniu – odparli mu żołnierze.

A on dziękował Bogu, że jego rola będzie polegała na osłanianiu natarcia piechoty. Wolał nie myśleć, jak chłopaki dotrą pod mur w niebieskich mundurach, które będą odcinać się od bieli śniegu i zrobią z nich ruchomy cel.

Tak bardzo chciałby przechować tych chłopców dla wolnej Polski. Wiedział, że ta młodzież będzie jej potrzebna. A tymczasem miał ją wytracić w ataku na lotnisko, które zdobyłby, działając według planu, gdyby durnie ze sztabu nie skrępowali mu rąk. Mógł, a nawet powinien złamać rozkaz, który stanowił śmiertelne zagrożenie – dla niego samego i podległych mu ludzi. Ale nie potrafił. To musiał być rezultat tych cholernych pruskich szkoleń, uznał. Udało im się zrobić z niego posłuszne żywe myślące narzędzie. Wbili mu to głęboko w psychikę i nie mogło tego zmienić nawet to, że od dawna nie nosił pruskiego munduru.

Zsunął się ze wzgórza. Nisko pochylony ruszył ku bramie lotniska. Był to czyn szalony, lecz dla człowieka, który kilkakrotnie przeżył atak gazowy, nic nie było przerażające. Szedł z wyciągniętym pistoletem i wsłuchiwał się w skrzywienie na śniegu swoich kroków. Mur zbliżał się coraz bardziej, a upiornej ciszy nie mąciło nic, prócz jego spokojnego oddechu. Wreszcie dobrnął do muru i dotknął palcami jego chropowatej powierzchni. Czerwone cegły zostały starannie umocowane.

O wskoczeniu na niego prostym naskokiem nie było co myśleć. Przynął się więc, jakby się chciał z nim złączyć. Teraz musiał zachować maksymalną ostrożność, bo lada hałas mógł go zdradzić. Delikatnie wysuwał prawą stopę do przodu, po czym dostawiał lewą. Ta technika powodowała ograniczenie odgłosu kroków do minimum. Ktoś, kto byłby po drugiej stronie, aby usłyszeć go pośród wycia wichru, musiałby być obdarzony słuchem nietoperza. Jednak aby go odkryto, wystarczyłoby, żeby któryś z żołnierzy wychylił się za mur.

Nic takiego na szczęście się nie wydarzyło. Może Bóg nad nim czuwał? Może Niemcy zajmowali się zbyt pilnie przygotowaniem do obrony obszaru, który miał być chroniony przez mur, aby zwracać należytą uwagę na to, co dzieje się poza nim? W każdym razie zdołał przez nikogo niezauważony dotrzeć do bramy. I tu przestała świecić mu pomyślna gwiazda. Brama była ciężka, okuta żelazem. Z ich karabinami mogli co najwyżej podrapać ją bagnietami. Nie liczył na nic innego. Ale chciał się upewnić. Wszystkie jego nadzieje oparte były na działach, które miało skruszyć niemiecką obronę.

Zaczął ostrożnie wycofywać się ku stanowiskom swoich ludzi, gdy nagle usłyszał cichy, lecz dla jego ucha wyraźny dźwięk. Odruchowo odwrócił się ku źródłu. To niemiecki żołnierz stał na murze i oddawał mocz. Na szczęście był zbyt skupiony na utrzymaniu równowagi na oblodzonym podłożu, by dostrzec przeciwnika. Adamczewski obrócił się gwałtownie z powrotem i zrobił krok w stronę swoich pozycji, ale musiał natrafić na ukryty pod śniegiem fragment lodu, bo nogi rozjechały mu się w dwie strony i runął na śnieg.

Tego huku nie dało się nie usłyszeć. Szczęściem Niemiec nie miał przy sobie broni. Nie posiadał też doświadczenia frontowego, bo w panice naciągał spodnie, które zaplątały mu się między nogami. Był to popis akrobatyki wart dobrego linoskoczka. Mikołaj

parsknąłby śmiechem, gdyby nie to, że sytuacja wcale nie nastrojała do żartów. Piekielny ból, który czuł w prawej nodze, nasilał się z każdą upływającą sekundą. Próbował go zignorować i wstać, opierając się na rękach.

Na próżno zmuszał ciało do maksymalnego wysiłku, stopy ślizgały się na lodzie i nie potrafiły złapać równowagi. Każda próba przeniesienia ciężaru ciała na bolącą stopę powodowała ból, który zmuszał go do zaciskania zębów. W końcu porzucił daremne zabiegi, po czym zastygł w bezruchu, czekając, co będzie dalej. Na murze pojawili się żołnierze z ręcznymi latarkami, którymi omiatali powierzchnię śniegu. Co chwila rozlegały się zwyczajne w takich nagłych przypadkach nawoływania i kąśliwe uwagi.

Mikołaj zaczynał rozumieć, co czuje dzikie zwierzę schwytane we wnyki – cholerną, pieprzoną bezradność. Mimo iż leżał w chłodnym śniegu, czuł, jak pot gęstymi kroplami leje mu się po plecach. To był objaw strachu. Prostego strachu, jaki ludzie pierwotni odczuwali na widok ognia. Nawet szkolenie, które przeszedł, nie zdołało go wytłumić. Teraz jego poczynaniami kierował instynkt. Gdyby mógł, poderwałby się i wracał do swoich.

– Cholera – zaklął cicho – skrzyłem albo złamałem nogę w kostce.

To, że nie mógł się ruszyć, nie czyniło jeszcze z niego bezbronnego celu. Miał swoją broń. Ostrożnie zaczął rozgarniać śnieg wokół siebie, by odnaleźć pistolet, który wypadł mu z dłoni przy upadku. Po dłuższej chwili poszukiwań zmacał charakterystyczny kształt. Dzięki Bogu lufa nie była zapchana śniegiem.

Ostrożnie podciągnął się na rękach w stronę własnych pozycji. Czołgał się z głową nieomal wsuniętą w śnieg. Normalnie czynność ta nie stanowiłaby dla niego najmniejszego problemu. Nigdy dotąd nie próbował jednak wykonać jej, mając jedną nogę bezwładną. Czuł się tak, jakby jakiś złośliwy chochlik przyczepił mu do stopy

klodę drewna. Potrzebował robić częste przystanki, by złapać haust powietrza do umęczonych płuc. Często również musiał zamierać w całkowitym bezruchu, gdy światło latarek zbliżało się niebezpiecznie.

Droga, którą poprzednio pokonał w ciągu kilku minut, teraz zdawała się nie mieć końca. Szczęściem wydostał się już poza krąg latarek. Mógł chwilę odpocząć. Uniósł rękę i spojrział na wskazówki zegarka. Do wygaśnięcia terminu ultimatum pozostało dziesięć minut.

Oj, czy ja nie za blisko? – pomyślał z niepokojem. Tego by jeszcze brakowało, żeby oberwał od własnych ludzi. W tej ciemności nie mogłby nawet mieć o to do nich pretensji.

Zdwoił wysiłki, ignorując piekący ból w mięśniach. Czasem tylko przytykał do spoconej twarzy i nadwyrężonych dłoni śnieg. Przynosiło to krótkotrwałą ulgę. Przeczolgał się jeszcze przez kilkadziesiąt metrów, aż wreszcie dostrzegł wystającą zza wzgórza lufę rkm-u. Teraz mógł już krzyknąć do swoich, ale tego nie zrobił. Pamiętał dobrze, że na spuście trzyma palec nieostrzelany żółtodziób, który może poczęstować go kulą, zanim spostrzeże się, co i jak. Bał się też, że utraci autorytet, na który ciężko pracował. Palił go wstyd, że wywrócił się jak rekrut.

Dlatego odsunął się nieco w przeciwną stronę, po czym wdrapał się na wzgórze. Teraz mógł wreszcie odsapnąć i obserwować nadchodzące wydarzenia. Z niepokojem patrzył na wskazówki zegara, które nieuchronnie przybliżały się ku ustalonej godzinie. Stoczył już wiele bitew i potyczek, ale nadal cisza przed walką działała na niego w ten sam sposób: drażniła uszy. Znał wielu żołnierzy, którzy woleli zgiełk najokropniejszej bitwy od tej przytłaczającej ciszy. Czekanie jest najtrudniejsze. Wtedy walczymy z wrogiem, który tkwi w nas samych.

Wreszcie wskazówki zegarka ustawiły się pod odpowiednim kątem, a powietrze przeszył huk, podobny do uderzenia gromu.

Odgłos śnieżycy przytłumił wściekły jazgot karabinów maszynowych i broni strzeleckiej; pociski smugowe przelatowały nad murem, roznosząc śmierć i zniszczenie. Gigantyczna wieża lotnicza schyliła się trafiona pociskiem i runęła. Głośny trzask pękających drewnianych podpór przypominał odgłosy umierającego człowieka.

Polacy zsunęli się ze wzgórza, po czym rozsypali w tyralierę i ruszyli ku muirowi. Od jego strony odezwały się karabiny maszynowe, jednak ich pociski przenosiły wysoko ponad głowami walczących. Po chwili pierwsi powstańcy dopali do muru i zaczęli się nań wspinać. Teraz walczone na kolby karabinowe, pięści. Z muru co chwila spadało jakieś ciało w mundurze. Jęki i krzyki rannych docierały aż na wzgórze, na którym siedział Adamczewski.

Czuł się jak widz w starożytnym Koloseum. Niemal widział, jak czerwone plamy krwi wsiąkają w śnieg, jakby ten chciał sam uprzętnąć dowody ludzkiej głupoty. Odgłosy walki oddalały się coraz bardziej od miejsca, w którym przebywał. Odetchnął z ulgą. Udało się. Teraz, gdy jego ludzie przedostali się przez mur, był już pewien zwycięstwa. Żałował tylko, że sam nie poprowadził decydującego natarcia.

Cóż, człowiek nie może mieć wszystkiego – pomyślał. Całe napięcie, jakie towarzyszyło mu przez ostatnie dni, zeszło z niego jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Panująca dookoła cisza miała w sobie coś majestatycznego. Potrafiła rozluźnić nawet jego twardą naturę. Swobodnym ruchem schował pistolet do kabury i rozciągnął się na śniegu. Patrzył na migocące na niebie gwiazdy i zastanawiał się nad swoją przyszłością. Zdawał sobie doskonale sprawę, że wyzwolenie Poznania nie zakończy walki, ale nie czuł się na siłach, by ją dalej prowadzić. Teraz łaknął już tylko spokoju. Wojny niech prowadzą młodszy. On już się nawojował. Teraz życia szkoda.

Jakby to było pięknie mieć swój zagon ziemi, na którym można zasiać, patrzeć, jak rośnie, i zbierać. Ot, gospodarzyć, ożenić się i dzieci wychować. Ojcu w gospodarce dopomóc. A młody niech przejmie rodzinną smykałkę do wojaczki. Ta wizja przyszłości tak go pochłonęła, że omal nie dał się zaskoczyć. Dopiero w ostatniej chwili usłyszał ciche kroki. Niby nie miał powodu do strachu – był przecież u siebie. Ale instynkt nakazywał mu ucieczkę. Mikołaj zbyt długo służył w wojsku, aby lekceważyć podobne przeczucia. Spróbował wstać, ale poczuł tak potworny ból w nodze, że aż niemal zawył.

Cichcem zsunął się więc ze wzgórza i umiętnie skrył się pod śniegiem. Uważnie nasłuchiwał. Kroki przybliżały się do jego prowizorycznej kryjówki. Teraz był pewien, że zbliżało się dwóch ludzi. Nagle kroki ucichły. Zadrzał. Czyżby go wykryto? Jakieś niejasne przeczucie mówiło mu, że w żadnym wypadku nie może na to pozwolić. Ktoś mniej doświadczony od niego pewnie wychyliłby się z kryjówki. Ale on wiedział, że cmentarze są pełne ludzi, którzy w niewłaściwym momencie nie utrzymali nerwów na wodzy.

– Jesteś głupcem! Rząd Rzeszy nie płaci ci za bieganie po polach z powstańcami, tylko za przekazywanie pierwszorzędnych informacji ze sztabu powstańczego. To my dajemy ci pieniądze na kasyno i dziwki, a w zamian żądamy informacji. A ty pozwoliłeś odsunąć się od prac sztabowych. Chyba nie zapomniałeś, że mamy długie ręce i potrafimy ukarać tych, którzy nie spełniają pokładanych w nich oczekiwań?

Słowa, które doszły do uszu Mikołaja, przeraziły go. Domyślił się, czego jest świadkiem.

– Nie, nie zapomniałem – przyznał zdrajca. – Ale nie mogłem zignorować rozkazu bezpośredniego przełożonego. To on nakazał mi objęcie funkcji zastępcy dowódcy w oddziale, który właśnie atakuje wasze lotnisko.

Mikołaj, słysząc to, czuł, jak ogarnia go wściekłość. Więc to w jego oddziale znajdował się zdrajca! Dlaczego dowództwo nie poinformowało go, że przydzielają mu zastępcę? Czyżby nie mieli już do niego zaufania? Odrzucił tę myśl. Gdyby tak było, to nie przydzielono by mu tego zadania. Jego nominalnym zastępcą był Wiktor, ale nigdy nie pozwolił mu sprawować dowództwa. Zastępcę przydzielono mu pewnie po to, aby stan się zgadzał. Nie zdołali się spotkać, bo błyskawicznie zebrał oddział i przystąpił do oblężenia lotniska. Zresztą, czy to ważne, jak było? Należało słuchać i zapamiętywać wszystko, co uda mu się usłyszeć.

– Jak na razie to oni was pędzą, aż się za wami kurzy. Niedługo już w Wielkopolsce ani jednego Niemca nie będzie. Prawda jest taka, że Niemcy zdechły, a ty już nic nie możesz mi zrobić. Musicie spojrzeć prawdzie w oczy i przestać śnić o odbudowie dawnej potęgi. Świat, jaki znałeś, przestał istnieć. Teraz staniecie się jedynie kolonią pod zarządem Francuzów. Traktat wersalski was nie pogłaszcze. Od tej pory wszyscy będą was pilnować, abyście już nigdy nie wycięli nikomu podobnego numeru. To jest nasze ostatnie spotkanie. Więcej nie przekażę wam nawet strzępka informacji. Jesteście politycznymi trupami, a ja nie przejawiam najmniejszej chęci, żeby iść z wami na dno.

Rozległ się krótki, przyduszony śmiech i spokojny głos:

– Jeszcze nie wieczór. Traktat wersalski z pewnością nie będzie miał ani jednego korzystnego dla nas zapisu. Ale z każdych więzów można się wyzwolić. Więzy traktatowe nie są tu żadnym wyjątkiem. Ech, wy, Polacy, zawsze jesteście jak dzieci. Wierzycie w doraźne sojusze niczym w Boga, włączcie wszystkim w dupę i na końcu pozostajecie z nami sam na sam. Zresztą zdradziłeś. A myślę, że w Warszawie nie przyjmą cię jak syna marnotrawnego. Skończysz z kulą w głowie albo z pręgą na szyi. Zdrajców wszędzie traktuje się tak samo. A nam mógłbyś się jeszcze przydać. A potem

wylądować w jakimś przyjemnym, neutralnym kraju z portfelem wypchanym zielonymi.

Mikołaj podsunął się nieco bliżej, ryzykując zdemaskowanie, ale bardzo zależało mu, by zobaczyć rozmówców. Niemca nie mógł dostrzec, bo ten trzymał się poza zasięgiem światła księżyca, ale twarz drugiego mężczyzny rozpoznał doskonale. Był to ten napuszony sztabowiec, który prowadził ich do pułkownika. Tej charakterystycznej twarzy nie można było z nikim pomylić. Teraz nie postawiłby na to, że szczeniak przeżyje, złamanego grosza. Zarówno ton głosu, jak i sposób zachowania Niemca wskazywały, że jest on najwyższej klasy zawodowcem – tacy jak on nie zostawiali śladów.

Mógł się wmieszać i uratować gówniarza, ale nie miał najmniejszego zamiaru. Chłopak zdradził i to najprawdopodobniej już jakiś czas temu. Zdradził dla pieniędzy, których potrzebował na rozrywki i hulaszczę życie. Tacy jak on nie zasługiwali na ratowanie ich z opresji. Byli jedynie śmieciami, które trzeba sprzątać. Lepiej, żeby zrobili to Niemcy. Poza tym nieznajomy wspomniał o jakimś zadaniu. Mogło to być jedynie wybiegiem, który miał na celu uspienie czujności przeciwnika.

To była pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy. Potem przypomniał sobie o tym, co opowiadał w sztabie tajemniczy oficer. Wzmrożona aktywność niemieckiego wywiadu mogła być elementem przygotowań do operacji, którą prawdopodobnie omawiano w Berlinie. Warto by się dowiedzieć, co interesuje niemiecki wywiad. Zdawał sobie doskonale sprawę, że w razie wykrycia – zginie. Jego noga została prawdopodobnie złamana. A kaleka, jakim teraz był, nie miał najmniejszych szans w starciu z zawodowcem. Lecz mimo to gra była warta świeczki.

Z pewnym niepokojem wpatrywał się w widoczną w świetle księżyca twarz sztabowca. Bał się, że ten odmówi. Lub, co gorsza, przyszedł tu z gotowym zamiarem porzucenia współpracy.

W takim przypadku byłby martwy, zanim zdążyłby krzyknąć. Gdyby Mikołaj lepiej znał człowieka, z którym związał go los, to nie żywiłby takiej obawy nawet przez sekundę.

Porucznik Teofil Jędrzejczak był typowym pieszczochem fortuny, człowiekiem, któremu los sam kładzie pod stopy to, na co inni muszą pracować przez całe życie. Pochodził z rodziny o sporych wpływach w Poznaniu i okolicach. Chłopaka chowano w puchu i spełniano wszystkie jego zachcianki. Skutkiem tego wyrósł na rozkapryszonego i zadufanego w sobie snoba.

Fortuna Jędrzejczaków narodziła się na giełdzie i na giełdzie umarła. Wielka inwestycja, jaką poczynili w linie żeglugowe White Star Line, okazała się kompletną klapą. Po zatonięciu Titanica akcje linii żeglugowej pikowały na łeb na szyję, a pieniądze akcjonariuszy wyparowały. Zamożna rodzina z dnia na dzień znalazła się na skraju bankructwa. Ojciec Teofila strzelił sobie w głowę w obawie przed posiadaczami weksli, których nie miał z czego spłacić. Chłopak odziedziczył po nim długi i... długi.

Nie miał jednak zamiaru poddawać się okolicznościom. Nie miał wprawdzie ani energii ojca, ani jego talentu do interesów, który pozwoliłby mu wyprowadzić swoje finanse na prostą. Miał jednak wiedzę. Jego ojciec tkwił po uszy w pracy niepodległościowej – finansował ze swoich pieniędzy uniwersytet latający. Takie marnowanie rodzinnych funduszy nie podobało się młodemu Jędrzejczakowi, ale stary krzepko trzymał w rękę swój kapitał i nawet nie konsultował z nim swoich decyzji. Zapraszał do domu różnych ludzi, których władze pruskie chętnie widziałyby pod murem. Jednym z częstych gości był pułkownik Krzysztof Kossowski.

Narady odbywały się nocami w gabinecie starego znajdującego się dokładnie nad sypialnią jego syna. Stary Jędrzejczak nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia, jakie się z tym faktem wiązało. Może liczył na to, że Teofil będzie zbyt zajęty poszukiwaniem

skutecznego sposobu na kaca, aby interesować się tym, co dzieje się w domu ojca? A może, wzorem wszystkich rodziców świata, uważał swego synalka za aniołka, który muchy by nie skrzywdził? W każdym razie staruszek nigdy się nie dowiedział, że jego syn podsłuchuje rozmowy konspiratorów przy użyciu rur piecowych. Z każdego spotkania robił staranne notatki, z których jednak nie robił użytku.

Nie, nie dlatego, że kochał starego. Gdyby to tylko od niego zależało, to ojciec już dawno przeniósłby się na łono Abrahama. Nie przekazał swoich notatek tajnej policji, ponieważ wiedział, że pieniądze ojca otrzyma jedynie wtedy, gdy przyczyną zgonu będzie śmierć naturalna lub samobójstwo. Stary może i przymykał oczy na rozrzutność synalka, ale dobrze znał świat i ludzi. Wiedział, że największych wrogów zawsze ma się w rodzinie. Teofil nie mógł zrobić ze swoich notatek żadnego użytku, bo trudno by mu było wymagać od pruskiej policji, aby upozorowała samobójstwo, żeby mógł się dobrać do rodzinnego majątku.

Toteż sprawy trwały w zawieszeniu aż do roku 1912 i fatalnych wiadomości z Atlantyku. Smycz, na której trzymano młodego Jędrzejczaka, pękła ostatecznie. Nie było już fortuny, którą miałby przejąć. Chłopak zaczął przypominać szczura, który ze wszystkich sił usiłuje wydostać się z tonącego okrętu. Nie miał skrupułów. Natychmiast przekazał wszystkie swoje notatki odpowiednim władzom. Jednak na początku nic się nie wydarzyło. Teofil zaczął myśleć, że go zlekceważono. Ale nie była to prawda.

Wywiad niemiecki zachłysnął się przekazanymi informacjami. Do tej pory bowiem błędził po omacku. Wprawdzie rozbudowana siatka szpiegów przekazywała jakieś niesprawdzone plotki i pogłoski, ale aż do teraz nie mieli w ręku konkretów. A tu dostawali na tacy wszystko, co ich interesowało. To było dla nich jak spóźnione Boże Narodzenie. Ale wywiad nie byłby sobą, gdyby przyjął te informacje za pewnik i nie poddał ich skomplikowanej

procedurze sprawdzenia, która trwała kilka miesięcy. Procedura ta w pełni potwierdziła autentyczność nadesłanych materiałów – tak zaczęła się owocna, dobrze płatna współpraca Teofila z niemieckim wywiadem.

Nie wyglądała jednak tak, jak się tego spodziewał. Cele poznańskich koszar nie zapełniły się wskazanymi przez niego ludźmi, a i kaci nie narzekali na przepracowanie. Wywiad nie miał zamiaru zgarniać wszystkich od razu. Wiedział, że na to zawsze jest czas, a rozpracowanie kontaktów tych ludzi może dać dużo więcej niż najlepszy nawet sadysta na przesłuchaniu. Nakazano więc, aby młody Jędrzejczak poszukał kontaktu z przyjaciółmi ojca i rozpracował ich kontakty.

Kossowski zajął się nim, ale nie wciągał w prace konspiracyjne. Widać poczuwał się do tego, aby zadbać o syna przyjaciela, ale nie ufał mu na tyle, by zwierzać się z sekretów. Przezorność ta ocaliła struktury konspiracyjne przed rozpracowaniem. Przez długi czas niemiecki wywiad łykał ślinę i się niecierpliwił. Raporty przekazywane przez Teofila nie spełniały bowiem ich oczekiwań. Dopóki ten nie trafił do sztabu powstańczego.

Johann Wolf zadrzał z zimna. To całe spotkanie zaczynało go nużyć. A w dodatku cały czas miał nachalne wrażenie, że jest tu ktoś jeszcze, kogo tu być nie powinno. Albo tracił nerwy, albo Polacy wpadli na jego ślad. W dodatku ten napuszony młodzik irytował go coraz bardziej. Podpisał cyrograf, sprzedał duszę i teraz myśli, że może się wycofać. Jeszcze nie wie, że z tej gry wychodzi się jedynie w trumnie. Jego szczęście, że był mu nadal potrzebny, bo inaczej dawno wiłby się w śmiertelnych konwulsjach.

Berlin chciał mieć wiarygodne informacje o tym, co planuje polski rząd. A tych mógł dostarczyć jedynie Teofil. W Poznaniu nie miał lepiej ulokowanego agenta. Wszyscy co zdolniejsi ludzie z siatki zostali eksportowani do zadań frontowych. Nie miał w tej

sprawie nic do gadania. To był rozkaz z samej góry. Na próżno zgłaszał wątpliwości, twierdząc, że ci ludzie są mu potrzebni, by pilnować Polaków. Nikt w Berlinie się tym nie przejął i rozkazy pozostały w mocy. Teraz ci durnie ponosili konsekwencje swojej głupoty. Teraz chcieli i wymagali sprawdzonych informacji, tylko nie mieli ludzi, którzy mogliby je zbierać.

Znowu, znowu to poczuł. Ktoś go obserwował. Obojętne, kim był, musiał umrzeć. Skąd się tu wziął? Polacy mieli przecież atakować lotnisko. W tej robocie nie wszystko dało się przewidzieć. Przekonywał się o tym nie po raz pierwszy. Nonszalanckim, niby przypadkowym ruchem włożył rękę do kieszeni płaszcza i z trudem namacał znajomy kształt noża. Teraz twój ruch – pomyślał o czającym się gdzieś w ciemności nieznanym. Nie próbował go wypatrzyć, jeśli był ulepiony z tej samej gliny co on, a wszystko na to wskazywało, to wysiłek będzie bezowocny.

Pogrążony we własnych myślach, Wolf niemal zapomniał o obecności Jędrzejczaka, toteż jego nagłe odezwanie się wytrąciło go z równowagi. Omal nie wbił mu noża pod gardło. W ostatniej chwili się pohamował.

Tracę nerwy – zgaśnił się w myślach. To był w jego fachu niepokojący symptom. Ciekawe, czy ten paniczek domyśla się, jak niewiele dzieliło go od spotkania ze Stwórcą.

– Będę przekazywał wam informacje dalej – oznajmił buńczucznie Teofil – ale za podwójną stawkę. Zapłacicie przyzwicie za towar, to go otrzymacie, a nie, to pies wam mordę lizał.

Biedny Teofil, nie wiedział, bo nie miał kto go tego nauczyć, że pewnych ludzi lepiej unikać. A jeśli już się im służy, to służy się wiernie i nie próbuje się stawiać. A już na pewno nie zwraca się do kogoś z wywiadu tak pogardliwym i lekceważącym tonem. Ktoś musiał w końcu udzielić darmowej lekcji rozkapryszonemu młokosowi. Padło na Wolfa. Z szybkością atakującej kobry

wyprowadził precyzyjny cios w struny głosowe – nie na tyle silny, by zabić, a jedynie taki, by doprowadzić do utraty przytomności. Jędrzejczak nawet nie zauważył, że został zaatakowany, nie mówiąc już o próbie oporu. Bez jednego jęku osunął się na śnieg pod nogi Wolfa.

Ten odczekał dłuższą chwilę, po czym natarł mu twarz śniegiem. Skutek tej prostej kuracji był natychmiastowy. Teofil podniósł głowę, charczał i prychał, wypluwając śnieg z ust.

– No i jak, lepiej ci? – zapytał z sarkazmem, stając nad nim. – Zrozum, człowieku, że targować się możesz w sklepie warzywnym. Teraz widzisz, jak niewiele dzieli życie od śmierci. Jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie takim tonem, to następnym razem już się nie obudzisz, rozumiesz?

Skinął głową.

– Grzeczny chłopczyk. Od teraz wykonujesz moje rozkazy. Interesuje nas rozlokowanie i liczebność sił powstańczych na kluczowych odcinkach frontu. Przygotujesz też nazwiska i adresy aktywnych Polaków. Nie chodzi nam tylko o dowódców powstania, choć o nich także. Interesują nas społecznicy, działacze organizacji polskich i przywódcy polityczni. Postaraj się także ustalić, czy Warszawa nie wspomaga powstania. Jeżeli tak, to postaraj się zdobyć niepodważalne dowody, które moglibyśmy przedstawić na forum międzynarodowym.

Jędrzejczak słuchał tej litanii z pochyloną głową. W absolutnej ciszy żuł w sobie gniew. Jeszcze nigdy nikt go tak nie sponiewierał. Ubodło to do żywego jego miłość własną. Zapisał temu Niemcowi śmierć w duszy. Ale zmądrzał już. Zrozumiał, że ten facet to nie jego liga. Do Kossowskiego nie miał po co iść, bo ten obdarłby go żywcem ze skóry. Na razie żaden pomysł na powzięcie zemsty nie przychodził mu do głowy. Ale on umiał czekać, był cierpliwy.

Mikołaj drżał. Panujące dookoła zimno zaczynało dawać mu się we znaki. Wprawdzie do hipotermii było jeszcze bardzo daleko, ale wiedział, że czeka go walka z zawodowcem, który będzie umiał wykorzystać podobne osłabienie. Próbował rozcierać zgrabiące dłonie, ale niewiele to dawało. Miał wrażenie, jakby w ciało wbijało mu się tysiące igieł. Mundur błękitnej armii, jaki miał na sobie, w ogóle nie chronił przed zimnem. Zdał sobie sprawę, że musi zaatakować, zanim jego palce zeszywnieją do reszty. Bo wtedy pistolet okaże się niepotrzebną kupą złomu.

Wpatrywał się więc w Niemca wzrokiem wilka, który przygląda się każdemu ruchowi swej ofiary. Słuchał, co mówił, i włosy stawały mu z gniewu dęba. To już im nogą gardziel przycisnęli, a ci dalej chcą wolnemu narodowi swoją wolę narzucać! I nic to jeszcze. Chcą mordować świątłych i wykształconych ludzi, warstwę kierowniczą narodu, aby ten nigdy nie wybił się na niepodległość. A Wiktorowi się wydaje, że nie będzie miał okazji, by powojować – pomyślał, wyciągając z kieszeni munduru kartkę i atrament sympatyczny.

Było to małe dziwactwo, któremu hołdował od zawsze. Inni oficerowie się podśmiewali, że Sienkiewiczem nie jest, to po co mu papier. A on po prostu lubił przelewać swoje myśli na papier. A atrament sympatyczny¹ był nikłą formą gwarancji, że nikt nigdy ich nie ujrzy. Atrament wprawdzie nie stanowił najmniejszej przeszkody dla fachowca, ale któremu oficerowi wywiadu przyjdzie do głowy, aby przypuszczać, że zwykły oficer stosuje atrament sympatyczny? Musiałby chyba być samym Mefistofeilesem. Choć jeśli jakiś naród miał diabła na swe usługi, to chyba Niemcy. Czego im brakowało? Ziemie mieli rozległe i żyzne, kraj uprzemysłowiony jak żaden inny w Europie i dalej leżli na nie swoje ziemie. Nie wiedział, co nimi kierowało, i nie chciał wiedzieć. Był prawdziwym Polakiem, następcą swoich przodków, i podobnie jak oni nie uznawał wojny zaborczej. Cudzego nie

ruszać, swojego nie dać – to było motto, które zawsze im przyświecało.

Skreślił parę słów na wypadek, gdyby sam nie mógł przekazać tego, co widział. Schował kartkę, upewniwszy się, że nie pozostawił żadnych widocznych śladów jej używania. Zebrał wszystkie siły, żeby stanąć na nogi. Od leżenia w śniegu ból w kostce zelżał. Szedł cicho, prawie na paluszkach i modlił się. Niemiec stał nad zdrajcą i coś do niego mówił, ale nie mógł rozpoznać co. Jedyne, czego pragnął, to tego, aby mówił jak najdłużej. Tylko całkowite zaskoczenie przeciwnika mogło dać mu szansę, aby wyjść z tej przygody bez szwanku. Nadludzkim natężeniem siły woli powstrzymywał się, aby nie spróbować biegu.

Wreszcie miał go w zasięgu strzału. Ugiął kolana, przyjmując postawę strzelecką, wycelował w tył głowy przeciwnika i pociągnął spust. Spodziewał się, że zobaczy, jak czaszka Niemca eksploduje, a śnieg zalewa fontanna krwi. Jednak nie docenił przeciwnika. Wolf rzucił się do przodu i kula minęła go dosłownie o cal. Błyskawicznie zerwał się i stanął w pozycji ze sprężynowym nożem w rękę.

Adamczewski, gdyby miał na to czas, podziwiałby sprawność przeciwnika. Ten miał chyba na szczęście tylko nóż, skoro nie sięgnął po pistolet. Mógł go więc zabić bez narażania się na niepotrzebne ryzyko. Ale taka walka sprowadzałaby się do popełnionego z zimną krwią morderstwa. Nie bardzo to po polsku takie wojowanie. Odrzucił pistolet i dobył noża.

– Jesteś prawdziwym Polakiem. Zawsze waleczni, prawi i głupi – mruknął Johann, zbliżając się ku niemu kocimi ruchami.

– Nie zawsze. Gdyby tak było, ten plugawy zdrajca, co za judaszowe srebrniki ojczyznę własną sprzedał, nie stałby dziś między nami. Człowiek, który własną ojczyznę zdradza, jest gorszy od wszy tyfusowej – rzekł Mikołaj i dodał: – Radzę ci, uważaj na

niego. Kto raz zdradził, ten zdradzi zawsze. Zdrajcy to najgorszy sort ludzki.

Obserwował Niemca, który zataczał wokół niego coraz ciaśniejsze kręgi. Nie był ekspertem w walce na noże, ale wbijano mu do głowy, że kto atakuje pierwszy, ten zwykle przegrywa. Miał nadzieję, że zasada ta odnosi się do wszystkich rodzajów noży – jeśli nie, to marny jego los. Skupił się w sobie i czekał. Starał się odciążać złamaną nogę. Nagle dotarł do niego bezsens całej sytuacji. Bierne czekanie tylko go osłabiało.

Bez chwili namysłu skoczył do przodu, z całą szybkością, jaką jeszcze mógł wykrzesać. Niemiec uchylił się, po czym podstawił mu nogę. Mikołaj nie zdołał utrzymać równowagi i runął w śnieg. Ból w nodze znowu dał o sobie znać. Dotarło do niego, że nigdy nie miał najmniejszej szansy. Przeciwnik był zręczniejszy, a co ważniejsze – w pełni sił. Mógł już tylko zginąć w walce. Nie bał się tego. Zbyt często zabijał i patrzył, jak zabijano, by przejmować się takimi drobnostkami. Najbardziej martwiło go to, czy sekret kartki nie wyjdzie na jaw.

Poderwał się do walki. Tym razem rzucił się na nogi przeciwnika, złapał je wpół i runęli na śnieg. Przetaczali się, usiłując przemoc się wzajemnie. Mikołaj czuł, że nie zdoła utrzymać przeciwnika. Próbował zacisnąć ręce na jego gardle, ale nie mógł ustabilizować chwytu.

Zrozumiał, że ocalić go może jedynie nadzwyczajny wysiłek. Jeśli walka się przedłuży, to przegra. Już teraz czuł wszechobecne zmęczenie. Próbował wbić nóż pod gardło przeciwnika i pchnął całą siłą ramienia. Ale Niemiec przetoczył się wtedy na bok i nóż wbił się tylko w jego ramię.

Wolf zawył z bólu. Czuł i widział, jak płaszcz na jego ramieniu nasiąka krwią, która wylewała się z rany. Nie spodziewał się żadnych trudności, walcząc z kontuzjowanym przeciwnikiem, i omal nie zapłacił za to najwyższej ceny. Gdyby nie instynkt, już

leżałby w drgawkach na śniegu. Ta sytuacja wyzwoliła w nim wściekłość. Bez trudu strącił z siebie Polaka, ukląkł mu na piersiach i wbił nóż w gardło. Przez chwilę jeszcze klęczał na wierzgającym Mikołaju i ciężko oddychał.

Wreszcie wstał, otrzepał spodnie i spojrział ku lotnisku. Tam, widać, sytuacja była już rozstrzygnięta. Miał jak na dłoni wyprowadzanych z terenu lotniska niemieckich żołnierzy. Szli z rękoma splecionymi na karkach, obojętni i milczący. Dla nich wojna się skończyła. Dla niego czas wojny dopiero się zaczynał. Bo gdy milkną działa, zaczyna się gra wywiadów, ponieważ na pograniczu wojna nie kończy się nigdy.

Tymczasem Teofil z wprawą prawdziwego kieszonkowca obszukiwał kieszenie zamordowanego. Jednym rzutem oka rozpoznał w nim oficera, którego kilka godzin wcześniej oprowadzał po sztabie. Zabrał zabitemu medalik i pierścionek z orłem w koronie, który z trudem zszedł z palca. Czystą kartkę tkwiącą w kieszeni zlekceważył i nie poinformował o niej Wolfa.

1 Atrament sympatyczny – jedna z form steganografii, polegająca na zapisywaniu wiadomości substancją bezbarwną w momencie pisania lub tracącą barwę po krótkim czasie.

Rozdział IV

Praca w sztabie była przeznaczona dla ludzi spokojnych i zrównoważonych, którzy potrafią zachować opanowanie w każdej sytuacji. Polegała głównie na przyjmowaniu meldunków od walczących na obszarze całej Wielkopolski oddziałów i aktualizowaniu sytuacji na mapach. Oczywiście praca ta wykonywana była przez najlepszych oficerów, bo błędów, które tu popełniono, nie można było skorygować. Służba sztabowa stanowiła szczyt i szczyt marzeń dla wielu młodych oficerów.

Wiktor jednak czuł się w sztabie jak diabeł na pokucie. Jego impulsywna natura sprawiała, że nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu. Na samą myśl, że miałby swoją wojskową karierę spędzić za biurkiem, szlag go trafiał. Potrzebował ruchu, zastrzyku adrenaliny i nie potrafił bez tego żyć. Ale dał słowo, że pozostanie na tyłach, więc siedział i patrzył na co ładniejsze dziewczyny. Sekretarki i łączniczki przyglądały mu się z ciekawością, bo go nigdy przedtem nie widziały. Ale nie zagadnął do żadnej.

Wolał nie odrywać ich od pracy. Jeszcze brat wbijał mu do głowy, że łączniczki to nie kobiety, tylko żywy kabel telefoniczny. Gdzie on widział takie ładne kable? Zsunął się z krzesła, na którym siedział. Miał dość bezczynności. A przede wszystkim chciał zapalić. Zręcznie lawirując między przechodzącymi oficerami, wy dostał się na dwór.

Zimno owiało go już na schodach. Zrobił kilka okrążeń wokół kamienicy, ignorując zdziwione spojrzenia wartownika, po czym

wsparł się o mur. Wyciągnął z kieszeni munduru paczkę papierosów i zapalił jednego. Wypuścił kilka kłębow dymu i zamyslił się.

Usłyszał ciche kroki i dostrzegł idącego ulicą nieznanego oficera, który informował ich o naradzie w Berlinie. Machnął ręką, aby ten go zauważył, po czym poczekał, aż nieznanomy zbliży się do niego.

– Pan też nie może wysiedzieć w sztabie? – zagaił, wręczając papierosa i podsuwając ogień.

Nieznanomy przyjął papierosa i palił z namaszczaniem, osłaniając ogień przed wiatrem.

– Po prostu najlepiej myślę w ruchu i już – odparł dość ostro.

Wiktor poczuł się dotknięty takim potraktowaniem, ale nie okazał tego. Ten człowiek bez wątpienia był kimś ważnym, skoro miał dostęp do informacji pochodzących z niemieckich kręgów przywódczych. Lepiej nie robić sobie w kimś takim wroga. Pohamował wzbierające w nim rozdrażnienie, a nawet wysilił się na uśmiech.

Pułkownik Jerzy Dobrowolski – tak właśnie nazywał się ów człowiek – miał dziś fatalny nastrój. Nie bez powodu. Przyjechał do Poznania z zadaniem przekonania Rady Regencyjnej, by zrzekła się nadmiernych aspiracji. Niestety, nie natrafił na najmniejsze nawet zrozumienie. Próżno przekonywał, że kraj, który ma wrogów na wszystkich granicach, nade wszystko potrzebuje jedności. Nie słuchano go, bo nie chciano słuchać.

Jakby tego było mało, z Warszawy przyszedł meldunek, że wywiad będzie dysponował budżetem wysokości ośmiu milionów marek. Zważywszy na ogrom zadań, jakie przed nimi stały, była to kwota wręcz śmiesznie niska. W dodatku większość z tego poszła na kierunek wschodni. Wedle przewidywań dowództwa stamtąd właśnie groziło krajowi największe niebezpieczeństwo. Co do tego

się zgadzał. Ale Niemcom też należało patrzeć na ręce. Jak to zrobić, dysponując tak lichymi środkami?

Dorobił się brody, pracując w wywiadzie austrowęgierskim. Stawał tam przed różnymi wyzwaniem, ale nigdy nie był w takiej sytuacji. I po to przechodził wszystkie sprawdziany i lustracje, by zarządzać instytucją bez zębów? Bez pieniędzy mógł co najwyżej zakładać kółko różańcowe, a nie kontrwywiad. Bo na przykład na agentów mógł werbować ideowców i tak robić planował. Ale już utrzymanie laboratoriów, placówek szpiegowskich rodzi koszty. Najgorsze, że na horyzoncie nie rysowało się żadne sensowne rozwiązanie zaistniałego problemu.

Dobrowolski nie należał do ludzi, którzy pozwalają, by ich działaniami kierował ślepy los. Tym trudniej było mu więc trwać teraz w bezczynności. Myśl, że Niemcy mogą praktycznie bezkarnie infiltrować cały kraj, bo nie ma funduszy na tworzenie ekspozytur i posterunków oficerskich, spędzała mu sen z powiek. Ale dopiero raport, jaki dotarł z Berlina, postawił go na nogi. Należało działać i to bez oglądania się na Warszawę.

Potrzebował agenta, którego mógłby posłać do Berlina, by ustalił, co dokładnie planują Niemcy. Wolał nie korzystać z ludzi, których już miał do dyspozycji, ponieważ rekrutował ich spośród byłych żołnierzy niemieckich i członków organizacji polskich. Nie miał pewności, czy akta tych ludzi nie są w rękach niemieckiej tajnej policji. Operacja, jaką planował, miała zbyt delikatną naturę, aby zwiększać ryzyko wpadki. Potrzebny był mu ktoś, kto nigdy nie trafił do archiwów niemieckich, bo nie było takiej okazji.

Spojrzał uważnie na gołowasa i doznał olśnienia. On byłby idealny. Niemcy nie powiążą go z wywiadem, choćby wyłazili ze skóry. Na oko mógł mieć osiemnaście lat. Z tego, co słyszał od Kossowskiego, wynikało że pochodził z porządnej, patriotycznej rodziny, która od wieków chwalebnie zapisywała się na kartach

historii. Wypadałoby z nim pogadać. Lepszej okazji trudno będzie wymagać.

– Proszę wybaczyć to dość obcesowe potraktowanie – zaczął. – Mam swoje sprawy, które kwaszą mi humor. Dziwne to trochę, że taki młodzik jak ty nosi już mundur, na który inni do białego włosa czekają. Słyszałem od pułkownika, że twoja rodzina od pokoleń wiernie Rzeczypospolitej służy. Potrzeba nam takich młodzieńców, którzy będą potrafili orężem bezpieczeństwa państwa bronić. Trzeba tylko, żebyś najpierw synów napłodził, bo szkoda by była nie do wypowiedzenia, gdyby wasz ród miał wyginąć. A masz już co upatrzonego?

Wiktor czuł, że się rumieni. O ożenku wcale jeszcze nie myślał. Ojciec raił mu wprawdzie różne okoliczne panny, których ziemie o miedzę leżały, ale do żadnej z nich nic nie czuł. A dla wspomżenia ojcowej gospodarki szczęścia swego przekreślać ani myślał. Dość już widział nieszczęśliwych małżeństw, które były swatane przez rodziców dla doraźnych korzyści. Zresztą czasy są niespokojne i nie dają gwarancji spokojnej egzystencji.

– Prawda, że nasza rodzina swoje zasługi ma – przyznał Wiktor. – Już przodek mój pod Wiedniem taką sławę się okrył, że nawet stare kroniki o nim wspominają. A i ja od służby się nie uchylam. Niech się tylko jakaś wojenka zdarzy, stawię się niezawodnie. O żeniactwie nie myślę, choć ojciec napędzał, żeby się tym zająć. A mnie nieśpieszno. Jest starszy brat, któremu już pora do ożenku; on ziemię i gospodarstwo obejmie, jak prawo Boskie nakazuje. A ja powojować pierw chcę.

– Więc wiążesz swoją przyszłość z wojskiem? – zapytał Dobrowolski.

Wiktor nie był głupcem. Zorientował się, że tajemniczy nieznajomy bada go pod pozorem tej niewinnej pogawędki. Nie przejmował się tym. Nie był może kryształowy, ale przeciw państwu nic nie zawinił, był zatem spokojny. Ponadto zdawał sobie

sprawę, że sprawdzenie go nie będzie stanowiło dla służb najmniejszego problemu. Wolał więc ów rodzaj przyjaznej rozmowy, która zastępowała przesłuchanie. Był ciekaw również, do czego go to zaprowadzi.

– Niewiele potrafię, a do wojaczki wielkiego rozumu nie potrzeba. Tak, myślę o służbie wojskowej. Chciałbym do ułanów, ale i w piechocie znajdę sobie miejsce. Oficerem być nie chcę, ale jako prosty żołnierz pewnie się sprawdzę. Na razie muszę pozostać w sztabie, dałem słowo bratu – szczerze wyjaśnił.

– Niemiecki znasz?

To pytanie zaskoczyło Wiktora.

– Szwargoczę... Ale chciałbym wiedzieć, czego pan oczekuje od mojej osoby. I czemu właściwie ma służyć ta rozmowa?

Jerzy uśmiechnął się. Prawdę mówiąc, spodziewał się podobnych słów dużo wcześniej. Niemniej cieszył się, że zostały wypowiedziane właśnie teraz. To świadczyło o tym, że chłopak miał duże zasoby cierpliwości, które w ich pracy były niezbędne. Należało teraz przekonać go, że ojczyźnie można służyć wszędzie, a mundur nosić w sercu.

– Chcę ci zaproponować coś, co zmieni twoje życie na zawsze – rzekł Dobrowolski. – Niezależnie od tego, czy zdecydujesz się przyjąć propozycję, którą ci złożę, czy ją odrzucisz, to rozmowa ta musi pozostać jedynie między nami. Ostrzegam, że zdrada karana jest śmiercią.

– Niech pan mówi – poprosił zaintrygowany Wiktor, przydeptywając butem niedopałek papierosa.

– Obowiązkiem każdego państwa jest stworzenie sprawnie funkcjonujących struktur wywiadu i kontrwywiadu. Zwłaszcza takiego państwa, które ma więcej wrogów niż przyjaciół. Nowo utworzony polski rząd polecił mi, abym zwerbował grupę młodych oficerów, z których utworzę referat „Zachód”, aby prowadzić wywiad ofensywny na Niemcy. Zacząłem realizować ten projekt,

natrafiłem jednak na nieprzewidziany problem. – Sięgnął do paczki po drugiego papierosa i przez dłuższą chwilę odpalał go z namaszczeniem.

– Jaki to problem? – nie wytrzymał w końcu Wiktor.

Dobrowolski uśmiechnął się, widząc tę niecierpliwość, i rzekł:

– Może najpierw ci się przedstawię. Jestem pułkownik Jerzy Dobrowolski. Twoje nazwisko oczywiście znam – kontynuował, patrząc w wielkie ze zdziwienia oczy chłopaka. – Nasz wywiad rekrutuje swoich ludzi głównie spośród mieszkańców zaboru pruskiego; znają miejscowe stosunki, język i potrafią wtopić się w tłum. Niestety większość z nich brała czynny udział w konspiracji niepodległościowej albo pracowała we wrogim wywiadzie. Niemcy mają ich kartoteki ze starannie wykonanymi fotografiami i zebranymi odciskami palców.

– Nie rozumiem, dlaczego zatrudniono ludzi, którzy pracowali dla wroga – stwierdził Wiktor.

Dostrzegł, że przez twarz oficera przeleciał błyskawiczny skurcz mięśni. Czyżby trafił w czuły punkt? Ów skurcz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Tak, że mógłby go wziąć za przywidzenie. Nieznajomy umiał panować nad sobą.

– Ja także pracowałem dla wywiadu austrowęgierskiego – przyznał pułkownik. – A twój brat też w pruskim wojsku służył i nikt go zdrajcą nie mianuje, bo wiadomo, że musiał. I ja musiałem. Ale zaraz, gdy tylko mogłem, służbę porzuciłem i na właściwą stronę przeszedłem. Sprawdzano mnie wielokrotnie i nikt niczego mi zarzucić nie może. – Zwiesił głowę jak człowiek nadmiernym ciężarem przygnieciony.

Jakoś żał mu się zrobiło starego oficera, który przecież nie był temu winien, że się w niewłaściwym czasie urodził. Niewiele myśląc, Wiktor padł na kolana i chwyciwszy go za ręce, rzekł:

– Niech mi pan pułkownik wybaczy. U mnie często język szybszy od głowy. Ale Bóg mi świadkiem, że nigdy już do tego

tematu nie wrócę. Bo jak mój ojciec mawia: co wypite, to w żołądku. Brat mój kazał mi się w wojnę nie mieszać, ale jak wróci, to go poproszę, żeby mnie zwolnił ze słowa. Grzech to by był, żeby w takim czasie za piecem się wylegiwać i piwo pić. Jeszcze raz o wybaczenie proszę.

Dobrowolski chwycił go za rękę i z łatwością do góry podciągnął. Wiktor spojrzał na niego z podziwem. Nie był zbyt tęgi, ale do chudzielców także nie należał. A tymczasem został pod dźwignięty bez najmniejszego wysiłku.

– A co tam – mruknął Dobrowolski. – Młody jesteś, to i łatwo ludzi sądzisz. Sam taki byłem. Cały świat chciałem na dobre tory przestawić, a własnego życia ułożyć sobie nie umiałem. Mam córkę w twoim wieku, która na mnie i patrzeć nie chce. Była żona nie umiała zrozumieć, że ja nie mogę oddzielić pracy od życia domowego, bo moja praca nigdy się nie kończy. Nie mogę, tak jak inni, wziąć gazety i rozpierać się w fotelu.

Wiktor miał małe doświadczenie w tego typu kwestiach. Ale wiedziony instynktem milczał. Pułkownika widać taka ochota teraz nasza na szczerłość, więc nie należało mu przeszkadzać. Jak całą żołąć z siebie wyrzuci, to wróci do meritum sprawy. Taką przynajmniej miał nadzieję. Stanie na zimnie i wysłuchiwanie spóźnionych żalów nie należy do przyjemnych zajęć. Jednak praca w wywiadzie to byłoby coś. Tam nie narzekałby na nudę. Nie odbębniałby służby garnizonowej w zapadłej dziurze, gdzie wrony zawracają, tylko walczyłby ze śmiertelnym wrogiem. Tępiłby szpiegów i wrogów państwa.

Tymczasem Dobrowolski wyrwał się ze spirali wspomnień, depresyjnych myśli i nasunął kaptur na głowę. Opady jakby zelzały, ale lodowaty wiatr bił go po twarzy z nieustającą siłą. Warstwa śniegu na ulicy powiększała się jednak, bo wiatr nawiewał ciągle nowe płatki. Zastanawiał się, od czego należałoby

zacząć. Jak przekonać człowieka, którego własne słowo trzymało na łańcuchu?

– Twój brat kazał ci pozostać na tyłach. Ale nie mówił, na których. Walka, którą zaczynamy prowadzić, to nie jest walka z bronią w rękę. Tam będziesz musiał uśmiechać się do wroga, tańczyć z nim, a może i spać. Ale to w niczym nie deprecjonuje naszej służby. Obie strony rzucają na front, który pozornie nie istnieje, wszystkich najbardziej wartościowych ludzi. Potrzebuję wysłać kogoś do Berlina i tak sobie myślę, że ty byś się nadał idealnie.

– Mam wkładać cywilne łańcuchy? – zdziwił się Wiktor.

– Wiem, że chciałbyś dostać się do Berlina, cwałując na czele szwadronu i zawieszając naszą flagę na Bramie Brandenburskiej. Ale to jest na razie niemożliwe. Jeśli mnie posłuchasz i włożysz te łańcuchy, to dojdiesz. Berlińska śmietanka towarzyska przyjmie cię jak swego. To jak? Chcesz wkroczyć w wielki świat wywiadu?

Zawahał się. Zrozumiał, że to jedna z tych decyzji, które rzutują na całe dalsze życie. Ale czyż życie nie jest sztuką dokonywania wyborów? – pomyślał. Nie miał rodziny. Ziemią i ojcem zajmie się Mikołaj. To mu się według starszeństwa należy. On i tak żadnych chęci do gospodarzenia na ziemi nie miał. Zanudziłby się w tej rutynie na śmierć. Oto otwierała się przed nim droga do czynnego życia, służby ojczyźnie i przygód. A jednak bał się zrobić pierwszy krok na tej drodze. Niczym małe dziecko, które chce puścić matczyną dłoń, ale za bardzo się boi, by się na to ostatecznie zdecydować. Jakże chciałby teraz mieć obok siebie Mikołaja, doradzić się. To wszystko go przerastało.

Spojrzał w dal, jakby w tej dalekiej przestrzeni szukał decydującego bodźca. Zza zakrętu wynurzył się dziwny konwój. Kilku żołnierzy dźwigało na ramionach drzwi. Nagle straszne przecucie ścisnęło go za serce. W tej jednej sekundzie zapomniał o wszystkim, co usłyszał z ust pułkownika. Rzucił się przez śniegi

z papierosem w zębach. Przedzierał się przez zaspy, upadał, wstawał i znowu biegł. Czuł się tak, jakby serce miało mu zaraz wyskoczyć z piersi. Wypluł papierosa, chwytając powietrze haustami. Wreszcie dopadł do celu, rozepchnął żołnierzy i... ujrzał Mikołaja.

Wokół tak dobrze mu znanej twarzy utworzyły się już sople lodu. Uśmiechał się, jakby w ostatnich chwilach życia spotkała go jakaś radość. Starannie obmacał całe ciało, szukając rany, i wreszcie znalazł. Dotknął głębokiej rany zadanej w gardło.

Żołnierze przyglądali się tej scenie ze zrozumieniem.

– Znaleźliśmy go na wzgórzu. Nie zginął w walce o lotnisko.

Nie słuchał. Ze wszystkich sił starał się powstrzymać cisnące się przemocą do oczu łzy. Nie chciał rozkleić się przy chłopakach. Ale nie umiał się powstrzymać. Łzy spłynęły ciurkiem na śnieg. Przytulił się do ciała brata i leżał na nim dłuższą chwilę, dochodząc do siebie. Wtedy instynktownie sięgnął do kieszonki munduru i wyjął pustą kartkę.

Natychmiast przypomniał sobie o dziwactwie Mikołaja, na które tyle razy patrzył własnymi oczami. Szybko i nerwowo szperał w kieszeniach. Wreszcie znalazł zapalniczkę – prezent od ojca na osiemnaste urodziny. Na znak, że wreszcie nie musi narażać stodoły na spalenie. Uruchomił zapalniczkę, która uwolniła jasnoniebieski płomyk. Trzymał ją tuż nad kartką i z podnieceniem obserwował, jak na pustym pozornie kawałku papieru pojawiają się litery.

Braciszku,

jeśli to czytasz, to znaczy, że nie ma mnie już wśród żywych. Ojcu powiedz, żeby pogrzebem się zajął wedle własnego uznania. Ja nie byłem zbyt wierzący, więc nic mnie to nie obchodzi. Ale ojciec pewnie się uprze. Tego, co tu napisałem, mówić mu nie musisz. Niech wierzy, że

spotkamy się wszyscy po tamtej stronie. Bardzo mi zależy, żebyś kogoś tam wysłał za mną.

Pamiętasz tego oficera, który oprowadzał nas po sztabie? Jest zdrajcą. Przez przypadek, nad którym nie będę się tu zbyt długo rozwodził, podsłuchałem jego rozmowę z niemieckim agentem. W tym, co nam mówił ten oficer z Warszawy, jest coś na rzeczy. Niemcy uaktywniają swoją siatkę wywiadowczą. Ten chłystek ma zebrać informacje i dane adresowe każdego, kto w województwie ma dla nas znaczenie. Interesują się także rozlokowaniem naszych sił na froncie. To oznacza, że szykują się do ostatecznej z nami rozprawy.

Co się tyczy spraw publicznych, to tyle. Zajmij się ojcem. Do przejścia gospodarki cię nie zachęcam, bo wiem, że nie cierpisz babrać się w ziemi. Za to najpilniej zalecam ci małżeństwo. Wiem, że żenić kogoś wbrew woli, to to samo, co by mu kazać tyłem chodzić. Ale o ojca mi chodzi, który sam w domu zostanie, jak to samotne drzewo. Ciebie w domu nie utrzyma, bo wdałeś się w innych członków naszej rodziny, którzy w domowych pieleszach nigdy nie siedzieli. Wiem, że ci to nie w smak, ale ożenić się należy, bo to prawo boskie. Jakbyś syna miał, czego ci z serca i duszy życzę, to nadaj mu moje imię, aby po mnie jakaś pamiątka na ziemi została. Twojej łaskawej pamięci się polecam.

PS Zwalniam cię ze słowa.

Trudno opisać, co działo się w duszy Wiktora. Czuł gniew na siebie, bo powinien z nim być. Gdyby byli razem, nigdy nie stałoby się to, co się zdarzyło. Płakał rzewnymi łzami, które kapały na atrament i rozmywały kształtne litery. Chwilami brała go nieprzewyciężona chęć, by uderzyć na tych żołnierzy, którzy nie potrafili upilnować własnego dowódcy. Pohamował się jednak.

Mikołaj podał mu jednego z winnych na tacy, a drugiego też znajdzie, choćby go miał spod ziemi wykopać.

Schował kartkę za mundurem i zawrócił. Szybko dotarł do pułkownika i pokazał mu list umarłego. Obserwował, jak twarz oficera aż blednie z wściekłości.

– No, nareszcie mamy punkt zaczepienia – rzekł Dobrowolski i objął Wiktora po ojcowsku. – Twój brat oddał nam nieocenioną przysługę. Od dawna już podejrzewamy, że Niemcy odbudowują swoją siatkę wywiadowczą na naszym terenie. Ale aż do tej chwili nie mieliśmy nic konkretnego na poparcie tej tezy. Teraz wystarczy zgarnąć tego zdrajcę i wydusić z niego wszystko, co wie. Rozpoznasz go?

Skinął głową. Na samą myśl, że będzie mógł przesłuchać tego sukinsyna, krew zaczynała szybciej krążyć w żyłach. Najpierw zmiażdży mu palce. Potem genitalia. Zatłucze go na śmierć, ale tak wolno, jak tylko się da. Będzie czekał, aż sam zacznie błagać Boga o śmierć. A wtedy zakończy jego męki. Oczywiście najpierw starannie go wypowiada z wrogiej działalności przeciw Rzeczypospolitej.

– Nie, nie będziesz go przesłuchiwał, więc przestań się ślinić jak stary chłop do młodej baby. Jeśli to cię pocieszy, to mogę ci zaręczyć słowem oficera, że mamy doskonałe metody wymuszania zeznań. Ta sprawa ma dla ciebie wymiar osobisty. Dlatego cię od niej odsuwam. Twoja robota zacznie się w Berlinie.

Wiktor z trudem ukrył rozczarowanie. Ale nie wydawało mu się rzeczą godną żołnierza niewykonanie rozkazu. Zdawał sobie sprawę, że chłopak był tylko pionkiem na szachownicy. Kluczem do sprawy był człowiek, który nim kierował. Dopaść go mógł tylko w jeden sposób: służąc ojczyźnie. Tą drogą mógł nie tylko wyrównać rachunki, ale i wysoko zajść. Nie należało przedwcześnie zrażać do siebie ludzi.

– Jakie będzie moje zadanie w Berlinie?

Dobrowolski aż za dobrze wiedział, co działo się w duszy młodego człowieka. Był to swoisty ostatni test. Chciał sprawdzić, czy chłopak będzie potrafił podporządkować się rozkazom, których nie pochwalał. Test wypadł zadowolająco. Jerzy czuł, że w niedalekiej przyszłości będzie miał z tego chłopca niemałą pociechę. Na razie należało wtajemniczyć go w zadania. A na sam początek rozpocząć grę.

Nigdy nie miał zamiaru aresztować szpiega. To byłoby głupie i sprzeczne z podstawowymi zasadami tej roboty. Chciał tylko uspokoić Wiktora, który nie potrafiłby tego zrozumieć. Lepiej, żeby wyjechał do Berlina i tam korzystał ze swojej młodości i urody. Trafiała się niepowtarzalna okazja, by pokazać Niemcom, że te tereny przestają być ich własnością. Nie miał zamiaru wypuścić tej szansy z ręki.

Musiał dostarczyć do Warszawy dowody, aby czynniki decyzyjne pojęły wreszcie, że całkowite odwracanie oczu na wschód jest prostą drogą do zguby. Rozbicie wrogiej siatki wywiadowczej będzie faktem o takim znaczeniu, że nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie już mógł lekceważyć zachodniego teatru działań. To oni oddadzą pierwszą salwę na tajnym froncie, i to taką, że usłyszą ją nawet w Wersalu.

– Pojedziesz do Berlina jako Hans Werner, dziennikarz prasowy. Na miejscu stawisz się w kinie Rialto. To nasze kino. Portierce powiesz, że przyjechałeś z dalekiego kraju. Musisz się dostać na doroczny bal dla niemieckich dziennikarzy, którzy kreują niemiecką politykę na wschodzie.

– Jak mam udawać dziennikarza, skoro nigdy nim nie byłem?

– Nasi ludzie już dawno napisali kilka artykułów, które opublikowano pod tym nazwiskiem. Dla niepoznaki mocno atakujesz Polskę i nie szczędzisz krytyki za naszą działalność na Pomorzu, Górnym Śląsku i Wielkopolsce. Tam będziesz tylko pił,

jadł i zajmiesz się jedną z dziennikarek. To kochanka samego von Seeckta, dlatego zawsze wie, co w trawie piszczy.

Dobrowolski wsunął w jego dłoń niewielką fotografię. Wiktor ostrożnie obrócił ją w palcach i spojrział na twarz kobiety, która miała stać się jego celem. Była to eteryczna blondynka o bladej cerze, z lekko zadartym nosem. Blond włosy nosiła spięte w kok. Na długiej łabędziej szyi pyszniła się kolia, za którą można by utrzymać ze dwa dobre pułki piechoty. Lecz największe wrażenie zrobiły na nim oczy, jak wynikało z dopisku na fotografii: zielone. W tym spojrzeniu było coś hipnotyzującego i zarazem niebezpiecznego.

Nie opuszczało go wrażenie, że łatwiejszym zadaniem byłoby uderzenie na armaty z pogrzebaczem. Ale nie nawykł do cofania się, więc i teraz nie miał zamiaru tego robić. Wręcz przeciwnie, czuł narastające podniecenie. Myśl, że wkroczy do Berlina i będzie walczył z Niemcami, pijąc ich wino, napawała go wesołością.

– Jaka ona jest? – zapytał, chowając zdjęcie do kieszeni.

– Jej życiorys i krótką charakterystykę otrzymasz na dworcu, żebyś mógł je przestudiować w czasie podróży. Teraz nie czas na to. Gdybyś jednak wpadł, nie licz na żadną naszą pomoc. Wyprzemy się ciebie. A ty zginięsz w lochu. Albo zostaniesz ścięty.

Wzruszył ramionami i się uśmiechnął. Jego kariera wywiadowcy właśnie zaczynała nabierać rumieńców. A to, że wiązały się z nią liczne niebezpieczeństwa, stanowiło jedynie dodatkową podniętę. Należał do ludzi, którzy nie potrafili żyć codziennością. Jeśli już ma zginąć, to niech to przynajmniej będzie śmierć w walce za słuszną sprawę. Zemsty za brata dokonać, ojczyźnie się przysłużyć i rodzinę założyć – to były teraz trzy cele jego życia.

Rozdział V

Marszałek Józef Piłsudski siedział za biurkiem w Belwederze i bawił się pionkiem szachowym. Po drugiej stronie stało puste krzesło. Gra w szachy stanowiła jego ulubioną rozrywkę, pozwalała skupić myśli i dawała przyjemność. Postawił gońca na właściwym polu. Skupienie i trzeźwy osąd spraw były mu teraz potrzebniejsze niż kiedykolwiek.

Wolna rozprawa z bolszewią jest nieunikniona; przez nią od dawna postanowiona i gotowana – przeczytał ostatnie zdanie z przygotowanej przez wywiad analizy sytuacji na wschodzie i cisnął ją na stosik z charakterystykami sowieckich przywódców. Wywiad nie dostarczył mu niczego, czego by nie dało się wyczytać z przebiegu wypadków.

Nie miał złudzeń. Od strony Sowietów waliła ku Warszawie ogromna burza. Na nieszczęście niewielu polityków, którzy piastowali istotne funkcje, to rozumiało. Oskarżali go o zapędy dyktatorskie i opóźnianie pierwszych wyborów do sejmu. Prawda, że chciał władzy, ale nie po to, by kogokolwiek uciskać, tylko żeby ojczyznę ratować. Sejm już teraz stawał się jedynie polem do kłótni między małymi ludźmi, którzy potrafią tylko dbać o własny interes. Kraj nad wszystko potrzebował stabilnego centrum decyzyjnego, by móc skutecznie bronić swoich interesów. Nie wolno było działać przewlekłe i kunktatorsko.

Rzeczpospolita nie miała dość sił, by angażować je na wielu frontach jednocześnie. A frontów było wiele, bo niemal każdy

sąsiad rościł sobie pretensje terytorialne. Nie mógł ocalić wszystkiego. Dlatego pragnął wyczerpać wszystkie siły na wschodzie, bo stamtąd zguba przyjdzie. Na przebieg granicy zachodniej nie miał wpływu, o tym zadecyduje Ententa. A on w tamtych kręgach nie był zbyt popularny.

Ciche skrzywienie otwieranych drzwi wyrwało go z zamyślenia. Do pokoju wsunęła się Aleksandra Szczerbińska. Od razu na wejściu pociągnęła nosem i wykrzywiła porcelanową twarz w grymasie niezadowolenia. Miała na sobie zwiewną koszulę nocną, która w cudowny sposób uwydatniała jej zgrabną figurę. Zwinnie wsunęła mu się na kolana.

– Kochanie, prosiłam, żebyś nie palił tych śmierdzących papierosów – szepnęła, wtulając się w szary legionowy mundur. – Dlaczego tyle pracujesz? Już dawno północ minęła. Wiesz, że nie lubię bez ciebie zasypiać.

Uśmiechnął się. Palenie rosyjskiego tytoniu było jego dawnym przyzwyczajeniem jeszcze z Syberii, którego nie miał zamiaru się wyrzec. Nawet dla Oli.

– Wiesz dobrze, że moje serce należy do dwóch kobiet. Do Polski i do ciebie. Ale, na Boga, jestem naczelnikiem państwa, a w swoim własnym domu zapalić nie mogę. Pracuję, kochanie, bo ktoś musi. Teraz czekam na Wieniawę, więc zostaw mnie. – Pocałował ją lekko w usta i zsunął z kolan.

Zawsze to samo – pomyślała. Od zawsze tkwiła w jego cieniu. Była podporą, która pojawia się we właściwym momencie. Czy chciała tak wiele, gdy marzyła o zwyczajnym rodzinnym życiu? Nie. Gdyby chociaż naprawdę była członkinią jego rodziny. Formalnie była nikim, choć niedawno urodziła mu córkę. Nie mogła zostać jego żoną, ponieważ Maria nie zamierzała dać mu rozwodu. Żyli ze sobą jak mąż i żona, ale z punktu widzenia prawa ona była prostytutką, a ich córka bękartem. Czuła, że tkwi to między nimi jak zadra.

Dawniej znajdował dla niej czas, mimo że i wtedy pochłaniały go obowiązki państwowe. Teraz traktował ją jak powietrze. Sprawa jego poprzedniego małżeństwa musiała być tego przyczyną. Niczym przecież go nie uraziła. Chyba że ma do niej żal, że ich pierwsze dziecko nie było chłopcem. Wiedziała, że mężczyźni wolą mieć syna, choć nigdy otwarcie się do tego nie przyznają.

– Dlaczego ostatnio jesteś wobec mnie taki oschły? – przemówiła. – Czy masz problem z tym, że nie potrafiłam dać ci syna? A może chodzi o rozwód z Marią? Dla mnie liczy się tylko to, że jesteś ze mną i naszą córką, a urzędowe papierki nie mają dla mnie znaczenia – skłamała, bo wiedziała, że to właśnie chciał usłyszeć.

Zamiast odpowiedzi przyciągnął ją do siebie i pocałował. Tym razem dłużej i namiętniej. Czowała zapach tytoniu i szorstkie wąsy, które laskotały ją po twarzy. Ale nie dbała o to. Wreszcie czuła ten sam co dawniej żar, który ich połączył. Zrzuciła mu ramieniem maciejówkę z głowy i zaczynała rozpinać guziki munduru. Ale stracił jej rękę.

– Nie mogę. Chciałem ci tylko pokazać, że jesteś głupia, jeśli myślisz, że kiedykolwiek przestanę cię kochać. No, chyba że przestaniesz tak sprawnie rozpinać guziki? – Poglądził ją po słomkowych włosach. – Wiem, że ostatnimi czasy nie poświęcałem ci zbyt wiele uwagi. Ale naprawdę nie mogę. Teraz waży się los wszystkiego, o co walczyliśmy. W takim czasie żaden przywódca nie może myśleć o własnej rodzinie, choćby nie wiem jak bardzo kochał swoich najbliższych. Dziś w nocy spisałem testament, w którym ofiarowuję wam wszystkie moje obecne i przyszłe kapitały. Moja córeczka będzie używać mojego nazwiska, bo taka jest moja wola. O nic już się nie martw...

Spojrzał na jej usta i zapragnął jeszcze raz ich posmakować, ale drzwi otworzyły się i do środka wpadł Wieniawa-Długoszowski.

Był to człowiek, w którym siedlisko obrały sobie wszelkie sprzeczności. Kobieciarz, jakiego trudno by znaleźć we wszystkich pułkach kawalerii, jednocześnie doskonały dowódca i polityk. Lubił też sobie wypić. Ale komendant cenił go wysoko i bardzo faworyzował. Wieniawa odpłacał mu się szczerym przywiązaniem i wiernie mu służył. Kto go znał, pokochać musiał, bo jedną sobie ludzi w sposób, którego najlepsi dyplomaci by się nie powstydzili. Toteż Piłsudski widział jego dalszą karierę w dyplomacji, ale tego jednego nie potrafił na nim wymóc. Dla niego liczyły się tylko konie i szabla. Bo też i wyglądał jak prawdziwy ułan. Wysoki, barczysty, z twarzą smagłą i szczupłą. Czarne włosy nosił zawsze krótko ostrzyżone, aby nie wystawały spod ułańskiej czapki. Błękitne oczy zdawały się pełne melancholii, co pozwalało mu zjednywać sobie skamandrytów i aktorów. Ułański mundur, idealnie zapięty, przylegał do ciała i dopełniał całości obrazu. Bez munduru żyć nie umiał i nie chciał.

Komendant omal nie parsknął śmiechem na widok miny adiutanta, gdy ten zobaczył go w porozpinanym mundurze, obejmującego Aleksandrę.

– No, kogo jak kogo, ale ciebie gorszyć to nie powinno. Wolę się nawet nie domyślać, gdzie znaleźli cię moi ludzie – powiedział, wskazując ręką fotel naprzeciwko biurka.

Długoszowski rozsiadł się wygodnie i nie pytając o pozwolenie, wziął z biurka jedno z cygar; przyciął je i zapalił. Wypuściwszy kilka kłębow dymu w stronę okna, rzekł:

– Ja po prostu nie lubię przeszkadzać ludziom. Gdybym wiedział, że nie jesteś sam, to nigdy bym nie wszedł bez pukania. Ale chyba masz coś ważnego, skoro ściągasz mnie o takiej porze?

Piłsudski nie odpowiedział. Zamiast tego zwrócił się do narzeczonej:

– Wybacz, Olu, ale mamy do omówienia ważne sprawy. Wolałbym, żebyś nie słyszała, o czym tu mówimy.

Aleksandra zacisnęła drobne dłonie, by nie wybuchnąć gniewem. Wiedziała, że nigdy nie stanie się powierniczką męża. I może właśnie dlatego tak bardzo nie znosiła Wieniawy, który był jego totumfackim. Z innym człowiekiem próbowałyby negocjować. Ale Ziuk nie znosił sprzeciwu. Podział obowiązków w ich związku był więcej niż jasny. On żył polityką: oddychał nią, pił ją i jadł. Ona dbała o dom. Pilnowała, by w ich ukochanym Milusinie odnajdywał rodzinne ciepło, którego tak potrzebował.

Mogła się na to zżymać, ale zmienić tego nie była w stanie. Toteż i teraz podporządkowała się jego woli. Ukłoniła się Bolesławowi, życząc dobrej nocy, pocałowała męża w policzek i wyszła. Drzwi zamknęły się za nią z cichym skrzypieniem. W pokoju zapanowała niezręczna cisza, którą przerwał Długoszowski.

– Dlaczego jej to robisz? Przecież musisz widzieć, że ona chce dzielić twój trud. Chce być dla ciebie wsparciem i opoką. A ty to lekkomyślnie odrzucasz. Widzę, jak mi zazdrości tego, że ja wiem, co myślisz na tematy polityczne. Pozwól jej na to. Weź ją na paradę wojskową. Wprowadź do polityki.

– Wybacz mi szczerść, przyjacielu, ale ty jesteś chyba ostatnią osobą mogącą udzielać komukolwiek rad w kwestii życia rodzinnego. Ja przynajmniej jej nie zdradzam, jak ty swoją żonę. Więc pozostaw moje sprawy osobiste w moich rękach. Chcesz wiedzieć, dlaczego nie pozwalam jej na mieszanie się do polityki? Odpowiem ci na to. Ale jeśli dowiem się, że jej o tym powiedziałaś, to zadbam o to, żebyś smutno skończył. Polityka to zajęcie dla kurew i złodziei. Ja nie chcę, żeby ona zmieniła się przez władzę. Jest moją podporą. Przy niej wypoczywam od intryg, spisków i zrad. Ale nie po to cię wezwałem, żeby o tym rozmawiać. – Przesunął w stronę adiutanta jedną z teczek. – Tam masz raport naszego wywiadu o zdobyciu Wilna przez bolszewików

i przekazaniu go marionetkowemu tworowi, jakim jest Białoruska Republika Ludowa.

Długoszowski otworzył teczkę. W skupieniu studiował zapis walk Samoobrony Wileńskiej, najpierw z Niemcami, a potem z Sowietami. Ogarniał go żal, że nie mogli udzielić w porę pomocy, ponieważ Niemcy nie przepuścili regularnych jednostek, które posłali w kierunku miasta. Walczący tam Polacy i bez tego odparli pierwszy atak Armii Czerwonej. Ale czekanie na kolejne uderzenie miało się z celem. Dlatego wszystkie oddziały Samoobrony wycofały się z miasta, aby nie ulec rozbiciu. Dotarł do końca raportu i zamknął teczkę.

– Nie rozumiem, czemu mam to czytać, skoro dokument nie zawiera nic, co nie byłoby już nam wiadome. Chyba nie dlatego kazałeś mi rzucić wszystko i gnać tu na złamanie karku?

Naczelnik, zamiast odpowiedzieć, podał mu kolejną teczkę.

Wieniawa sprawnie przeczytał raport Dobrowolskiego o wykryciu wzmożonej aktywności niemieckiego wywiadu w Wielkopolsce. Szczególnie zainteresował go projekt operacji berlińskiej i streszczona historia wykrycia wrogiej agentury. Roześmiał się i rzekł:

– Uwiedzenie tej dziennikarki to powinno być moje zadanie. Ktoś bez doświadczenia w stosunkach z kobietami dużo może zaszkodzić. Ale dalej nie rozumiem, co łączy Wilno z Poznaniem. Jeśli ty widzisz taki związek, to mi go wskaż, bo ja go nie dostrzegam.

Piłsudski uśmiechnął się. Cieszyło go to, że chociaż raz dostrzegł coś przed swoim podkomendnym. A sam przed sobą przyznać musiał, że duża była to sztuka. W jego młodym przyjacielu jak w soczewce odbijały się wszystkie zalety i wady narodu. Chłopak robił wiele głupstw, ale świństwa nie zrobił nikomu. Kierowany przez człowieka z jego doświadczeniem mógł zająć wysoko. Ale

wśród politycznych intryg czuł się jak ryba w wodzie i potrafił je rozsupływać z podziwu godną zręcznością.

– Dlaczego Niemcy bronili Wilna przed naszymi rodakami? Przecież państwa Ententy nakazały im zwinąć armię i wycofać się w granice Niemiec. Oficjalnie rząd Republiki Weimarskiej poparł te plany, z jakiego więc powodu Niemcy walczyli zamiast oddać nam miasto? Dlaczego utrudnili naszym oddziałom dotarcie do grodu, choć pozornie nie mieli w tym interesu?

Mnożył znaki zapytania. Niemal widział, jak trybiki w umyśle Wieniawy się obracają. Czekał, kiedy dostrzeże na jego twarzy ślad zrozumienia. Na razie widział jedynie maksymalne skupienie. Nie po raz pierwszy, patrząc na niego, zastanawiał się nad złożonością ludzkiej natury. Kim był Wieniawa-Długoszowski? Wszyscy znali go jako wyśmienitego żołnierza i pijaka. Ale według niego był kameleonem, który potrafił stać się, kim zechciał. Między pijakami był pijakiem, między poetami – poetą, między politykami – politykiem, a między żołnierzami – żołnierzem.

– Chodziło im o to, żebyśmy nie opanowali miasta – mruczał Wieniawa, trąc skronie. – Skoro nie my, to kto miał je opanować? Przecież nie walczyliby dla Litwinów, bo nie mają w tym interesu. Dla czerwonych? Przecież oni są dla nich największym zagrożeniem, bo otwarcie głoszą konieczność rewolucji proletariackiej. A to nie może się podobać nikomu z arystokratycznych kręgów władzy.

Wstał od biurka, nalał sobie spirytusu i wypił duszkiem. Obliznął usta językiem, aby nie zmarnować ani kropli. Chuchnął kilkakrotnie. Poczuł, jak wypity alkohol przyśpiesza krążenie krwi w żyłach. Nie był pijany, bo nieraz i trzy razy więcej wypijał bez widocznych efektów. Jego umysł stał się cudownie jasny. Bolszewicy są dla Niemiec największym zagrożeniem – to fakt bezsporny. Dobrze by było skierować ich apetyty w inną stronę. Choćby na nas. W naszej obronie nikt palcem nie kiwnie. Wszyscy

będą nam oczywiście kibicować, ale pomocy nie udzieli nikt. Prawie zdrztał na samą myśl.

Francuzi wspierali ich, aby pilnowali Niemiec. Ale bynajmniej nie będą się angażować w bronienie nas przed czerwonymi, zwłaszcza że cała rzecz będzie wyglądała na naszą własną awanturę. Gdyby Sowietzi opanowali Wilno, które z formalnego punktu widzenia nie należy teraz do nikogo, to komendant podszedłby do sprawy ambicjonalnie, bo tam się urodził. Na pewno kazałby odbić miasto, co musiałoby doprowadzić do zbrojnego starcia z czerwonymi, z czego skorzystałby tylko Berlin.

Czuł, że zbliża się do rozwiązania zagadki. Interes Niemiec stawał się dla niego coraz bardziej oczywisty. Wybuch wojny na wschodzie zmusiłby ich do skierowania wszystkich sił w tamtym kierunku. To dałoby Niemcom wolną rękę w działaniach na spornych terytoriach zachodnich. Dlatego właśnie uaktywnili swój wywiad w Wielkopolsce. Złapał w rękę koniec intrygi, która w założeniu miała wmanewrować Polskę w wojnę. Spojrzał na komendanta z szacunkiem. Uznał, że sam nigdy nie rozgryzłby tego jedynie na podstawie dwóch meldunków wywiadu.

– Jak chcesz im przeszkodzić? – zapytał.

– Zrozumiałeś – stwierdził komendant i dodał: – Zrobimy dokładnie to, co Niemcy. Nawiążemy kontakt bezpośrednio z bolszewikami. Poufnie zapewnimy Lenina, że nasza armia nie będzie utrudniać mu ostatecznej rozprawy z Białymi. Niedawno wysłałem emisariuszy do Denikina i Kołczaka. Zaproponowałem im wspólną akcję przeciwko bolszewikom. W zamian zażądałem, aby uznali nasze granice wschodnie na rzece Zbrucz.

– Czemu nie dalej? Moglibyśmy zażądać dla siebie znacznie więcej – zasugerował Wieniawa.

– Moglibyśmy – przyznał. – Ale ziemie wschodnie łatwo opanować, a znacznie trudniej je przy sobie utrzymać. Nie mamy dostatecznie silnie rozbudowanego aparatu administracyjnego, by

kontrolować te ziemie. Pamiętasz przecież, jak silną tajną policję miał car Mikołaj II, aby utrzymać w ryzach narodowe żywioły. Na kresach zamieszkują: Ukraińcy, Białorusini i ludzie, którzy nie utożsamiają się z żadną z tych narodowości. Oni wszyscy nie zaakceptują naszej okupacji na tych terenach, nawet w łagodnej formie. Nie dość nam wrogów zewnętrznych? Chcemy jeszcze wpuścić sobie wewnętrznego?

Wieniawa szukał w głowie kontrargumentu. Wywód komendanta był spójny i logiczny. Może Rzeczpospolita istotnie powinna skupić się na przejęciu kontroli nad terenami, na których przeważał żywioł polski. Ale czy taka Polska zdoła oprzeć się przemocy sowieckiej? Postanowił wyłożyć nurtujące go wątpliwości.

Komendant wie, co robi. Ale mądrą radą nigdy nie wzgardził – pomyślał.

– Etniczna Polska będzie zbyt słaba, by oprzeć się Sowietom – rzekł. – Myślisz, że Lenin pozwoli, aby ktokolwiek wyrwał się spod wpływów Moskwy? Mówisz, że o losach ziem powinna rozstrzygać zasada samostanowienia narodów je zamieszkujących. Może tak będzie w idealnych czasach, ale w takowych nie żyjemy. Jeśli my nie zajmiemy tych terenów, zrobią to czerwoni; w siłę urosną i nas potem zmiażdżą. Marzenia o utworzeniu przez Ukraińców i Białorusinów samodzielnych państw to mrzonki. Są na to za słabi.

Piłsudski słuchał tych argumentów uważnie. Sam roztrząsał je po wielokroć w czasie długich, nieprzespanych nocy. Szukał drogi. Wojna na wschodzie była nieunikniona. Mógł tylko odwlec ją na najdalszy możliwy termin. Ale uniknąć jej nie był w stanie. Wiedział bowiem, że Sowietci ruszą na nich tak czy owak. Lenin nie był głupcem. Musiał zdawać sobie sprawę, że państwo sowieckie nie zdoła się utrzymać na powierzchni, jeśli będzie otoczone przez wrogów. Chaos, jaki zapanował w Europie, dawał mu znakomitą okazję do zaniesienia sztandaru rewolucji na zachód.

Na zachodzie zaś nie było siły, która mogłaby mu w tym przeszkodzić. Francja odniosła wprawdzie spektakularne zwycięstwo, ale zapłaciła za nie straszliwą cenę. Wielkie połacie kraju były w ruinie, a naród nie przejawiał już najmniejszej ochoty do walki. Paderewski donosił z Wersalu, że Amerykanie chcą zostawić europejską piaskownicę jej własnemu losowi. Wielka Brytania nie liczyła się w tej rozgrywce, bo walka nie miała rozegrać się na morzu. Polska zdawała się być jedyną przeszkodą na obranej przez niego drodze. I to przeszkodą niezbyt trudną do pokonania. Lenin musiał jeszcze tylko zakończyć wojnę domową, która szalała w kraju, aby móc przerzucić wszystkie siły na zachód.

Piłsudski niemal wył, gdy Biali odrzucili propozycję, aby wspólnie wziąć bolszewików w kleszcze. A przecież jego żądania były więcej niż umiarkowane. Chciał tylko, aby uznali niezależność państwa polskiego. Denikin okazał się jednak krótkowzrocznym głupcem. Stwierdził, że mogą rozmawiać o formule podobnej do Królestwa Kongresowego. A to znów dla niego, Piłsudskiego, było nie do zaakceptowania.

Ich drogi rozeszły się wtedy raz na zawsze. Potem jeszcze wielokrotnie państwa Ententy naciskały na niego w sprawie interwencji w Rosji. Ale nie zamierzał niszczyć jednego wroga, aby zainstalować sobie drugiego. Tym bardziej że Biali mogli uzyskać posłuch na zachodzie, bo tamtejsze rządy traktowały ich jako naturalnych spadkobierców Romanowów. Bolszewicy z kolei, jakkolwiek śmiertelnie niebezpieczni, z pewnością pozostaliby w walce z Polską osamotnieni. To był podstawowy powód, dla którego nie wspomagał Białych. Ale sumienie miał czyste. Jego obowiązkiem było dbanie o dobro narodu, któremu służył, a nie wyciąganie cudzych kasztanów z ognia. Niech Ententa dalej wspomaga Białych. On nie miał zamiaru tego robić.

– Zgadzam się ze wszystkim, co powiedziałaś – rzekł, budząc się z zamyślenia. – Zbudowanie niezależnej Ukrainy i Białorusi siłami

jej mieszkańców nie jest możliwe. Ale gdybyśmy wspomogli te działania? – Podniósł rękę, dając znać, by mu nie przerywał, i kontynuował: – Rosja zawsze będzie od Polski silniejsza. I to bez względu na to, jakie formy ustrojowe miałyby te państwa. Wiesz to tak samo dobrze jak i ja. Zgadzam się z tobą, że Lenin nie wypuści z rąk żadnej z republik carskich. Ale jeśli my zajmiemy Kijów i stworzymy groźbę powstania niezależnej Ukrainy, to on tej groźby nie będzie mógł zlekceważyć. Bez Ukrainy Moskwa będzie zagrożona głodem. W dodatku Kijów to jest ich czuły punkt z przyczyn historycznych i będą robić wszystko, aby go odzyskać. Będziemy mieli okazję, aby odepchnąć ich daleko na wschód, a przy okazji sprać tak, żeby ruski miesiąc pamiętali. Ale na razie nie życzę sobie generalnego starcia z bolszewikami. Potrzebujemy czasu, aby się przygotować. Najpierw musimy sparaliżować działania Niemców, żeby nie przeszło im nawet przez myśl wykorzystanie naszego zaangażowania na wschodzie.

Przed oczami Wieniawy przesuwają się obrazy maszerujących na wschód pułków. Piękne Ukrainki rzucają kwiaty pod nogi polskich piechurów, którzy wkraczą do Kijowa. Widział już na jawie przyszłe bitwy i szarże. Był to miód na jego żołnierskie serce. Widział sfederalizowane z Polską kraje, które miały oddzielić ich od Rosji, aby raz na zawsze usunąć w niebyt tamtejsze niebezpieczeństwo. Plan był genialny, gdy przedstawiano go w zarysie. Ale widział już wiele pięknych projektów, które rozpadały się w drzazgi w konfrontacji z rzeczywistością. Czy tworzenie państwa, które nigdy wcześniej nie istniało i którego mieszkańcy nie identyfikują się ze sobą, nie jest utopią? Skąd pewność, że ludzie pozbawieni wspólnej przeszłości będą chcieli tworzyć wspólną przyszłość? Nie potrafił odpowiedzieć sobie na te pytania. Postanowił zaufać człowiekowi, który wskazał jego życiowi cel. Cel ten wydawał się wtedy zamysłem szaleńca, a obecnie był bliski realizacji.

– Co mam robić, aby wspomóc sprawę? – zapytał, przerywając milczenie.

– Pojedziesz do Moskwy i zaoferujesz Leninowi tajny rozejm – wyjaśnił Piłsudski. – Nie przyjmą cię dobrze, wiem. Niebezpieczne to zadanie, bo łatwo tam będzie o głowę zostać skróconym. Ale nie widzę nikogo innego, kto miałby dość rozumu i odwagi, aby się podjąć tej misji. Pisemnych instrukcji ci nie dam, bo gdyby wpadły w niepowołane ręce, to narobiłyby nam straszliwej szkody. Wszystko, co ci powiedziałem, przekażesz Leninowi lub któremuś z jego najbliższych współpracowników.

– Zawsze chciałem popatrzeć sobie z bliska na rewolucję proletariacką, więc będę miał okazję – rzekł Wieniawa. – Gdybym nie wrócił, to zajmijcie się moją żoną. Nigdy nie potrafiłem jej sercem za serce odpłacić. Ale gdyby coś ze mną... to wiesz...

– Bądź spokojny. Włos jej z głowy nie spadnie – zapewnił Piłsudski, a w duchu dodał: A ciebie niech Bóg ma w opiece, przyjacielu.

Jakiś żal go ogarnął. Oto posyłał ze straceńczą misją ulubionego żołnierza. Ale nie czas było o ocaleniu jednego żołnierza myśleć, gdy krajowi zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo. Zresztą polec to najprostszy obowiązek. Sam też był gotów. I dlatego spisał testament, który tkwił w biurku, czekając na swój czas. Dotknął dłonią szachownicy i przesunął pionka. Czyż nie tym właśnie byli? Pionkami, które grały w wielką grę zwaną życiem. A on? Jak zostanie zapamiętany? Jako odnowiciel państwa czy jego ostateczny grabarz? Tylko czas znał odpowiedź na to pytanie.

Rozdział III

Wiktor sapał jak miech kowalski, dźwigając walizki i wspinając się ulicą Północną. W powietrzu unosił się potworny zaduch, który miał swe źródło w usytuowanej przy ulicy rzeźni. Łatwo było ją rozpoznać po tłumach rolników, którzy stali ze swoimi zwierzętami w kolejce. Były tu: krowy, świnie, kurczęta. O dziwo zwierzęta stały spokojnie; nie szarpiąc się ani nie wyrrywając, jakby zupełnie pogodzone z losem. Przyśpieszył kroku. Nie czuł się tutaj zbyt dobrze. Przy stacji pomp, która pobierała wodę bezpośrednio z Warty, skręcił w tamę.

Była to dość wąska, źle wybrukowana ulica, która ciągnęła się wzdłuż koryta Warty. Idąc, obserwował, jak na skutej lodem rzece ślizgają się dzieciaki. Szło im to dość mizernie, bo co chwila któreś runęło z głośnym łomotem na lód. Stanowiło to powód do śmiechu dla pozostałych. Na szczęście lód był dostatecznie gruby, by z łatwością utrzymać ciężar dzieciaków. Malcy zaś szybko zapominali o bolesnych upadkach i wracali do zajmującej ich zabawy. Pozdrowił ich ruchem ręki.

Zazdrościł im tej beztroski, którą sam cieszył się jeszcze niedawno. Jak cudownie byłoby znowu przypiąć łyżwy i hasać po lodowej tafli. Niestety czas jego dzieciństwa minął bezpowrotnie. Zdawał sobie sprawę, że tęsknota za czasem minionym jest irracjonalna. Czyż nie tego właśnie chciał? Czyż nie pędził na złamanie karku ku dorosłości? Osiągnął przecież dokładnie to, co

zamierzał. Był wywiadowcą. Jechał ze ściśle tajną misją do serca wrogiego państwa. A jednak w jego sercu nie było radości.

Oto opuszczał rodzinne strony, ludzi, do których nawykł i się przywiązał. Tutaj na każdym niemal kroku napotykał przejawy ludzkiej życzliwości. A tam będzie sam, jak owca między stadem wilków. Czy będzie potrafił grać swoją rolę na tyle dobrze, by zwieść ich wszystkich i wykonać powierzone mu przez wywiad zadanie? Czy może zakończy swe życie w murach berlińskiego więzienia? Skąd brał się ten cholerny niepokój? Ten wewnętrzny wróg, z którym nie umiał walczyć. Dlaczego pojawiał się właśnie teraz, gdy nie mógł już zawrócić z obranej drogi?

Ukazały mu się budynki dworca na Garbarach. Była to mała stacja kolejowa, wybudowana w roku 1888, która nie mogła się równać ze wspaniałościami, jakie oferował dworzec cesarski. Dla jego celów nadawała się wszak idealnie – położona na obrzeżach miasta, nie przyciągała niepotrzebnej uwagi. Pewną niedogodność mógł stanowić brak hali dworcowej. Ale na tego typu stacyjkach było to naturalne.

Dotarł na peron dworcowy. Przy torach w równych odstępach stały trzy ławki, ukryte pod niewielkim zadaszeniem. O bilety nie musiał się troszczyć, bo komórka legalizacyjna wywiadu zadbała o wszystko. Sprawdził tylko na rozkładzie godzinę odjazdu pociągu i rozparł się na twardej ławce.

Zimny wiatr chłostał go po twarzy z taką siłą, że postawił kołnierz kozucha, by choć trochę ochronić się przed zimnem. Błogosławił w tej chwili własną przezorność, która kazała mu wziąć ze sobą zimowy strój. W białym kozuchu wyglądał jak niedźwiedź polarny. Do tego miał na sobie grube, filcowe buty, obszyte w środku futrem. Teraz w stopach czuł jedynie ciepłe mrowienie. Rozglądał się z ciekawością dookoła.

Podróżnych było niewiele. Sytuacja międzynarodowa nie zachęcała do podróżowania za Odrę. Jedynie kilku ludzi wałęsało

się wzdłuż torów. Nie wyglądali mu na groźnych. Choć musiał przyznać, że nie wiedziałyby, po czym można rozpoznać szpicla. To był istotny brak w jego wykształceniu. Potrafił walczyć na wojnie, ale nie posiadał umiejętności, które mogłyby przydać się w pracy wywiadowczej. Po prostu zabrakło czasu na odpowiednie szkolenie. Było ono w planach, ale sprawy nabrały nagłego przyspieszenia.

Tajny raport, który sporządził pułkownik Dobrowolski, rozbudził z uspienia warszawskich dygnitarzy. Przypomniawszy, że odrodzone państwo ma wielu wrogów. Zamiast, jak poprzednio, traktować kierunek zachodni po macoszemu, zażądano intensyfikacji działań. Wobec nacisków z góry nie było możliwości, aby zwlekać z wszczęciem akcji. Dlatego już dwa tygodnie później tkwił na dworcu.

Wreszcie ją zobaczył. Szła w jego stronę, dźwigając dwie walizy. Miała na sobie długie futro z norek. Do tego wymyślny kapelusz, którego nie powstydzilyby się londyńskie damy na wyścigach konnych w Ascot. Twarz osłaniała czarna woalka.

To chyba ona – pomyślał, wstając. Swobodnym krokiem podszedł do niej i zrzucając kaptur, rzekł:

– Pozwoli pani, że pomogę. Nie ma takiej potrzeby, żeby dźwigała pani walizy.

Postawiła je bez słowa na ziemi. Zsunęła rękawiczkę, odsłaniając wypielegnowaną dłoń, i otarła pot z czoła. Następnie założyła rękawiczkę z powrotem.

– Jak się nazywasz?

Pytanie padło nagle, ale odpowiedział bez zająknięcia:

– Hans Werner. – Podniósł jej walizki i ruszyli ku ławkom.

Były ciężkie, a zwłaszcza jedna. Przy każdym kroku obijały mu kolana. Toteż z nieskrywaną ulgą opadł na ławkę, niedbale stawiając walizy.

– Ostrożnie, tam jest radiostacja – skarciła go nieznajoma. – Masz krzepę. Ten dorożkarz, który dźwigał ją do dworca przez pół godziny, trzymał się za serce. To waży czterdzieści kilo, razem z baterią. – Uśmiechnęła się.

– Jaki ma pani związek z moim zadaniem?

– Jestem twoją szefową – odparła, obserwując jego reakcję.

Był lekko zaszokowany. Ale szybko ukrył zmieszanie. Nie był jakimś wrogiem kobiet. Nawet popierał ich działania. Ale to, że wkraczają na całkiem męskie pola działalności, niezbyt mu się podobało. Niemniej postanowił nie uprzedzać się na początku. Ta kobieta mogła być najwyższej klasy specjalistą i pewnie była. Taką miał nadzieję. Ze spokojem wytrzymał badawcze spojrzenie swojej szefowej. Ona pierwsza opuściła wzrok.

– Jestem Olga i tak się do mnie zwracaj – oznajmiła nagle z uśmiechem. – Pamiętaj. W Berlinie od razu idziemy do kina Rialto, gdzie nawiążemy kontakt z dziewczyną, która nauczy cię, jak obracać się w kręgach niemieckiej arystokracji. No i dostarczy ci ciuchy, lepszego sortu. Pozostałe rozkazy znasz.

– Jak chcesz przemycić radiostację przez kontrolę graniczną? – spytał. Już jej nie lubił. Kożuch może i nie prezentował się zbyt dobrze, ale był wyjątkowo praktyczny. O wiele bardziej niż jej kretyński kapelusz, który wszędzie zwracał na siebie uwagę.

Ale skoro tak ma być, to niech tak będzie – pomyślał.

– To będzie twoje zadanie – stwierdziła nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Zdębiał. To, co miał zrobić, było samobójstwem. Radiostacja nie była igłą, żeby ją skryć gdziekolwiek. Wpadnie zaraz na kontroli granicznej. Wystarczy, że żandarm każe otworzyć walizę, a trafią ekspresem pod mur. Złe myśli atakowały go niczym stado rozjuszonych os. Ale było w tym chłopaku też i dumy niemało. To po to zgodził się pracować dla wywiadu, aby umykać jak zając, gdy pojawią się pierwsze trudności? Chciał dokonać zemsty na

doświadczonym niemieckim agencie, a bał się zwykłych żandarmów? Musiał zaryzykować.

Od niechcenia, jak gdyby żaden niepokój nie targał jego duszy, chwycił walizkę z radiostacją i podszedł do peronu. Następnie przyniósł dwie swoje i jej drugą walizkę. Patrzył w dal, wypatrując lokomotywy przez padające ukośnie płatki śniegu. Najpierw jednak poczuł charakterystyczne drżenie kolejowych podkładów, a dopiero po chwili dostrzegł ciemną smużkę dymu, która musiała wydobywać się z lokomotywy. Zrobił trzy kroki do tyłu. Pociąg zasygnalizował swe przybycie długim, przeciągłym gwizdem. Wtoczył się na stację.

Rozległ się dźwięk otwieranych drzwi w przedziałach; na peron wyskakiwali liczni podróżni. W większości wracający z frontu wcieleni do armii kajzera Polacy, co poznać można było po mundurach. Ich nędzne, nieogolone i nieumyte twarze aż nadto wyraźnie świadczyły o tym, jaki los stał się ich udziałem. Wielu klękało na peronie i całowało rodzinną ziemię, której zapewne nie spodziewali się już nigdy zobaczyć. Na tych żołnierzy tułaczy nikt nie czekał. Bliscy albo pomarli, albo przestali już nawet czekać.

– Zrozumiałem – mruknął Wiktor. – Zrozumiałem, braciszku.

Olga Zwonariew przymknęła oczy. Nie mogła, nie chciała na nich patrzeć. Przypominali jej kogoś, kogo już dawno nie było wśród żywych. Nosił inny mundur, ale z pewnością w ostatnich chwilach swojego życia wyglądał tak samo. Nawet nie wie, gdzie go pochowali. Znając bolszewików, pewnie wrzucili go do bezimiennej mogiły, z dziurą w potylicy. Tak kończyli wrogowie nowego ustroju.

Poczuła delikatne szarpnięcie za ramię. Przypomniała sobie, gdzie jest i dokąd zmierza. Spojrzała na swojego agenta. Wydał jej się szczerym i uczciwym chłopakiem. Zastanawiała się, co pchało go do jaskini lwa. Próbowwała czytać w jego twarzy, ale nie potrafiła przeniknąć jego myśli. Zaimponowało jej to. Jako pracownica

carskiej Ochrony przesłuchiwała: eserowców, bolszewików, mienszewików i pospolitych worów. Łamała nie takich jak on.

Ciekawe, co o mnie myśli...

Szybko wskoczyła na stopnie pociągu, po czym ruszyła na poszukiwanie wolnego przedziału. Nie były to trudne poszukiwania. Pociąg był bowiem opustoszały. Już po chwili wsunęła się do ogrzewanego wagonu i usiadła przodem do kierunku jazdy. Rozpięła futro i zsunęła je z ramion, po czym zarzuciła na półkę, którą umieszczono nad siedzeniem. Poczula miłe ciepło. Zwiewna koktajlowa sukienka idealnie podkreślała jej wysmukłą sylwetkę. Mimo swoich trzydziestu pięciu lat nadal wyglądała ponętnie.

Tylko nie miała już dla kogo tak wyglądać. Misza już dawno popróżniał w ziemi. A wydawało się, że nic i nikt nie jest w stanie zagrozić potędze dynastii Romanowów i ich prywatnemu szczęściu. Ochrona wprowadziła ją na dwór carycy, aby miała oko na Rasputina. To obrzydliwe stworzenie, które jakimś sposobem zdołało uzależnić od siebie carycę. Poznała ojczulka Georgija, a nawet uczęszczała na jego seanse. I wtedy, i teraz nie mogła zrozumieć, jak zwykły rosyjski chłop mógł trzymać w rękach całą władzę.

Widziała, jak potomkinie arystokratycznych rodów, których przodkowie wsiadali na konie, korzystając z grzbietów takich osób jak on, modliły się do niego niczym do ikony. Carska rodzina radziła się go w sprawach opieki nad synem Aleksym i polityki międzynarodowej. Przebiegły mnich potrafił czerpać korzyści ze stanowiska faworyta carycy. Przyjmował łapówki od oficjeli, którzy wiedząc, że potrafi przekonać carycę do wszystkiego, napełniali mu kiesę. Stręczyli mu własne żony i córki, bo „świętobliwy” mnich bynajmniej nie był wolny od słabości zwykłych ludzi.

Jego rozpusta stała się z czasem tak głośna, że pogłoski o niej wydostały się za mury Kremla. W połączeniu z głodem, klęskami na froncie zrobiły się niebezpieczne dla tronu carów. Osoba i działania Rasputina przyciągały ludzi do partii rewolucyjnych i wywrotowych. Niestety wszelkie próby dyskretnego wpłynięcia na carycę, aby dla dobra kraju odsunęła od wpływów fałszywego mnicha, kończyły się niepowodzeniem. W tej sytuacji Ochrona postanowiła działać.

Zlecono jej zmontowanie spisku przeciwko Rasputinowi. Rzeczą nie była prosta. Rasputin zadbał o swoje bezpieczeństwo, prorokując, że jego śmierć przyniesie upadek dynastii i Rosji. Gdy w tej chwili o tym myślała, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Bo przepowiednia starca sprawdziła się z podziwu godną dokładnością. Wtedy nikt jednak, z wyjątkiem carycy, nie traktował tych przepowiedni poważnie. Wielu natomiast myślało, że śmierć starca znienawidzonego przez wszystkie warstwy społeczeństwa przywróci chwałę samodzierżawia.

Dlatego też nie miała problemu z podsunięciem własnych myśli kilku monarchistom, z księciem Jusupowem na czele. Plan, który im zreżymie podała, był prosty: mieli zwać mnicha do pałacu księcia, aby mógł poznać słynącą z urody Irinę Aleksandrownę. Wiedziała, że stary rozpustnik da się na to złapać jak mucha na lep. W pałacu spiskowcy mieli otruć ojczulka cyjankiem potasu, który dostarczyła. Tak jak przypuszczała, Rasputin połknął haczyk i przybył do pałacu. Ale tu szczęście opuściło spiskowców.

Cyjank, który dodano do ciasta, nie zabił, a jedynie osłabił faworyta carycy. W tej sytuacji księżę postanowił strzelić mu prosto w pierś. Czy ręka mu zadrżała, czy też carski faworyt obdarzony był szczególną Bożą protekcją, tego nie dowiedziała się nigdy. Dość, że Rasputin nie zginął od przeznaczonej dlań kuli; rzucił się na księcia z obłędem w oczach. Byłby go zabił, gdyby nie

pomoc pozostałych spiskowców, którzy zakuli go sztyletami. Twarz mnicha zmasakrowano, po czym spuszczone pod lód.

Relację z tych zdarzeń dostała z drugiej ręki. To, co się potem rozpełtało, widziała jednak na własne oczy. Caryca szalała. Na jej rozkaz wszczęto zakrojone na olbrzymią skalę poszukiwania. Tajne służby pracowały niechętnie i były nieszczerze, ale nacisk z góry zmusił jej szefów, aby wyjaśniono tę sprawę. Wkrótce ciało ojca Georgija zostało odnalezione i pochowane z monarszymi honorami. Na pogrzebie był każdy, kto odgrywał w Rosji jakąkolwiek rolę. Była tam i ona i widziała niekłamano rozpacz carycy i jej najbliższego otoczenia. Sama trzymała się nieco w cieniu. Woląa nie rzucać się w oczy, zanim sprawa nie przycichnie.

Była to strategia ze wszech miar słuszną. Imperatorowa zażądała kary śmierci dla spiskowców. Olga miała się więc czego bać. Przecież wystarczyło, aby któryś ze spiskujących przypomniał sobie, kto był obecny na wszystkich spotkaniach ich grupy, aby była zgubiona bez ratunku. Znała metody wymuszania zeznań i sama stosowała je z całkiem niezłymi efektami. Nie mogła więc liczyć na to, że skrobani w podziemiach Twierdzy Pietropawłowskiej spiskowcy będą milczeć. Na szczęście w sprawę zamieszani byli ludzie postawieni znacznie wyżej od niej.

To szefowie Ochrony dopilnowali, aby śledczy nie przesadzali w zbytniej gorliwości. Dzięki nim spiskowcom włos z głowy nie spadł; karę śmierci zamieniono na areszt domowy. Nikt nie dociekał, kto dostarczył im cyjanek potasu i zadbał o to, aby osobista ochrona denata nie była w zbyt dobrej kondycji. Prawda była taka, że wszyscy światli ludzie w rządowych gremiach powitali śmierć rozpustnika ze starannie ukrywaną ulgą. Kariera Olgi w tajnych służbach ruszyła z kopyta.

Góra wiedziała już, że można jej powierzyć każdą, nawet najbardziej dyskretną sprawę. Dlatego przydzielono jej zadanie

infiltracji środowiska bolszewików, które gwałtownie rozbudowywało swoje struktury na terenie Piotrogradu. Ich aktywność skupiała się w rejonie zakładów zbrojeniowych, co w wydatny sposób szkodziło działalności zbrojnej państwa. Tam poznała Miszę Kostriułewa.

Podobnie jak ona pracował w Ochranie. Zamknęła oczy, próbując wyłowić z zakamarków pamięci zarys jego twarzy. Przychodziło jej to z trudem, choć od ich ostatniego spotkania minęły ledwie dwa lata. Pamiętała, jak wieszała mu na szyi medalik, gdy wraz z oddziałem szykował się do wymarszu. Wtedy widziała go po raz ostatni. Nie potrafiła przypomnieć sobie ukochanej twarzy. Czyżby przestała go kochać? A może sama wyparła go ze swojej pamięci, aby zapomnieć?

Wiktor wsunął się do przedziału i zarzucił walizy na półkę. Usiadł naprzeciw swojej szefowej. Już otwierał usta, aby zagaic rozmowę, gdy spojrzał na jej zastygłą w skupieniu twarz i zrezygnował. Nie miał zamiaru wyrwać jej ze wspomnień. Spojrzał w zaparowaną szybę i dostrzegł, że zawiadowca opuszcza lizak, dając maszyniście znak, aby ruszał. Przestał wyglądać przez szybę. Miał zdecydowanie pilniejsze sprawy na głowie.

Przekłęta radiostacja. Służby wywiadowcze powinny mieć własne kanały łączności, a nie otwarcie pchać radiostację przez granicę, jakby to była paczka lewych papierosów. A niechby nawet i pchali, ale dlaczego on miał odwalać tę robotę? Nie posiadał podobnych doświadczeń. Zresztą, nawet gdyby je miał, to żandarmi musieliby należeć do Krajowego Związku Niewidomych, żeby nie dostrzec walizki z radiostacją. Czuł, jak pracują jego szare komórki. Przez głowę przelatywało mu tysiące pomysłów; jedne bardziej szalone od drugich. Ale właśnie dlatego, że było ich tysiące, nie mógł wybrać.

– Tu masz informacje na temat tej dziennikarki, z którymi miałeś się zapoznać w czasie podróży – powiedziała Olga, kładąc

mu na kolanach białą teczkę. – Do Berlina droga daleka, ale to nas nie upoważnia do marnowania czasu. Tym bardziej że musimy coś zrobić z tą cholerną radiostacją.

Wytrzeszczył oczy.

– Ja myślałem, że to pani pomysł, by ją przewozić pociągiem – wyznał. – Szczerze mówiąc, jest to kompletny idiotyzm.

Nie mogła. Po prostu nie mogła się nie roześmiać. Ten chłystek podejrzewał ją, była gwiazdą carskich tajnych służb, o tak partackie przemykanie radiostacji! Sama pamiętała własną złość, gdy dowiedziała się, że mają dostarczyć do Berlina radiostację. Jednak ona wychowana była w szkole tajnych służb, gdzie brutalnie wpajano jej zasady dyscypliny. Chłopak nigdy nie przeszedł szkolenia. A zadanie dostał dlatego, że można go było bez problemów poświęcić. A jednak nadawał się do tej roboty. Był inteligentny, odważny i przy odrobinie pracy uda jej się zrobić z niego asa wywiadu.

– Nie obrażaj mnie – odparła, śmiejąc się. – Pracowałam w carskiej Ochranie, kiedy ty wchodziłeś wyprostowany pod stół. Zgadzam się, że posyłanie do Berlina radiostacji to idiotyzm. Ale nigdy więcej nie waż się krytykować zwierzchników. Trzymaj język na wodzy. Ja na ciebie nie doniosę, bo cię polubiłam. Przypominasz mi mojego narzeczonego. Ale na drugi raz lepiej trzymać gębę na kłódkę.

– Mam pomysł, gdzie ukryć radiostację tak, żeby nie wpadła w ręce żandarmów. Mogę umieścić ją na dachu pociągu. Sama pomyśl. Wyjdę przez okno, a ty ostrożnie podasz mi walizkę. Na dachu nikt nie będzie jej szukał – przekonywał gorąco.

– To nie worek ziemniaków – odparła. – Co zrobimy, jeśli radiostacja zostanie uszkodzona? Cała nasza operacja spali na panewce, bo nie będzie jak wysłać meldunku, rozumiesz?

Rozumiał. Ale nie widział innej możliwości, która pozwoliłaby im bezpiecznie przekroczyć granicę. Nie powiedział tego jednak na

głos, ponieważ miał absolutną pewność, że nic by to nie dało. Jego szefowa należała bowiem do osób, którymi nie da się kierować. Zresztą w jej interesie również leżało jak najstaranniejsze ukrycie radiostacji. Raczej nie mogła liczyć na to, że Niemcy okażą jej łaskę dlatego, że jest kobietą. On miał swoje zadanie i nim powinien się zająć. Otworzył teczkę, która leżała na kolanach, i pogrążył się w lekturze.

Gerda Leszke była córką inżyniera, który pracował w zakładach Kruppa, w Essen. Urodziła się w tym mieście w roku 1890. Tam spędziła całe swoje dzieciństwo, ukończyła szkoły i trafiła na uniwersytet norymberski. Na nim skończyła dziennikarstwo, po czym podjęła pracę w koncernie prasowym. Z uśmiechem czytał fragmenty jej artykułów, które zawierała teczka. Obiektywnie musiał przyznać, że dziewczyna miała dobre pióro. Zręcznie podsuwała czytelnikowi własne myśli, które ten mógł z łatwością uznać za swoje. Każde słowo i każda litera zostały użyte z rozmysłem. Artykuły panny Leszke nie były propagandowym paszkwilem, a mistrzostwem indoktrynacji. Utrwalała w umysłach stereotypy Polaka pijaczka i tak zwanej polskiej gospodarki.

Zaczynał rozumieć, dlaczego wywiad przykładał taką wagę do tej dziennikarki. Była groźniejsza niż trzy pułki wojskowe, bo wywierała wpływ na opinię publiczną. Niemcy i bez takich jak ona nienawidzili Polaków, choć obiektywnie musiał przyznać, że z wzajemnością. Nasi sąsiedzi uważali się za pionierów postępu na wschodzie i nauczycieli polskiej ciemnoty. Polacy zaś dobrze pamiętali długi łańcuch krzywd, który ciągnął się niemal od pierwszego zetknięcia obu narodów. Nie lubił Niemców, ale Gerda go zaintrygowała.

Przykładała się do swojego zadania o wiele bardziej niż inni opłacani przez rząd dziennikarze. Musi mieć o coś do nas żal – pomyślał. Ale o co można mieć żal do całego narodu? Do pojedynczego człowieka to i owszem. Wszędzie są ludzie i ludziska.

Przynależność narodowa nie ma tu wielkiego znaczenia. I między Polakami zdarzali się ludzie, którym można kark ukrećć bez szkody dla kraju. Ale... tak, Gerda nienawidziła ich jako Polaków. Gdyby mogła, walczyłaby z nimi przy użyciu karabinu, a nie pióra. Coś w tym musiało być.

Przerzucił kartki z pośpiechem, ale nic nie znalazł. Zrezygnowany odrzucił teczkę na siedzenie obok i pogrążył się w milczeniu. Wpatrywał się tylko w przelatujące za oknem pola, drzewa i budynki mieszkalne. Był wdzięczny Oldze, że potrafi uszanować jego zadumę. A może rozmyśla, jak ukryć radiostację pod sukienką? Ciekawe, kim właściwie jest.

Miarowy turkot kół pociągu uspił go zupełnie. Nie wiedział, jak długo spał. Obudził się, gdy ustał ruch pociągu. Ze zdziwieniem zorientował się, że głową opiera się o szybę. To, co za nią ujrzał, kazało mu o tym zapomnieć – stali na granicy. Przez tor przebiegał szlaban, pociąg stał pod parą, a żołnierze przeszukiwali wagon po wagonie. Odruchowo wsunął rękę do kieszeni, gdzie tkwił pistolet. Nie pozwoli wziąć się żywcem. Z tym postanowieniem zastygł w bezruchu i czekał.

Pociąg był duży, ale ludzi jechało nim niewielu, więc wkrótce usłyszał miarowe kroki żandarmów. Drzwi przedziału rozsunęły się i do środka weszło dwóch mężczyzn. Obaj byli już mocno wiekowi. Tylko takich pozostawiono do służby na tyłach. Spod munduru wystawały obfite brzuchy. Twarze mieli anemiczne, pomarszczone. Hełmy i mundury zdawały się im ciężać.

Odsunął głowę od szyby, rozparł się w fotelu, by przysłonić sobą teczkę. Czekał. Żandarmi sprawdzali ich dokumenty. Robili to niedbale jako rutynową czynność. Pocił się jak mysz. Prawą rękę zaciskał na pistolecie. Wiedział, że zdąży załatwić obydwu, zanim zdobędą się na jakąkolwiek reakcję. Spojrzał na szefową. Nieznacznym, przeczącym ruchem głową. Wyjął rękę z kieszeni. Jej głowa – pomyślał.

Olga nie traciła głowy. Wstała i wręczyła zaskoczonemu żandarmowi walizkę z radiostacją.

– Wiozę w tej walizce mnóstwo fatalaszków. Pan sprawdzi, jaka ciężka. Byłabym wdzięczna, gdybyście panowie ich nie rozrzucali po podłodze, bo potem godzinami będę składać. A ta przechera nie zechce mi pomóc. – Wskazała ręką na Wiktora. – Już od Posen sama ją dźwigam. Uciekamy razem z miasta, bo tam teraz Polska. Na szczęście mamy krewnych w Berlinie, którzy zaoferowali, że nas przygarną. – Posłała żandarmowi swój najpiękniejszy uśmiech.

Niemcowi twarz się rozjaśniła, jakby spojrzeli na niego promienie słoneczne. Odłożył walizkę na miejsce i rzekł:

– Już bym chyba sumienia nie miał, gdybym te piękne rączki do pracy zmuszał. – Ucałował ją w rękę. – Niech się pani nie martwi, jeszcze wróćcie do siebie.

Wyszli, zamykając za sobą drzwi przedziału.

Wiktor przez cały czas rozmowy ledwie się powstrzymywał, by nie wybuchnąć śmiechem. Teraz już nie musiał. Śmiał się jak opętany, szczerząc zęby do Olgi, która obserwowała ten wybuch ze spokojem. Wreszcie się opanował i ocierając z oczu łzy, rzekł:

– Ja nie mogę! On to trzymał w rękach. Trzymał w rękach naszą radiostację i się nie zorientował. Ślinił się do ciebie jak kot do sperki. Nic dziwnego. W końcu miał do czego. A ta twoja bajeczka o ucieczce z poznańskiego – boska. Gdyby nie ty, tobym ich chyba rozwalił.

Uśmiechnęła się.

– Właśnie tego musisz się szybko oduczyć – przerwała. – Jesteś członkiem wywiadu. My nie możemy strzelać w każdej sytuacji, bo reprezentujemy państwo. Czy wiesz, co by się stało, gdybyś dostał się w niemieckie ręce? Zaraz by urządzili ci proces pokazowy, a prasa niemiecka przez miesiące by sobie na nas używała.

– To znaczy, że w razie kłopotów mam się nie bronić?

– Musisz nauczyć się myśleć. Wywiadowca wyciąga broń w ostateczności, gdy wszystkie inne środki zaradcze zawiodą. Widziałeś, jak omotałam tych żandarmów? Ucz się postępować podobnie – poradziła.

– Dziewczynie łatwiej – mruknął. – Zwłaszcza takiej, co to by i świętego zwieść mogła. A ja się tu nie pchałem. Jednego człowieka chcę złapać. Zabił mi brata. Pojadę do Niemiec i znajdę go.

Pierwszy raz w życiu słyszała taki komplement, który przypominał skargę. A zarazem przy okazji poprowadził do udzielenia odpowiedzi na pytanie, którego jeszcze nie zadała. Więc poczynaniami jej ucznia kierowała chęć osobistej zemsty. Cóż, motywacja dobra jak każda inna. Już wiedziała, że zadba o to, by pozostał pod jej skrzydłami. Czy chciał, czy nie, posiadał cechy dobrego wywiadowcy, które należało jedynie rozwinąć.

Po godzinie jazdy pociąg wtoczył się na dworzec Berlin Lehrter Bahnhof. Po kilku minutach znaleźli się przed neoklasycystycznym budynkiem dworca. Po peronach krążyli wychudzeni berlińczycy z walizkami, które przyginały ich do ziemi. Patrzyli na ich ziemiste, znużone twarze, za duże, wielokrotnie łatanе ubrania. Po czterech latach wojny wyglądali niczym żebracy.

Gdy wydostali się na ulicę, Olgę uderzyło niezwykle podobieństwo obecnego Berlina z Piotrogiem tuż przed rewolucją. Sklepy zionęły pustkami. Przed ich drzwiami ustawiały się długie kolejki tych, którzy chcieli złapać choć kromkę chleba. Na ulicznych chodnikach siedzieli żebracy wszelkiej płci i wieku. Ich wychudzone, okryte łachmanami ciała najdobitniej ukazywały, że szczęście przestało gościć w stolicy Hohenzollernów. Na ulicach nie dało się dostrzec ani jednego samochodu, bo wyparły je konne dorożki i wozy. Konie miały zapadnięte boki, bo cena owsa osiągnęła astronomiczne sumy.

Wiktor także przypatrywał się Berlinowi z ciekawością, bo nigdy nie wyściubił nosa poza Wielkopolskę. Ale o ile Olga

przypatrywała się berlińczykom ze współczuciem człowieka, który przez lata życia widział niejedno i zdawał sobie sprawę z nieobliczalności zagłodzonych mas, on odczuwał jedynie satysfakcję. Z przyjemnością patrzył, jak Niemcy biją się przed piekarnią o bochenek chleba.

– Właściciele Europy, a o chleb się biją jak pierwsi lepsi łachmaniarze. Jak kto sobie pościele, tak się i wyśpi.

Z tłumu wysunęli się dwaj mężczyźni. Normalnie nie zwróciłby na nich uwagi. Ale coś w ich ruchach, postawie sprawiło, że ich dostrzegł. Jeden zachowywał się tak, jak jego brat, który też ustawicznie chodził na baczość, jakby zawsze miał na sobie mundur. Wiktor zatrzymał się, ignorując zdumione spojrzenie Olgi. Ten drugi wsunął rękę pod płaszcz, wyjął nieduży pakunek i cisnął w kolejkę przed piekarnią.

Sam nie wiedział, jak zdołał rzucić szefową na ziemię i przysłonić ją własnym ciałem. Poczul potworny podmuch eksplozji; wokół niego latały odłamki szkła z wybitych szyb, kawałki porozrywanych na strzępy ciał. Krew zalała mu cały kożuch, ale czuł, że żyje. W oddali usłyszał krzyki przechodniów i jęki rannych. Zsunął się z ciała szefowej i z ulgą stwierdził, że nie widzi żadnych ran.

– Dziękuję – mruknęła. – Pierdoleni czerwoni dywersanci ze Spartakusa. Teraz widzisz, co się tu wyprawia. Przeszedłeś chrzest bojowy i pozostaniesz pod moimi rozkazami. A, i więcej nie podcinaj mnie w ten sposób, bo pokiereszujesz mi całą twarz.

Wstał z trudnością i zwymiotował, widząc wnętrzości ludzkie, które pokrywały całą ulicę.

Ładny mi chrzest bojowy – pomyślał. Wolał sobie nawet nie wyobrazić, co go jeszcze czeka. Ale już wiedział, że z pewnością nie będzie narzekał na nudę.

Rozdział VIII

Dzielnica robotnicza Berlina wyglądała jak każda dzielnica robotnicza. Ulice przypominały rynsztok pełen fekaliów. Wszędzie snuli się wychudzeni ludzie w każdym wieku, którzy wracali z dziennej zmiany w jednej z licznych fabryk. Wracali do domów, które przypominały trumny – małe, ciasne, ciemne. Jedynym sensem ich życia była praca. Praca ponad siły w straszliwych warunkach. Tak było od zawsze. Jednak ci ludzie nie byli już niczym bezwolne stado baranów, które potulnie idzie za pasterzem, by ten obdarł je ze skóry. Ten tłum nędzarzy poczuł swoją straszliwą siłę, która zdolna była obalać trony. Wprawdzie rewolucja, którą wzniecili, została krwawo stłumiona, ale to niczego nie zmieniło. Tłum kipiał i wrzał nadal, choć otwarcie nie występował przeciw władzy.

Robotnicy nie byli już sami. Gdzieś tam na wschodnich rubieżach tworzono nowe, sprawiedliwe państwo, które w całości będzie należało do takich jak oni. Do ludzi, którzy ciężko pracowali na chleb. Tam nie będzie obszarników, fabrykantów i innych wyzyskiwaczy. Ciężko pracujący człowiek nareszcie będzie mógł zapewnić godny byt swojej rodzinie. Małe dzieci nie będą musiały harować w szybach kopalń.

Misza Kostriulew sam dbał o podtrzymywanie tych nastrojów. Po rozbiciu oddziału, przy którym pełnił funkcję oficera do spraw wywiadowczych, dostał się w łapy Feliksa Dzierżyńskiego. Kilka miesięcy przesiedział w więzieniu, gdzie stosowano wobec niego

konwojer – metodę polegającą na pozbawieniu więźnia snu. Myślał, że go rozwałą. A jednak na dziedzińcu moskiewskiego więzienia wyprowadzano kolejnych współtowarzyszy, a jego nie. Przyklejony do niewielkiego okienka widział, jak żołnierze z plutonu egzekucyjnego rozstrzelują jego kolegów. Co noc z nadzieją wsłuchiwał się w dźwięk kroków na korytarzu, ale zabierano innych, a on tkwił w zamknięciu.

Chwilami wydawało mu się, że traci zmysły. Brak snu sprawiał, że jego samopoczucie było coraz gorsze. Czasem miał wrażenie, że to tylko koszmar, z którego zaraz się obudzi. Przeszłość mieszała mu się z terażniejszością. Przyłapywał się na tym, że zaczyna rozmawiać z ludźmi, którzy dawno popróchnieli w ziemi. Tam przychodzili do niego przez zakratowane okno i grube mury. Widział ich sylwetki. Ale były przezroczyste. Stracił rachubę czasu.

Pewnego dnia swoją wizytą zaszczycił go sam Dzierżyński. Wyznał otwarcie, że potrzebuje ludzi z doświadczeniem do służby w Czeka. Mógł odmówić. Ba, powinien to zrobić. A jednak sprzedał duszę diabłu. Dlaczego to zrobił? Przecież nie bał się śmierci. Byłby ją przywitał z uśmiechem na ustach. Wiedział, że za tym, na co się zdecydował, stoi Olga. Chciał żyć dla niej. I niejako przez nią tkwił teraz w Berlinie jako major Czeka. Kupił sobie czas, aby ją odnaleźć.

Więzienie i przebyte tortury odcisnęły na nim swoje piętno. Zamiast zębów miał puste dziąsła. Jego pociągłą twarz pokrywały blizny od przypalania papierosem i ugryzień psów. Długie kasztanowe włosy były teraz siwe. Palce miał powykrzywiane w nienaturalny sposób, a ślady po zdartych paznokciach upodobniały go do starca, podczas gdy miał przecież ledwie czterdzieści lat.

Poprawił szary płaszcz, który zsunął mu się z chudych ramion. Wmieszał się w tłum i szedł razem z nim ulicą. Starał się iść środkiem drogi, aby nie oberwać nieczystościami, które w takich

miejskach wciąż wylewano przez okna. Skręcił w otwartą bramę czynszowej kamienicy.

Na nieutwardzonym podwórku suszyło się pranie. Uśmiechnął się na widok połatanych kalesonów, które tańczyły na wietrze. Sprawnie ominął powstałe w nierównościach gruntu kałuże i wbiegł na klatkę schodową. Tam uderzyła go w nozdrza woń mydlin zmieszana z kiszoną kapustą, wymiocinami, potem i spirytusem. Wspinał się po skrzypiących starych schodach, przeskakując po kilka stopni naraz. Wreszcie dostał się do położonego na poddaszu lokalu.

Przypominał on mieszkanie Raskolnikowa ze *Zbrodni i kary*. Posiadał tylko niezbędne umeblowanie. W niewielkim pomieszczeniu znajdowały się jedynie: stół z lampą naftową ustawioną pośrodku, łóżko z nadgryzionym zębem czasu materacem i kilka krzeseł. Czekali już na niego. Zsunął płaszcz, zawiesił go na oparciu krzesła i rozsiadł się wygodnie.

W panującym mroku nie był w stanie rozróżnić rysów swoich ludzi. Widział tylko zarys ich smukłych, żołnierskich sylwetek i pod sercem poczuł ukłucie zazdrości. Wiedział, że któryś z nich pisze na niego raporty do centrali. Był jak sokół, który musi wrócić na rękawicę sokolnika, by zatkano mu dziób i założono kaptur. Dzierżyński byłby głupcem, gdyby całkowicie wypuścił go z ręki. Zresztą Misza nigdy nie miał takiej nadziei. Wiedział, że jego obecny przydział jest tylko odroczeniem egzekucji.

Lecz choć ci chłopcy byli silniejsi od niego, nie mieli jednak czegoś, co dopiero z upływem czasu zdobyć można: doświadczenia. Ich wiedza o pracy i funkcjonowaniu tajnych służb była zerowa. Musiał ich szkolić od podstaw. Byli chłonni niczym gąbka. Szkoląc ich, kopał jednocześnie swój grób. Ale nie dbał już o to, co z nim będzie. Chciał odnaleźć Olgę. To stanowiło teraz jedyny cel jego życia.

Zamknął oczy.

– Towarzyszu, akcja przed piekarnią udała się znakomicie. Pozwoliłem sobie zameldować Moskwie o tym sukcesie naszej komórki dywersyjnej. Jeszcze kilka takich akcji i utworzymy drogę Armii Czerwonej – meldował Łomianow podnieconym głosem. – Już Napoleon powtarzał, że mniej lęka się bitwy ze stutysięczną armią niż rewolty z powodu braku chleba.

Potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć sens słów, które właśnie usłyszał. Gdy do niego dotarł, krzyknął:

– Od kiedy to macie pozwolenie na działanie bez mojego upoważnienia?! Ja odpowiadam głową za funkcjonowanie tej komórki, a wy nawet nie wiecie, jak bardzo nie w porę wyrwaliście się z waszą akcją! Oj, towarzyszu Łomianow, będziecie wy się gęsto tłumaczyć za tę akcję przed centralą. Jeszcze dziś chcę mieć dokładny raport z waszego samowolnego działania, który natychmiast wyślemy do Moskwy. I radzę wam nie liczyć na łaskę ze strony towarzysza Dzierżyńskiego. Właśnie przyszedłem, by wam zameldować, że zawieszamy naszą działalność.

Zapanowała cisza. W klitce słychać było przyśpieszone ludzkie oddechy. Wszyscy tu obecni wiedzieli, co czeka tych, którzy sprzeniewierzyli się instrukcjom z góry. Przeklinali teraz Łomianowa. Przecież ich szefowie mogli wydać wyrok na całą ich grupę, zwłaszcza że i tak byli pod szczególnym nadzorem, ponieważ mieli w składzie byłego carskiego oficera. A wyrok mógł być przecież tylko jeden.

Odsunęli się od Łomianowa, jakby ten mógł ich zarazić dżumą.

Kostrulew obserwował to z cichą satysfakcją. Od dawna podejrzewał, że to właśnie Łomianow ma go nadzorować. Na swoje nieszczęście Wasilij nie potrafił stać w cieniu. Wiecznie występował przed szereg. W czasie swojej kariery w tajnych służbach Misza widział wielu jemu podobnych. Niektórzy wychodzili na ludzi, ale większość z nich kończyła smutno. Łomianow teraz właśnie przesadził i ukręcił na siebie bicz.

Moskwa nie podaruje mu samowolnej akcji, bo nie jest ona zgodna z jej obecną linią polityczną.

Sięgnął za plecy, wydobyl z płaszcza kartkę złożoną we czworo i położył ją na środku stołu. Następnie uruchomił lampę naftową i wśród powszechnego milczenia czytał:

– „Nakazuję wstrzymanie wszelkich działań dywersyjnych na terytorium niemieckim aż do odwołania. Grupy dywersyjne mają z chwilą otrzymania niniejszego rozkazu przejść w stan hibernacji. Niemniej nakazuję, aby dowódcy robili wszystko, żeby zachować zdolność bojową. Dane wywiadowcze, które udało się zebrać na temat niemieckich obiektów strategicznych, należy bezzwłocznie przekazać do centrali.

Wszelkie działania, które zostaną podjęte przez grupy dywersyjne po otrzymaniu rozkazu, będą traktowane jako działalność przeciwko rewolucji i zostaną bezzwzględnie ukarane. Ludzi oskarżonych o łamanie zaleceń OGPU należy odsyłać do Moskwy”. To, co przeczytałem, nie wymaga większych komentarzy – stwierdził, wbijając wściekły wzrok w Wasilija.

Ten zaś wyglądał po prostu przerażająco. Twarz zrosiła mu się gęstymi kroplami potu, a włosy lepiły się do niej. Chciał coś mówić, usta otwierał, ale żadne słowo nie mogło się przez nie przecisnąć. Zbladł tak, że obecnym wydawało się, że za chwilę padnie trupem. Wreszcie zebrał się w sobie i rzekł:

– Nie rozumiem. To wasz spisek, majorze, przeciwko partii i naczelnemu dowództwu Armii Czerwonej. Jesteście zwykłym carskim szpiclem, który zdradził swoich i dobrowolnie przeszedł na naszą stronę. Myślicie, że nie znam waszych akt i nie wiem, że walczyliście w armii Kołczaka?

– Moje akta są w rękach towarzysza Dzierżyńskiego. Czytał je i to on zdecydował, że mam was szkolić. Ja – mam was szkolić. Od kiedy to ważycie się podważać decyzje szefa? To wy złamaliście wyraźny rozkaz, który właśnie odczytałem. Mało tego,

podjudziliście do tego pozostałych chłopaków. Sądzę, że wiecie, co w waszej sytuacji powinien zrobić oficer? – Położył na stole swój własny pistolet.

Oczy obecnych skupiły się na czarnym kształcie, który przez chwilę obracał się na stole. Czas się zatrzymał. Kostriulew uniósł rękę do oczu i patrzył na cyferblat zegara. Wskazówka poruszała się w ślimaczym tempie. Zastanawiał się, czy usłyszy strzał. Łomianow nie był głupcem. Musiał wiedzieć, że wyjazd do Moskwy jest równoznaczny z wyrokiem śmierci. Czy starczy mu odwagi? Czy znajdzie w sobie na tyle dużo samozaparcia, by przyłożyć sobie zimną łufę pistoletu do skroni i pociągnąć za spust? Misza traktował to jako swoisty rodzaj eksperymentu naukowego.

Łomianow drżał. Miał w kaburze u pasa taką samą broń. Wystarczyło po nią sięgnąć. Opuścił prawą rękę. Poczul znajomy kształt pistoletu. Tylko jedna kula. To przecież takie proste, nie raz zabijał. Wrzucał małe dzieci do ognia, rozbijał ich maleńkie główki o progi domów. Palił wsie zbuntowanego chłopstwa, nurzał się w ich krwi. A nie mógł zdobyć się na to, by popełnić samobójstwo. Nie chciał tak skończyć. Cała jego piękna kariera miała się zakończyć na poddaszu w Berlinie? Nie, nie! Wszystko w nim buntowało się przeciwko temu.

Lecz nie chciał też zdychać w celach Łubianki. Dać się zatłuc takim samym zwyrodnialcom, jakim stał się on sam. O tak, był mordercą. Ale to te mordy wyniosły go na wyżyny. Jego, syna prostego, niepiśmiennego chłopca spod Tobolska. Rewolucja potrzebowała takich ludzi jak on, którzy wyrwali z korzeniami wszystkich tych, co podnosili ręce na własność ludu pracującego. Dzięki niej nie musiał kłaniać się każdemu. Teraz to jemu kłaniano się w pas. Ci, co dawniej traktowali go jak psa, którego można kopać i lżyć, a ten nawet nie odwarknie, teraz sami zabiegali o jego przychyłność. Zasmakował władzy. Przysiągł sobie, że przedzej

pozwole, by mu wydarto serce z piersi, niż powróci do dawnego życia.

Teraz jeden błąd miał to wszystko przekreślić? Nie mógł patrzeć na wymizerowaną twarz Kostrielewa. Wydawało mu się, że ten oderwany od powroza śmieć drwi sobie z niego. Pokaże mu, jak giną ideowi komuniści – pomyślał, sięgając po broń. Całą siłą woli zwalczył drżenie dłoni. Chłód lufy pistoletu, którą przyłożył do skroni, przyprawił go o palpitację serca. Ostrożnie położył palec wskazujący na spuście. Jeszcze tylko chwila. Pociągnął za spust.

Huk strzału rozległ się zwielokrotnionym echem w sercach patrzących; Łomianow runął na stół. Krew trysnęła wokół, skrapiając obecnych jak ksiądz kropidłem. Wszyscy milczeli, spoglądając na siebie niepewnie. Nikt nie chciał pierwszy zabrać głosu, bo przecież nie było właściwych słów, które można by wypowiedzieć w tej konkretnej sytuacji. Wasilij sam był sobie winien. Gdyby się nie zastrzelił, to oni wysłaliby go do piachu. To się musiało stać, by oni mogli żyć.

– Zakopcie go – nakazał Kostrielew obojętnym tonem. – Zadekujcie się gdzieś. Rozkazy odbieracie jak zwykle przez skrzynki kontaktowe. Gdy tylko odbiorę nowe rozkazy, to natychmiast je wam przekażę. Na razie żegnam was i jeszcze raz powtarzam: żadnych akcji na własną rękę. Widzieliście, jak kończą ci, którzy podejmują samowolne działania. – Wskazał na trupa Łomianowa.

Pożegnali się.

Misza opuścił lokal kontaktowy jako ostatni. Szedł jak błędny ukrytymi w mroku ulicami. Teraz krążyły po nich typy spod ciemnej gwiazdy, które wypelzały ze swoich nor wraz z ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Byli to ludzie, którym wszelkie świętości były obce. Niczym dla nich było wpakowanie noża pod żebra dla kilku marek. Wypatrywał jakiejś zabłąkanej dorożki mogącej zabrać go z tej ulicy. Ale w polu widzenia nie pojawił się

żaden środek lokomocji. Za to co chwila chwyтали go za poły płaszcz różni żebracy, aby wydebić od niego grosz.

Nie dał, bo nie miał. A jakby miał, to i tak by nie dał. Znał takich jak oni – gardzili wszelką pracą. Woleli kucac pod kamienicami i wyciągać ręce po jałmużnę. Albo chodzić na włam. Służby kryminalne wypędziły ich z bogatych dzielnic, by swoim wyglądem nie razili zamożnych mieszkańców. Siedzieli więc tutaj, chodzili na roboty do bogatych dzielnic miasta. Ale nie pogardzili też tymi, którzy nocą zabłąkali się do ich legowisk. Takich pechowców wyrzucała czasem Sprewa.

Nie bał się. Zbyttnio gardził swoim życiem, by przejmować się bandą obszarpańców. Czy zasługiwał na to, by żyć? Gdyby decyzja należała do niego, już dawno popełniłby samobójstwo. Ale obiecał Oldze, że zrobi wszystko, by do niej wrócić. Nie wiedziała, jak wiele od niego zażądała. Przeżył własną szczęśliwą gwiazdę, młodość, radość i szczęście. Służył ludziom, którymi gardził. Służba ta zmuszała go do robienia wielu okropności.

Nie oznaczało to, że służąc w Ochronie, nie brudził sobie rączek. Ale wierzył w samodziarwawie. Wierzył w dobrego cara i złych urzędników. Myślał, że to, co robi, robi dla większego dobra. Wiedział, że tylko on i jemu podobni ludzie utrzymują w ryzach destrukcyjne siły, które czały się w mroku. Bo carat przy wszystkich swoich błędach był przynajmniej stabilny. Komuniści zniszczyli jedną tyranie, ale nie zdjęli łańcuchów, a jedynie włożyli nowe, cięższe. Feliks Dzierżyński był mordercą, który w niczym nie ustępował Iwanowi Groźnemu i jego osławionej Opryczninie.

Krew lała się strumieniami. Maszynka terroru nabrała straszliwego rozmachu. Gabinet Lenina codziennie opuszczały długie listy proskrypcyjne, które zawierały setki nazwisk. On był współlnikiem morderców, choć sam nie pociągał za spust. Służył, bo to była jedyna droga, która gwarantowała mu przedłużenie życia. Ale nie mógł nawet karmić się złudzeniami, że postępuje uczciwie.

W oczach zwykłych Rosjan widział tylko strach. Był pewien, że spluwają za nim, gdy tylko odwraca wzrok. Skoro nie mógł służyć Rosji, to po co miał dalej oddychać?

Zobaczył ich. Szli środkiem drogi. Od jednego rzutu oka rozpoznał worów.

Pewnie idą na robotę – pomyślał, wsuwając prawą rękę do kieszeni i odbezpieczając broń. Ostrożność nie zawadziła. Nie chciał dać się zabić byle komu. Ruszył prosto ku nim. Teraz już mógł się im dobrze przyjrzeć. Obaj ubrani byli w spłowiałe i niekompletne mundury wojskowe. Zamiast podkutych wojskowych butów mieli lakierki – pewnie zdarte z jakiegoś trupa. Zamiast hełmów nosili czapki cyklistówki, które były tak brudne, że nie potrafił odgadnąć ich pierwotnego koloru. W rękach trzymali noże wojskowe o ząbkowanym ostrzu.

Pod względem aparycji różnili się od siebie mocno. Jeden był barczysty o otłuszczonej twarzy. Czarny wąs miał przycięty na końcach, co mogło świadczyć o tym, że używał maski przeciwgazowej. Brew miał przeciętą na pół. Haczykowaty nos nosił ślady wielokrotnych złamań. Nóż trzymał w lewej dłoni, którą gęsto porastały włosy.

Kostriulew rzucił okiem na drugiego.

Ten był chudy jak trzaska. Prawy policzek szpeciła mu szrama po nożu. Usta trzymał ustawicznie zaciśnięte, a wzrokiem uważnie taksował otoczenie. Twarz miał czerwoną, pokrytą plamami po ospie. Misza zauważył nóż, który tkwił ukryty pod nogawką bryczesów.

– Hej ty! – warknął chudzielec, gdy się mijali. – Forsa albo będziesz służył za pokarm dla ryb.

– Masz już miejsce na cmentarzu, śmieciu, że rzucasz mi wyzwanie? – zapytał nonszalanckim tonem.

– Patrz, Hans, jaki nam się chojrak trafił – zwrócił się do współtowarzysza i sięgnął po broń.

Nie zdążył jej wydobyć. Kostriulew obrócił się błyskawicznie, chwycił go za rękę i jednym pociągnięciem wyłamał mu ją ze stawu. Bandyta kwiczał jak zarżnięte prosię. Upadł na kolana i trzymał się za uszkodzone ramię. Nie był zagrożeniem. Misza odwrócił się ku drugiemu napastnikowi.

Ten, pouczony losem kumpla, był ostrożniejszy. Skradał się na ugiętych kolanach z nożem skierowanym ku dołowi. Zataczał coraz ciaśniejsze kręgi wokół jego osoby, by wybrać odpowiedni moment i zadać rozstrzygający cios. Misza nie spuszczał z oka jego źrenic. Ogromna większość ludzi rozszerza źrenice, gdy targają nimi negatywne emocje. Misza włożył ręce do kieszeni płaszcza i zaczął pogwizdywać. Tego już było przeciwnikowi za wiele. Skoczył ku niemu z wyciągniętym przed siebie nożem.

Misza nie czekał dłużej. Wężowym ruchem wydobył pistolet i pociągnął za spust. Poczul lekkie szarpnięcie, gdy energia odrzutu uniosła nieco lufę. Przez moment dym zasłonił mu pole widzenia. Wreszcie rozpląnął się w powietrzu i dostrzegł Hansa leżącego na ziemi w szybko rosnącej kałuży krwi. Wystrzelona przez niego kula uszkodziła aortę; krew lała się niczym woda z fontanny. Los Hansa był przesądzony. Leżał na chodniku i darł paznokciami ziemię, dopóki śmierć nie zamknęła mu oczu na zawsze.

Odwrócił się do pierwszego z nich.

Bandzior dalej trzymał się za rękę, która zwisała pod nienaturalnym kątem. Misza dostrzegł grymas bólu na jego twarzy. Ale nie budziło to w nim najmniejszych wyrzutów sumienia. Gdyby to on był na jego miejscu, nie mógłby mieć nadziei na łaskę. Schylił się, by spojrzeć mu w oczy. Były rozbiegane i przerażone. Przyłożył mu pistolet do czoła i delikatnie pociągnął za spust. Na czole bandyty pojawił się niewielki otwór po kuli, z którego pociekła cienka strużka krwi.

Schował pistolet, pozbierał łuski do kieszeni i poszedł w swoją stronę. Dwa sztywniejące trupy leżały na chodniku jako jedyna

pamiątka po jego pobycie w Berlinie. Otrzymał rozkaz natychmiastowego powrotu do Moskwy. Zastanawiał się, czy nie będzie to jego ostatnia droga. Ze zdziwieniem spostrzegł, że niewiele go to obchodzi. Odkrywał powoli, że z dawnego życia nie pozostało w nim już niemal nic. Jedynie cień kobiety, która skradła mu serce. Zepchnął to uczucie na samo dno swojego serca. Jeśli udało jej się wymknąć z łap bolszewików, to ją odnajdzie i każe o sobie zapomnieć. To jedyna przyzwoita rzecz, jaką mógł jeszcze dla niej zrobić.

Rozdział VIII

Tłum dziennikarzy i gapiów gromadził się przed dawną siedzibą króla Ludwika XIV od samego rana. Wiadomość, że tego dnia do pałacu przybędą delegaci na kongres pokojowy, który miał uporządkować europejski kontynent po zawierusze Wielkiej Wojny, zelektryzowała wszystkich. Nie dziwił więc fakt, że ludzie szczerlnie wypełnili pobocza ulic, które wiodły w stronę Wersalu. Bez wielkiej przesady można by powiedzieć, że cały Paryż wyległ na ulice. W tym tłumie wszyscy byli sobie równi. Wszystkich przywiódła tu ciekawość.

Proste stroje mieszały się z wytwornymi frakami i sukniami pań z wyższych sfer. Sługa stał obok pana, proste dorożki obok luksusowych samochodów. Tłum szemrał rozmowami jak pszczoły na wyroju. Co chwila zrywał się okrzyk: jadą! Wtedy przez ludzką masę zdawał się przechodzić prąd. Jedni pchali się na drugich – bez poszanowania dla godności, byle tylko zobaczyć więcej niż inni. Rozstawiony wzdłuż ulic kordon służb porządkowych z najwyższym trudem utrzymywał porządek. I gęsto tam padały razy gumowymi pałkami. Służby były na oślep. Niejedne wytworne i proste plecy pokryły siniaki. Ale w uniesieniu nikt nie zwracał uwagi na piękące uderzenia.

Wreszcie zza zakrętu wynurzyła się kawalkada czarnych samochodów, wiozących delegatów na konferencję. Luksusowe auta pokryte były błotem pośniegowym, które gęsto zalegało na paryskich ulicach.auta po kolei zatrzymywały się przed krętymi

schodami; u ich szczytu stał David Lloyd George, premier Wielkiej Brytanii. Wokół niego zgromadził się tłum interesantów i najbliższych współpracowników. Obok stał premier Francji Georges Clemenceau i promiennym uśmiechem witał przybyłych na konferencję delegatów poszczególnych państw.

Każdy, kto znał francuskiego szefa rządu, wiedział, co jest powodem tej radości. Dzień dzisiejszy był prawdziwym triumfem jego polityki. Oto potężne Niemcy leżały u stóp Francji, zwyciężone i upokorzone. Francja zaś zdawała się wyrastać na pierwsze mocarstwo powojennego świata. Tak się przynajmniej wszystkim wydawało. To samo przekonanie dzieliły tłumy zgromadzone przed pałacem, a także dziennikarze przysłani przez największe opiniotwórcze gazety, aby relacjonowali przebieg konferencji, i politycy. Z pozoru wszystko zdawało się potwierdzać to rozumowanie. Niemcy zmuszone były do obserwowania, jak w Wersalu debatuje się o ich przyszłych losach. W tym samym Wersalu, w którym czterdzieści sześć lat temu oni sam powołali do życia zjednoczone cesarstwo.

Roman Dmowski sprawnie wyskoczył ze swojego samochodu, po czym zaczekał, aż dołączy do niego Ignacy Paderewski, i obaj ruszyli wspólnie ku gospodarzowi. Czuł się źle. Wiedział o tym. Po dojściu do pewnego wieku człowiek zdaje sobie sprawę, kiedy organizm wysyła mu czytelne sygnały, świadczące o tym, że ma dość. On również je odbierał, ale nie przywykł do tego, by pieścić się ze sobą. Był zbyt blisko celu, by cofać się z obranej drogi z powodu fizycznych niedomagań. Raczej wyczuł, niż wiedział, kiedy znaleźli się u szczytu schodów. Lekko skłonił głowę, tak by uczynić zadość wymogom kurtuazji.

Spostrzegł delikatne skrzywienie ust u brytyjskiego premiera. Wiedział, że to on będzie na konferencji rzecznikiem sprawy niemieckiej. Nie, David nie był germanofilem. On po prostu wyznawał czysty polityczny pragmatyzm. Rozumiał, że Wielka

Brytania nie utrzyma supremacji na morzach i oceanach, jeśli Francji uda się zdominować europejski kontynent. A bez przewagi na morzu utrzymanie imperium kolonialnego będzie niemożliwe.

– Miło mi powitać przedstawicieli odrodzonego państwa polskiego na francuskiej ziemi – zaczął Clemenceau. – Chciałbym również pogratulować wyboru panu Ignacemu Paderewskiemu, którego muzyczna sława obiegła cały świat. – Po kolei podawał im ręce, jakby byli mu równi powagą i znaczeniem.

Nic dziwnego – pomyślał Dmowski – łąsi się do nas, bo liczy na to, że będziemy wspólnie pracować na rzecz osłabienia Niemiec. Nie łudził się, za uprzejmością i kurtuazją stał twardy interes polityczny. Nigdy nie mógł zrozumieć, co właściwie było nie tak z jego rodakami, iż wystarczyło, żeby ich poklepać po plecach, a gotowi byli skoczyć za cudzy interes w ogień.

Paderewski jednak przyjął słowa o swoim talencie obojętnie, jako rzecz, do której nawykł; skłonił się tylko w podzięcie i odparł:

– Zaszczyt to dla mnie ogromny, ale i odpowiedzialność wielka. Niemniej cieszę się, że będę mógł reprezentować swój kraj na konferencji, która ma szansę zaprowadzić pokój w Europie.

Obaj weszli do środka, pozostawiając członków grubej trójki na schodach, aby przyjmowali pozostałe delegacje. W środku poprowadzono ich długim korytarzem, po czym wprowadzono do dużej i przestronnej sali.

Umeblowanie stanowiły tu długie stoły, niemal w całości pokryte mapami i papierami. Z sufitu zwisały dwa ogromne żyrandole, które miały umożliwić komfortowe prowadzenie obrad nawet w nocy. Na razie jednak promienie słoneczne przenikały przez duże okna, wychodzące na słynne ogrody. Sufit wspierał się na dwóch szczerolotych kolumnach, które umieszczono dokładnie pośrodku sali. Na ścianach wisiały płótna największych mistrzów pędzla, starannie oprawione w złote ramy.

Dmowski, który tkwił we Francji od ponad roku, nie przyglądał się niczemu, bo miał głowę czym innym zaprzątniętą, ale Ignacy z zachwytu nie mógł oczu oderwać.

– I tak niczego stąd nie wyniesiemy – przypomniał Dmowski. – Więc bądź łaskaw zaprzestać podziwiania Moneta.

– Nie ma w tobie za grosz artystycznej duszy – skarcił go Paderewski. – Boże, jakie to wszystko piękne! Ta gra świateł, ta wyrazistość kolorów! Normalnie zdaje się człowiekowi, że ci ludzie ruszą się z ram, gdy tylko oczy odwrócisz.

– To pozwól im rozprostować kości. Widziałeś, jak Lloyd na nas patrzył?

Usłyszał, jak Paderewski chichocze pod nosem.

– Tak, trudno posądzać go o to, aby pałał do nas miłością. Ale mów, co chcesz powiedzieć, bo tamci zaraz przyjdą, a wtedy to już ani jednego szczerego słowa ze sobą nie zamienimy.

– Wiem, że jesteś premierem rządu, ale masz mizerne doświadczenie polityczne. Nie obraż się, ale tak jest. Chciałbym więc, żebyś pozwolił mi prowadzić rozmowy z Francuzami... – Zawiesił głos, czekając na reakcję.

Paderewski roześmiał się w duszy. Jedyne, co mógł o sobie powiedzieć z niezachwianą pewnością, to to, że nigdy nie miał i nie będzie miał żadnych ambicji politycznych. Zgodził się objąć urząd po Jędrzeju Moraczewskim, aby zapobiec wojnie polsko-polskiej, która między Piłsudskim a Dmowskim wybuchnąć mogła. Wiedział, że sprawuje swój urząd tymczasowo, i godził się z tym. Teraz też ani myślał stawać Dmowskiemu na drodze.

– Jestem premierem zgody narodowej. Podjąłem się trudu negocjacji między tobą a Piłsudskim, aby z waszej wzajemnej niechęci nieszczęście nie wynikło. Wy obaj desygnowaliście mnie na premiera, choć biorę Boga na świadka, że nie chciałem tego zaszczytu. Ale głupim jest ten, kto słabości swoich nie widzi. Ja jestem człowiek prostolinijny, a to w polityce wada poważna.

Dlatego powiem ci szczerze, że wdzięczny jestem za twoją propozycję. Zezwalam, abyś wziął na siebie Francję i Wielką Brytanię. Amerykę jednak wezmę na siebie ja, bo mam wśród doradców prezydenta Wilsona wielu oddanych mi przyjaciół. Mowę naszej delegacji także wygłoszę ja, ale wspólnie ją redagować będziemy.

W wiodącym do sali korytarzu, gdzie przebywali, rozległ się stukot kroków. Po chwili przestronne pomieszczenie wypełniło się delegatami pozostałych państw. Zaczęły się zwyczajne w takich wypadkach ponowne powitania i przekomarzania. Ale rzecz szczególna: Czesi, Litwini i Polacy udawali, że nie widzą siebie wzajemnie.

Żadna z zainteresowanych bezpośrednio stron nie dziwiła się temu. Wszystkie te kraje rościły wzajemne pretensje terytorialne o fundamentalnym dla siebie znaczeniu. Nikt, jak Litwa długa i szeroka, nie wyobrażał sobie odrodzonego kraju bez Wilna w swoich granicach. Tak samo myśleli Polacy. Obie strony udały się do Wersalu z nadzieją na uzyskanie korzystnego dla siebie rozstrzygnięcia sporu.

Zadecydować o tym miały najpotężniejsze państwa na kontynencie. Na razie jednak było jeszcze do tego daleko. Przywódcy wielkich mocarstw niezbyt dobrze orientowali się w skomplikowanych relacjach, jakie łączyły kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Ich skomplikowana i pogmatwana historia nie upraszczała tego w najmniejszym stopniu. Nie ułatwiały tego również spory, jakie uwidoczniły się także w łonie państw sprzymierzonych, gdy tylko przestało im grozić bezpośrednie zagrożenie ze strony Niemiec. Już na początku konferencji dały one o sobie znać, gdy przyszło do uchwalenia składu wielkiej trójki. Skład jej był wszystkim znany, ale miejsca przy stole obrad zażądał dla siebie premier Włoch. Był to wszak jedyny zgrzyt,

ponieważ obrady dotyczyły przede wszystkim sposobu ich prowadzenia.

Dmowski nudził się niemiłosiernie. Czczą gadanina irytowała go niezmiennie od czasów szkolnych. W ogóle czuł się tak, jak gdyby cofnął się do tamtych lat; ustawicznie zerkał na przegub ręki, aby sprawdzić, ile jeszcze czasu przyjdzie mu tu spędzić. Nie słuchał paplaniny włoskiego premiera. Facet był głupcem, jeśli naprawdę myślał, że gruba trójka dopuści go do upolowanej przez siebie zwierzyny. On sam nigdy nie skompromitowałby się podobnym wyjściem przed szereg.

– A więc podstawowe sprawy mamy ustalone – stwierdził brytyjski premier, pozornie nie patrząc na nikogo. – Decydujący głos będzie miała rada dziesięciu, w skład której wejdą premierzy i ministrowie spraw zagranicznych Francji, Włoch, Japonii, Zjednoczonego Królestwa i Stanów Zjednoczonych. Niech mi będzie wolno poprosić przedstawicieli państwa polskiego, aby jutro wygłosili przemówienie, w którym przedstawią i uzasadnią swoje roszczenia terytorialne.

Dmowski od pierwszych chwil tej konferencji oczekiwał na cios ze strony brytyjskiego premiera. Rozmyślał, jak osłabić jego siłę. Lecz gdy nadszedł, okazał się bezbronny. Nie wątpił, że nad tą zagrywką pracował cały sztab ludzi. Obiektywnie musiał przyznać, że znakomicie wykonali oni swoją robotę. Zastanawiał się tylko nad tym, co obiecali Francuzom w zamian za pozostawienie Polski na lodzie. Nie mogli odmówić propozycji George'a. A z drugiej strony nawet gdyby wyleźli ze skóry, to w ciągu jednej nocy nie zdołają przygotować spójnej i logicznej mowy, w której mogliby zawrzeć wszechstronne uzasadnienie swoich praw do spornych terenów zachodnich.

Już miał wstać, aby się zgodzić, gdy poczuł, jak Paderewski chwytą go za rękę. Zamarł w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Paderewski wstał i odparł wśród głuchego milczenia:

– Jesteśmy wdzięczni panu premierowi za propozycję, która jest dla naszego odrodzonego państwa niezmiernym zaszczytem. Polska nigdy nie uchylała się od wspierania Europy. To szable i husarskie kopie naszych przodków powstrzymały armię turecką pod Wiedniem. Dziś to nie znad Bosforu, a znad Wołgi wynurza się bolszewickie niebezpieczeństwo. Polska odmówiła udziału w interwencji w Rosji, ponieważ nie jesteśmy w stanie wystawić dostatecznie silnej armii, aby odnieść rozstrzygające zwycięstwo. Jednak gdyby państwa sprzymierzone zdecydowały się wspomóc nas finansowo, to w imieniu mojego rządu zobowiązuję się do wystawienia na wiosnę milionowej armii, która ruszy ku Moskwie. O ile państwa sprzymierzone wyposażą ją za własne pieniądze. Naszym zdaniem to właśnie ten projekt winien być rozważony na najbliższym posiedzeniu rady dziesięciu.

Cisza, jaka zapanowała po tych słowach, była uderzająca. Lloyd George łąpał otwartymi ustami powietrze jak ryba wyjęta z wody, a Clemenceau zbladł. Jeden Wilson zachowywał kamienną twarz. Wśród pozostałych delegacji szumiało jak w ulu. Słowa Paderewskiego przekazywano sobie wzajemnie w różnych językach. Rozległo się szuranie odsuwanych krzeseł. Obrady dobiegały do finału, choć nikt ich oficjalnie nie zakończył. Paderewski przeszedł przez spontanicznie utworzony szpaler, poklepywany przez wszystkich dookoła.

Dmowski sunął się za nim jak cień – był wściekły. To, co obiecał Paderewski, było szaleństwem. Czyżby jego instynkt polityczny, w którym pokładał tak wielkie nadzieje, zawiódł w najważniejszym dla kraju momencie? A Paderewski okazał się typowym wychowankiem Sienkiewicza, który w życiu kierował się sercem, a nie rozumem. Miał ochotę go udusić.

Z trudem wyczekał na moment, aż znaleźli się sami na tylnym siedzeniu samochodu. Od razu zaatakował go bez pardonu:

– Czy ty zwariowałeś?! Kto dał ci pełnomocnictwo do czynienia w imieniu narodu tak daleko idących zobowiązań?! Za poklepywanie po plecach sprzedałeś polską rację stanu. To, co powiedziałeś, oznacza wojnę z Sowieciami. Nikt nie pali się do interwencji w Rosji, a my mamy tam posyłać naszą nieopierzoną armię, która jest jeszcze w powijkach. I to za nic zupełnie.

Paderewski przeczekał ten wybuch. Spodziewał się po Dmowskim tak gwałtownej reakcji. Sam musiał się nieźle nagimnastykować i naprzekonywać doradców, aby zezwolili mu na to zagranie. Jadąc na konferencję, wiedział, że Brytyjczycy będą ich najpoważniejszym wrogiem. Spodziewał się, że będą im rzucać kłody pod nogi. Dlatego należało zawczasu przygotować asa, aby rzucić go na stół, gdy rozpocznie się gra.

– Nie osądzaj mnie, bo nie masz pełnego oglądu sytuacji. Widziałeś ich miny. Wcale nie wyglądali na szczęśliwych. A dlaczego? Bo oferta, którą im przedstawiłem, jest nie do przyjęcia. Europa boi się bolszewików, ale nie na tyle, żeby wysyłać na rosyjskie stepy swoich najlepszych synów.

– Niewielu już ich zostało – zauważył ironicznie Dmowski.

– Otóż to – zgodził się Paderewski, przylizując potargane włosy. – Ale opinia publiczna chciałaby, żeby ktoś za nią rozwiązał ten problem. I tu na scenę wkraczamy my. Polska mesjaszem narodów. – Uśmiechnął się.

Dmowski złapał się za głowę, słuchając. Tyle lat zwalczał w narodzie głupotę politycznego romantyzmu, a tu premier, w którego powołaniu na urząd miał swój niemały udział, wygadywał takie bzdury. Załamał ręce. Gdyby tak móc rzucić to wszystko i wyjechać w Bieszczady – pomyślał.

– No, no, uspokój się. To prawda, że wy, endecy, nie znacie się na żartach. Ale już przechodzę do rzeczy. Projekt upadnie, bo Wilson się na niego nie zgodzi. Niedługo ma wybory, a udzielenie takiej pożyczki nie zostałyby dobrze przyjęte przez jego wyborców.

Nadażasz? My wykreujemy się w światowych gazetach jako ci dobrzy, co chcieli rozwiązać problem, a oni pożałowali na ten szczytny cel paru groszy.

– A ludzie nie będą oburzeni, że żądamy od nich gigantycznych sum, na które oni będą musieli się złożyć?

– Nie. Ludzie nie chcą zdawać sobie sprawy, że rząd nie ma własnych pieniędzy, a jedynie operuje tymi, które ściąga z obywateli w formie podatków – odparł Paderewski. – Ludzi interesuje to, co mają w portfelu. Zobaczysz, że jutrzejsze wydania wszystkich gazet na świecie będą się nad nami rozplęwać. Urobiłem grunt pod nasze przyszłe przemówienie.

Dmowski zastanawiał się, jak powiedzieć Paderewskiemu, że dał się kompletnie zaskoczyć wypadkom, i jego przemówienie nie jest gotowe, nawet w formie szkicu. Po prostu nie spodziewał się, że będą zmuszeni przemawiać tak szybko. Przyjechał do Paryża prosto z Genewy. I nawet nie zdążył porządnie wypocząć, gdy otrzymał wiadomość, że konferencja rozpocznie się dzisiaj. Cholerny, zimny, angielski skurwysyn! – zaklął w myślach.

Przez głowę przebiegła mu myśl, aby zrezygnować z wygłoszenia przemówienia. Ale zgasła równie szybko, jak się pojawiła. To byłoby tchórzostwo. Poza tym przypomniał mu się ojciec, który zawsze marzył, że jego Romuś zrobi coś pożytecznego dla Polski. Nie zwątpił w niego nawet wtedy, gdy nie uzyskał promocji z klasy do klasy. On nie może teraz zwątpić w siebie. Jeśli się wycofa, to Brytyjczycy zatriumfują. Przedstawi sprzymierzonym swoją koncepcję granic Polski, bez uwzględniania romantycznych wizji Piłsudskiego.

– Mówię do ciebie, a ty mnie nie słuchasz. – Głos Paderewskiego wyrwał go z zamyślenia. – Sowiety nie odbiorą naszej deklaracji jako wypowiedzenie wojny, ponieważ pojedzie do nich Wieniawa-Długoszowski, aby zawrzeć rozejm. Wróbelki ćwierkają, że na wiosnę Naczelnik uderzy na Wilno. To się czerwoni zdziwią, jak

zażądamy rachunku za ich zbrodnie w mieście. Tylko się znowu nie krzyw – zastrzegł Paderewski. – Niewypowiedziana wojna z czerwonymi już trwa. Na razie to tylko utarczki małych oddziałów, ale nie minie wiele czasu, a wojna rozpali się na całego.

– Czy on zwariował? – Dmowski nie krył oburzenia. – Nie może wykorzystywać zwierzchności nad wojskiem do realizowania własnej polityki. W sprawie kształtu naszych granic ostateczna decyzja winna należeć do sejmu. Trzeba przeprowadzić wybory do sejmu i senatu, aby naród mógł się wypowiedzieć poprzez swoich przedstawicieli co do ostatecznego kształtu wszystkich granic państwa. Nikt inny, choćby nie wiem jak zasłużony dla sprawy niepodległości, nie ma takowego prawa.

– Oskarżasz go o zapędy dyktatorskie?

– Nie, jeszcze nie. Chcę tylko, żeby przestał realizować swój własny projekt polityczny, bo nie po to powierzono mu dowodzenie nad wojskiem. Polska ma dość inteligentnych ludzi, aby wytworzyć taki system polityczny, w którym osoby o różnych poglądach znajdują swoje miejsce. Wiem, że on uważa mnie za swego największego politycznego przeciwnika. I prawda to jest. Ja się z nim fundamentalnie nie zgadzam. Koncepcja federacyjna byłaby dobra, ale trzysta lat temu, gdy stanowiliśmy potęgę w regionie i rozdawaliśmy karty. Dziś Polska jest państwem słabym. Wchodząc w konflikt z bolszewikami o Ukrainę czy Białoruś, niczego nie zyskamy... Zresztą tych krajów w ogóle nie ma. Ci ludzie nie mają świadomości narodowej, nie odczuwają żadnej więzi pomiędzy sobą i mieliby stworzyć pełnowartościowe państwo, aby chronić nas przed czerwonymi. To są wszystko mrzonki, które nie mają w sobie krzty realizmu. Te tereny należy przejąć, a tamtejszą ludność spolonizować.

Paderewski był skołowany. Czuł instynktownie, że żaden z tych dwóch polityków nie odstąpi od swoich zamierzeń. Znał i on ambicje Piłsudskiego. Wiedział, że wykorzysta armię, aby

zrealizować swoje plany. Nie po raz pierwszy czuł się między tymi dwoma jak między młotem a kowadłem. Kraj znalazł się na wielkim dziejowym rozdrożu; i każdy z nich pchał go w tę stronę, którą uważał za właściwą. Każdy z nich miał za sobą oddanych zwolenników, gotowych dać się za niego pokroić. To nie byłoby złe. Gdyby tylko Dmowski z Piłsudskim byli statecznymi ludźmi, to pod ich przewodem ich zwolennicy mogliby oddać krajowi znaczne zasługi. A tak? Tu, u licha, wojna domowa wybuchnąć gotowa!

Przeraził się na tę myśl. Przeżegnał się, jak robiła to jego babcia, gdy chciała się od złego zabezpieczyć. Ale wiedział, że to niczemu nie zaradzi. Kraj był podzielony. I to teraz, gdy potrzebował zgody bardziej niż kiedykolwiek. Bez tego cała jego praca na marne pójdzie, a odradzająca się Polska będzie tylko majakiem, który rozwieje się, nim do końca powstanie.

Rozdział IX

Długoszowski pakował się z rozmysłem. Z namaszczeniem wkładał do rozłożonej na łóżku walizki przybory do golenia, ciepły wełniany sweter. W Rosji zimy bywają straszne, co zdążył odczuć na własnej skórze. Tęsknym wzrokiem spojrzął na szafę, gdzie wisiał galowy mundur. Jego nie mógł wziąć, mimo że miał na to szczerą ochotę. To była jedyna niedogodność tego zadania. Miał jechać po cywilnemu. Poza tym perspektywa odpoczynku od blichtru stolicy, kawiarni i dysput z poetami wydawała mu się wybawieniem. Dusił się w ich świecie, choć potrafił się weń wtopić. Mógł pisywać wiersze, piosenki legionowe, ale zawsze wiedział, że przede wszystkim jest żołnierzem. Toteż cieszył się na samą myśl o podróży, która innych przyprawiłaby o palpitację serca.

Usłyszał ciche kroki. Wiedział, kto nadchodzi. I straszna rzecz: on, legendarny ułan, człowiek, który w setkach potyczek wyróżnił się odwagą, bał się własnej żony. Stefania byłaby idealną towarzyszką życia dla każdego mężczyzny, tylko nie dla niego. On po prostu nie nadawał się do życia rodzinnego. Zawodowi żołnierze nie powinni się żenić. Hołdował tej zasadzie od zawsze. Jednak pewnego dnia trafił na Stefanię. Myślał, że przy niej zdoła się zmienić, ustatkować. Dziś wiedział, że były to czcze pragnienia. Tacy jak on nigdy się nie zmieniają. Nikt nie zdołał jeszcze zmienić wilka w domowego pieska.

Zobaczył ją, gdy stanęła w drzwiach. Gdy na nią patrzył, przypominał sobie, dlaczego właściwie stanął z nią niegdyś na

ślubnym kobiercu. Trudno mu było wyobrazić sobie kobietę o doskonalszym typie urody. Stefania Calvas miała długie czarne włosy, które tak uwielbiał. Kochał w niej wszystko: pełne usta, owalną twarz, labędzią szyję. Niestety, obcy ludzie weszli między nich i zatruli jej serce. Już nie rzucała mu się na szyję, gdy wracał do domu, wołała zaczytywać się w „Kurierze Codziennym”, gdzie opisywano jego wydumane romanse.

Nie był święty. Ale nigdy jej nie zdradził, to mógłby jej zaprzysiąc na krucyfiksie. Tylko że ona słuchać nie chciała. Zatrutowała mu życie swoimi podejrzeniami. W końcu doszło do tego, że przestał wracać na noc do domu, a zaczął włóczyć się po knajpach o podejrzaną reputację, pijąc na umór. Staczał się coraz głębiej i nie wiadomo, jak by się sprawa skończyła, gdyby nie Piłsudski, który nie dał mu się wykoleić. Rozmyślnie wynajdywał mu różne funkcje, aby nie rozpamiętywał swego położenia.

Dopiero praca organizacyjna przy tworzeniu zrębów odrodzonej armii wywarła na niego swój dobroczynny wpływ. Przestał rozmyślać o swoim życiu uczuciowym, bo najzwyczajniej w świecie nie miał na to czasu. Od rana do nocy zastanawiał się, skąd wytrzasnąć pieniądze na wyekwipowanie kolejnych pułków kawalerii. Szło mu to całkiem nieźle, bo wiedział, jak podejść potencjalnych ofiarodawców, by otworzyli portfele dla nowo tworzonej armii. Ta praca przywróciła mu dawną energię i wigor.

Teraz musiał jeszcze przetrwać ostatnie spotkanie ze Stefanią.

– Wreszcie raczyłeś pojawić się w domu! Bo do tej pory obserwowałam twoje pijackie wyczyny jedynie dzięki gazetom! – Podeszła do niego i wycelowała palec w jego pierś. – Czemu milczysz? Po latach małżeństwa nie masz mi kompletnie nic do powiedzenia? Nie przeprosisz mnie za swoje zdrady, które wystawiły mnie na pośmiewisko całego miasta? Myślisz, że miło jest czytać o swoim mężu, że zwiedził wszystkie łóżka stolicy?

Nie odpowiedział. Bo i po co? Między nimi już nic nie było. Pozostały tylko wzajemne żale i niechęć. Żadne słowa nie mogły już tego zmienić. Nie chciał się z nią kłócić. Piłsudski zajmie się nią, jeśli jemu w Moskwie przydarzy się coś złego. A to było najważniejsze. Rzucił szybko okiem na walizkę, aby sprawdzić, czy spakował już wszystko, zaplął ją na zatrzaski i ruszył ku drzwiom.

Stefania spostrzegła ten ruch. Błyskawicą podbiegła do drzwi i zablokowała je ciałem:

– Nie uciekniesz!

– Bądź rozsądna – poprosił prawie błagalnie. – Dlaczego mamy tkwić obydwój w toksycznym związku, który żadnemu z nas nie przyniósł szczęścia? Nie lepiej rozejść się w pokój? Dzieci nie mamy, żeby trzeba było męczyć się dalej ze sobą. Dam ci rozwód od ręki, abyś mogła ułożyć sobie życie, z kim zechcesz. Ja zawsze będę ci życzliwy. Tyle mogę obiecać. Ale dłużej w tym związku trwać nie myślę.

To rzekłszy, odsunął ją delikatnie i wybiegł z pokoju. Sam nie wiedział, jak znalazł się na ulicy. Nie oglądał się za siebie, bo nigdy tego nie robił. Obojętne, czy uciekał od zazdrosnej żony, czy wiódł pułk do ataku.

Łatwiej wychodzi mi to drugie, pomyślał, kierując się w kierunku Alei Jerozolimskich.

Chociaż wstawał dopiero świt, miasto już wrzało. Po zaśnieżonych ulicach jeździły dorożki, które nie miały jeszcze pasażerów. Długoszowski widział gospodynie bogatych domów, które wracały z targów z siatami wypełnionymi produktami. Dzieci ulicy powracały do swoich nor. Dostrzegł pary doliniarzy, którzy czujnie obserwowali kieszenie potencjalnych ofiar. Nie martwił się tym. Miał dobre układy z przestępczą bracią. Dobrze było mieć znajomości w różnych kręgach społecznych.

Cieszył się, że w Warszawie trzymał piętnastostopniowy mróz, bo neutralizował zapach końskiego nawozu, który w wielu

miejscach pozostawiły po sobie dorożkarskie konie. Niby nie powinno go to ruszać, ale po kilku miesiącach przebywania w sztabie odwykł od zapachu końskiego kału. Musiał tylko uważać na ukryty pod zwałami śniegu lód, aby nie złamać sobie nogi. Teoretycznie obowiązek odśnieżania ulic spoczywał na dozorcach kamienic, ale nie było jak go wyegzekwować. Toteż co chwila wpadał w poślizg. Tak płacząc się i potykając, dotarł na róg Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej.

Peron był opustoszały. Jedynie przy torach krzątała się grupa ludzi, odrzucając zwały śniegu, które zalegały na kolejowych podkładach. W ruch poszły rydle i łopaty; pracowano bez wytchnienia, a ciężka to była robota, bo wiatr niweczył ją ustawicznie. Toteż pracujący co chwila ustawiali, ocierali pot z czoła i wspierali się na styliskach łopat. Stojący nad nimi kolejarz nie poganiał ich, bo dobrze rozumiał bezsens tej roboty. Ale nikt go o zdanie nie pytał, więc i przerywać jej nie kazał.

Długoszowski postawił walizkę w śniegu i podszedł do kolejarza. Przyjrzał mu się z ciekawością.

Był to mężczyzna wiekowy, ale krzepki jeszcze i prosto się trzymający. Twarz miał szczupłą, owalną i pozbawioną zmarszczek. Krótko obcięte siwe włosy ukrył pod czapką. W jego jasnych oczach czaiły się wesołe ogniki. Wieniawa rozpoznał w nim od ręki człowieka, który lubi się zabawić. Wzięłyby go za żołnierza, gdyby nie wystający spod munduru brzuch.

– Widzicie przecież, że ta robota nie ma sensu, bo śniegu ciągle przybywa.

Stary odwrócił się ku niemu i odparował:

– Co mnie mówi? Niech tym durniom z PKP powie, jak taki mądry. Ja mam tory odśnieżać, to odśnieżam, a od myślenia to są ci, którzy więcej ode mnie zarabiają.

– Toż nie wy odśnieżacie, tylko ci ludzie łopatami machają, z czego żadnego pożytku nie ma. Nie szkoda ich trudu i wysiłku?

Stary machnął ręką i rzekł:

– Panie, mnie tam głupich nie szkoda. A kto chce w takim czasie na wschód się pchać, ten albo wariat, albo szalony. Tam teraz wojna wrze. Nawet chłopci w kupy zbrojne się gromadzą i po kraju na kształt szarańczy grasują, że o białych i czerwonych już nie wspomnę. Jedni drugich ze skóry łupią, wsie z dymem puszczejają. Już tu u nas słyhać, że na Rusi głodno być zaczyna, bo tam nikt teraz nie ma głowy do zasiewów. A widzisz pan, jaka zima sroga. – Wskazał na leżący dookoła śnieg. – Toż i u nas, jak zima się przedłuży, głodu można się spodziewać, bo znaczna część kraju spustoszona została. Miły Boże, ileż to razy front przez tę nieszczęsną ziemię przechodził. A co przeszedł, to jedne zgliszczą i trupy za sobą zostawiał. Ale to jeszcze nie to, co na Rusi.

Wieniawa znał wszystko to, o czym mówił starzec, z raportów wywiadu, niemniej słuchał z zainteresowaniem. Zdążył się już bowiem przekonać, że żaden raport wywiadu nie da tylu informacji, co rozmowa ze zwykłym człowiekiem. A działa się tak dlatego, że raporty zwykle w różowym atramencie były maczane. Niebezpieczeństwo głodu było realne. Polska nie miała zapasów materiału siewnego, aby nim na wiosnę obsiać grunta. Ba, już przetrwanie tej zimy mogło okazać się kłopotliwe. Jedyna nadzieja w Paderewskim, że wydostanie ziarno na zasiew od Amerykanów – pomyślał Wieniawa.

– Ja tak samo na Rosję jadę, a nie wydaje mi się, żebym był szalony.

– To bierz się za łopatę.

Wieniawa oczy wybałuszył. Ale co było robić? Chwycił za łopatę i stanął wraz z innymi do roboty. Ech, gdyby przyjaciele z warszawskich elit mogli go teraz widzieć, jak odgarnia śnieg na Dworcu Wiedeńskim. Pewnie podusiliby się ze śmiechu. Ale jego cieszyła myśl o ciężkiej pracy. Tu był anonimowym człowiekiem, nikt nie próbował mu się przypochlebić, aby uzyskać jego

protekcję u Piłsudskiego. Był szczęśliwy, mimo że każdy ruch łopaty zaczynał sprawiać mu ból, a pot zalewał oczy. Linia torowiska stawała się coraz wyraźniejsza. Wreszcie, po kilku godzinach pracy, tory zostały odśnieżone i stały się zdatne do jazdy.

Czekający w pobliżu pociąg wtoczył się na tor; zza kłębow pary, jaka go okrywała, niewiele dało się dostrzec. Umorusani i umęczeni ponad miarę podróżni przywitali zjawienie się wagonów westchnieniem ulgi. Migiem rozeszli się w poszukiwaniu swoich waliz, pakunków i tobołków. Wreszcie odnaleźli je, prawie całkiem pokryte śniegiem. Otrzepanie ich zajęło znowu trochę cennego czasu. Nareszcie weszli do wagonów.

Wieniawa rozsiadł się w pustym przedziale. Przyjemne ciepło, tak miłe po kilkugodzinnym pobycie na trzaskającym mrozie, rozchodziło się po całym ciele. Po chwili poczuł, że odtajał. Głowa opadła mu na piersi, a oczy kleiły się same. I pewnie by usnął, tym bardziej że czuł w swoich kościach cały wysiłek, jaki w odśnieżanie włożył, gdyby nie otworzyły się drzwi.

Do przedziału wparował ten sam kolejarz, który nadzorował ich prace przy torach. Nie pytając go o pozwolenie, usiadł obok niego i bezceremonialnie trącił go ręką.

– Śpicie? – zapytał dla porządku.

– Boże, człowieku, daj mi pospać! Najpierw musiałem machać łopatą, bo pańskim zwierzchnikom nie chciało się zrobić tego, co do nich należy. Dobrze, że jest lokomotywa, bo może musielibyśmy sami ciągnąć te wagony.

Stary poczerwieniał, zębami zgrzytnął, aż wreszcie zebrał się w sobie i przemówił:

– Myślałem i ja, że w wolnej Polsce wszystko będzie inaczej. Ot, doczekałem się, ja, żołnierz Kruka, że za mojego życia wolną Polskę zobaczyłem. I przeraziłem się. W tym kraju nic nie pozostało: wszystko, co było, w gruzy obrócone zostało. Nie ma

dróg, mostów, fabryk, niczego nie ma. Tylko ludzie zostali tacy, jacy byli: dalej wszyscy jąttrzą, dzielą, kłają się wzajem, zamiast zgodnie na dobro ojczyzny pracować. A roboty jest tyle, że dla każdego starczy, bo to trud, który przekracza siły i możliwości jednego pokolenia. Pewnie, że mielenie językiem łatwo ludziom przychodzi, bo gardłować każdy potrafi, ale jak do mrówczej pracy przychodzi, za którą się człowiek garbu na plecach dorobić może, a nie uznania, to chętnych nie ma. Bo u nas zawsze orłów za dużo, a mrówek za mało.

– Mądry z was człowiek – odparł Wieniawa. – Ale czy aby nie za ostro ludzi sądzicie? Przecież zwyczajna to rzecz, że ludzie różne poglądy mają i się między sobą spierają. Bo to jednemu podoba się blondynka, a drugiemu brunetka. Tak samo i z partiami. Jednemu ta odpowiada, bo jego poglądy reprezentuje, a drugiemu inna. Wspomnieliście o Kruku, czy nie o tym, co Ruskim prawie dwieście tysięcy rubli z konwoju zrabował?

– Niczego nie zrabowaliśmy – stwierdził stary nieznoszącym sprzeciwu tonem. – My jedynie wzięliśmy, co nasze. Tak, jak dziś pamiętam... – Zapatrzył się przed siebie, jakby wspomnień w głowie szukał. Wreszcie zaczął opowiadać: – Miałem wtedy dwadzieścia lat; pochodzę z Żyrzyna. Rodzice moi, panie, świeć nad ich duszami, mieli tam gospodarstwo, w którym i ja pracowałem. Nie wiem, czy wiesz, jak się żyje na wsi. Gospodarstwo było małe, a gęb, co się z niego żywiły, nie zliczyć. Tak i człowiek musiał się różnych zajęć imać, żeby przeżyć. Poszedłem za fornała do dworu. Z dziedzicami na polowania chodziłem, z bronią umiałem się dzięki temu obchodzić. Anim przypuszczał, jak bardzo mi się to wkrótce przyda.

Twarz starca rozpogodziła się, jakby powracające wspomnienia przywracały mu i siły, które dawno z ciała uleciały. Jego dusza zdawała się uciekać ku tym latom strasznym, a wielkim zarazem, które położyły podwaliny pod te wydarzenia, jakie teraz oglądał

własnymi oczami. I choć wiele mu się nie podobało, to przecież czuł dumę, że będzie mógł, gdy pora nadejdzie, by kłaść się do mogiły, powiedzieć tym, którzy polegli: melduję wykonanie zadania.

– Już wtedy słuchy zaczęły chodzić od wsi do wsi, od chaty do chaty, że coś się szykuje. Po lasach chowano broń, a w kuźniach po nocach przekuwano kosy na sztorc. Z rąk do rąk przechodziły manifesty, które ziemię chłopom obiecywały. To było jak gorączka. Wszyscy czekaliśmy niepewni, co się zdarzy. Ech, byliśmy młodzi. Ani przypuszczaliśmy, jak lichy są nasze siły i środki, a jak straszna potęga i moc nieprzyjaciela. To nie było ważne, lecieliśmy na własnym uniesieniu jak na koniu. Aż przyszła owa noc styczniowa, kiedy wszystko się zaczęło.

Słuchał tej opowieści jak zaczarowany, choć znał dzieje powstań dobrze, bo Piłsudski miał na tym punkcie prawdziwego fioła. Jednak co innego czytać martwe litery, kroniki pełne suchych faktów i dat, a co innego rozmawiać z żywym świadkiem i uczestnikiem tamtych zdarzeń, któremu błyszczą oczy, gdy wspomina dawne czasy. Słuchało mu się miło tych wspominek jeszcze z jednego powodu: w tych ludziach, których ani widział, ani poznał, odnajdywał samego siebie. A może każdy Polak miał w sobie coś, co dziedziczył po swoich przodkach?

On także ani się zatroskał, ani pomyślał, co jutro będzie. Do bitwy chodził jak w taniec, bo co mu tam. Niektóre jego akcje wojenne były wprost szalone, a przecież zawsze potrafił się sianem z opresji wykręcić. Największą ufność od zawsze pokładał w szabli i w pięści, bo wydawało mu się, że ostra szabla i chłodna głowa potrafią z każdego niebezpieczeństwa wyratować.

– Pewnego dnia doszły nas wieści z Warszawy, że branka ruszyła, ale nie brali poprzez losowanie, a na podstawie z góry ułożonych list, na których byli ludzie podejrzewani przez władzę

o działalność konspiracyjną. – Stary trącił się kulakiem po czole. – Czekajże, to było bodajże piętnastego stycznia.

Skinął głową. Nie żeby miał pewność, ale nie chciał staremu opowieści przerywać. Zresztą, kończył medycynę, a nie historię, więc miał chyba prawo mieć niewielkie luki w tej dziedzinie edukacji. A swoją drogą, i to dobrze, że się udało, bo przecież ze szkoły wyrzucono go na zbity pysk i tylko cudem zdał maturę eksternistycznie. Ciekawe, co by dziś powiedzieli jego nauczyciele, gdyby go zobaczyć teraz mogli. Pamiętał przecież dobrze, jak mu przepowiadali, że będzie nikim. A ot – wyszedł na ludzi.

– Mówią, że to Aleksander Wielopolski rzecz całą tak obmyślił, aby przyszłe powstanie kadr pozbawić. Nie było to podejście całkiem od rzeczywistości oderwane, ale przyniosło efekt odwrotny od zamierzonego. Siłą rzeczy musieliśmy iść do lasów, bo każdy z nas wiedział, że jak go na wschód powłoką, to domu ani najbliższych więcej nie ujrzy. Szli wszyscy, to poszedłem i ja. Zebraliśmy się w kupę w Puławach i poszliśmy. Broni nie mieliśmy prawie wcale. Chłopi tylko dźwigali kosy, które w naszym ręku, zaiste, straszliwą broń stanowiły.

– Co też mówicie!? Kosa to całkowity przeżytek. Rozumiem, że z braku laku... ale wynoszenie kosy nad karabin to grube nadużycie. Opowiadajcie lepiej, jak to było z bitwą pod Żyrzynem, bo rozciągacie tę waszą opowieść jak posłowie przemówienia w Dumie.

Dotknęła mocno ta wypowiedź staruszka, więc odparował z miejsca.

– Karabiny często się zacinały, a kosą mogłeś machać dopóty, dopóki ci oddechu w płucach starczyło, a pary w rękach. Ja miałem swoją dubeltówkę, ale kiedy widziałem, jak kosynierzy siekli i bodli rosyjskich jegrów, słyszałem ten potworny świst kosy, to mówię ci, że ciarki po plecach mi szły...

Tu stary zaczął rozwodzić się szeroko nad swoimi walkami w oddziale Krywickiego. Opowiadał, jak to generał Chruszczow wojsko przeciw nim wysyłał. Z jego opowieści Wieniawa przekonał się, jak tragicznie przedstawiała się sytuacja powstańców już na początku. Ścigano ich i tępieno bez miłosierdzia; więzienia w Rykach, Urzędowie i Dęblinie zapelniały się schwytanymi powstańcami i ludźmi, którzy żywili dla nich przychylnie uczucia. Wydawało się, że powstanie musi upaść od razu. A jednak trwało. Na próżno Chruszczow wznosił po miastach szubienice, ucinał chłopom ręce. Powstanie szerzyło się po województwie jak pożar, bo szczyby w ludziach uzupełniano błyskawicznie. Jak gdy drwale wytną las, a on zaraz odrasta, tak na miejsce jednej rozbitej partii powstańczej pojawiały się trzy nowe. Brakowało tylko wodza, jednolitego planu i amunicji.

– Tak i tępił nas aż do lata, gdy w nasze strony zawitał Kruk. Ten zaraz uznał, że dłużej nie możemy pozostawiać inicjatywy w rękach ruskich, bo nas w końcu wygniotą. Nasz oddział miał wtedy ruskich na karku, ale z Bożą pomocą udało nam się ich oszukać i połączyć się z Krukiem. Potem ruszyliśmy do Rozkopaczewa, gdzie około południa nadciągnął oddział Wierzbickiego. Ścigał ich major Zawadzki z oddziałem w sile sześciu kompanii piechoty, szwadronu jazdy, sotni kozaków i dwóch działek... Starliśmy się w rejonie Kaniowoli. Ruscy uderzyli na nas otwartą szarżą. Jedyne, co widziałem, to rozdęte chrapy ich koni i błyskające nad głową szable. Podpuściliśmy ich blisko, żeby amunicji nie marnować, bo nie mieliśmy jej za wiele, kiedy jak nie gruchniemy z bliska! Wstęga dymu poszła wzdłuż szeregów, a moskali wyrwało z kulbak. Część usiłowała wydostać się spod koni, które przygniotły ich, upadając, ale niewielu z nich zdołało to zrobić, bo ledwie wygrzebali się spod rumaków, już ich nasi kosynierzy podobijali. Bylibyśmy ich wszystkich wyczesali, już szli na nas z gwoździemi, żeby się armatami zająć, gdy Zawadzki

dał swoim znak do odwrotu. Myśmy ich nie ścigali, bo amunicji skąpo już było, a poza tym baliśmy się, czy większych sił w czasie pościgu nie napotkamy, których pokonać nie bylibyśmy w stanie. Pobraliśmy więc swoich rannych i zabitych, aby ich normalnym uczcić pogrzebem, i poszliśmy na Chruślinę, bo nas wieść doszła, że tam transport uzbrojenia z Galicji przyjdzie.

Tu stary przerwał opowieść i z kieszeni munduru piersiówkę wydobyl, z której pociągnął łyk tęgi, po czym przekazał ją Wieniawie. Ten przechylił ją mocno i póty od ust nie odrywał, póki nie osuszył. Następnie głową kiwnął, językiem mlasnął i rzekł:

– Dobra! Mocna! A na czym pędzona?

Stary uśmiechnął się szeroko, jakby kto wnuki mu wychwalał.

– No, u nas, panie, to tylko bimbrownictwo dobrze stoi. Ja tam twierdzę, że jeść nie trzeba, a pić musowo. Z Gołębia ją sobie przywozłem, bo mam tam krewnego, który sztukę destylacji w wielkim stopniu opanował. Ale sekretu zdradzić nie chce, bo mówi, że narodu nie będzie rozpijał. Na własny użytek tylko robi, choć bywali i tacy, którzy płacili mu za wyszynk jak za zboże. Głupi, zamiast wziąć, co dawali, to jeszcze ich skłął, tak że aż włosy dęba stawały.

Stary dłuższą jeszcze chwilę nad głupotą krewnego się rozwodził; kłął go przy tym po rosyjsku, po polsku i niemiecku. Wieniawa położył mu w końcu rękę na ramieniu i tym sposobem do opamiętania przywiódł. Niemniej staruszek sapał jeszcze przez jakiś czas gniewnie, aż wreszcie całą złość z siebie wypluł i wrócił do opowieści.

– Ruscy nie ruszyli za nami w pościg, widać nie wiedzieli dobrze, z jak nielicznym wrogiem mieli do czynienia, więc dotarliśmy do Chruśliny nie niepokojeni. Oj, przydała nam się ta chwila wytchnienia od ciągłych obław i walk. Suszyliśmy gacie, bo się wszy i pluskwy wszystkim pozalęgały; uroki życia po lasach. Ten transport z Galicji rzeczywiście przyszedł i zawierał doskonałe

sztucery belgijskie, które znacznie wzmocniły naszą siłę ognia. Ja jednak pozostałem przy swojej dubeltówce, bo przywykłem do niej jako mąż do żony. Lecz mylił się ten, kto przypuszczał, że na długo oderwaliśmy się od nieprzyjaciela. Jeszcze tego samego dnia przyjechał na spienionym koniu Żydek, co w Urzędowie buty ludziom łałał. On nam wtedy dał znać, że ekspedycja z tegoż miasta przeciw nam wyruszyła. Tylko że co do sił nieprzyjaciela nie mógł nam zdać dokładnej relacji, bo to był prostak, który nie rozumiał się wcale na wojsku i wojennym rzemiośle. Dwie rady starły się w otoczeniu Kruka. Jedni radzili, aby zgrupowanie podzielić i jak najprędzej uciekać, a drudzy, i tych była większość, radzili, by przycząić się pod Chruśliną i znowu Moskali porąbają. Nas, prostych żołnierzy, nikt o zdanie nie pytał. Ale nie muszę ci chyba mówić, że sprzykrzyło nam się ustawiczne uciekanie, jakbyśmy byli zającem, który musi w knieje głębokie uchodzić, gdy rogi myśliwych posłyszysz nieszczęsne. Kruk jednego z nami był mniemania...

Pociąg zatrzymał się na jednej ze stacji, bo lokomotywę i skład trzeba było wymienić. Tory, które wiodły dalej na wschód, miały szerszy rozstaw niż te, które Prusacy kładli na zachodzie kraju. Był to jeszcze jeden skutek zszywania kraju z trzech części, dotychczas zintegrowanych z innymi organizmami państwowymi. Co poniektórzy z podróżnych wyskoczyli na papierosa lub zwyczajnie rozprostowywali kości. Jednak niewielu tak postąpiło, bo panujący na dworze mróz nie zachęcał do wychylania się z ciepłych przedziałów. Ogromna większość pozostała więc w wagonach i zajęła się spożywaniem drugiego śniadania. Wzdłuż całego pociągu rozszedł się zapach kielbas i serów.

Wieniawa nie jadł, za to jego współtowarzysz podróży pochłaniał z apetytem kanapkę z serem i popijał ją ciepłą herbatą, którą trzymał w zapasowej manierce. Otarł usta rękawem munduru, nie przejmując się kwestią kultury. Długoszowski nie

chciał przeszkadzać w konsumpcji, więc podszedł do okna. Z tego, co widział, stali w szczerym polu. Jedynymi widocznymi budynkami były te wchodzące w skład drewnianej zabudowy stacyjki. Oko leciało daleko po polach, nigdzie człowieka nie dostrzegając. Ziemia okryta była grubą na kilka metrów śnieżną pierzyną. Czasem tylko na miedzach stały samotne grusze, jakoby widoczne granice między polami.

Już miał odejść od okna, gdy nagle jego uwagę przykuł tuman śniegu, który wyrósł jakby znikąd. Wieniawa wszak zbyt długo w jeździe służył, aby nie wiedzieć, co to może oznaczać. Dziwne mu się to wydało, bo od kilku lat szabłą machając, nigdy nie słyszał, by ktoś odważył się wszczynać wojnę w zimie. W czasie gdy trawa leżała pod śniegiem, a o zdobyciu innego furazu dla koni nie było co myśleć. Upływające minuty przekonały go jednak, że się w swoim pierwotnym wrażeniu nie omylił.

Teraz gołym okiem mógł odróżnić skośne rysy jeźdźców, którzy pędzili na małych konikach, wymachując szabłami nad głową i połykając dzielące ich od pociągu metry. Na głowach mieli futrzane czapy, jakich kozacy dońscy zwykle używali. Do pleców – przytroczone karabiny, które teraz na gwałt odpinali, by móc z nich korzystać. Do siodeł poprzypinali drewniane tablice, z których uczono się czytać, gdy kawaleria była w pochodzie. Niemal wszyscy pokryci byli śniegiem, że z daleka można by ich wziąć za mityczne śnieżne stwory, którymi straszą się chłopci w długie zimowe wieczory.

Nieproszonych gości dostrzeżono już także z torów i popłoch wszczął się między ludźmi. Długoszowski widział, jak opętani strachem biegną ku konnym jeźdźcom tylko po to, by ci mogli im, nie wstrzymując koni, w przelocie gardła poderżnąć. Próżno kolejarze czynili nadludzkie wysiłki, by ład w przerażony tłum wprowadzić. Ludzie nikogo nie słuchali, bo każdy o własnym ratunku tylko myślał. Oślepli z trwogi i przerażenia podrozni

wskakiwali pod koła wagonów, jakby tam mogli znaleźć ocalenie. Jednak i tam dopadali ich konni posłańcy śmierci. Wyciągano ludzi spod wagonów za włosy i szlachtowano na miejscu. Ci, którzy rzucili się w pola, również ginęli, bo ująć przed końmi nie mogli.

Coraz więcej ciał pozostawało na śniegu, a ich krew wsiąkała w jego zwały, jakby chciał on ukryć ślady ludzkich zbrodni. Pozostawały jednak ciała, które w ostatnich drgawkach kopały ziemię; posieczone szablami, ze śladami postrzałów i zakrzepłym przerażeniem w rysach. Między nimi jeździli konno żołnierze i obdzierali poległych, z czego się tylko dało. Z trupów zdzierano odzież, zdejmowano buty, które stanowiły niezwykle cenny łup dla każdego żołnierza. W powszechnym rozpasaniu wszyscy żołnierze zdawali się zapominać o pociągu, do którego w porę cofnęli się kolejarze i zabarykadowani gotowali się do zaciętej obrony.

Wieniawie gniew podnosił włosy na głowie, ale ducha nie stracił ani się nie zmieszał. Bo był to żołnierz z rzemiosła, dla którego zabijanie stanowiło normalny sposób na życie. Jednakże nigdy na bezbronnego ręki nie podniósł, bo był żołnierzem, nie katem. Teraz też błyskawicą sięgnął po broń, ale nim wystrzelił, przysunął się do niego stary i pierwszy z pistoletu gruchnął.

A mierzył dobrze, bo najbliższy czerwony, który właśnie palec nieboszczykowi obcinał, aby się do pierścionka dobrać, chwycił się za pierś, oczy wytrzeszczył i runął na wznak. Ten pierwszy wystrzał stanowił jakoby hasło, bo jeszcze nie przebrzmiał w powietrzu, a już ze trzydzieści luf wysunęło się przez otwarte okna wagonów i gruchnęło salwą. Salwa ta rozproszyła czerwonoarmistów, bo wystawieni na ogień ze wszystkich stron, gęstym trupem padli. Konie bez jeźdźców biegały wkoło wagonów z rozwianymi grzywami i przerażeniem w oczach. Nie mniej od nich przerażeni byli ich właściciele.

Okrzyki przerażenia i jęki rannych mieszały się z rozkazami oficerów, którzy usiłowali wprowadzić ład w przerażonym

oddziale. Ale raz pęknięte więzy dyscypliny niełatwo było związać, zwłaszcza w takim oddziale, w którym mógł służyć każdy, kto się na koniu utrzymać potrafił. Toteż większość żołnierzy uchodziła ku polom, nic się o współtowarzyszy nie troszcząc. Wystrzały zaś gęstniały i coraz okrutniejsze zbierały żniwo.

Wieniawa miał radość na twarzy, a ogień w oczach. Jego ruchy stały się mechaniczne, jak błyskawica szybkie. Mierzył do oficerów, a co pociągnie za spust, to człowiek leci z kulbaki przez plecy, jakby go piorun strzelił. Wprawdzie czerwoni odpowiadali chaotycznym ogniem i kule latały obok niego, ale on nie zaszczycił żadnej spojrzeń i z całkowitym spokojem prowadził dalej dzieło zniszczenia. Obok niego stał stary i posyłał kule tam, gdzie sobie akurat upatrzył.

Uśmiechał się przy tym jak dziecko, które dostało nową zabawkę pod choinkę. Czasem też wybuchał śmiechem, gdy trafił wyższego rangą. Z przelatujących zaś nad głową kul nie więcej sobie robił od Wieniawy. Krew w nim buzowała, bo znów wojował ze starym wrogiem, z którym spotkał się już jako młody człowiek. Cały oddział bolszewicki cofał się przed tą garstką, którzy odstrzeliwali kolejnych oficerów.

Lecz wreszcie bolszewikom wstyd się widocznie zrobiło, że dwaj dobrzy strzelcy i kilku kolejarzy zdołali ich powstrzymać na tak długo, bo zdwoili ogień. Od huku dymu zrobiło się jasno, choć opady śniegu nie zelżały ani na moment. Żołnierze przedzierali się ku pociągowi, depcząc po ciałach poległych towarzyszy i pozarzynanych podróżnych. Oficerowie przezornie trzymali się nieco z tyłu, płazując szablami tych, którzy nie nacierali dość żwawo. Mogli być już pewni zwycięstwa, bo wiedzieli, że samą przewagą liczebną zgniotą przeciwnika.

Ogień obrońców osłabł nieco. Ludzie nie nadążali przeładowywać broni, która grzała im się w rękach. Spostrzegł to pierwszy Wieniawa i poznał, że koniec jest bliski. Dusza zatrzęsła

się w nim z przerażenia. Gdyby nie tajna misja, którą miał do spełnienia, byłby przywitał ostatnią kochankę żołnierzy z uśmiechem na ustach. Ale nie mógł samowolnie szafować swoim życiem, bo nie należało ono już tylko do niego. Prosty żołnierz, jaki tkwił w nim, odkąd pamiętał, dopominał się o śmierć, ale polityk wiedział, że to, czego się podjął, musi się udać. A nie uda się, jeśli pozwoli się zabić wraz z innymi.

Lecz odezwała się znowu myśl przeciwna. Czuł, że choćby dobry Bóg pozwolił mu przeżyć owe szalone wojaże, to przecież nigdy by sobie nie darował, że opuścił tych ludzi w niebezpieczeństwie. Czuł, że taki uczynek niósłby w sobie coś, co okrywałoby go hańbą na wieki, nie tylko w cudzych oczach, ale i we własnych. O opinię ludzką nie dbał, bo ludzie i tak ostrzyli sobie na nim języki, ani go znając, ani wiedząc, czy w tym, co pisał na jego temat gazety, jest choćby słowo prawdy. Wiedział, że będzie mógł żyć z podniesionym czołem, póki we własnych oczach znajdzie uznanie. Gdyby teraz stąd uciekł, to musiałby od świni oczu pożyczyć, bo swoimi nie mógłby już na żadnego człowieka spojrzeć.

– Mają nas, Wieniawa! – krzyknął stary na tyle głośno, by wśród jazgotu karabinów i świstu kul mogli się dosłyszeć.

– Skąd wiesz, jak się nazywam? – zapytał zdziwiony.

– A co ty myślisz, że u nas, na prowincję, gazety nie dochodzą? Przecież tam niemal codziennie przeczytać można o twoich ekscesach. A mnie staremu miło czasem poczytać, to i młode lata się przypominają. Oj, niezłego wiatru się kiedyś spódnicami narobiło... – Przerwał, by rozłupać czaszkę bolszewika, który usiłował dostać się przez okno do pociągu.

– Wszystko to nieprawda i pismaków wymysły, bo im nakład musi zejść, a o cudzym życiu ludzie zawsze lubili czytać. Zniszczyli mi tym życie. Żona mi zwariowała, bo ledwo się pokazałem z jakąś dziewczyną publicznie, to już w gazetach wrzask się podnosił, że

mam u niej kolację ze śniadaniem. Jakoż do tego w końcu przyszło, że ile kiedyś między nami było uczucia, to tyle teraz żalu i smutku pozostało. Ja uciekłem w alkoholizm i pewnie bym się do cna stoczył, gdyby nie Piłsudski, który mnie ze szponów wódki wyratował...

Nie usłyszał już odpowiedzi. Stary usta otworzył, ale nim zdołał słowo wymówić, zabłąkana kula ugodziła go prosto w pierś. Postąpił jeszcze kilka kroków ku Długoszowskiemu, po czym zachwiał się i padł jak długi na pokrytą odłamkami szkła podłogę wagonu. Wieniawa ukląkł przy nim, chwycił go za rękę i trzymał mocno. Stary jednak pociechy nie potrzebował, bo pogodę miał w twarzy, a na ustach szeroki uśmiech. Pokazał Wieniawie, by ten się nad nim pochylił, i rzekł przerywanym głosem, bo krew rzucała mu się z ust obficie.

– Ot, koniec mojej służby... teraz dla mnie zaczynają się długie wakacje. Weź mój pierścień, co go mam na palcu. – Przerwał.

Wieniawie zdawało się, że za chwilę rzeźcić zacznie, bo pierś unosić mu się przestała, ale po chwili kończył z trudem:

– Syna nie mam, tego jednego nie udało mi się dokonać, a trzeba, żeby pierścień zawsze w godnych rękach pozostał. Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nieboszczyka wola święta, a ja już wkraczam na drogę, która wiedzie wprost na Panajezusowe pola. Ty masz teraz strzec tego dziedzictwa, które naszą krwią i naszym trudem wam pozostawiamy. Ufam, że zadaniu podołasz... Jeśli będziesz mógł, to wymuś na tych skurwysynach, żeby mnie pochowali wedle zasad katolickiego ceremoniału.

Chciał coś jeszcze mówić, ale z ust wyszło jedynie głuche rżęzenie, a twarz zrobiła się sina. Stary skonał z uśmiechem na ustach, z karabinem zaciśniętym w prawej dłoni. Wieniawa zamknął mu oczy i zsunął pierścień z palca. Była to niewielka żelazna obrączka, jakich wiele kobiet nie nałożyłoby na palec za nic w świecie. Dla starego jednak miała większą wartość niż

wszystkie rubiny i szafiry. Obrócił ją w palcach i dopiero wtedy dostrzegł wygrawerowany po wewnętrznej stronie napis: Ojczyzna obrońcy swemu.

Poczuł, jak wzruszenie chwyta go za gardło. Nie płakał nigdy. Nawet jako mały chłopiec nie uronił ani jednej łzy, gdy ojciec okładał go pasem za różne przewiny. Gdy jego życie rodzinne sypało się w gruzy, topił smutki w alkoholu. Ale nigdy przez myśl mu nie przeszło, by z tego powodu zapłakać. Teraz łzy cisnęły mu się do oczu, a on ich nie wstrzymywał, tylko pozwalał im spływać po policzkach. Z każdą wylaną łzą robiło mu się lżej na sercu, jakby w ten sposób obmywał się ze swawolnych grzechów, których miał na koncie bez liku. Wsunął pierścień na palec.

Otarł łzy i wstał. Obojętnie spojrzął na tłoczących się za nim czerwonoarmistów i zrozumiał, że dawno mogli go zabić, a przecież tego nie uczynili. Wręcz przeciwnie, stali na baczność przed ciałem staruszka i oddawali mu honor. Zapanowała cisza, której nikt nie chciał naruszyć, jakby majestat śmierci spłynął pomiędzy nich i zmusił ludzką nienawiść do wycofania się. Obie strony przyglądały się sobie z nieskrywaną ciekawością.

Nie pierwszy raz widział z bliska oficerów Armii Czerwonej i zaraz poznał, że nie są to zwykli oficerowie. Musieli to być ludzie z białogwardyjskim rodowodem. Ci mieli w sobie jakąś powagę i dostojeństwo, po których można było poznać ludzi szlachetnie urodzonych. Zwykli oficerowie rekrutowali się wprost z warstw chłopskich i ci najdzikszych dopuszczali się okrucieństw, tak wobec własnych ludzi, jak i tych, którzy mieli nieszczęście wpaść im pod rękę. Ale Armia Czerwona nie mogła mieć innych dowódców, bo nie było skąd ich wziąć. Z carskich oficerów niewielu przeżyło, a ci, którzy mieli to szczęście, nie garnęli się do szeregów robotniczo-chłopskiej armii, bo wiedzieli, że zostaną stamtąd wyłuskani, gdy tylko przestaną być użyteczni dla nowej władzy. Skutkiem tego Armia Czerwona przypominała raczej

watahę rozbójniczą lub rozhukanego żrebaka, który żadnej władzy nad sobą nie uznawał.

Jej szeregi rosły jednak w błyskawicznym tempie, bo chłopię woleli grabić i mordować, niż być grabionymi i mordowanymi. Poza tym w armii dostawali jeść, a w swoich rodzinnych wsiach musieliby zadowolić się lebiodą, bo zasiewy zniszczyła wojenna pożoga, która trwała w Rosji od pięciu lat. Liczba żołnierzy mogła imponować i zaślepiac tych, którzy sądzili, że Armia Czerwona jest gotowa do marszu na zachód. Ale Lew Trocki zdawał sobie sprawę z jej słabości i wprost mówił, że wygrywają jedynie dzięki temu, że biali generałowie zbyt skupiają się na rywalizacji pomiędzy sobą, a to powoduje, że dają się rozbijać pojedynczo.

Wieniawa zgadzał się z tym ostatnim stwierdzeniem. Żadne państwo ani nawet rodzina nie mogą przetrwać, jeśli są wewnętrznie skłócone. Hardo uniósł głowę. Wiedział, że śmierci się nie wymiga, a chciał, by zapamiętano go jako człowieka, który nie błagał o życie. Spojrzał w oczy otaczających go oficerów i uśmiechnął się do nich, jakby spotkał dobrych znajomych.

– Jakim to prawem ważycie mienić się żołnierzami, skoro napadacie na pociągi, a bezbronnych podróżnych wycinacie jak zwierzęta, choć nigdy wam najmniejszego zła nie wyrządzili? Rząd polski potrafi upomnieć się o tych ludzi i upomni się. – Splunął im pod nogi.

Słowa, które wypowiedział, silne zrobiły wrażenie, bo wymówił je człowiek, który był w ich mocy, a mimo to nie widać było po nim najmniejszych oznak strachu, jaki powinien wobec nich odczuwać. Odwaga była wyjątkowo ceniona przez wszystkie narody, a przez Rosjan w szczególności. Toteż cisza, jaka zapadła po tych słowach, była wręcz namacalna i żadna szabla ani żaden bagnet nie zatopiły swego ostrza w jego piersi.

Wreszcie do przodu wysunął się człowiek nie stary jeszcze, ale w zaawansowanym już wieku. Oczy miał szare, wodniste, lekko

wycofane. Twarz ogorzała i spaloną od słońca i wiatru. Nad górną wargą nosił wąs, który rozszerzał się na końcach i przechodził w małe sznureczki. Widać było, że nie przejmował się zbytnio wojskowymi regułami, bo nosił kozią bródkę, która jednak prawie w całości pokryta już była siwizną. Na rękę miał kilkanaście zegarków, które odebrał ich właścicielom – wraz z życiem.

Czerwoarmista nie nosił także jednolitego munduru, bo tylko na głowie miał futrzaną czapę z naszytą na nią czerwoną gwiazdą i jeszcze jakieś cudaczne pagony, będące dziełem komisarzy politycznych, którzy postanowili zrezygnować z rang, nawet w armii. Był to całkowity idiotyzm i zrozumiały to nawet władze bolszewickie. Ale otwarcie przyznać się do błędu nie mogły, więc wprowadziły nowe stopnie wojskowe, które oficjalnie nimi nie były. Oficer nosił więc polskie oficerki, pewnie z nieboszczyka, rosyjskie futrzane spodnie i kurtkę mundurową białych, którą skrywał szary, sowiecki płaszcz.

– Dobrze obracasz językiem – pochwalił czerwoarmista głosem podobnym do pomruku śpiącego niedźwiedzia. – Ale ci to w niczym nie pomoże, bo jak sam widziałeś, moi ludzie nikogo nie wypuszczają z rąk. Ale podobasz mi się, bo zaraz widać, żeś żołnierz doświadczony, a mnie przydałby się ktoś, kto potrafiłby moich baranków w ryzach utrzymać. Możesz przystać do naszej kompanii i zaznać przyjemności z dziewczuchami przy kościach. A może, pan oficer, imienia zdraycy się boisz. Pluń na tych, co cię tak nazwą, bo tu wiele nie trzeba, by wysoko zajść.

Wszystkiego się spodziewał, najgorszych tortur – i szykował się na nie, pacierze odmawiając – ale nie takiej propozycji. Jeśli uda mu się z tej opresji wyłgać i opowie to Piłsudskiemu, to ten w to nie uwierzy. Spozstrzegł, że oficer wyraźnie czeka na odpowiedź, więc wziął głęboki wdech, jak człowiek, który ma się zanurzyć w głębokiej wodzie, i odparł:

– Mówią, że diabeł upomina się o ludzką duszę dopiero po śmierci, a nie za życia. Chciałbym poznać wasze nazwisko, by wymierzyć wam prawo i sprawiedliwość, gdy się znowu spotkamy. Ja nie tylko do was nie przystanę, ale zwalczać was będę, póki mi tchu w piersiach starczy, bo jesteście ludzie niegodni, aby wam uczciwy człowiek w pysk dał.

Oficer odchylił głowę i wybuchnął szczerym śmiechem. Wreszcie, gdy paroksyzm śmiechu przeszedł, utkwił w oczach Wieniawy swój zimny wzrok; znalazł wszak taką odpowiedź, że pierwszy uciekł w dół spojrzeniem.

– Ech, zaraz widać, że z prawdziwym Polakiem sprawa. A wiesz ty, że służył już u mnie taki jeden Polaczek, co to nie umiał zgiąć przede mną karku, a teraz piach gryzie? Toż ja mam tu pod bokiem sto szabel, którym mogę kazać w sztuki cię porąbać, a ty mi grozisz? Nie może inaczej być, tylko z szalonym sprawa. – Ostatnie słowa skierował do swoich oficerów, którzy przez cały czas trzymali się pół kroku za nim.

– Nie pierdol! – rzekł Wieniawa.

Tu odezwały się za plecami oficera ciche, stłumione chichoty, bo nie lubiano go w oddziale powszechnie. Lwią część zdobyczy podwładnym wydzierał, a tych, którzy się opierali, karał tak srodo, że pozostali woleli niesprawiedliwość cierpieć, niż z nim zadrzeć. Niemniej teraz mieli swoją chwilę satysfakcji, że znalazł się wreszcie ktoś, kto odważył się po ich dowódcy przejechać. Śmiech umilkł równie szybko, jak się pojawił, bo oficer potoczył po nich wściekłym wzrokiem, jakby szukał takiego, co by mu się w twarz roześmiał.

– Kiepski ten, kto się swojego nazwiska wstydzi. Nazywam się Mikołaj Łazariew. A mówię ci to, abyś mógł po tamtej stronie powiedzieć, kto cię na tamten świat wysłał. Teraz twoja kolej, bo i ja chcę wiedzieć, kogo wypatroszyłem.

– Nazywam się Bolesław Wieniawa-Długoszowski i jestem osobistym adiutantem Józefa Piłsudskiego. Możesz mnie teraz rozstrzelać, ale nie wiem, czy ci to na dobre wyjdzie, gdy Feliks Dzierżyński się dowie, kogoś zabił.

Łazariew z całych sił starał się nie pokazać po sobie strachu. Był to łotr bez czci, wiary i sumienia, który nie wierzył w Bożą sprawiedliwość ani karę. Nie bladłby on przed kulą, szablą, a nawet przed spalaniem żywcem, ale myśl, że miałby zdrzeć z wszechwładnym szefem Czeka, przerażała go do szpiku kości. Oczywiście ten parszywy Polak mógł kłamać, aby własną skórę ratować. Ale przecież wcale nie musiał się do tego uciekać, bo wystarczyło, aby przyjął jego wcześniejszą ofertę. Mógł mu wprawdzie łeb ukręcić i liczyć na to, że żaden z jego ludzi pary z gęby nie puści. Ale sam nie wierzył, że uda się rzecz całą w tajemnicy utrzymać. Znał swoich ludzi. Wiedział, że każdy z nich z przyjemnością świnię by mu podłożył, żeby zająć jego miejsce. Tym bardziej że wielu z nich miało do niego zadawnione urazy, bo nie liczył się z nikim i z niczym.

Długoszowski obserwował rozterki Rosjanina z nieskrywaną satysfakcją. Mniejsza z tym, że narażał własne życie, ale widok strachu na gębie tego rzeźnika wart był każdej ceny. Zresztą i tak miał się spotkać z kimś z otoczenia Lenina. A to, czy dojedzie do Moskwy na wolności czy w kajdanach, nie miało znaczenia.

– Wiedz, że głowa twoja zależy od tego, czy cały i zdrowy dotrę do Moskwy. I módl się, jeśli jeszcze pamiętasz, jak to się robi, żebyśmy się więcej nie spotkali, bo ja zapisałem ci dzisiaj śmierć w duszy.

Pozwolił skrępować sobie ręce za plecami i wyprowadzić się z pociągu. Potem Łazariew pozwolił mu patrzeć, jak jego żołnierze wyprowadzali kolejarzy i tych podróżnych, którzy wraz z nimi bronili pociągu. Część z nich nie była w stanie ustać na nogach i podpierali ich idący obok. Wszyscy ci ludzie byli bici kolbami

karabinów, a jeśli ktoś upadł, to stojący nad nim żołdat przyszpilał go bagnetem do ziemi. Wszystko to odbywało się wśród krzyków i wrzasków sowieckich żołnierzy.

Wreszcie zatrzymano więźniów przed rozstawionym na trójnogu ciężkim karabinem maszynowym. Obsługujący go żołnierze właśnie zakładali świeżą taśmę z nabojami. Wieniawa stał dokładnie za nimi i obserwował czekających na śmierć ludzi. Widział ich blade, pełne napięcia twarze. Stali w szeregu, ściskając się mocno za ręce. Chciał coś im powiedzieć, przeprosić za to, że nie ginie razem z nimi, ale nie wiedział, jakimi słowami miałyby to wyrazić. Czy w ogóle są takie słowa, których można by użyć w chwili takiej jak ta? Ukląkł tylko na ziemi.

Łazariew opuścił rękę i w tym momencie z ust skazańców wyrwał się jeden okrzyk: Niech żyje Polska!

Wkrótce zagłuszył go miarowy jazgot karabinu maszynowego, który obracał się, wypluwając z siebie setki naboji. Ludzie padali bez jednego jęku, jak zboże pod zamachem kosy. Wkrótce leżeli wszyscy, nienaturalnie spleceni ze sobą. Część ruszała się jeszcze w ostatnich konwulsjach. Łazariew podszedł do tego stosu ciał i przechadzając się między nimi, dobijał rannych strzałem w czoło. Gdy był już pewien, że żadna z ofiar egzekucji nie daje znaku życia, podszedł do swoich ludzi i wydał im odpowiednie rozkazy. Trupami miały zająć się wilki i kruki. Te ostatnie już pojawiły się na niebie i zataczając coraz niższe kręgi, czekały cierpliwie, aż ludzie pozostawią im ich żer w spokoju.

Wieniawę usadzono na jednym z koni, który do poległych żołnierzy należał; po obu bokach mieli jechać dwaj żołnierze, trzymając cugle konia, a także pilnując, by zakładnik nie dał koniowi ostrogi i nie popędził w siną dal.

Łazariew sprawił swój oddział i ruszył śpiesznym pochodem ku wschodowi, bo niebezpiecznie było się ociągać. Lada chwila mogli

tu nadciągnąć żołnierze, a spotkania z regularnym wojskiem bardzo się obawiał i wcale sobie nie życzył.

Wieniawa spoglądał obojętnie na plecy cwałujących przed nim jeźdźców i tylko pacierz cicho szeptał za dusze pozostawione bez pogrzebu, na pastwę dzikiego zwierza i ptactwa. Nie słyszał parszających koni, brzęku ostróg, tylko upiorne krakanie, które świadczyło niezbicie, że uczta dla kruków i wron właśnie się zaczynała.

Rozdział X

Wiktor przebywał w Berlinie od tygodnia. Ale nawet nie zauważał upływu czasu, bo zajęć i obowiązków mu nie brakowało. Gdy tylko wszedł do kina Rialto, wpadł w wir pracy. Po pierwsze dostał dokładne dossier wszystkich ludzi, którzy mieli być obecni na balu, aby mógł się dobrze zorientować w ich wzajemnych relacjach. Ślęczał nad nim całymi dniami, by dobrze zapamiętać zawarte w nich informacje. Dostał też kilka garniturów, bo jego ubrania, które miał w walizce, nie przeszły weryfikacji.

Najtrudniejsza była jednak sztuka uwodzenia. Co wieczór wyruszał do najbardziej ekskluzywnych klubów, aby doskonalić swoje umiejętności. Polecano mu wybierać męzatkę, jako trudniejsze do zdobycia. Sprawa nie musiała się skończyć w łóżku i się nie kończyła. Oldze wystarczyło, jeśli przynosił na siebie zapach perfum. Dzięki stałemu doskonaleniu swoich umiejętności stał się pewniejszy siebie i przestał myśleć o czekającym go zadaniu ze zbyt wielkim niepokojem.

Stał przed lustrem i nie mógł poznać samego siebie. Przywykł do tego, że nosi na sobie mundur, który zdawał się tworzyć z ciałem jedno. Teraz zaś miał idealnie dopasowany garnitur, białą koszulę z czarną muszką pod szyją – na krawat nie chciał się zgodzić, bo mu się ciągle zdawało, że dusi go pod szyją. Długie czarne spodnie obramowane białymi lampasami idealnie podkreślały rozbudowane mięśnie ud. Na nogach miał czarne lakierki, które błyszcząły się od nałożonej na nie pasty.

Obrócił się, wyprostował ramiona i ruszył ku drzwiom. Zszedł schodami, które wiodły wprost ku sali kinowej. Wszedł do środka i wspiął się na podest. Przed sobą miał kilka rzędów foteli wybitych zielonkawym sukmem, a za sobą projektor, na którym wyświetlano właśnie ruchome obrazy. Sala była pusta, z wyjątkiem dwóch przednich foteli, na których siedziały Olga i Zuzanna Wilczyńska.

Przyglądał się z ciekawością, zwłaszcza tej drugiej, bo jej uroda cały czas go onieśmiała. Olga postanowiła, że nie może iść na bal samotnie, więc potrzebna mu dziewczyna. Nie protestował, bo na niewiele by się to zdało, ale nie był wolny od obaw. Zuzanna była o parę lat starsza od niego, co napawało go jakąś dziwną nieśmiałością. W ogóle nie był śmiały w kontaktach z kobietami.

Olga naśmiewała się z niego z tego powodu, twierdząc, że każdy mężczyzna rodzi się z umiejętnością adoracji kobiet. Może tak i było? Ale on był bezsprzecznym wyjątkiem od tej reguły, jeśli takowa faktycznie istniała. Po prostu nie miał gdzie się tego nauczyć. Od najmłodszych lat wolał hasać po polach ze strzelbą za pazuchą niż przebywać w kobiecym towarzystwie. I taka była naturalna kolej rzeczy. Mężczyźni chowali mężczyzn i przekazywali im konieczne umiejętności, aby mogli w sposób godny pełnić swoją rolę. Ani chciał, ani mógł przypuszczać, że życie spleta mu tak szalonego figla i każe uwieść dużo starszą kobietę.

Gdy miał chwilę, aby na spokojnie przemyśleć sobie to wszystko, co się w jego życiu zdarzyło, to momentami brał go śmiech pusty.

– No i nareszcie wyglądasz jak człowiek – przerwała milczenie Zuzanna. – Gdy tu wparowałeś cały umazany we krwi, to myślałam, że szatan gwałtem do kina się wdarł. Teraz wyglądasz jak prawdziwy młody dżentelmen. I powiem ci jedno: zazdroszczę tej dziennikarce.

Czuł, że oblewa się rumieńcem. Szukał w głowie, jakim by w zamian odwdziżyć się komplementem.

– Ja również bym wołał, abyś była na jej miejscu, bo mógłbym połączyć przyjemne z pożytecznym... – wystękał wreszcie i z niepokojem śledził jej drobną twarz.

Ze zdumieniem dostrzegł, że jej usta wyginają się w uśmiechu.

Zuzanna była piękną *par excellence*. Wysoka, smukła, z delikatną jak płatki róż cerą. Długie blond włosy nosiła rozpuszczone. Teraz, ubrana w srebrzystą suknię balową, odchyliła głowę i parsknęła śmiechem.

– No, no. Czy ty, Olga, wiesz, co stworzyłaś? Don Juan prawdziwy nam rośnie. Już też chyba mniej żałujesz, że nie ma śmiałości do kobiet? Ta Gerda sama zwróci na niego uwagę, albo nie nazywam się Wilczyńska. Nie sądziłam, że praca w wywiadzie może mi dać tyle przyjemności. – Posłała Oldze żartobliwego kuksańca w bok.

– Czy myśmy aby nie przesadziły? Hans Werner to w zamyśle początkujący gryzpiórek, a tacy ludzie zwykle nie narzekają na nadmiar gotówki.

Wiktor zawahał się, bo już wcześniej sam o tym pomyślał. No właśnie, jak miał wyjaśnić pochodzenie pieniędzy, które wydał na przeistoczenie się w dzentelmena? Skąd początkujący dziennikarz, który nie miał nawet stałego miejsca zatrudnienia, tylko pisywał swoje wypociny do różnych gazet, miałby pieniądze na markowe ciuchy? Nie liczył na to, że uda mu się pozyskać zaufanie Gerdy Leszke już na pierwszym spotkaniu.

Istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że akcję trzeba będzie rozciągnąć w czasie i na dłużej wejść w skórę Hansa Wernera. Nawet jeśli założyłby, że wszystko się dobrze powiedzie i uda mu się dostać do kręgu bliskich znajomych Gerdy już na pierwszym spotkaniu, to nie wątpił, że zaraz zainteresuje się nim kontrwywiad przeciwnika. Prawda, że Niemcy stracili wielu

wspaniałych agentów, a teraz dodatkowo patrzyli im na ręce Francuzi, ale to nie oznaczało wcale, że nie trzymają ręki na pulsie. Przecież muszą się orientować, z kim Gerda sypia. Natychmiast zainteresują się człowiekiem, który pojawia się w jej towarzystwie znikąd i dodatkowo jego stopa życiowa znacznie przewyższa dochody.

– Hej. Nie uczcie matki karmić piersią! – odpowiedziała Zuzanna. – Fakt, że jesteśmy nowi w tym interesie, wcale nie musi oznaczać, iż nie znamy się na swoim fachu. Tę operację przygotowano *ad hoc*, ale nigdy nie popełnilibyśmy tak sztubackiego błędu. Otóż informuję cię, chłopcze, że masz kredyt do spłacenia, a mieszkasz w nieogrzewanej ruderze przy Kajzer Strasse 30. Ten bal jest twoją jedyną szansą na odbicie się od dna. Co najwyżej wezmą cię za łowcę podstarzałych, ale bogatych panien, ale nigdy nie powiążą cię z kontrwywiadem.

– A co, jeśli Johannes von Seeckt uzna mnie za groźnego rywala i stwierdzi, że warto by poszperać trochę w moim życiorysie? Czy i wtedy legenda spełni swoje zadanie, czy zaczniesz się pruć jak stare portki na dupie? Prawda jest taka, że to wszystko to cholerna partanina! A dostałem ją tylko dlatego, że w razie wyspy można mnie bez problemu poświęcić. Nie uskarżam się, bo sam wiem, po co tu przyjechałem, ale przestańcie traktować mnie jak dziecko. Zagrajmy w otwarte karty.

Tym razem to Olga uśmiechnęła się z triumfem do Zuzanny. Była dumna ze swego ucznia, jak go w myślach nazywała. Ta chodząca piękność z Warszawy mogła sobie uważać, że wystarczy kilka kobiecych sztuczek, by go zwieść. Chłopak mógł się do niej ślinić, bo to zupełnie naturalne w jego wieku, ale jakaś część jego umysłu dalej broniła się przed obcym wpływem. Nawet jej Wiktor nie zdradził o sobie wszystkiego, choć nie raz i nie dwa próbowała go podejść. On dokładnie wiedział, na czym stoi, i godził się na to, bo polował na swój prywatny cel. O tym Zuzanna nie wiedziała.

Wiktor zszedł z podestu, podał Zuzannie ramię i czarną szubę z lisiego futra, bo noce wciąż były lodowate. Troskliwie osłonił jej twarz kapturem i wyszli. Zimny wiatr uderzył w nich silnym podmuchem, gdy tylko znaleźli się na dworze. Na szczęście zaraz przyjechała dorożka, która miała zawieźć ich do hotelu Adlon. Z ulgą zasiedli w krytej płóciennym dachem dorożce. Przez długą chwilę słyszeli jedynie wściekle uderzenia wichru o jej ściany i miarowy stukot końskich kopyt po bruku.

Żadne z nich nie chciało nawiązywać rozmowy, bo każde pogrążone było we własnych myślach. Wiktor czuł, jak wzbiera w nim napięcie. Szykowano go do tego zadania, hodowano jak prosiaka na rzeź. Teraz zaś pozostawiono go samemu sobie. Albo sobie poradzi i wywinie się z tego swoistego potrzasku, albo zginie. Ojciec nigdy się nie dowie, jak zginął i dlaczego. Pewnie do dziś nie może mu darować, że nie był na pogrzebie brata. Sam czuł się z tym źle, ale pocieszał się myślą, że Mikołaj uraduje się w niebie, gdy zobaczy, jak szuka jego mordercy. Poza tym to służba publiczna, a tej nie mógł poświęcić.

Nie przypuszczał wprawdzie, że jego Niemiec jest w Berlinie. Sądził raczej, że wciąż przebywa na terenie Poznania. Niepokoił się, że mógł tam wpaść w ręce pułkownika Dobrowolskiego. Sam chciał wszak spłacić swoje rachunki – osobiście dobrać się do skóry mordercy brata. Ale wiedział, że na własną rękę niewiele zdoła zdziałać. Bo co wiedział na pewno? Nie znał nazwiska ani opisu człowieka, którego szukał, i nie rozpoznałby go nawet wtedy, gdyby minęli się o cal. Znał jedynie jego narodowość.

Ulice Berlina były już o tej porze opustoszałe. Jedynie bezdomni grzali się przy prowizorycznych ogniskach, aby dotrzeć do rana. Mdłe światelka latarni ulicznych oświetlały zwały śniegu, które zalegały na chodnikach. Czasem ich blask padał na zeszywniałego trupa, który nie zdołał przetrwać kolejnej mroźnej nocy. Przez oszroniałe okna mieszkań przebijał się poblask lamp naftowych,

przy których ludzie spożywali skromne posiłki. Po ulicach pędziły dorożki wiozące bogaczy na doroczny bal dziennikarzy, który miał mieć taką samą oprawę jak co roku, choć znaczna część społeczeństwa kładła się spać z pustymi brzuchami i bez nadziei, aby mieli je jutro zapęłnić.

Władze nie przejmowały się jednak tymi rozterkami przeciętnych berlińczyków, bo chciały koniecznie pokazać, że kraj z wolna wraca do normalności, choć do takiego stanu było mu jeszcze daleko. Dlatego nie szczędzono kosztów, aby wieść o balu i jego wspaniałościach rozlała się jak najszerzej po kraju. Gmach hotelu świecił się cały od blasku pochodni i petard, które z sykiem wzbijały się ku niebu, rozświetlając je różnorakimi barwami. Przed hotelem płonęły ogniska, ale nie te, przy których biedota rozgrzewała zgrabiałe kończyny. Tu pito najlepsze wina z włoskich winnic, których kilka pełnych beczek wytoczono dla prostaków, nakazując im wiwatować na cześć przybyłych gości.

Jakoż okrzyki podnosiły się często, bo co chwila przed front hotelu zajeżdżała dorożka z kimś znacznym. Natychmiast podbiegał ktoś ze służby i usłużnie drzwi otwierał; z dorożki wychylali się poważni politycy, wojskowi i dziennikarze – słowem: cała śmietanka towarzyska Berlina.

A każdy miał przy sobie kobietę, na której pyszniły się wytworne stroje i biżuteria, o nieoszacowanej wartości. Ci ludzie pozdrawiali zebrany tłum niedbałym ruchem ręki i nie zaszczyciwszy go dłuższym spojrzeniem, znikali za obrotowymi drzwiami, które za wielką sensacją uchodziły. Tłum zaś skupiał się zaraz na picu owych wyszukanych trunków, czekając, aż znowu otrzyma znak, by wznosić wesołe okrzyki.

Wiktor wyskoczył z dorożki, ledwie ta zdążyła się zatrzymać, i natychmiast pośpieszył z pomocą swej uroczej towarzysze. Zuzanna zesłała dostojnie, ostrożnie stawiając stopy na maleńkich stopniach. Wydała mu się w tej chwili podobna do owych

księżniczek, które widywał na kartach baśni braci Grimm. Sam czuł się wobec niej małym i ani myślał się łudzić, żeby z tej znajomości coś trwalszego wyniknąć mogło. Wsunął jej rękę pod ramię i dał się poprowadzić ku wejściu.

Ledwie weszli, a otoczyli ich szatniarze. Zuzanna wysublimowanym ruchem zsunęła z siebie szubę i przesunęła ją po ladzie w kierunku młodego szatniarza, który nie mógł oderwać od niej wzroku. Wiktor strzepnął płatki śniegu osiadłe mu na ramionach, po czym ujął swą towarzyszkę pod ramię i ruszyli wraz z ludzką rzeką ku właściwej sali, gdzie miał się bankiet odbywać.

Szli wolno, prawie jedno na drugim, bo korytarz był wąski, choć przepyszenie urządzony. Ściany obito czerwonym sukmem i przytwierdzono do nich elektryczne świece, rzucające swój blask na grube, wzorzyste dywany, którymi wyłożono podłogę. Tłum ludzki wreszcie zatrzymał się przed dwuskrzydłowymi drzwiami, wiodącymi do głównej sali.

Dwaj słudzy w liberiach otworzyli je i korytarz został zalany potokiem światła. Teraz na środek wysunął się mistrz ceremonii i wyczytywał nazwiska zaproszonych gości, według znaczenia i zasobności portfela.

Wiktor nasłuchiwał czujnie, czy nie usłyszy nazwiska swego celu. Najpierw jednak słyszał wiele innych, a wszystkie były mu znane, bo znał ich życiorysy lepiej niż oni sami. Lecz słuchając, na żadnego z ich właścicieli wzrokiem nie rzucił. Jego oczy wypatrywały Gerdy Leszke.

– Widzisz ją? – zapytał w końcu Zuzannę.

– Ja ci nie wystarczam? – szepnęła kokieteryjnie i dodała, pochylając się nad jego uchem: – Tam, obok Seeckta.

Podążył wzrokiem we wskazanym kierunku. Dostrzegł ją, stojącą na wprost drzwi, wspartą na ramieniu mężczyzny w galowym mundurze, z generalskimi epoletami na pagonach.

Wydała mu się ładniejsza niż na zdjęciu. Teraz blond włosy nosiła rozpuszczone i opadały jej one długimi splotami na plecy. We włosach tkwiły szczerolote spinki, które błyszcząły się tak, że oczy bolały od patrzenia. Na sobie miała białą-czarną suknię z dużym dekoltem, który jednak nie wydawał się niesmaczny. Dyskretny makijaż idealnie podkreślał jej sobolowe brwi i pełne usta. Nos wprawdzie był krogulczy i lekko zadarty, ale Wiktor prawie nie zwrócił na to uwagi. Na szyi pyszniła się ta sama kolia, którą widział na fotografii.

Oderwał od niej wzrok dopiero, gdy mistrz ceremonii wyczytał jej nazwisko i znikła za drzwiami. Teraz zaczął się dla niego długi czas oczekiwania. Z trudem powstrzymywał się, by nie przestępować z nogi na nogę. Tłum przed drzwiami zaś zmniejszał się z każdą chwilą. Wreszcie przyszła jego kolej, ale pogrążony w obmyślanu sposobów nawiązania kontaktu z dziewczyną tak, żeby rzecz wyglądała na przypadkową, zdawał się niczego nie zauważać.

Szczęściem Zuzanna miała nad wszystkim kontrolę i nieznacznym szarpnięciem obudziła go z odrętwienia.

– Spokojnie. Musisz się rozluźnić, a instynkt sam ci podpowie, co masz robić i jak się zachowywać.

Rozmawiając, weszli do olbrzymiej sali, która zdawała się tonąć w blasku światła. Stoły ustawione w podkowę ugiwały się pod ciężarem wyszukanych potraw, które pyszniły się na szczerolotych półmiskach. Pomiędzy ramionami stołu była ścieżka, wiodąca ku niewielkiemu podwyższeniu, na którym orkiestra przygrywała tańczącym. Między stołami uwijali się kelnerzy z tacami, dokładając jedzenie na stół.

Gdy Wiktor z Zuzanną weszli do sali, ruch był już duży, goście krążyli między stołami, z kieliszkami i talerzykami w rękach. Ten i ów przystawał, by słowo z sąsiadem zamienić, i potworzyły się kółka dyskutantów. Ale nie było tu ani tego rozgardiaszu, ani tej

spontaniczności, które bywają na prawdziwych zabawach. Tu każdy zważał, co rzecze, a pilnował się, by się z jakimś nieprzemysłanym słowem nie wyrwać. Mówiąc krótko, były to węże, które lasiły się do siebie, a jednocześnie wypatrywały, czy nie dało by się go nieostrożnego ukąsić.

Wiktor nie umiał powstrzymać grymasu obrzydzenia. Jak to? Ludzie, którzy byli odpowiedzialni za wojnę, za głód, za nędzę milionów, nie tylko nie ponieśli kary, ale wazyli się ucztować na ruinach. On sam zdawał się nie rozumieć, że do starego nie ma już powrotu. Że tu nie pomogą żadne krótkoterminowe rozwiązania. Bo jeśli sytuacja gospodarcza kraju się nie poprawi, to ludzie przestaną słuchać bredni o konieczności czekania na lepsze czasy, tylko usuną tych, których nie bez racji uważali za sprawców swojego nieszczęścia.

– Tu tak zawsze? Wszyscy plotkują o wszystkich, a nikt nie jest szczery?

– Szczerym to można być z żoną w sypialni, a i to ostrożnie. To zamknięta kasta, która rządzi się swoimi prawami. Widzisz tu ludzi, którzy przez pokolenia trzęsą niemiecką polityką. Większość to potomkowie starych niemieckich rodów, którzy wysysają swe bogactwa z naszych polskich ziem. Majątki Junkrów leżą głównie na Pomorzu, Warmii i Mazurach oraz w Wielkopolsce. Dlatego też odrodzenie państwa polskiego staje im kością w gardle. Musieliby się wszystkiego wyrzec, wszystkiego zaniechać, a jeszcze zostawić te świetnie zagospodarowane ziemie ludziom, którymi gardzą. Ale w Niemczech liczą się nie oni jedni.

Upiła łyk szampana.

– Bo widzisz, chłopcze, to jest tak: jedna połowa Niemiec trwa przy starym, a druga prze do nowego. Jedni stawiają na przemysł, bo wierzą, że to najkorzystniejsza droga rozwoju, a posiadacze ziemscy trzymają się pazurami starych metod pomnażania majątku i ani myślą czegoś zmieniać. A rząd, jakikolwiek by był,

musi się liczyć z oczekiwaniami jednych i drugich. Kolejni kanclerze lawirują między nimi, bo brakuje im odwagi, by dokonać wyboru. A niezdrowo łapać dwie panny, bo jak nie jedna, to druga oczy ci wydrapie.

– To zapamiętam – odparł, chowając kostkę lodu do kieszeni. – Ufasz mi? To zrób tak, że gdy znajdziesz się blisko Seeckta, poproś go do tańca.

– A co, jeśli nie zechce? I na co ci ta kostka lodu?

Nie odpowiedział. Chwyił ją pod rękę i wyprowadził na środek sali. Orkiestra grała właśnie walca wiedeńskiego. Ostrożnym ruchem oparł swoją dłoń na jej talii i ruszyli. Uważał na jej nogi, by nie przydeptywać jej trzewików. Na szczęście umiał tańczyć walca; nie na tyle wprawdzie, by móc uchodzić w tej sztuce za mistrza, ale na pewno nie był uciążliwy dla partnerki. Prowadził Zuzannę tak, że z każdą wykonywaną figurą zbliżali się do miejsca, gdzie stała Gerda.

Teraz! – pomyślał i puścił dziewczynę w momencie wykonywania obrotu. Zatoczyła się dokładnie na Seeckta, który, działając instynktownie, odepchnął ją od siebie. Zuzanna nie mogła utrzymać równowagi i runęła na podłogę. Na sali wszczął się niemały huczek; rozmowy ucichły, a głowy wszystkich obróciły się jak na komendę. I orkiestra grać przestała, bo jej nikt nie słuchał, a każdy prześcigał się w pomaganiu dziewczynie. Zwłaszcza że jej uroda ich do tego najlepiej motywowała.

Tymczasem Wiktor, korzystając z wywołanego przez siebie zamieszania, zbliżył się do kieliszka Gerdy i wsunął lód pod podstawkę. Następnie przysunął się bliżej dziennikarki i nie spuszczając z niej oka, czekał na dalszy rozwój wypadków.

Zuzanna ociągała się ze wstaniem, na ile się dało. A łatwo jej to przyszło, bo każdy chciał jej pomóc i do sporów o to, kto ma dostąpić tego „zaszczytu”, dochodziło. Ona cały czas obserwowała kątem oka swojego młodego towarzysza. Choć zżymała się na

niego, że jej w żaden sposób nie przygotował na to, co zamierzał zrobić, to musiała przyznać, że pomysł był genialny. Zaczekała, aż chłopak znajdzie się z powrotem na swoim miejscu, po czym wsparła się na jednym z usłużnych ramion.

Z dobrze symulowanym oburzeniem podeszła do zajętego Gerdą oficera i rzekła:

– Od kiedy to oficerowie niemieckiej armii podnoszą rękę na damy? Takiz to jest słynny honor korpusu oficerskiego?

Johannes byłby może na to nie zważał, gdyby nie to, że rzecz działa się w miejscu publicznym, a zła opinia potrafiła się utrwalić jak plama na kurtce. Dlatego też przybrał twarz w uprzejmy uśmiech i całując jej rękę z należną kobiecie czcią i szacunkiem, odparł:

– Racz, pani, darować mi tę przewinę, jaką względem jej czci popełniłem, choć klnę się Bogiem, że nigdy takowy zamiar w mojej głowie nie powstał. Zatem mów, pani, co by tę stratę wyrównać mogło, a każde twoje życzenie w lot spełnię. – To rzekłszy, przykląkł przed nią na jedno kolano i z opuszczoną głową czekał na wyrok.

Gerda obserwowała tę scenę ze znużeniem na twarzy, więc postanowiła odejść. Znała generała nie od dziś i według niej trudno by było znaleźć człowieka o gorszym od niego zestawie cech charakteru. Wiedziała też, jak potrafił być bezwzględny, gdy mu kto nierozsądnie na drodze stanął. I teraz w pierwszym odruchu chciał obsztorcować tę kobietę za to, że na niego wpadła. Ale widać przypomniał sobie, że dzieje się to na oczach ludzkich, bo się pohamował, po czym natychmiast przybrał wyuczoną pozę dżentelmena.

Zuzanna natomiast uśmiechnęła się przymilnie i odpowiedziała:

– W niewolę pana zatem biorę i na dzisiejszy wieczór porywam. A nasamprzód o taniec proszę, bo, jak sam pan widzi, mój młody

towarzysz niewielkie ma w tym względzie umiejętności.

Tu uwaga ogólna zwróciła się na Wiktora. Spostrzegł złośliwy uśmiech Zuzanny i zrozumiał, że ten przytyk względem jego osoby to swoista kara za nieuprzedzenie jej o swoich planach. Ale się tym nie strapił ani się nie zmieszał, choć patrzono na niego nieprzychylnie. Zamiast tego ukląkł przed nią na oba kolana, chwycił ją za ręce i całując je, rzekł:

– Na kolanach o wybaczenie panią błagam i gotów jestem choćby rok spędzić na klęczkach, jeśli to pomoże mi uzyskać przebaczenie. Pokutę zadaj mi, jaką chcesz, bo prawda, że grubianina to był uczynek, a nie człowieka szlachetnego, ale wybaczenia nie odmawiaj. – Podniósł na nią oczy, w których migotały wesołe iskierki.

Gdy powoli oddalająca się Gerda usłyszała głos tak udanie parodiujący przemówienie jej kochanka, natychmiast się zatrzymała. Musiała użyć całej siły woli, by nie wybuchnąć śmiechem. Błyskawicznie obróciła głowę i rzuciła spojrzenie w stronę mężczyzny. Zobaczyła przystojnego chłopca, którego nigdy wcześniej nie widziała. A miała dobrą pamięć do twarzy, więc kogo raz poznała, ten już na zawsze znajdował swoje miejsce w jej pamięci. Tę twarz zapamiętałaby z pewnością, gdyby ją choć raz w życiu zobaczyła. Nagle wydało jej się, że przyjście na ten bal to nie był taki zły pomysł, jak jej się na początku zdawało.

Nie lubiła tego typu imprez. Sztampowe rozmowy, kiepskie żarty i wzajemne plotkowanie. Ale musiała na nich bywać, by nie wypaść z obiegu. Takie bale pozwalały się zorientować, czyje akcje idą w górę, a z kim nie warto już się zadawać. Ona musiała uważać podwójnie, bo jako kobieta nie cieszyła się zbyt wielką sympatią ze strony mężczyzn. Wiedziała, że traktują ją gorzej i wymagają więcej od innych. Wiedziała też, jak ohydne plotki rozpuszczają za jej plecami. Potrafiła obronić się zdolnościami i ciężką pracą,

w którą wkładała całe swoje serce. Ale wiedziała, że najmniejsze potknięcie złamie ją jak suchy badył.

Wiktor, który właśnie skończył swoje przedstawienie, ani przypuszczał, jak wielki krok na drodze do wykonania powierzonego mu zadania wykonał. Jego czynem powodowała szalona fantazja, która tak często przynosiła nieoszacowane szkody sprawie narodowej. Jednak tym razem sprzyjało mu szczęście. Gerda należała bowiem do nowoczesnego typu kobiet, choć sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Jej i tym, którzy mieli w sobie podobnego ducha, przestawała wystarczać rola, jaka od wieków przypisana była kobiecie. Sufrażystki nie chciały być już tylko domowymi urządzeniami sprzątającymi. Pragnęły mieć rzeczywisty wpływ na losy państwa, którego obywatelkami przecież były. Walka ta dopiero się rozpoczynała, ale już widać było, że stary porządek świata ustąpić musi przed nowym, bo taka jest naturalna kolej rzeczy.

Stał teraz oparty o stół i przypatrywał się wirującym na parkiecie parom. Rzucił ciekawe spojrzenia na partnera Zuzanny, który, gdy ich oczy na chwilę się spotkały, przeszywał go wściekłym wzrokiem. A więc się zorientował – pomyślał Wiktor. Oderwał wzrok od wirującej na parkiecie pary i ruszył w kierunku Gerdy. W samą porę, bo właśnie kieliszek zbliżył się niebezpiecznie do krawędzi stołu.

Zdążył podejść w ostatniej chwili, by chwycić kieliszek, który byłby runął prosto na sukienkę dziennikarki.

Gerda zadrzała, widząc gwałtowny ruch koło siebie, ale spostrzegłszy, kogo ma przed sobą, uśmiechnęła się i rzekła:

– Niezdara ze mnie, bo dałabym głowę, że postawiłam go w bezpiecznej odległości. Jestem panu niezmiernie zobowiązana, że ocaliłeś moją suknię przed zniszczeniem.

– Nie masz, pani, za co dziękować.

– Jak to? Moja sukienka ci się nie podoba?

– Tak pięknej kobiecie ozdoby nie są potrzebne. Piękno obroni się zawsze. Ale szampana szkoda.

Roześmiała się, bo jej ten młodzian okrutnie przypadł do smaku. Tyle w nim było energii, która z młodością w parze chodzi zawsze, że aż luna od niego biła. Czuła, iż jakaś przemożna siła wabi ją ku niemu a przyciąga. Bo jak ona nie była zwykłym dziennikarzem, tak on zgoła nie przypominał w niczym mężczyzn, jakich tu zwykle spotykała. Ot, brzuchaci starsi panowie albo zniewieściałe paniczyki, od których pachniało jak z perfumerii. Czasem tam który smalił do niej cholewy, ale żadnemu nie dawała jednoznacznej odpowiedzi, nadziei przy tym nie pozbawiając. Lepiej nigdy mostów za sobą nie palić.

– Skąd się tu wzięłeś? Bo ja dotąd myślałam, że znam wszystkie liczące się pióra w Berlinie, a ciebie za nic przypomnieć sobie nie mogę.

– Nazywam się Hans Werner. I w tym, że mnie, pani, zgoła nie kojarzysz, nie ma nic dziwnego, bo ani bogaty nie jestem, ani sławy jeszcze się nie dorobiłem. Prawdę mówiąc, to bieda u mnie, że czasem i na tę okruszynę chleba zbraknie. Albo mi co zechcą wydrukować, albo i nie. A czasem bywa i tak, że się kto sławniejszy pod moim artykułem podpisze i jak swój na łamach gazet opublikuje. A tobie ani warknąć, ani do sądu pójść nie wolno, bo ci potem żadna gazeta niczego nie opublikuje, a tobie przyjdzie przy ogniskach na ulicach się ogrzewać, jak tym biedakom, co ich po drodze widziałem. Ot, im nagroda za rany i krew, którą dla ojczyzny przelewali.

– Nie pasuje ten strój do człowieka, który się z biedą musi potykać – zauważyła, bo jej się temat rozmowy nie spodobał.

Wiktor nie od razu odpowiedział, bo czuł, że wstąpił na grząski grunt, po którym ostrożnie iść należało, aby się nie dać pochłonąć. Nalał sobie pełny kieliszek i wzniósłszy toast z dziewczyną, pił maleńkimi łyčzkami, jak go Olga uczyła. Szampan smakował

dziwnie cierpko, ale nie szedł mu ani w głowę, ani w nogi. Wydawało mu się, jakby wodę w siebie lał, ale wiedział, że to złudzenie, bo alkohol skutek swój z pewnością na nim już wywarł. Dlatego gdy tylko opróżnił kieliszek, odsunął go daleko od siebie.

Nie uszło to uwadze Gerdy.

– Nie smakuje ci szampan? Swoją drogą, wiesz, że większość receptur na alkohole powstała za sprawą księży? Zabawne, co? Sami zalecają umiarkowanie w jedzeniu i piciu, a tworzą trunki, które są rozkoszą dla podniebienia.

– Ano nie – przyznał. – Nie przywykłem ani do takich trunków, ani i do takiego przepychu, jaki tu wszędzie oglądam. Czasem prostą gorzałką gardło się przepłucze, a i to ze smutku raczej niż z radości. I teraz, w tym garniturze, dziwnie się czuję, bo mi się zdaje, jakbym udawał kogoś, kim nie jestem. Ale pani Wilczyńska wymusiła na mnie to ustępstwo, bo stwierdziła, że nie mogę w swoim ubraniu pójść, boby ją ludzie na języki wzięli. Nie w smak mi to było. Ale gdy kto tonie, ten nie powinien narzekać na brzytwę, której musi się złapać, żeby na dno nie pójść.

Wydęła usta w grymasie niezadowolenia. A więc stara cholera płaciła młodemu, i to pewnie nie tylko za pokazanie się z nią na balu. Ze zdziwieniem zauważyła, że ją ta myśl oburza, choć przecież nie powinna. Sama przecież była kimś podobnym dla Seeckta, tylko że on płacił jej informacjami, a Wilczyńska jemu walutą. Nie miała prawa go oceniać, podobnie jak nie życzyła sobie, by ktokolwiek oceniał ją. Ani go przecież znała – krótkiej konwersacji nie liczyła. A jednak zakłuło ją coś w sercu.

Wiktor spostrzegł zmianę, jaka zaszła w twarzy dziewczyny, i zaniepokoił się poważnie. Wydawało mu się, że już dopływa do brzegu, a tu taki klops. A najgorsze było to, że nie wiedział, czym ją uraził. Jakie złe słowo powiedział. Przeklinał swój brak doświadczenia z kobietami. Nie miał pojęcia, jak ma wybrnąć

z nieoczekiwanych kłopotów. Nagle zmiarkował, że Gerda zachmurzyła się wówczas, gdy wspomniał o Zuzannie.

Teraz rozumiał, jak to wyglądało z jej perspektywy. Niech diabli porwą Olgę i jej znakomite pomysły – pomyślał z gniewem – stokroć byłoby lepiej, gdybym przyszedł tu sam! Ona myśli, że ja i Zuzanna mamy układ sponsorski. Kurwa! Biednemu to zawsze wiatr w oczy. Jak z tego wybrnąć? Rozejrzał się w poszukiwaniu Zuzanny.

Akurat była na drugim końcu sali, obtańcowywała generała. Radziła sobie z nim lepiej niż nieźle, bo wodził za nią rozmarzonym wzrokiem.

Ani do niej podejść, ani prosić o odkręcenie nieporozumienia. Był zdany sam na siebie.

– Ty myślisz, że ja i ona romansujemy ze sobą? Już bym chyba krzty szacunku do siebie nie miał, gdybym z Polką miał spać. Ale jakoś przecież musiałem się tu dostać, bo zalegam z czynszem i grosz mi na gwałt potrzebny. Tu jest mnóstwo znanych osobistości, których przychylność bardzo by mi się przydała. Wróciłem z wojny, a tu pracy dla nas nie ma. Ludzie woleliby chyba, żebyśmy zostali na tych polach bitew, na które nas posłali. Siedzieli za naszymi plecami jak jaja pod kwoką, a teraz nam tej miski zupy żałują. Ale ja swój honor mam i ludziom w ręce nie patrzę.

Tyle było w jego słowach szczerości i nieudawanego żalu, że wszelkie podejrzenia w jej duszy zgasły. Zrozumiała, jak okrutnie skrzywdziła go przedwczesnym posądzeniem, i postanowiła krzywdę nagrodzić. A może i pobałamucić trochę pięknego chłopca? Oparła się na nim tak, że prawie przyłgnęli do siebie – jak dwa drzewa, które gałęziami są splecione.

– Zatańczymy? – spytała, a ciepło jej oddechu owionęło go w jednej chwili.

– Tak, tylko z góry o wybaczenie proszę, bo przez ostatnich kilka miesięcy to z Anglikami tańcowałem, co widać było po przygodzie, jaka moją poprzednią partnerkę spotkała. Albo wiesz co? Ty prowadź, a ja posłuszny będę, bo mi byłoby wstyd drugi raz podobną gafę popełnić.

Spodobała jej się ta odpowiedź. Bez dłuższych wahań wzięła go pod rękę i wywiodła na środek parkietu. Oparła jego dłoń na swojej talii i zarzucając mu ręce na szyję, zaczęła prowadzić. Co chwila kokieteryjnie musnęła go włosami. A gdy się uśmiechnął, to i ją samą jakaś radość przejmowała, jakby znali się od lat i wzajemnie swoje myśli przenikali. Czuła, jakby trzymała w dłoniach błyszczący płomień, takie ciepło ją od niego przejmowało. Nie mogła skupić się na tańcu.

Adamczewski trzymał ją delikatnie i dał się prowadzić. Z przyjemnością wdychał zapach jej włosów. Wydawało mu się, że są tu sami jedni, tak dalece zapadł się w świat marzeń i rojeń. Gdyby nie czasy, w których żyli, może ich los splótłby się ze sobą w nierozzerwalny węzeł. Ale nie mogło być nic z tego, bo on nie był Hansem Wernerem, choć gdyby go był kto o teraz zapytał, to nie wiedziałby, czy nie chce nim być.

Czuł się jak człowiek, który pierwszy raz próbuje alkoholu. I gorąco w nim biło, aż dreszcze po krzyżu przechodziły. Nie kontrolował odruchów ciała, bo całkiem się w niej zatracił i chyba tylko cudem nie przydeptał jej trzewików. Wreszcie muzyka umilkła, a oni zastygli wtuleni w siebie, jak gdyby niepewni, co dalej.

W końcu Wiktor przełamał się i odsunął ją od siebie na długość ramienia. Spojrzał w jej błyszczące oczy, dostrzegł rozchylone usta i uczył nagły wstręt do samego siebie. Co robił!? Dlaczego krzywdził kogoś niewinnego? Cóż ona była winna, że była kochanką von Seecketa? Czy najwznioślejszy cel może uzasadniać

rozdarcie, podeptanie czyjegoś serca i uczuć? Zadawał sobie te pytania i miotał się niczym ryba na haczyku.

Już usta otwierał, by jej najszczerzą prawdę wyznać, gdy usłyszał coś, jakby jęk stłumiony.

– A mało to ja mam córek, które powabami tej w niczym nie ustępują? A i ty mój syn, a już chcesz matkę opuścić i w tych ślicznych niemieckich oczach utonąć. To po to ginął twój brat, to po to tysiące powstańców walczy rozsianych po całej Polsce? Co się z nimi stanie, jeśli ty za głupim porywem serca pójdziesz? Ej! Dzieci moje nieszczęsne, kiedy wy wywdzięczycie mi się za tę ziemię bujną a szczęśliwą, którą dałam wam we władanie? Kiedy wreszcie przestaniecie o własnym tylko szczęściu myśleć, a ja przestanę krwawymi łzami płakać?

Rozejrzał się w panice za źródłem tego głosu, ale go nigdzie nie dostrzegł, bo ono było w jego głowie. Tym niemniej strach go zdjął, że tak niewiele trzeba było, aby przeciwko narodowi zgrzeszył. Opamiętał się już i zamiast mówić, pocałował ją miękko, delikatnie. Zesztywniała mu w ramionach i oddała pocałunek. Ale nie chwyciło go nic, co opisują w głupawych opowieściach dla kobiet. Pamiętał, że to wróg, który wepchnąłby mu sztylet w gardło, gdyby wiedział, że jest Polakiem.

Odsunął ją od siebie.

– Na pewno tego chcesz? Ja jestem tylko ubogim dziennikarzem i nie mogę ci wiele dać. Ten twój generał jest bogaty, a ja mieszkam w ubogiej kamienicy, z której zaraz mnie wyrzucą, gdy nie zapłacę należności za komorne.

Musnęła go żartobliwie dłonią po ustach.

– Głuptasku, ty naprawdę sądziłeś, że taka kobieta jak ja związałaby się z kimś takim jak ty? Proponuję ci tylko seks, chwilę zapomnienia. Chcesz, przyjmij, nie chcesz, nie przyjmuj, gniewu nie będzie. Dziś mam ochotę. Jutro – kto wie?

Gdyby sytuacja była normalna, strzeliliby ją w tę pokrytą kosmetykami twarzyczkę. Ale teraz lżej mu się zrobiło na duszy. Ostatnie okruchy litości, jakie w nim jeszcze pozostały, wyparowały z niego jak śnieg w marcu. Dla tej kobiety był tylko zwierzyną, którą chciała upolować, by dogodzić własnej próżności. Lecz nie miała pojęcia, że jest taką samą zwierzyną dla niego. Tu wzdrygnął się, bo poznał, jak niewiele brakowało, aby dał się jej całkowicie omotać. Na szczęście Bóg nad nim czuwał.

Zamiast odpowiedzi przyciągnął ją ku sobie i szepnął najbardziej namiętnym tonem, na jaki umiał się zdobyć:

– Chodźmy stąd, bo dłużej nie wytrzymam.

Gerda uśmiechnęła się zalotnie. A więc jeszcze potrafiła uwieść każdego, kogo zechciała. Nie będzie żenić się z żadnym mężczyzną, myślała. Kariera najważniejsza. Nie będzie prąla pieluch, wysłuchiwała wrzasku bachorów i chrapania męża, który zapewne traktowałby ją gorzej niż niewolnicę. To ona miała nad nimi władzę, gdy dyszeli z pożądania i zebrali jak te dziady. Dojdzie wysoko, gdzie sobie zamierzy i żaden stary cap jej w tym nie przeszkodzi.

Tak ona sama ze sobą w myślach rozprawiała, gdy Wiktor wyprowadzał ją z hotelu. Wkrótce obydwójce pomknęli dorożką na Bahnhofstrasse. Przez całą drogę Adamczewski obcałowywał swoją partnerkę. A mówił jej tak wyszukane komplementy, na jakie tylko jego mózg potrafił się jeszcze zdobyć. Sam nie wiedział, jak zdołał zapanować nad ogarniającym go uczuciem obrzydzenia.

Dorożkarz co chwila rzucał w ich stronę zachłanne a pożądliwe spojrzenia. Mógł to robić, bo ulice już były puste. Jedynie kamienice umykały przed nim, że ani spojrzeć nie było na nie czasu. Czasem mignął czarny uniform stróża, gaszącego przestarzałe latarnie, które gazem jeszcze nie zasilano. Czasem koła dorożki podskoczyły mocniej na jakimś wyboju lub nierówności. Poza tym podróż minęła im bez przygód i spokojnie.

Wreszcie zatrzymali się przed okazałą kamienicą z żółtego piaskowca. Wiktor zapłacił dorożkarzowi, po czym wyskoczył, podając rękę swojej towarzyszce.

W tym samym momencie zza zakrętu wynurzył się czarny automobil na długich światłach. Wiktorowi udało się w ostatniej chwili uskoczyć spod kół, ale spodnie miał całe poplamione. Już chciał przyskoczyć do kierowcy i zmieszać go z błotem za fatalną jazdę, ale spostrzegł, że za kierownicą siedzi von Seeckt. Zawahał się.

General się zatrzymał. Zgasił silnik, drzwi otworzył i chciał ku nim ruszyć. Ale musiał mieć już mocno w czubie, bo twarz miał całą pokrytą purpurą, oczy mu błyszczały i kroku pewnego zrobić nie mógł. Szedł, zataczając się na lewo i prawo, coś przy tym bełkotliwie mówił, ale nie szło go zrozumieć. Wreszcie nogi całkiem odmówiły mu posłuszeństwa, bo runął głową na chodnik. Szczęściem trafił na zaspę metrową, która się po odśnieżaniu nagromadziła.

Gerda przyskoczyła do niego, próbowała go obrócić, podnieść, ale nie szło jej to wcale, bo wątpła była, a general prawie do olbrzymów należał. Zadyszała się, zmachała i wreszcie uznała się widać za pokonaną, bo posłała Adamczewskiemu błagalne spojrzenie.

– Idź do mieszkania – mruknął. – Naszykuj wody z ogórków, łóżko pościel, żeby było go gdzie położyć. Już ja go tam jakoś udźwignę.

Gerda pobiegła do mieszkania, zadowolona, że się dłużej opojem kłopotać nie musi. Wiktor zaczekał chwilę, aż się przekonał, że go już na pewno widzieć nie może, i zabrał się za przeszukiwanie generała. Szybko przesuwając rękoma po całym ciele Johannesesa, szukając czegoś, co przydatne być mogło. Także znalazł: mały mosiężny klucz. Do czego pasujesz? – pomyślał, przypatrując się kluczycowi ze zmarszczonym czołem.

Kluczyk naturalnie nie odpowiedział, ale Wiktor nie zamierzał spoczywać na laurach. Wstał, otrzepał spodnie i żwawym krokiem udał się do samochodu, bo tam wiodło go przecucie. I nie zawiodło. Na tylnym siedzeniu leżała teczka. Zadrżał ze szczęścia. Czuł, że jest blisko. Chwycił ją i z dygocącym ze strachu sercem wsunął klucz w zamek – pasował.

Teczka odkryła przed nim swą tajemnicę. Na samym środku leżał aparat do tworzenia mikrofilmów i duża szara koperta. Niewiele myśląc, otworzył ją i zaczął wykonywać dokumentację fotograficzną zawartego w niej materiału. To była pełna dokumentacja Wiosennego Słońca. Każda żyłka trzęsła się w nim ze strachu, że za chwilę Gerda spojrzy w okno i zobaczy, co robi. Ale nie ustawał w pracy i flesz aparatu migał co chwila, gdy kopiował kolejną kartkę. Wreszcie robota była ukończona. Wyjął rolkę z mikrofilmem, przyjrzał się poszczególnym klatkom pod światłem księżycy, by upewnić się, że niczego nie pominął. Następnie zatarł po sobie wszelkie ślady, schował rolkę w kieszeni garnituru.

Już chciał wracać do swoich, bo zadanie pomyślnie wykonał, gdy wzrok jego padł na leżącego w śniegu Niemca. Mam go tu jak psa zostawić? – pomyślał. Lecz czy nie byłoby to dla ojczyzny pożytkiem, gdyby taki śmierć w tych śniegach znalazł? Sam sobie był winien, pijąc bez umiaru. On go tu tylko pozostawi, aby mógł wypełnić do końca swoje przeznaczenie.

Wiktor szarpał się i bił z własnymi myślami, ale krótko to trwało. Przebiegło mu bowiem przez myśl, że Seeckt to nie byle jaka figura, żeby władze przeszły nad jego zgonem do porządku dziennego. Zaraz zaczęłyby się badania i śledztwo szczegółowe, które mogło źle dla niego wypaść. Stanowczo lepiej będzie, jeśli zanieśie opoja do kochanki i znajdzie jakąś wymówkę, żeby wywinąć się z gościny.

Przyszło mu to łatwiej, niż sądził. Gerda zbyt wiele zachodu miała z rozebraniem bezwładnego i na wpół przytomnego kochanka, aby się nim w tej chwili przejmować. Rzuciła mu więc na odchodnym kilka pustych obietnic, które nigdy dotrzymane być nie miały, po czym zatrzaskała mu drzwi przed nosem. Srodze by się jednak zawiodła, gdyby myślała, że tym postępowaniem strapiła niedoszłego kochanka.

Adamczewski wracał, wesoło podśpiewując. Już sobie wyobrażał, jak Hindenburg będzie się wściekał i gromy na swoich oficerów ciskał, gdy wszystkie jego szatańskie knowania na jaw wyjdą. I ani będzie przypuszczał, ani sobie pomyśli, że klęskę tę sprowadził na niego on właśnie – nic nieznaczący młodzik. On zniszczył i pomieszał ich plany, zanim zdolały wydać jadowite owoce. A nikt się nigdy o tym nie dowie. Ale on wiedział. Wiedział, że pożyteczny jest. I ślubował sobie jeszcze nie raz i nie dwa Niemcom sadła za skórę zalać.

Uniósł oczy w górę i patrzył na niebo upstrzone gwiazdami, które zdawały się mrugać ku niemu. Nagle uczył, że radości w piersi pomieścić nie może, i wrzasnął:

– Niech żyje Polska! – A echo rozniosło ten okrzyk po wrogim mieście, które spało, nie przypuszczając, że wróg stąpa spokojnie jego ulicami, z tajnymi planami w kieszeni.

Rozdział XI

Rosja – kraj nieszczęsny. Ilu tam ludzi zginęło, przepadło bez wieści. Jeden Bóg chyba wiedział i on jeden zliczył. Nikt tam jutra pewnym być nie mógł, bo wystarczyło jedno skinienie wszechwładnych panujących na Kremlu, aby z ciepłego łóżka ruszyć w okowach na bezkresy Sybiru, w których przepadało się na wieki. I lud cierpliwy znosił te wszystkie zbrodnie, lud zbożny. Wielbił Iwana Groźnego, który tyle krwi rozlał, że inni władcy nawet wyobrażenia o tym nie mieli.

Toteż nic nigdy nie zakłóciło wrzeniem bezpieczeństwa Romanowów. Na próżno raz na jakiś czas spiskowcy usiłowali porwać lud do walki hasłami o wolności. Jakoż lud miał pragnąć czegoś, czego nie zna? Aż nastał rok 1914 i wówczas właśnie zmieniło się wszystko...

A pozornie nic nie zapowiadało nieszczęścia. Wybuch wojny przywitano w imperium carów z entuzjazmem graniczącym z euforią. Urządzano procesje dziękczynne z ikonami, w których tłumy nieprzeliczone brały udział; pułki szły na front ze śpiewem i zapałem a radością wypisaną na twarzach żołnierzy. Zdawało się, że wojna będzie krótka, a zguba tych, którzy najechali świętą ziemię – nieuchronna. Sam car w to wierzył, jakże nie mieli wierzyć żołnierze?

Upływający czas pokazał dobitnie, jak płonne były to nadzieje. Okazało się nie po raz pierwszy, że carska armia przez lata zaniedbań i kunktatorstwo generałów zmieniała się w kolosa na

glinianych nogach. Była to siła dobra do tłumienia zrywów i powstań narodowych, ale nie im się było mierzyć z niezrównanymi w boju pruskimi pułkami: każde starcie, każda bitwa i potyczka kończyły się nową straszliwą klęską, która zbierała potworne żniwo w poległych i rannych. Nie było dworu, nie było wieśniaczej chaty, gdzie by matki nie opłakiwały synów i ojców – żołnierzy rosyjskich.

Bronili się z bohaterką odwagą i męstwem, ale brakło im wszystkiego. Świetne pułki zmieniały się z wolna w bandę obdartusów i nędzarzy, którzy nie mieli butów, karabinów, mundurów. Głód skręcał im kiszkę, odbierał zapał i dyscyplinę. Jęki i skargi poczęły się podnosić i brzmiały coraz mocniej – z akcentem gniewu, groźby i oburzenia. Tchnienie burzy bliskiej ocierało się o progi carskiego siola, ale nie znajdowano tam rady na to, jak zapobiec kryzysowi.

Na próżno car zmieniał kolejnych generałów, zonglował urzędnikami. Te korekty nie mogły w niczym poprawić niekorzystnego rozwoju sytuacji, bo cała monarchia Romanowów była strukturą przegniłą, skostniałą i zupełnie niegotową do prowadzenia nowoczesnej wojny. W akcie desperacji Mikołaj II sam mianował siebie naczelnym wodzem, licząc, że to zdusi rozruch w zarodku i ostudzi umysły. Teraz nie było się kim zasłonić, na kogo zrzucić odpowiedzialności. Mikołaj zagrał o wszystko i wszystko utracił.

W lutym 1917 roku wybuchła rewolucja, która położyła kres przeszło czterowiekowemu rządowi Romanowów. Nastąpiła demokracja. Rządy wzięli w swe ręce przedstawiciele Dumy, która z nie wiadomo czego stała się parlamentem. Lecz ludziom nie parlamentu było potrzeba, a pokoju. O to żebrał umęczony lud rosyjski. Pokój był na wszystkich ustach od Wołgi aż po krańce Syberii... Lecz rząd tymczasowy był łudzony iluzorycznymi zapewnieniami o przyjaźni ze strony swych sojuszników, którym

jak o zbawienie duszy chodziło o to, żeby Rosja z wojny nie wychodziła.

Ale lud rosyjski nie chciał wojny. Był jak śnieg, który, gdy leży na zboczach gór, piękne robi wrażenie, ale niech tylko runie w doliny, a nic się po nim nie ostanie. Tak runął rząd tymczasowy, gdy go słuszny gniew wzburzonego, a do desperacji przywiedzionego ludu dosięgnął. Demokratyczna Rosja zmarła, uduszona w kołysce, bo ludziom, którzy ją spłodzili, zabrakło w decydującym punkcie dziejów odrobiny wyobraźni. Lud dostał pokój z rąk człowieka, co do którego lepiej by było, gdyby się nie narodził.

Człowiekiem tym był Włodzimierz Ilicz Uljanow, powszechnie znany jako Lenin. Bruździł on pod tronem Romanowów od czasu, gdy car skazał mu na śmierć ukochanego brata. Wówczas to serce zawrzało w nim żądzą zemsty, z której uczynił cel swego życia. Szedł do niego, a z drogi nie zbaczał, nawet wtedy, gdy wydawało się, że spokojowi i pomyślności monarchii nic zdaje się nie zagrażać. Wiedział, że kropla drąży skałę. Wypatrywał chwili przełomu, a gdy nadeszła, umiał ją rozpoznać i w pełni wyzyskać.

Zrozumiał dobrze, że tylko kończąc wyniszczającą kraj wojnę, zdoła utrzymać się u władzy. Inaczej ta siła, która wyniosła go tak wysoko, zrzuci go ze szczytu niby piórko i pogruchocze wszystkie kości. Dlatego godził się bez szemrania na wszelkie niemieckie warunki, byle tylko zapewnić sobie pokój, który był mu potrzebny jak powietrze. Niemcy zaś bezwzględnie wykorzystali swą przewagę. W całej historii wojen nikt nigdy nie zawarł chyba korzystniejszego dla siebie układu pokojowego.

Alte papier tylko był, który łatwo było literami zapełnić, po czym do ognia wrzucić albo podrzeć. Wiedział to dobrze Lenin, a może i przewidywał, że cesarzowi Wilhelmowi, który po wiele ziem ręce chciwie wyciągał, wkrótce niewiele w tych rękach zostanie. Jak było, nie wiadomo. Dość, że to prosty chłop z Ufy

śmiał się jako ostatni. Po jego wrogach ani śladu, ani popiołu nie zostało, a on uznał po prostu traktat brzeski za niebyły.

Oddział Łazariewa parł przez Rosję niczym duchy. Mijali ruiny i zgliszcza, karmili konie z ręki, bo furazu nigdzie nie mogli dostać. Chłopi, gdy tylko ujrzeli zbliżających się żołnierzy, uchodzili do lasów z dobytkiem. Zostawiali chaty na łasce Bożej, a Łazariew kazał je puszczać z dymem, co żołnierze robili z ochotą. Czasem napotykali na swej drodze trupy ludzkie i końskie, nad którymi kruki i sępy krążyły.

W chatach widywali ślady po kanibalskich ucztach, które coraz częściej bywały zjawiskiem. Mordowano dzieci, psy i koty, aby za wszelką cenę głód zaspokoić. Ludzi głodem dręczonych łatwo było poznać, bo mieli wzdęte brzuchy, a w oczach obłęd. Na widok żołnierzy rzucali się na nich z gołymi rękoma. Tych Łazariew karał ogniem i mieczem. Czasem napotykali inne oddziały, ale się do nich nie zbliżali, bo woleli utarczki uniknąć, która by łatwo z takiego spotkania wyniknąć mogła.

Droga ta była straszna, bo odbywali ją po ziemi skrwawionej oraz zgliszczami i trupami usianej. Konie im wychudły, ludzie pomarnieli, a przed nimi rozciągały się pustki. Tak mijali im dzień za dniem, noc za nocą, aż wreszcie wpadli w mury Moskwy, gdzie sam Lenin rezydował. Tu Wieniawa w lochu siedział, a wypoczywał po podróży strasznej, męczącej.

Spał wsparty o zimną ścianę celi i siły zbierał. Jedynym odgłosem zakłócającym naturalną ciszę było lekkie chrapanie, jakie mu się z ust razem z obłoczkami pary wydobywało. Co chwila przekręcał się na słomie i się wiercił. Za każdym ruchem dawał się słyszeć zgrzyt łańcucha, którym przytwierdzony był do ściany. Ciężkie okowy wżynały mu się w ciało, pozostawiając krwawe pręgi na kostkach nóg.

Księżyc wsunął się zaciekawiony przez małe, zakratowane okienko i oświetlił ciemną piwnicę snopem swojego światła. Było

to pomieszczenie małe, ciemne, z grubymi wilgotnymi murami. Podłogę wymoszczono przegniłym sianem, jakiego w Polsce nawet krowom by na podściółkę nie dano. W rogu stał kibel przenośny, który więzień sam musiał opróżniać. Celę zamykały drzwi mocno okute żelazem, z zardzewiałym judaszem. Od zewnątrz zamykane były na zasuwę. Pod nimi był niewielki otwór, którym więźniom jeść podawano.

Wieniawa ocknął się, sam nie wiedząc dlaczego. Słuch wytężył. Usłyszał wreszcie ciężkie stąpania oficerów i coś jakby szuranie. Kroki i ów dziwny dźwięk zbliżały się, a na koniec zatrzymały się przed jego celą. Szybko opuścił z powrotem głowę na pierś i przysunął się do ściany, by udawać pogrążonego we śnie. Ciekawość jednak przemogła strach i powieki miał na wpół otwarte.

Usłyszał wyraźny szcęk otwieranej zasuw, a po chwili drzwi otwarły się na oścież i stanęli w nich trzej strażnicy. Jeden, który najwidoczniej dowodził, wskazał dwóm pozostałym na słomę i powiedział do nich coś, czego Wieniawa nie dosłyszał. Strażnicy ci wciągnęli za ręce do celi ciało bezwładne, bez życia i rzucili je na słomę.

Strażnik podszedł do Wieniawy, odpiął mu łańcuch i śmiejąc się, rzekł:

– No, ty Polak i on Polak, to wam będzie razem w jednej celi raźniej. Zwłaszcza że obaj traficie wronom na posiłek. Jak widzisz, nasi chłopcy potarmosili go troszeńkę, żeby mu jęczyczek rozwiązać, ale on hardy, głupiutki. Jak będziesz mógł, to go przekonaj, żeby mówić zaczął, bo inaczej wdepczemy go w podłogę i wyniesiemy na śmietnicze.

Wieniawa uniósł głowę.

– Nie pierdol, sepleniąc jak dziecko, bo mi się niedobrze robi. Pewnie ci dwaj trzymać go musieli, żeby taki dzielny żołnierzyk poużywać sobie mógł.

Oficer poczerwieniał z pasji, kopnął go w krocze z taką siłą, aż się Wieniawa z bólu zwinęła. Pochylił się przy tym nad nim i patrząc mu prosto w oczy, wysyczał:

– Poczekaj, będziesz ty jeszcze kwiczał w moim gabineciku jak gwałcona baba! Wy Polacy wszyscy tacy: hardzi w gębie, ale jak was trochę poskrobie, to w sześciu językach zmiłowania prosicie! Ja znam takie sztuczki, że ci krew ze wszystkich otworów ciała buchnie! – Tu oficer zaczął miotać się coraz bardziej, unosić, a pięścią Wieniawie wygrażać.

Ten jednak był dziwnie spokojny i nieporuszony, jakby nie o jego skórę tu chodziło. Patrzył na oficera z odcieniem jakiejś pobłażliwości, a nawet pogardy. Wiedział, że drażniąc go, ryzykuje życiem, lecz nie mógł się powstrzymać.

– No jasne, na gwałceniu to się znać musicie, bo z taką gębą to pewnie żadna wam po dobroci nie da! Jak kurwa na was patrzeć musi, to dopłacać sobie każe?!

Oleg Czernysz nie nawykł, by z niego jawnie kpiono. Odgryźć się nie umiał, bo językiem zbyt giętkim nie władał. Ale za to przed pięściami jego drżała cała Rosja. Sam towarzysz Stalin napomknął o nim parę razy. Czernysz zamierzył się więc pięścią na Wieniawę, któremu drogo by pewnie przyszło za swój szalony wybuch zapłacić, gdyby nie dwaj pozostali strażnicy, którzy chwycili Olega i przymocowali go do ścian więzienia.

– Będziesz miał jeszcze swoją przyjemność – perswadowali wściekłemu – bo to harda jakaś sztuka, jako i wszyscy Polacy. Tu masz tylko pięści, a u siebie w gabinecie szczytce przeróżne, którymi męki wielkie możesz mu zadać. A na przesłuchaniu to choćby i skapiał, to nikt pretensji do ciebie mieć nie może.

– Tu... teraz... ja go! – wrzeszczał Oleg, wyrывая się towarzyszom.

Ale ci nie puszczali, bo im za bardzo o własną skórę chodziło. Wiedzieli od tych, co przywieźli im więźnia, że podaje się on za

adiutanta Piłsudskiego. Wprawdzie oficer, który przewodził oddziałowi, nie bardzo w to wierzył, podejrzewając mistyfikację, ale i on ręki na więźnia podnieść się nie odważył. Jakże mogliby ośmielić się oni?

– Pohamuj się, dziadu! Wiesz ty, kim on może być? Jak to się prawdą okaże, to sam żelazny Feliks przesłuchać go zechce. A co mu wtedy powiemy? Żeś ty go na tamten świat wysłał? No, spróbuj zdrzeć z Dzierżyńskim, jak chcesz własnych metod posmakować. Ale nam do nich niepilno.

Oleg może by im się wyrwał, bo niepospolitą obdarzony był siłą, ale straszne imię Dzierżyńskiego obezwładniło go i wolę oporu odjęło. Spośród ludzi jego jednego bał się tak, że aż mu włosy dęba na skołunionym łbie stawały. Gdzie mu do niego sięgać? On pan, a ja sługa – pomyślał i przestał się wyrwać. Posłał jeszcze jedno czy dwa nienawistne spojrzenia przekrwionych ślepi w stronę Wieniawy, po czym dał się wyprowadzić, nie stawiając oporu.

Cela znów pogrążyła się w ciemności i w ciszy upiornej, która dzwoniła w uszach. Tylko kroki oddalających się strażników słyszać jeszcze przez czas jakiś było, lecz wkrótce i one ucichły.

Długoszowski przysunął się ostrożnie do więźnia, przyłożył mu ucho do piersi i posłyszał szmer oddechu. Badał palcami ciało nieszczęśnika w poszukiwaniu ran poważnych, ale takowych nie znalazł – widać miał za sobą tylko grę wstępną. Poznał od jednego rzutu oka mundur ludzi generała Wrangla, który teraz nad Donem od bolszewików się opędał. Był to mundur wypłowiały od ślot i deszczy, a podziurawiony tu i ówdzie kulą lub bagnietem. Długoszowskiemu zdawało się, że wystarczy jeden nieostrożny dotyk, a odzienie owo rozleci się, odkrywając nagość ciała.

Nagle żał go jakiś i gniew na siebie pochwycił. Zaczął drzeć swój płaszcz na długie, cienkie pasy, którymi opatrywał, jak w tych warunkach mógł najlepiej, rany starego wiarusa. Spozstrzegł przy tym dziwną bliznę na ręce, jakoby szablą zadaną. Długa sinawa

pręga ciągnęła się przez całą wewnętrzną część dłoni. Stara to być musiała rana, bo dawno się zasklepiła.

Ukończywszy szybko a sprawnie, jak na lekarza z dyplomem przystało, owe opatrunki, skoczył po wodę, której sam nie tknął z obrzydzenia. Ruszył, dzwoniąc łańcuchem, który zwisał mu pomiędzy nogami, i znalazł miskę z zatęchłą, brudną cieczą. Strapił się mocno. Jak taką pobitemu podać? Ale tu niczego innego pod ręką nie miał. A chory jeść i pić musiał, by choć jako tako przyjść do siebie. Ale po co, na co? Toż za jaki dzień lub dwa i tak pójdą wronom na puste żołądki.

Boskie plany niewiadome – odparowało sumienie. Już w tym pociągu wedle wszelkiej logiki głowę położyć powinien, a żyjesz. Może też i z tej kabały jakoś się obaj wywiniecie, bo moc Boża potężniejsza być musi od ludzkiej zawiści, inaczej by nie było po co żyć na tym pełnym przygód świecie.

– Zamknij się! – powiedział na głos.

Nawilżył skrawek swojego płaszcza i wsunął skatowanemu do ust. Ten wysał kawałek szmaty do ostatniej kropli i spróbował unieść głowę. Wieniawa, ujrawszy to, podsunął mu co prędzej pod głowę swoje ręce, żeby mu się krew nie rzuciła. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Nieznajomy rozglądał się ciekawie po celi jak człowiek, który się budzi po długim śnie. Przecierał kułakami oczy i ze zdumieniem na fachowe opatrunki spoglądał.

– A kto to tak fachowo mnie opatrzył?

– A ja. Dacie radę utrzymać sami głowę w górze, bo mi ręce już odrętwiały, a swoją wagę też macie?

– To wam muszę szczerze podziękować i przebaczyć, żeście mnie tą wodą poili – odparł słabym jeszcze głosem nieznajomy.

Wieniawa urażony się poczuł; choć sam tej wody tknąć nie chciał, przecież chciał dobrze. Dlatego mruknął zgryźliwie:

– Wy byście pewnie jaki miękki cycuszek woleli, ale to nie do mnie pretensje, tylko do obsługi tego hotelu. A jak już księgę skarg i zażaleń znajdziecie, to zgłóście i moją reklamację, bo mi się okrutnie standard pokoju nie podoba.

– Że co? Ja Tomasz Grobel jestem. Mówcie do mnie prosto, bo ja prosty chłop jestem. Od dziesięciu już lat tułam się po tej przeklętej ziemi i do domu wrócić usiłuję. Choć i to nie wiem już po co.

– Od dziesięciu, mówicie? – zapytał łagodniej Wieniawa.

– Ta... Dziesięć lat już będzie, jak dom rodzinny ostatni raz widziałem.

Tu Tomasz zamyślił się głęboko, w ścianę oczy wlepił i chlipać począł. Łzy jego spadały na opatrunki i mieszały się z plamami krwi.

Wieniawa oczy obrócił, by go nie krępować. Sam powód do bólu i płaczu rozumiał, choć patrzył na te rzeczy inaczej. Nie miał za kim tęsknić, do kogo myślą lecieć, a wspomnienia w sercu nosić. Ojciec i matka dawno w grobie leżeli, a jego żona, jeśli go wspomni, to z przekleństwem w dodatku. Tak, nie miał jednej duszy życzliwej, która by się nad nim użaliła, gdyby tu śmierć znalazł.

– Prawda, że szmat czasu was nie było, ale przecież żyjecie jeszcze. Zawsze możecie w swoje strony wrócić – powiedział, byle co powiedzieć, bo milczenie stało mu się ciężarem.

Grobel także gębę obtarł i uśmiechnął się z jakimś smutkiem utajonym, żalem.

– Prawda, że mogę, ale czy mam do kogo i do czego? Ojciec i matula pewnie już pomarli, a siostra z mężem jak na swoim na mojej gospodarce się rozłożyli. A takiemu krewnemu, co się z nim ziemią dzielić trzeba, to niechby cegła w drewnianym kościele na łeb spadła! Już oni tam pewnie diabła się prędzej spodziewają niż mnie na progu ojcowej chaty! Ot, tułał się człek od bitwy do bitwy, od obozu do obozu, a gdy wracać mu przychodzi, to się okazuje, że nie ma do czego.

– Opowiedzcie mi o sobie wszystko, to się wam lżej na duszy zrobi, jakbyście spowiedź generalną odbyli. A nie bójcie się, bo choć nie jestem księdzem, to waszych tajemnic nikomu nie zdradzę. Chyba że Świętemu Piotrowi na bramie, bo oni nas żywych stąd nie wypuszczą.

– Dziw – odparł Tomasz – że to wam się chce z prostym chłopem rozmawiać. Po tobie zaraz widać, żeś paniczyk, bo ręce gładkie jakby u jakiej dziedzicowej córki, a gęba takż gładka.

Wieniawa roześmiał się szczerze, choć położenie ich istotnie niewesołe było. Jego śmiech roznosił się po murach i zakamarkach Łubianki. Wreszcie opanował się jako tako, by móc w skupieniu wysłuchać opowieści. Tomaszowi siły powoli wracały, więc zaczął:

– Pochodzę z Wilczanki. Mała to wioszczyna, nad którą nie ma co się długo rozwodzić. Żyłem tam, jako na wsi żyją wszyscy, pomagając rodzicom w gospodarowaniu i chodzeniu koło dobytku. Ot, w tygodniu robiło się na ojcowych zagonach, a na niedzielę szło się piechotą do Gołębia, do kościoła.

Tak mi się życie wlokło, aż pewnego dnia zaszedł wypadek, który do zguby mnie przyprowadził.

Zaszedłem nad rzekę, a tam baby kijankami odzienie prały. Zeszło się na to chłopaków niemało, bo jak ci się taka nad wodą pochyli, to aż płomień po krzyżu idzie. I zwyczajnie, jak to między chłopem a babą zaraz się żarty i psoty zaczęły. No i jeden ci dla żartu chwycił dziewczynę, a w wodę prasnął. Myślałem – nic to, przecież pływać umie, to i wypłynie. Ale jej się noga w jakiś dół we dnie dostała i nijak nogą ruszyć. Szarpała się, wila, nic nie pomagało, a tu woda co chwila zagarniała ją pod spód. Zdębieliśmy ze strachu, bo to była sołtysowa córka Wiesia Gawdowianka.

Urodna ci była, że tygodnia byś nie znalazł, żeby kto do niej z wódką nie posyłał. Ale stary to ci na każdego, co się do niej zbliżyć ośmielił, tak sarkał, a parskął, że panna na koszu siedziała.

A przecie i wiano miała niezgorsze, bo bez tego to by jej i ten dziadyga spod kościoła nie wziął.

– Wracaj do opowieści, a faktów nie mieszaj, bo mogą nas zaraz na przesłuchanie wezwać – przerwał znudzony trochę tą opowieścią Wieniawa. – To ci tylko powiem, że dziwny to zwyczaj dla gruntu się żenić.

– Mnie się widzi, że każdy we wszystkim zysku swego szuka. A przecież wiadomo, że ziemia jest cenniejsza od życia, tak jak i koń od baby. Co do opowieści to wiele więcej do powiedzenia nie ma. Wyciągnąłem ją z trudem. I się miłowanie między nami zaczęło. Ale przed ludźmi na wsi nic się nie ukryje, choćbyś i na dno Wieprza uciekł, to i tam cię wypatrzą. Wszyscy o nas wiedzieli prócz starego, bo się bali mu donieść, żeby czym nie oberwać, jak go pierwsza cholera trawić zacznie.

– Rodzice zawsze dowiadują się wtedy, jak chrzciny albo wesele trzeba wyprawić – wymruczał Wieniawa. – Ale się chyba w końcu ktoś odważył, skoro tu siedzimy.

Tu przerwać na chwilę musieli, bo za oknem rozległa się salwa krótka, urywana. Wieniawa poderwał się do niego, chwycił się kraty i swym ciałem całkiem je zasłonił. W celi zrobiło się jeszcze ciemniej, ale teraz przynajmniej widział dobrze.

Na dziedzińcu leżało kilka ciał z opaskami na oczach. Oficer właśnie wyjął pistolet i przechadzając się między ciałami, dobijał tych, którzy dawali jeszcze znaki życia. Obok ciał stały trumny z podejmowanymi już wiekami. Pluton egzekucyjny właśnie zmieniał naboje, co świadczyło o tym, że jeszcze nie skończyli pracy.

Po chwili na dziedzińcu przyprowadzono jeszcze dwóch ludzi. Jeden z żołnierzy podszedł do nich i zasłonił im oczy. Wieniawa wbił ręce w pręty kraty i zacisnął szczęki. Karabiny pochyliły się, jakby w ukłonie. Oficer rozpoczął komendę.

Wieniawa nie mógł już na to patrzeć. Usiadł z powrotem pod ścianą i wymruczał coś, co na modlitwę wyglądało. Chwylił łańcuch, co pomiędzy nogami miał, i ze złością targać go zaczął. Nie po to, by rozerwać, bo tak olbrzymiej siły nie posiadał, ale po to, żeby gniew i żal z siebie wyrzucić. Na koniec, wysapawszy się wreszcie, o dalszy ciąg historii poprosił.

– Stary nas w końcu w oborynie przydybał. Jakie oczy wtedy zrobił, tego ja nigdy nie zapomnę i w godzinę śmierci pamiętałem będę. Skoczył ku mnie z widłami, ale się na krowim łajnie pośliznął, my w te dyrdy do lasu, żeby mu co prędzej z oczu ująć. Ja nawet oblec się nie zdążyłem i nagusieńki uciekałem. Gdybym był wiedział, co później przyjdzie mi zobaczyć, tobym się dał tymi widłami przebić.

Stary ryczał jak ranny tur, a Wiesię natychmiast za mąż wydał za jakiegoś komornika, z litości ludzkiej żyjącego. A na mnie tak się zawziął, że już chyba gorzej się nie da. Ale się na mnie już nie porwał, nie. Stokroć gorszą zemstę obmyślił. Dobre układy, z kim trzeba, miał. I jak pobór był w carską służbę, to komu trzeba dał, a nie żałował rubelków, żebym się na liście znalazł. Matka na kolanach błagała i próbowała pojednać, ale stary zawzięty był i nie odpuścił. Tak i powlekli mnie na wschód.

Wybuchła wojna. Poszliśmy i my. Ja służyłem u Mikołaja Łazariewa, bodajby go Bóg w moje ręce wydał, żeby go za krew Sylwka pomsta moja nie minęła.

– To i ja tego Łazariewa poznałem. On u bolszewików teraz w służbie.

Tu Wieniawa w skrócie opowiedział o swojej własnej drodze, która go aż do tego więzienia zaprowadziła. Swojego nazwiska jednak ani prawdziwego celu podróży nie wyjawiał. Nie było to ani potrzebne, ani bezpieczne. Zresztą Tomasz nawet tego nie spostrzegł, bo na samą myśl o swym dawnym dowódcy złożył ręce w pięści.

– To i chwała Bogu, to się i spotkamy. Tym lepiej, że go między wrogami ojczyzny znajdę, choć i w kościele nie zawahałbym się gardła mu przegryźć. To on musi być, a nikt inny! Po tym jednym uczynku, żeby na bezbronnych napadać, w piekle bym go umieścił. Niech Bóg broni, ile krwi ludzkiej przyszło na rękach tego człowieka. Sam mordowałem. A i niewinnym się czasem dostało. Ale on to robi, bo wtedy ma poczucie, jakoby był Bogiem. No ale i Jezus przecie umarł... Boże, odpuść... Prawo i sprawiedliwość z nami.

Dwóch nas było w szwadronie Polaków – ciągnął dalej swoją opowieść Grobel. – Ja i Sylwek Jaklicz. Zbrataliśmy się, bo nas ku sobie ciągnęło, ino przecie z jednych stron byliśmy. On dzieciuch był, a mnie szło na dwudziesty rok. Ale to on żonę już zostawił, a ja tylko moich staruszków i rodzinę zatraconą. Raz w bitwie straciłem go z oczu, bo to było w ciasnocie. Patrzę, a tu on leży na kulbace, a nad nim huzar niemiecki z szablą. Nie zdążyłbym go zastawić, więc tylko wolną ręką za szablę chwyciłem, aby cięcie zahamować. Nie wiem, jakim cudem ręką nie stracił. Chyba tylko dlatego, że Niemiec dość miejsca nie miał, aby zamach wziąć. Została się tylko po owym wyczynie blizna na dłoni. – Pokazał swoją rękę i kontynuował. – Wojna zły obrót dla nas przybrała. Ludzie padali setkami w bezsensownych akcjach, które sztab zarządzał. Mikołaj chciał na oficerskie epolety naszą krew zasłużyć, to rozkazy, choćby najgłupsze, bez szemrania wykonywał. Sylwek bał się śmierci, bo go serce do żony ciągnęło. Namawiał mnie do ucieczki. Ja nie chciałem, bo mnie tam było wszystko jedno. Gdybym wtedy z nim poszedł, może by go nie schwytali?

Patrzę jednej nocy... posłanie puste, a konia koniowodni nie trzymają. Mówią, że Sylwek wziął i pojechał na zwiad. Mnie coś tknęło, ale milczałem. Nad ranem wszelka wątpliwość prysła. Mikołaj wpadł w furję. Ludzi we wszystkie strony rozesał

z rozkazem, żeby nie wazyli się wracać, jeśli zbiega nie schwytają. Znaleźli go. Nad ranem przywlekli na wpół żywego. Przy przesłuchaniu okazało się, że konia mu wilki zarżnęli i na piechotę uciekać musiał. Już prawie zamarzał, gdy go nasi chłopcy schwytali. Łazariew kazał go leczyć najstaranniej. Potem ogłosił, że da więźniowi szansę i skazuje go na karę knuta.

– Chryste! – wystękał Wieniawa. – Tego się nawet w carskiej armii nie stosuje od powstania styczniowego. Jezu, toż kara i dla was...

– Skurwysyn, ustawił nas w szpaler, kazał Sylwka rozebrać do naga, a nam wręczył długie kije. Dezerter miał przejść między nami, gdy będziemy go bili. Jeśliby dotarł żywy do końca drogi, to byłby wolny. Ale gdzie tam – pięciuset nas było! Rozumiesz?! Ja do dziś go widzę: jak osłania głowę, jak plecy pokrywają mu się krwią. Jak mój najlepszy kolega zmienia się w strzęp człowieka. Ja nie uderzyłem. Nie mogłem! Ja Polak i katolik!

Wieniawa zaczął przecierać kulakiem oczy, bo go coś szczypać zaczęły, i słuchał dalej.

– Ale na złe ta kara Łazariewowi wyszła. Żołnierz zabija, bo musi, ale nie jest katem. Kobietę wroga zgwałcić, wieś z dymem puścić, to co innego – prawo wojny. Rzecz to wiadoma. I tak będzie dopóty, dopóki przetrwa rodzaj ludzki. Ale własnego kamrata, z którym się w jednym szeregu stało, w jednej krwi maczało ręce, jak tego psa kijami zatłuc? Następnej nocy Mikołaj odjechał do sztabu, pozostawiając komendę w rękach Maszy Worncowa. Tej samej nocy bunt podnieśliśmy. Masza babę sobie na noc przygruchał, że to w Rosji noce bywają chłodne. Zadźgałem go nożem jak świnię.

– Dalej nie wiem, czego tu siedzisz. Bo chyba nie za bunt? Za to co najwyżej by cię rozstrzelali, a nie na Łubiance trzymali, bo tu nie strych, żeby graty trzymać.

Tomasz chciał odpowiedzieć, ale w tym momencie do środka wpadły miski z żywnością, a i kibel trzeba było funkcyjnemu odnieść. W ciszy słychać było siorbanie i szuranie łyżek. Wieniawa jadł szybko z zamkniętymi oczami, żeby obrzydzenia nie potęgować. Tomasz zajaśniał ze smakiem, a nawet miskę wylizał.

Wieniawa nie mógł się temu nadziwić. Ale się nie odzywał. Natomiast Tomasz wrócił do opowieści.

– Poszliśmy na rozbój.

– Kogo biliście?

– Wszystkich – szczerze odparł Grobel. – Białych, czerwonych, niezrzeszonych i ludzi spokojnych.

– Toż dopiero co mówiłeś, żeś Polak i katolik. Dziwne to poczucie prawa i sprawiedliwości musi być w waszej rodzinie. Krewni majątki sobie wydzierają, ty łupiłeś, kogo popadnie... Wiesz co, może ty dzieci lepiej nie miej?

– A co, miałem może goły jak święty turecki z tej wojny wyjść? Krewni mi majątek pewnie wydarli! Miałem wrócić do Polski i z żebraczą torbą i kijaszkiem po drogach chodzić? Zbierałem łupy jak sroka nie dlatego, żebym był smokiem, co musi krew chłęptać, tylko po to, żeby mieć z czego żyć, jak z wojny wrócić przyjdzie. Zresztą nie ty będziesz mi sędzią – skończył z godnością.

– Pewnie, że nie ja – odparł Długoszowski. – Ale dziwi mnie to, że takie bogactwa zebrałeś, a dalej na krewnych narzekasz, choć pewnie jesteś teraz bogatszy od nich wszystkich razem wziętych.

– Po pierwsze: bogactwa nigdy dość, a pieniędzy nigdy za dużo. Po drugie: moje bogactwo przepadło na wieki. Ale o tym ci nie opowiem, bo się na śmierć zaśmiejesz!

Bolesław zaczął się zarzekać, że pełną powagę zachowa i póty prosił, póty błagał, aż Tomasz ustąpił. Może w zapewnienia uwierzył? A może chciał się nareszcie przed kimś wygadać? Dość, że w końcu uległ.

– Polowali na nas jako na watahę wilków, bo mieliśmy rachunki i u jednych, i u drugich. Część starych się po drodze wykruszyła, ale też nadciągali ciągle ochotnicy, którzy nie chcieli nikomu się kłaniać, a puste kieszenie napęłnić. W ustawicznych walkach i podchodach zebrałem złota dość, żeby zacząć się bać, aby mi go kto nie ukradł. Więc jednego dnia oddaliłem się na kilka godzin od oddziału, żeby mój węzełek z łupem przed oczami ludzkimi skryć. Znalazłem drzewo stare a znaczne i w dziupli swój trzosik ukryłem. – Tu głos Tomaszowi jakoś zadrżał.

– No kończcie wreszcie! – ponaglił Wieniawa, bo go ciekawość paliła.

– Pamiętaj, że obiecałeś! – zastrzegł Grobel, grożąc mu palcem. Skinął głową.

– W kilka dni potem wróciliśmy w tamte strony, bo nas oblawa mocno nacisnęła, i ruszyłem po swój trzos. Ja patrzę, a tu wszystko inaczej. Już ani miejsca znaleźć, ani drzewa wypatrzeć nie mogłem. Została tam moja przyszłość, moja fortuna. Może kto ją kiedy odnajdzie i ten krwawy łup jemu bogactwa przysporzy.

Wieniawa szczerwieniął, usta zacisnął, bo go straszna wesołość chwyciła. Pięść wsadził w usta, ale nic nie pomogło, nie wytrzymał. Odchylił się mocno do tyłu i wybuchnął szczerym śmiechem. Oczy zaszyły mu łzami, brzuch bolał i trząsał się z rozbawienia.

– Chryste Panie... Się chyba rozpękne...! – mówił urywanym głosem, trzymając się za brzuch. – Nic się nie bój. Ja w tym pomogę, żeby cię nie ominęło, co ci się uczciwie należy. Sprawę twoją samemu Piłsudskiemu polecał będę, a ziemię odzyskamy, choćbym miał którego z pułków użyć do tego. A jeśli się pokaże, że moje słowo u Dzierżyńskiego coś znaczy, to bądź pewien, że i sprawę twojego uwolnienia poruszę. Słowo honoru oficera polskiego!

– Kim ty, do cholery, jesteś?! – zapytał Grobel z nagłym przestraszeniem.

– Wieniawa-Długoszowski, adiutant i przyjaciel Piłsudskiego.

Tomasz chciał uklęknąć, ale Bolesław chwycił go, zanim ten zdążył to zrobić.

– Co ty? Chyba ta woda zatęchła albo ta breja sowiecka na mózg ci się rzuciła. Czy to ja ksiądz, żebyś miał przede mną klękać, a po rękach mnie całować jak stara baba? Ty żołnierz i ja żołnierz! A daj no pyska, bo my oba sobie równi! Ty człowiek i ja człowiek!

Rzucili się sobie w objęcia i zaczęli się obściskować, aż łańcuch Wieniawy zgrzytał i plątał się niebezpiecznie.

Wyciskawszy się z towarzyszem i odsapnąwszy trochę, Długoszowski rzekł:

– No, a teraz gadaj mi, czego tu cię trzymają, zamiast ci ołowiu do łepetyny nałożyć.

– Jak było, ci opowiem – zapewnił Tomasz. – Wróciłem więc bez mojego łupu do oddziału. Szczęściem uniknąłem śmiechów a drwin towarzyszy, bo ruch w oddziale był taki, że nawet mojego odjazdu nie zauważono. Rozpytałem się kolegów, czemu te przygotowywania do nagłego wymarszu służyć mają. Okazało się, że przyszedł do oddziału dezerterski od bolszewików z informacją, jakoby sam Lenin miał jego oddział wizytować. Chłopaki myśleli z początku, że to tylko podstęp, który temu ma tylko służyć, aby nas w zasadzkę wciągnąć i wygnieść. Posłano jednak kilka forpoczt po pewniejsze informacje, bo wina by to była nie do odpuszczenia, gdybyśmy dokładnie takiej wiadomości nie sprawdzili.

Wieniawa tylko gwizdnęła z cicha, bo w jednej chwili zrozumiała, jak ciężka jest sprawa tego człowieka. Ale słuchał, bo historia ta zaczynała być niezwykła.

– Bóg niewinnym pobłogosławił. Wydawało się, że informacja jest najzupełniej prawdziwa. Uradowały się w nas serca na myśl, jaki to łup przy trupie Lenina znajdziemy. A między innymi i ja się radowałem, licząc na to, że na moją szablę niemało z tego skarbcza się dostanie, co pozwoli mi trzos swój na nowo złotem zapełnić. No, szczęścia nie było. Bolszewików my wychędożyli, dworzec

obsadziliśmy i czekamy. Ale dziad nie przybył! Za to kompania wojska nadeszła, która nas otoczyła. Ratowaliśmy się desperacko, ale prawie wszystkich nas wyczesali. Ja i jeszcze dwóch ranni byliśmy. Ci dwaj przyznali się, że na Lenina chcieliśmy skoczyć. Bodajby im przyszło rozpalonymi kamieniami w piekle się dławić! Od tego czasu ja tu siedzę pod opieką towarzysza Stalina, bo ten chce mnie Leninowi na urodziny w prezencie dać. To już jest rzecz cała.

W tym momencie rozległ się szcęk otwieranej zasuwy i do środka wszedł Oleg i Misza Kostriulew.

– No, dosyć się wylegiwaliście – rzekł ten ostatni, uśmiechając się złośliwie. – A który to podaje się za Wieniawę?

Długoszowski podniósł się, a łańcuch brzęknął.

– Towarzysz Dzierżyński na was czeka, a strzeżcie się go zawieść. Jeśli kłamiecie, to lepiej tutaj się przyznajcie, ukęcimy wam łeb i po krzyku! – warknął wściekły Oleg.

– Jakim nam? Jestem sam.

Misza schylił się, by ukryć uśmiech, a także po to, aby zdjąć łańcuch z nóg Wieniawy.

Wyszli. W celi pozostał tylko Tomasz i zaczął pacierz cicho szeptać. Następnie ułożył się na wiązce słomy i zasnął, rozmyślając o swym zagubionym trzosie, którego nie miał już więcej ujrzeć.

Rozdział XII

Jerzy Dobrowolski chodził nerwowo po swoim mieszkaniu przy Alejach Jerozolimskich. Krążył od okna do okna i szarpał się z gniewu i niepokoju. Powodem tego była jego córka Eliza Dobrowolska. Po rozstaniu z żoną oboje jednomyślnie uznali, że lepiej będzie, jeśli dziecko pozostanie z matką. Tak było bezpieczniej zarówno dla żony i córki, jak i dla niego. Miał wielu wrogów, którzy wiele by dali za możliwość dobrania się do jego rodziny.

Nie żeby nie interesował się tym, co dzieje się w życiu żony i dziecka. To, że się rozeszli, nie zwalniało go z obowiązku opieki nad małżonką i córką. Interesował się wszystkim, co dotyczyło dziewczynki. Obserwował, jak dorasta, sprawdzał jej nauczycieli, szkoły, a potem chłopaków. I ci ostatni napawali go największym niepokojem. Jak każdy rodzic bał się o swoje dziecko.

Zwłaszcza teraz, gdy zaczynała wchodzić w dorosłe życie, które groziło ludziom młodym wieloma pokusami. Nie wiedział, czy Eliza będzie umiała się im oprzeć. Chciał kogoś mieć w jej otoczeniu. Ale nie miał nikogo w odpowiednim wieku, aby mógł wejść do kręgu jej znajomych. A teraz bardzo potrzebował takiej osoby. Potrzeba ta była pilna i gwałtowna, Eliza bowiem zamierzała udać się na bal z okazji odzyskania niepodległości, który wydawał krakowski patrycjat – bal miał być całonocny.

Duże dzieci, duży kłopot – pomyślał ze złością.

Oczywiście, mógł się sprzeciwić, ale jeszcze nie był tak stary, by nie wiedzieć, czym by się to skończyło. Eliza poszłaby na bal, aby zrobić mu na złość, a dodatkowo zrobiłaby coś głupiego. Nie wiedział, co powinien przedsięwziąć. Szarpał się jak dziki zwierz, w taką matnię wpadł. Beata na niego liczyła. Powinien zrobić dla niej choć tyle, ile się dało. Nagle uderzył się w czoło, bo myśl zbawienna, jak sądził, wpadła mu do głowy.

Wiktor! Że też od razu o nim nie pomyślał. Chłopak był mniej więcej w wieku jego Elizy. Nie powinien mieć większych problemów z dostaniem się do kręgu jej przyjaciół, ale na to było już za późno. Bal miał się odbyć lada dzień. Trzeba się zadowolić tym, że będzie miał na nią oko. To nie powinno stanowić dlań problemu. Nie po tym, czego udało mu się dokonać w Berlinie. Rezultat tamtej akcji przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Mikrofilm ze szczegółowym planem operacji Wiosenne Słońce był w tej chwili sprawdzany w biurze ewidencji, tak aby uzyskać całkowitą pewność co do jego autentyczności.

Już teraz Olga dobijała się o niego, aby dostał stały przydział do berlińskiej placówki wywiadowczej. On jednak się wahał. Adamczewski mógł być użyteczny na wielu frontach, a tych nie brakowało. Berlin zaś przestawał być na tę chwilę kierunkiem priorytetowym. Dzięki akcji Wiktora udało im się zdobyć takie informacje, których ujawnienie na długo sparaliżuje niemieckie działania. Wystarczyło tylko podrzucić je prasie.

Za to sytuacja na wschodzie zaogniała się coraz bardziej. Lwów, po raz nie wiadomo który, trzymany był w oblężeniu przez Ukraińców. Generał Rozwadowski siedział w mieście i nie dał się wykurzyć, choć miał w szeregach dzieci i młodzież, którzy na dobrą sprawę uczyć się jeszcze powinni. Na razie jednak bronili swego miasta – i to z dobrym skutkiem, przy braku pomocy z zewnątrz.

Osobiście Jerzy robił wszystko, co mógł, by wsparcie dotarło pod Lwów na czas. Wyobrażał sobie, że wśród tych dzieci są ludzie w wieku jego córki, i gniew stawał mu włosy na głowie na myśl, że mogą nie zdążyć z odsieczą. Ale to nie była jego rzecz! On zainteresował się Lwowem, ponieważ podczas ostatniego szturm na miasto, o którym otrzymał dokładne raporty, Ukraińcy uderzyli akurat w najsłabsze miejsce obrony. I tylko męstwo obrońców, połączone z przytomnością umysłu generała Rozwadowskiego, sprawiło, że szturm został odparty.

Oczywiście mógł to być przypadek lub zwykłe gadulstwo, które doprowadziło do niebezpiecznego w skutkach przecieku informacji. Ale zbyt długo tkwił w tej robocie, żeby nie zbadać tej sprawy dogłębnie. Do tego zadania również potrzebował kogoś takiego jak Wiktor.

Hałas dzwoniącego telefonu wyrwał go z zamyślenia. Podeszedł i zdjął słuchawkę z widełek.

– Panie pułkowniku – głos jego sekretarki Zofii Jakimowicz wydał mu się lekko zniekształcony – chciałam pana poinformować, że w kwaterze głównej oczekuje na pana Wiktor Adamczewski. Chce prosić o ustalenie jego stosunku służbowego, bo zamierza zaciągnąć się od oddziału liniowego.

Nigdy w życiu – pomyślał, a zwracając się do czekającej na drugim końcu linii sekretarki, rzekł:

– Przekaż mu, żeby czekał cierpliwie, bo zaraz sam mu wszystko wyjaśnię.

Rozłączył się w pośpiechu, narzucił na siebie płaszcz, by ukryć pod nim charakterystyczny mundur, po czym wybiegł z mieszkania. Idąc w pośpiechu brukowanym chodnikiem, roztrącał przechodniów, którzy nie dość szybko ustępowali mu z drogi. Nie zważał przy tym na sypiące się za nim wyzwiska i groźby. Tylko jedna myśl kołatała mu w głowie: Chce odejść?! Pierw Amerykanie czarnucha na prezydenta wybiorą, nim on na

to pozwoli! Ot, gówniarz niewdzięczny! Ledwie co odesłał go na wypoczynek, by trochę odsapnął, a ten już chce porzucić tak owocnie rozpoczętą karierę w kontrwywiadzie i zaciągnąć się jako prosty trep. A wydawało mi się, że nadaje się do tej roboty, a co ważniejsze zdawał się ją polubić. Czyżbym się omylił?

Ta ostatnia myśl rozżłościła go najbardziej. Zawsze był dumny ze swej znajomości ludzkiej natury. To między innymi dlatego zaszedł w tej pracy tak daleko. A tu tak bolesna pomyłka. Tym bardziej bolesna, że cierpiał na okrutny brak zdolnych oficerów, którzy chcieliby służyć w tajnej służbie. Prawda, że była to służba ciężka i niewdzięczna, bo gdzie indziej łatwiej było i o awanse, i o zbieranie bogactw, które czyniły życie znośniejszym. Potrafił to zrozumieć. Jednak tolerowanie takiego utylitarne² podejścia w tej specyficznej pracy stanowiłoby wadę. Zdarzali się wprawdzie i tutaj ludzie o wątpliwym certyfikacie moralnym, ale samo życie usuwało ich prędko z szeregów, bo tu przetrwać mogli jedynie najsilniejsi.

Tak rozmyślając, dotarł do oficjalnej siedziby wywiadu przy placu Saskim. Był to okazały budynek, który całkowicie oddano do ich dyspozycji. Machnął swoją legitymacją przed nosem wartownika, przeszedł przez kutą żelazem bramę i zniknął w czeluściach budynku. Pamiętał, jakie wrażenie zrobił na nim ogrom tego miejsca, kiedy po raz pierwszy zobaczył je od wewnątrz. Wtedy po pomieszczeniach hulał tylko wiatr i panowała przejmująca cisza. Teraz budynek pełen był ludzi biegających dookoła, w sobie tylko wiadomym celu.

Dobrowolski nie potrafił ukryć dumy, idąc w kierunku swojego gabinetu. To było zawsze jego ciche marzenie: stworzyć tajną służbę z niczego i nią kierować. Teraz nie tylko spełniał to marzenie, ale pracował też dla własnego państwa. On, urodzony w niewoli, służący przez lata dla chwały tych, którzy niegdyś brutalnie podbili jego kraj. Służył im, bo miał żonę i dziecko, które

trzeba było za coś utrzymać. Zresztą w Galicji traktowano Polaków inaczej niż w pozostałych częściach podzielonego państwa. Służył, bo nie wierzył. Tyle razy budzono nadzieję, tyle razy chwymano za broń i nic. Za każdym razem dostawali baty, a cały kraj potrzebował lat, by dźwignąć się z położenia, w jakie popadł.

Mijały lata, pamięć krwawych represji przemijała, ludzie odbudowali się jako tako z ruin i pogorzeliisk, by kilka zapalczywych młodych głów ponownie poderwało kraj do walki. I znów to samo powtarzało się z podziwu godną regularnością. Tak działo się głównie w zaborze rosyjskim i pruskim, bo u nich zbyt wiele się bratniej krwi polało za czasów owych nieszczęsnych rabacji i rzezi, którym Jakub Szela przewodził. Wtedy to właśnie wyrósł między jednymi a drugimi ów mur nienawiści, który nie pozwalał nawet pomyśleć o tym, aby jarzmo niewoli zrzucić, a co dopiero przedsięwziąć jakieś konkretne kroki w tym kierunku.

Lecz gdy tylko zajaśniały wyraźniejsze widoki na niepodległość, gdy szansa realne zaczęła przybierać formy, bo potęga wszystkich ciemżycieli leżała w ruinie, wtedy natychmiast zgłosił się pod sztandary. Nie chciał władzy, nie chciał szarzy wysokich, pragnął jedynie służyć. Nie czuł się godnym tego, by pchać się na wysokie stanowiska, bo wiedział, że przyszedł na gotowe. No dobrze. Był człowiekiem twardo stąpającym po ziemi, nie umiał, jak inni, przymknąć oczu na liczby i rzucić się z motyką na słońce. Ale czy był przez to gorszym synem tej matki? Przybył na wezwanie i jest tu, gdzie mu być kazano.

Ciężko dysząc, wpadł do swojego gabinetu. Było to pomieszczenie skromne, jeśli chodzi o uposażenie. Na środku stało drewniane biurko, teraz zarzucone papierami i dokumentami. W jego prawym rogu stała lampa z zielonym abażurem, której używał, gdy za oknem mroczno się robić zaczynało, a robota pilna była. Za biurkiem znajdowała się szafa pancerna, skrywająca w swym wnętrzu najtajniejsze dokumenty. Nad nią wisiała

sporych rozmiarów reprodukcja bitwy pod Grunwaldem. Pod przeciwległą ścianą stało najzwyczajniejsze w świecie łóżko polowe, które przydawało się wtedy, gdy na noc trzeba było zostać. Przy leżance stał barek na kółkach, w którym pyszniły się najlepsze alkohole.

Wiktor czekał już na niego, rozparty w fotelu. Jerzy podał mu rękę, po czym usiadł przy biurku i posegregował porozrzucane w nieładzie papiery.

– Słyszałem, że chcesz porzucić służbę pod moimi rozkazami i do liniowej jednostki się zaciągnąć. Prawda to?

Wiktor zaczął kręcić się niespokojnie.

– Panie pułkowniku – zaczął, nie patrząc mu w oczy – prawda to i nie stanie się to z żadnej ku panu złości ani niechęci, tylko że ja już wytrzymać w tej beczynności nie mogę. Już trzeci tydzień w Warszawie siedzę, po knajpach się włóczę, a fordanserki obtańcowuję. Gnię tu! Drogi mi potrzeba, trudów i zmęczenia! Wybory były, głosowałem, bo to przecież obywatelski obowiązek, choć się na polityce nie wyznaję. Dobrze, że i kobiety prawa wyborcze mają. Ale mi wojny potrzeba!

Wiktor mówił z namiętnością, jak człowiek, który tłamsił w sobie zbyt wiele rzeczy i raz mówić zaczawszy, wygadać się nie może. Dobrowolski w niczym mu nie przerywał, bo wiedział, że na duszę zbolałą wylanie żalów jest najlepszym lekarstwem.

– Byłem u ojca w domu, to mnie wygnał, bo się żenić nie chcę z tą, co się jemu dla mnie uwidziała. Baba jest wiekowa, ale posażna, jej majątek blisko naszego położony. Ale brzydka, że strach! On mi się z ziemią żenić każe, ale ja to nie ogier, żeby mnie sprzedawać temu, co najwięcej da! Powiedziałem mu, żeby sam się żenił, bo przecież wdowiec jest, to może. Na co on mnie skłął tak, że aż służba po kątach się kryła, i w domu zakazał się pokazywać, chyba że z wnukami. To co mam robić? Do wywiadu przydziału oficjalnego nie mam, choć jeszcze w Berlinie Olga mnie

zapewniała, że niebo i ziemię poruszy, żebym tylko pod jej rozkazy poszedł. A tu rozkazów nie ma, a odsiecz pod Lwów poszła i żołnierze będą jej potrzebni.

Dobrowolski nic nie odpowiedział, tylko co prędzej do barku podszedł i przyniósł dwie szklanki. Kieliszków nie używał. Bo po co tyle razy nalewać? Potem przyniósł pękata flaszkę śliwownicy i rozlał.

– No masz, pij – rzekł, wskazując na szklanki. – Tylko ostrożnie, bo to czarnogórska przepalanka.

Wiktor przechylił i wypił duszkiem, ust od brzegu szklanki nie odrywając. Alkohol palił go w gardle, aż mu oczy z orbit wyszły, a na twarz wykwitł palący rumieniec. Jednak zaraz lepiej mu się zrobiło, a oczy nabrały pogodniejszego blasku.

Jerzy wypił ostrożniej, bo wiek swe naturalne ograniczenia ma.

– No, chłopcze! Ta twoja Olga to mi rzeczywiście nie przestaje o twój przydział głowy suszyć od czasu, jak z Berlina wróciłeś. Ale ja się na to zgodzić nie mogę! Widzisz, oficerów dobrych mi brak okrutny. Co w jedno miejsce ludzi przerzucę, to w drugim wyrwa się robi, że wszystkie okoliczne świny przez nią włązą.

Przerwał, by znów nalać do szklanek.

– Co się tyczy twoich spraw rodzinnych, to tu ci radzić nie potrafię, bo ani takiego prawa nie mam, ani chęci. Jednak jak o przydział chodzi, to ten kłopot ci z barków zdejmę. Mam tu w szafie pancерnej rozkaz, który już oficjalnie przenosi cię do wywiadu w stopniu podporucznika. Ładnie bym wyglądał, gdybyś swój zamiar w czyn wprowadził – rzekł nerwowo.

Adamczewskiemu aż mowę odjęło. Idąc tu, liczył się poważnie z tym, że go wyrzucą. Było mu z tą świadomością trochę markotno, bo przecież za misję berlińską lepszej nagrody miał prawo się spodziewać niż odsunięcie na boczny tor. Ale ani myślał się napraszać. Służył przecież ojczyźnie. I to nie dla nagród, nie dla

sławy – z prostego obowiązku. Przyszedł tu tylko dlatego, żeby nikt mu niewdzięczności zarzucić nie mógł.

– Ja, panie pułkowniku – wyjąkał – nie wiem, co mam powiedzieć. Ja podporucznikiem... Przecież ja nawet kaprala nie mam, bo w armii wielkopolskiej awansować się nie udało. Przecież ja dopiero osiemnaście lat mam, a tu już podporucznik. – Chwycił drżącą ręką szklanę i do dna osuszył.

Dobrowolski obserwował to pomieszanie podwładnego z pobłażliwością. Sam mu zazdrościł. Ten chłopak nigdy nie nosił obcego munduru, który jemu przemocą narzucono. Jego pierwszym mundurem będzie ten z orzełkiem.

– Ty się tak nie ciesz, bo nie będą za tobą szły panny sznurem. Ja cię nie dam ani Oldze, ani ośrodkowi Wschód. Będziesz podlegał bezpośrednio mnie. A zasłużysz się ojczyźnie, to ci i ojciec odpuści. A może i wcześniej, bo w końcu synem jego jesteś teraz jedynym, a nie ma takiej rzeczy, której by ojciec dziecku swojemu nie wybaczył.

Wiktor roześmiał się sucho.

– Widać, że pan pułkownik mojego ojca nie zna. To człowiek ze stali i z ołowiu zrobiony. Przebaczyć ani sobie, ani innym nie umie. Raz-dwa i musi być tak, jak on chce, a nie, to fora ze dwora. Już on co obiecał, to dotrzyma, bo słowny jest. A na ziemię tak chytry, że nie uwierzyłby pan, co on z Prusakami czy sąsiadami wyprawiał. Cudze konie w jego żyto wpadły i parę kłosek wyłuskały, to zaraz proces, sprawa i rozprawa. Drzewo mu cechowane razu jednego ktoś wycinał, to go strzelbą poczęstował, że mało nie zabił. Dlatego bez wnuków nie mam co się w domu pokazywać, bo mnie psami wyszczuje albo i kosą po żebrach przejedzie.

– Nie martw się, Wiktor. U nas panny dorodne, że ledwie spojrzysz, a już chciałbyś... – Trącił go łokciem w bok. – Ale w jednym masz rację, że nie ma jak podróż na duszy zgryzotę. Ja zadanie dla ciebie mam, które obrony Lwowa dotyczy. Rzecz jest

bardzo delikatnej natury, bo Rozwadowski kocha swoich żołnierzy i krzywdy im nie da zrobić.

– O co chodzi? – spytał Wiktor, wypiwszy kolejną porcję alkoholu.

W głowie mu zaszumiało, a oczy błyskały się jak u żbika. Czuł, że chwyta go dziwna senność, a pomieszczenie zdaje się wirować. Głowa mu ciążyła. Spróbował wstać, ale nogi się pod nim ugięły, jakby były z waty, i klapnęły z powrotem na fotel.

– Wybacz – rzekł Dobrowolski przepraszająco, gdy spostrzegł, co się dzieje z Wiktorem. – Czarnogórska przepalanka potrafi rozłożyć nawet ludzi zaprawionych w bojach. Ja swoje w życiu wypilem, a nie poważylbym się wypić jej na hejnał, bo moje średniozaawansowane serce mogłoby nie podolać takiemu wysiłkowi.

Wstał, zabrał opróżnioną do połowy butelkę, po czym, idąc lekko chwiejnym, podobnym do kaczego krokiem, odniósł ją do barku. Wróciwszy, rozsiadł się za biurkiem i mówił:

– W czasie ostatniego ukraińskiego natarcia ich sotnie uderzyły na najslabiej bronionym odcinku. Rozwadowski ich powstrzymał, choć z niemałym wysiłkiem. On sam lekceważył to zdarzenie. Twierdzi, że Ukraińcy przypadkiem natrafili na najslabsze pole. Trudno mu się dziwić. Nikt nie lubi, gdy ktoś grzebie mu na jego podwórku. Ale my nie możemy pozostawić tak tej sprawy. Musimy dogłębnie ją zbadać, aby mieć stuprocentową pewność, że plany obrony miasta są nadal dla wroga tajemnicą. Postanowiłem, że to będzie twoje pierwsze oficjalne zadanie.

– Mamy jakiś punkt zaczepienia?

– Zacziesz od pułkownika Adolfa Gikiewicza, najbliższego przyjaciela Rozwadowskiego. Dlatego właśnie twierdziłem, że sprawa jest więcej niż delikatna. Rozwadowski ufa mu jak swojej własnej duszy i nie przywita cię miło, gdy mu zakomunikujesz, z czym przychodzisz. Gikiewicza nie podejrzewalibyśmy, bo

wygląda, że jest czysty jak łaźnia, gdyby nie jego córka. Jest ciężko chora. Rozumiesz? Pomogłaby jej operacja, ale jest bardzo droga i nie do opłacenia za zwykły oficerski żołd. Od niego zaczniesz.

– Nie wydaje się panu pułkownikowi, że sprawa jest zbyt oczywista? Założmy, że mamy rację i ktoś z ludzi Rozwadowskiego rzeczywiście przekazuje ściśle tajne informacje Ukraińcom. Zastanówmy się, kogo wybralibyśmy na agenta, gdybyśmy byli na miejscu przeciwnika. Czy byłby to ktoś, kto ma oczywisty motyw?

Dobrowolski skinął głową. Czuł, że wciągając tego człowieka w świat gier, fałszu i mistyfikacji, wykonał doskonałą robotę. Uśmiechnął się teraz jak ojciec do ukochanego dziecka.

– Wyjdiesz na ludzi! Pamiętaj, że ci to przepowiadam. Dlatego powiedziałem, że od niego zaczniesz, ale nie powiedziałem, iż to on przekazał Ukraińcom te dane. Rozglądaj się, węszyć i wyciągać wnioski. Do Lwowa pojedziesz dopiero w przyszłym miesiącu i zostaniesz tyle czasu, ile uznasz za stosowne. Jeśli zdecydujesz, że w sprawie nie ma nic wielkiego, to wracaj do Warszawy.

Tu Dobrowolski zawahał się przez chwilę. Wydawało mu się rzeczą niezbyt etyczną wciąganie swojego podwładnego w sprawy rodzinne. Ale dał byłej żonie słowo, że się tym zajmie.

– Pamiętasz może, jak ci mówiłem, że mam córkę, która nie chce utrzymywać ze mną żadnego kontaktu? Myśli, że porzuciłem ją i jej matkę. To nie jest prawda. A przynajmniej ona nie zna prawdy. Nie wie, czym się zajmuję i że to właśnie przez moją pracę jej matka zdecydowała, że nie chce ze mną być. Nie potrzebowała partnera, który więcej nocy spędzał w pracy, na leżance, niż z nią przy boku.

Znów wspomnienia wróciły. Niby rozstali się jak ludzie cywilizowani, ale za każdym razem pojawiał się ból. Nigdy nie przestał jej kochać. A na ból jest tylko jeden sposób. Zerwał się z krzesła, dopadł do barku, chwycił odniesioną wcześniej butelkę

i odstawił z powrotem. Przez chwilę myślał, że to pomoże zapomnieć.

– Wystarczy! – nakazał sobie. – Czasem mi się wydaje, że dla człowieka lepiej by było, żeby pamięci nie posiadał, bo wspomnienia tylko stare rany rozdzierają i ból zadają.

Wiktor miał w picciu doświadczenie od maleńkości, bo ojciec wolał, żeby pił pod jego nadzorem w ciepłych domowych pieleszach, niż żłopał bez umiaru po rowach i lasach. Uczestnictwo w pijackich libacjach dało mu nielichą znajomość rodzajów przeżywania upojenia alkoholowego. Jednym po wódce przybywało fantazji i wówczas stawali się rozmowni, wręcz gadatliwi; drugim krew burzyła się w żyłach i wówczas skłonni byli do awantur, które groźne być mogły. Trzeci, gdy weszli w pewne stadium, po prostu kimali na stole do rana i ani huk uczy, ani brzęk kieliszków zbudzić ich nie były w stanie.

Pułkownik widać należał do tej pierwszej grupy, bo mówił długo, choć zdania były niezbyt wyszukane i niezbyt poprawne gramatycznie. Wiktor pochylił się nad stołem, by lepiej słyszeć, tak że niemal stykali się nosami. Wyziewy alkoholowe mieszały się ze sobą. W pomieszczeniu zrobiło się duszno. Wiktor zerwał się w końcu i otworzył okno na przestrzał, choć przecież na dworze mróz tęgi trzymał.

Mroźne powietrze wdarło się do pomieszczenia, wywietrzając z niego zaduch, który się był nagromadził. Zimny podmuch wpłynął też kojąco na rozgrzane trunkiem głowy.

– Eliza młoda jest i, jak każdy w tym wieku, chce pokazać, że jest już dorosła. Moja żona trzymała ją dotąd pod kloszem i zupełnie nie zaznajomiła z zagrożeniami tego świata. A ja nie mogę przecież trzymać jej na smyczy, bo mi się zerwie i bryknie tak, że jak nic na wiosnę dziadkiem zostanę. A ja, widzisz, kategorycznie sobie tego nie życzę. Mam ją jedną na tym świecie i serce mnie boli na myśl, że ktoś może ją skrzywdzić. Wyobraź

sobie, że uparła się iść sama na bal. Nie muszę ci mówić, jak bardzo irytuje to moją żonę. Dlatego też ciebie poprosić chciałem, żebyś poszedł na ten bal i miał na nią oko. Zrozum, będę spokojniejszy, gdy ktoś tam będzie nad nią czuwał. W oczy jej nie wchodź, ale gdybyś spostrzegł, że coś jej grozi, to bij, a nie patrz kogo.

Wiktor zadumał się. Od jednej kobiety się wywinął, by zaraz na drugą wpaść. Rola przyzwoitki też mu się nie uśmiechała, bo to starszych matron rzemiosło. Ale droga do Lwowa nie była przecież łatwa, bo chcąc przedrzeć się do miasta, musiał niepostrzeżenie przemknąć się przez ukraiński kordon, który wokół miasta rozciągnięto. Przygotowanie tak trudnej wyprawy musiało pochłonąć dni kilka. Jemu zaś kończyły się pieniądze, bo te, co miał, to i rozpuścił, wpadłszy w wir nocnego życia stolicy. A stary zamknął mu nie tylko drzwi rodzinnego domu, ale i portfel. Była to niedogodność wielka, bo życie w stolicy drożało, nawet nie z tygodnia na tydzień, a dosłownie z dnia na dzień. Ekonomiści nazywali to hiperinflacją, on – złodziejstwem.

Tak czy inaczej – goły był jak święty turecki. I z tego także powodu zamierzył sobie ze stolicy wyjechać do pułku. Tam o stancję nie musiały się troszczyć, bo to byłaby rzecz kwatermistrza, a co najważniejsze: pobierałby żołd, który zaspokajałby jego potrzeby życiowe. Dlatego również teraz, choć niezbyt uśmiechało mu się to zadanie, zgodził się.

– Może będzie to jakaś rozrywka przed wyjazdem do Lwowa.

Dobrowolski odetchnął z ulgą, bo przecież nakazać niczego nie mógł, a w razie jego odmowy znalazłby się w niemałym kłopotcie. Zastanawiał się tylko nad jednym. Chłopak nie mógł pójść na ten bal pod własnym nazwiskiem, bo to mogłoby utrudniać dalszą pracę w wywiadzie. Z drugiej strony używanie w sprawie prywatnej fałszywej tożsamości wydawało mu się nieetyczne.

Obiecałem – pomyślał. Beata nigdy mi nie wybaczy, jeśli przez moje skrupuły Elizie przydarzy się coś złego. A zresztą, mogę przecież połączyć to z inną ważną sprawą.

– Pojedziesz do Krakowa jako Jan Nowicki, oficer sztabowy. Umyśliłem sobie stworzyć naszą własną służbę medyczną. Nie ma co się łudzić, że śmierć będzie unikała naszych agentów, dlatego jak najszybciej musimy mieć zorganizowane zaplecze medyczne, które byłoby wyjęte spod cywilnej kontroli. Mam już przygotowaną imienną listę szczególnie uzdolnionych studentów, których powinniśmy przejąć, zanim wsiąkną w cywilny system opieki zdrowotnej. W Krakowie interesuje nas niejaka Iwona Mielnik.

– Znowu baba – westchnął Wiktor.

– Spokojnie, nikt ci nie każe nawiązywać z nią bliższych relacji – uspokoił go Dobrowolski, jakby czytając w jego myślach. – Ty masz jej jedynie złożyć ofertę pracy w tajnych służbach. Ona nie wie, że znajduje się na liście naszych protegowanych, i zapewne myśli, że nie zrobi kariery medycznej. To my zadbaliśmy o to, żeby nie mogła nigdzie znaleźć pracy. Wyjaśnij jej, w czym rzecz, i zaproponujesz pracę dla nas.

– Ile mogę jej zaoferować? – Wiktor przeszedł do konkretów.

– Ile będzie chciała – stwierdził dobitnie pułkownik. – Fachowcy nie mają limitu cenowego. A my siłą rzeczy musimy stawiać na jakość, bo na to, żeby iść w ilość, nas nie stać. Ty też otrzymasz niemalą sumkę, żeby ci na nic nie zbywało.

Wiktor zaczął się zbierać, gdy drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadła sekretarka; bez słowa położyła na biurku raport z biura analiz i wyszła. Pułkownik przebiegł go szybko wzrokiem i rzekł:

– Potwierdzono autentyczność nadesłanych przez ciebie materiałów. Idę z tym do Belwederu, bo sam nie mogę w tak ważnej sprawie podejmować decyzji.

Wstał, ale widać przypomniał sobie o czymś jeszcze, bo odwrócił się w stronę Wiktora.

– Dam ci kwatery na Pradze u Stanisławy Grabowskiej; kobieta to pobożna, więc o sprowadzaniu dziewczyn zapomnij. Ale źle ci u niej przez te kilka dni nie będzie. Ja tymczasem zorganizuję ci maksymalnie bezpieczny przerzut do Lwowa. Pojutrze ruszysz do Krakowa. Pamiętaj o zleconym ci zadaniu.

Wiktor starał się nie pokazać po sobie zadowolenia. Grosz mu się kończył, a komorne stale drożało. Niemniej nigdy nie przyznałby się do kłopotów finansowych, bo był na to zbyt dumny. Mężczyzna powinien móc się sam utrzymać, nawet za skromny żołd.

Skłonił głowę i wyszedł lekko chwiejnym krokiem, bo wypity alkohol wciąż z niego nie wyparował.

² Użyteczny, pożyteczny, realistyczny, zdroworozsądkowy itp.

Rozdział XIII

Feliks Dzierżyński stał przy oknie wychodzącym na Plac Łubiański i obserwował ciężkie płatki wilgotnego śniegu, które z wolna spadały na ziemię. Przyglądał się im, jakby były jakimś niezwykłym zjawiskiem, i myślał. Kwestia Wieniawy wielkim go niepokojem napełniła i ustawicznie z myśli nie schodziła. Gdyby to o kogo innego chodziło, to nie wahałby się ani sekundy, tylko wysłałby do piachu i zapomniał o kłopotcie. Tu jednak sprawa nie przedstawiała się tak prosto.

Znał przecież ojca Wieniawy, który dzielił się z nim każdym kawałkiem chleba, gdy razem przebywali w jednej celi. Wtedy jeszcze on sam był tylko ubogim synem szlachcica, z którym nikt się nie liczył. Pogardzano nim i wiele złego go tam spotkało. Notował sobie te zniewagi w pamięci, aby wypłacić się przy najbliższej sposobności. Dobrze zapamiętał też sobie nazwisko Długoszowski i poprzysiągł, że mu się kiedyś za jego dobro odwdzięczy. A tu teraz jego syn. Co robić?

Ciche pukanie wyrwało go z zamyślenia. Odwrócił się od okna. Był to mężczyzna młody jeszcze, o smagłej cerze, płowych, krótko przystrzyżonych włosach. Czarne jak dwa węgle oczy zdawały się przewiercać każdego na wylot. Nad górną wargą pysznił mu się czarny wąs, który przysłaśniał pełne usta.

– Wejść! – zakomenderował.

Do gabinetu wprowadzono Wieniawę. Dzierżyński rzucił mu taksujące spojrzenie. Spodobała mu się żołnierska postawa

więźnia. Skinieniem dłoni odprawił strażników. Znikli jak duchy i zamknęli za sobą drzwi.

– Siadaj – zwrócił się do Wieniawy. – Chcę z tobą pomówić o wielu sprawach, a ciężko by mi się z tobą rozprawiało, gdybyś musiał stać. Widzisz, zbieram raporty o twoich poczynaniach od kilku miesięcy i tam mi piszą, żeś jest pijak i dziwkarz. Chyba będą musiał się nimi zająć. Czytałem też raporty o twoim uwięzieniu. Podobno narzynałeś ruskich jak świń, nim was wzięli?

Wieniawa milczał.

– Co to?! Język ci ucieli?! Czy chcesz mnie rozdrażnić?!

– Nic podobnego – odparł Wieniawa, siadając na krześle. – Po prostu dla mnie jesteś zwykłym zbrodniarzem, który ma na rękach krew tysięcy niewinnych ludzi, a to czyni cię niegodnym, aby ci uczciwy człowiek rękę podał.

Wieniawa spodziewał się wybuchu gniewu. Tymczasem ze zdumieniem spostrzegł, że jego słowa nie zrobiły na Dzierżyńskim żadnego wrażenia. A co więcej, humor zdawał mu się wyraźnie poprawiać. I sprawiał w tym wrażenie szczerogo.

– Każde imperium na tym świecie na trupach budowane było. Taki Cezar na przykład; ludzkość uważa go za genialnego stratega, a tymczasem to zwykły zbrodniarz, który ubabrał się po szyję w galijskiej krwi, aby wysączyć z tamtejszej ludności złoto, które posłużyło mu do budowy własnej potęgi. A czy ktoś o tym wie? Nie. Nazwałeś mnie zbrodniarzem i masz absolutną rację. Czy myślisz, że ja przelewam krew ludzką, bo jestem wampirem bez serca? Nie, ja wierzę w partię, w rewolucję! Jeśli dla osiągnięcia powszechnej szczęśliwości narodów trzeba będzie wymordować kilka tysięcy ludzi, to trudno. Ja chcę stworzyć coś trwałego, a każda budowla, żeby mogła być trwałą, potrzebuje odpowiedniej zaprawy.

Feliks Dzierżyński spacerował po gabinecie, z rękoma założonymi za plecami. Wieniawa obserwował go spod na wpół przymkniętych powiek. Nie znać było po nim, aby mowa

czerwonego kacyka wywarła na nim jakiegokolwiek wrażenie; zdawał się przysypiać, bo mrugał ustawicznie oczami jak człowiek, który usiłuje sen od siebie odciągnąć.

– I cóż ma być ową budowlą? – zapytał. – Co stworzyliście w miejsce caratu? Przejechałem szmat Rosji i wiesz, co widziałem? Krew, łzy ludzkie i zgłiszcza. Taka ma być ta twoja budowla? Jeśli tak, to szatana na pomoc wezwij, bo jeno piekło w takowym dziele wspomagać cię może. Ja, choć jestem w twojej mocy, to powiem ci, że prędzej ostatni Polak pić przestanie, niż wy w Polsce swoje porządki zaprowadzicie.

– Poczekamy, zobaczymy. Wy tam się zaraz sami weźmiecie za łby. Myślisz, że ja twojego Piłsudskiego nie znam? Straszliwa ambicja w nim siedzi, bo mu się wydaje, że on jeden jest powołany do władzy. Jeszcze on wam tę całą demokrację podepcze i sam władzę w ręce pochwyci. Ja przynajmniej nie wycieram sobie gęby wielkimi hasłami, tylko otwarcie dążę do władzy. Czym jest demokracja? Mądry musi się podlizywać głupiemu, by go wybrać raczył. Mówisz, że widziałeś krew i zgłiszcza? Prawda. Lecz gdy kto dom stawia, to nie ocenia go po fundamentach, ale dopiero wtedy, gdy wiechę na dachu zawiesi i ukończonej budowli się przyjrzy. Jeśli nie trafiłem ci tym porównaniem do głowy, to powiem inaczej: czy kto ocenia alkohol, gdy ten tkwi w zakorkowanej butelce, czy wtedy, gdy przepłukał nim gardło?

Tu przestał mówić, widać czekał na odpowiedź.

– Ty Piłsudskim sobie gęby nie wycieraj, bo tak ci do niego daleko jako właśnie eunuchowi do ogiera. Znam go od lat kilku i na krucyfiks mogę ci przysiąc, że on ma tylko dobro ojczyzny na celu, dla której gotów jest w każdej chwili krew przelać.

Tu Wieniawa uniósł się, bo go gniew zaślepił. Pierś unosiła mu się w szybkim, nierównym oddechu, a na policzkach rumieńce wykwitły. Przez jedno mgnienie oka chciał się rzucić ku Dzierżyńskiemu, ale przypomniał sobie, że jeszcze nie poruszył

sprawy swojej misji. Tomasz także przyszedł mu na myśl, więc całą siłą woli nakazał sobie spokój.

Feliks obserwował uważnie mieniącą się z wściekłości twarz Wieniawy. I nie wątpił, że temu człowiekowi nie zabrakłoby odwagi, by podnieść na niego rękę w jego własnym gabinecie. Szacunek, jaki żywił dla adiutanta Piłsudskiego, wzrósł podwójnie w jego umyśle. Lubił takich ludzi, co woleli, żeby się im kłaniano, niż by sami mieli się kłaniać. Tym większe wywarło to na nim wrażenie, że dotychczas ludzie obchodzili go dookoła niczym tego psa wściekłego, na którego podwórzu lepiej nogi nie postawić. Toteż nie tylko się nie rozgniewał, ale roześmiał się szczerze, jakby najlepszy dowcip usłyszał.

– Ot, co rodak, to rodak! Bo już od tych rosyjskich białych chujów to mi się na wymioty zbiera. W twardej oni szkole wychowani i giąć karki nawykli. A ty jesteś człowiek inny. Każdy najchętniej skórę by ze mnie zdarł, ale słowem ci się nie zająkniesz, tylko w oczy ci patrzy jak ten pies i najsłabsze myśli usiłuje odgadnąć. A po tobie zaraz widać, że rzuciłbyś mi się do gardła, gdybyś tylko miał taką szansę.

– Pewnie, że tak! Ale skoro wybierasz się do Polski, to może trafi się okazja, by szablę ze sobą skrzyżować. Tym razem jednak ja nie po twoje życie przybyłem, ale z propozycją, którą ci przez moje usta sam Piłsudski składa.

Dzierżyński wbił w niego pytające spojrzenie. Wieniawa nie potrafił odmówić sobie tej małej przyjemności, by potrzymać go w niepewności. Dopiero po dłuższej chwili kontynuował wywód:

– Niniejszym gwarantuję, że nasze wojska nie podejmą działań zaczepnych, podczas gdy wy będziecie się zabawiać z Denikinem i pozostałymi białymi generałami.

Feliks przygryzł wargę.

– Czy ja wyglądam, jakbym był palcem robiony?! Takimi gwarancjami to sobie można co najwyżej zad podetrzeć! A jaki wy

macie w tym interes, co?!

– Co miałem przekazać, to przekazałem – odparł Wieniawa. – Co dalej z tym zrobisz, to nie moja sprawa...

Zawahał się. Nie za bardzo wiedział, jak zacząć przedkładać swoją prośbę Dzierżyńskiemu. Czy w ogóle jest sens prosić go o cokolwiek? Przecież to łotr, bez czci, wiary i sumienia. Ale przecież obiecał. A obietnica to święta rzecz. To wahanie musiało mu się odbić na twarzy, bo Feliks sam zaczął:

– Jesteś wolny.

– O nic cię nie proszę.

– I nie musisz. To sprawa między twoim ojcem a mną. Ja długów mieć nie lubię. Ale jeśli drugi raz wpadniesz w moje ręce, to żadna siła cię z nich nie wyrwie. No idź, chyba że prośbę jeszcze jaką masz do mnie.

Wieniawa odetchnął.

– Będąc w celi, spotkałem rodaka, Tomasza Grobla.

– Są tacy, którzy oskarżają mnie o korzystanie z diabelskiej pomocy, ale guzik to prawda, więc nie wymagaj ode mnie, żebym znał z nazwiska każdego, kto korzysta z mojej gościnności. Co to za człowiek? O co oskarżony?

Tu Wieniawa zaczął szeroko opowiadać o tym, co od Tomasza o jego dziejach słyszał, niczego nie pomijając. Obserwował przy tym reakcje Dzierżyńskiego, który słuchał, ani słowem relacji nie przerywając. Wreszcie Wieniawa skończył następującymi słowami:

– To niewykształcony, niewinny człowiek, który działał jako ślepe narzędzie. Nikt z nas nie wie, kiedy mu przyjdzie stanąć przed sądem, by zdać rachunek ze swego życia.

– Dość! – uciął Feliks, a jego głos zabrzmiał jak smagnięcie biczem. – Czy ty chcesz, żebym ja temu Grobłowi życie ocalił?! To nie może być! On brał udział w zamachu na Lenina, któremu się

tylko cudem udało zapobiec. Sam Lenin żąda jego głowy, a ja miałbym go uwolnić? Poza tym on jest w rękach Stalina.

– Kogo?

– To gruziński socjopata, człowiek szalony i zbrodniarz, jakich mało. Mnie zbrodniarzem nazywasz, a ja ci mówię, że przy nim to ja jestem tak czysty, jak nowo narodzone dziecko.

Wieniawa spostrzegł ukrytą w słowach Dzierżyńskiego niechęć. Postanowił to wykorzystać. Pomyślawszy chwilę nad odpowiednim doborem słów, tak mówić zaczął:

– Pewnie, że wypuścić go nie możesz, bo gdyby wiadomość o tym dotarła do uszu Lenina, toby nawet tobie na sucho nie uszło. Ale ułatwić mu ucieczkę to byś mógł. Z tego i dla ciebie byłaby korzyść, bo Lenin dostałby szału, a jego gniew spadłby na głowę Stalina. A co tobie za zysk ze śmierci niepiśmiennego chłopca? Czy chcesz, żeby się ludzie z ciebie śmiali jako z człowieka, który tak się bał polskiego chłopca, że pozwolił go zamordować? Widzisz, polubiłem tego prostego wieśniaka jak brata, a i wracać do ojczyzny we dwóch zawsze to różniej.

– Zdziwiasz mnie – stwierdził Dzierżyński. – Każdy inny po rękach by mnie całował, gdybym go uwolnił, a ty warunki mi stawiasz? Ale w jednym masz z pewnością rację: Stalina szlag jasny trafi, będzie się miotał, pianę z ust toczył. Spróbuję mu pomóc. A wiesz dlaczego? Bo trzeba mieć szacunek do siebie i nie mordować byle kogo. Zresztą jemu i tak własna rodzina łeb na drugą stronę przekręci. Masz moje słowo, że u mnie włos mu z głowy nie spadnie. A ja nie polityk, więc słowa zawsze dotrzymuję, gdy je komuś daję.

Podszedł do biurka, otworzył szufladę i szperał w niej przez dłuższą chwilę. Wreszcie znalazł to, czego szukał, bo wyprostował się i zaczął coś pisać na fioletowym druku. Literę kreślił zamasyście, nie patrząc na Wieniawę. Gdy skończył, podszedł do Bolesława i rzekł:

– Niezwykle rzadko korzystam z tego druku, więc nie mogłem go znaleźć. No, ale masz. Teraz między mną a twoją rodziną już kwita. A o swego znajomego się nie martw. – Wręczył uwalnianemu blankiet.

Ten ani okiem na niego nie rzucił, wziął i odszedł w kierunku drzwi. Naciskając na klamkę, odwrócił się jeszcze i rzekł:

– Za siebie ci nie dziękuję, skoro nie kazałeś, ale za Tomasza wdzięczność zachowam i również ci się wypłacę. Jednak nawet i zbrodniarze czasem mają serce.



– Dla tego człowieka życie będzie o wiele większą karą niż śmierć – mruknął Feliks sam do siebie, gdy za Długoszowskim zamknęły się drzwi.

Wrócił do biurka, usiadł na krześle i zagłębił się w stenogramie, który właśnie niedawno otrzymał. Rozmowa Wiktora z Dobrowolskim wciągnęła go całkowicie. Było w niej coś niesłychanie zabawnego i smutnego zarazem. Gdyby miał serce, to współczułby i staremu, i młodemu. Ale był żelaznym Feliksem, mieczem i tarczą komunizmu.

Polski wywiad zdaniem niektórych nie był groźnym przeciwnikiem.

– Ha, ha – roześmiał się na myśl o tym, co powiedziała by Hindenburg, gdyby był wiedział, że szczegółowe założenia jego tajnej operacji jadą do Belwederu. Pewnie by go krew zalała na miejscu.

Teoretycznie powinien przekazać tę informację Leninowi, który podarowałaby ją Niemcom jako gest dobrej woli. Ale tego nie zrobi. Lubił niektóre informacje zachowywać tylko dla siebie – mogło to w przyszłości stanowić atut. A poza tym płynęła w nim polska krew, która czasem, nieświadomie, wpływała na jego decyzje. Nie

zamierzał wysługiwać się Niemcom. Zresztą musiałby podać im źródło tej informacji, a tego za żadne skarby nie chciał zrobić.

Nadzieja! Nigdy nie potrafił zrozumieć fenomenu tego uczucia. Od małego brał się z życiem za bary i zawsze liczył tylko na siebie. Wiedział, że wyłącznie własnym uporem, zaciętością i pracą wdrapie się na sam szczyt. Niemalø jednak spotkał na swej drodze ludzi, którzy żyli nadzieją na lepsze jutro, choć nie mieli podstaw, by móc liczyć na odmianę losu. To wszak owa nadzieja dawała im siłę, by nie poddać się przeciwnościom życiowym. Tacy ludzie naprawdę wierzyli, że koleje losu muszą się kiedyś odmienić.

Do grona takich właśnie ludzi należała Zofia Jakimowicz. Nie trzeba było wiele, by uwierzyła, że jej mąż jest jeszcze w ich rękach i tylko od niej zależy jego los. Wystarczyło kilka sprawnie spreparowanych listów od męża i Zofia zgodziła się przekazywać im tajne informacje. A przecież na rozum rzecz całą biorąc, nie powinna była uwierzyć w te brednie, nawet przez chwilę. A jednak. Bliscy uchwycą się zawsze najmniejszej iskierej nadziei – jak marynarz belki z tonącego statku. Wszystko sami sobie wytłumaczą i będą święcie przekonani, że ich bliscy są wprawdzie w obozach, ale nadal żyją. Wystarczyło tylko starannie podtrzymywać tę iluzję i miało się darmowego agenta...

Tak, już pora rozpocząć grę z polskim wywiadem i przekonać się, ile ci zmartwychwstańcy tak naprawdę potrafią – pomyślał, sięgając po słuchawkę telefonu. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w miarowy sygnał, wreszcie usłyszał w słuchawce charakterystyczny trzask.

– Kostriulew, jedziesz do Krakowa. Przywieziesz mi stamtąd jedną dziewczynę. Elizę Dobrowolską. Masz jeden dzień na skompletowanie ludzi i opracowanie planu.

Machina poszła w ruch.

Rozdział XIV

Powstanie wielkopolskie szerzyło się jak pożar. Kto tylko czuł się na siłach, a nie wstrzymywały go strach lub rodzina, ciągnął do szeregów. Te zapełniały się więc ludźmi nieostrzelanymi, ale na wszystko gotowymi, którzy potrafili się zdobyć na duże poświęcenie. Tak zmotywowani wkrótce zmieniali się w doskonałych i zdyscyplinowanych żołnierzy, którzy potrafili dotrzymać placu niemieckim pułkom. Przyszło im to tym łatwiej, że Warszawa wspomagała i podsyciała powstanie, dosyłając broni i doświadczonych oficerów, którzy wiele lat spędzili na polu walki. Ta armia wypierała Niemców z kolejnych miejscowości i jasnym było, że zbliża się kres niemieckiego panowania w Wielkopolsce.

Johann Wolf był jednym z pierwszych, którzy zorientowali się w nowym położeniu. Nie żywił on fanatyzmu pruskich junkrów – gardził nimi. Uważał za przeżytek dziejowy. Sam pochodził z ubogiej rodziny spod Frankfurtu. Wszystko, co osiągnął, zawdzięczał sobie, a nie protekcji i wpływowi. Zaczynał służbę jako prosty żołnierz i piął się w górę dzięki zawziętości oraz niepospolitym zdolnościom. Prędko dał się poznać zwierzchnikom jako oficer, który potrafi wykonać każde, choćby najtrudniejsze zadanie. Wraz z początkiem wojny otrzymał przydział do Poznania jako kierownik tamtejszej placówki wywiadowczej. Przeniesienie do kontrwywiadu dostał łatwo, bo większości doświadczonych kontrwywiadców dano nowe, pilniejsze zadania. Dlatego

z pewnym smutkiem przyglądał się, jak miasto z wolna zmienia swój charakter.

Polacy zachłysłeni się swoją wolnością jak młokos mocną wódką. Idąc ulicą Świętego Marcina, obserwował rozradowane gęby mijanych przechodniów, białoczerwone flagi dumnie powiewające z okien mieszkań. Niemieckie tablice z nazwami ulic walały się po chodnikach, a zastępowały je nowe, z polskimi patronami, których nazwiska nie mówiły mu nieomal nic. Raziły go polskie mundury, polska mowa. Czuł, jak wzbiera w nim złość na siebie i wstyd, bo to na jego warcie tracili miasto, które od zawsze było w ich rękach. I poprzysiągł sobie na zbawienie duszy rodziców, że jeszcze tu wróci. Wiedział, że być może lata całe czekać mu przyjdzie, zanim ziści się plan powrotu Niemczyzny w te strony.

Niemniej sam niczego nie zaniedbał, by ten powrót możliwym uczynić. Pozostawił w tych stronach mnóstwo agentów, w których pokładał nadzieję. Niech się żenią, zrastają z nową władzą, płodzą dzieci i osiągają wysoką pozycję. Dobrze mieć swój piasek we wrogich szprychach. Werbował ludzi w wojsku, wśród urzędników i pośród zwykłych zjadaczy chleba. To oni będą tą bakterią, tym rakiem, który będzie toczył przeciwnika od środka. A gdy będzie już dostatecznie osłabiony, wtedy zadadzą śmiertelny cios i Poznań wróci do macierzy.

Roześmiał się głośno, aż kilku przechodniów zwróciło nań uwagę, ale zignorował ich po prostu. Przeszedł przez ulicę Rycerską, by dotrzeć na cmentarz ewangelicki, gdzie wyznaczył Teofilowi spotkanie. Idąc ulicą Artyleryjską, przystanął przy witrynie sklepu z markowymi kapeluszami, by upewnić się, że nie przykleił się do niego żaden ogon. Było to wprawdzie mało prawdopodobne, ale na szkoleniach wbijano mu do głowy, że ostrożność jest cechą, która w ich fachu często umożliwia przetrwanie. Rozejrzał się ukradkiem dookoła, wypatrując ludzi

swojego pokroju, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby go zaniepokoić – ludzie szli każdy w swoją stronę, nie interesując się pozostałymi.

Cmentarz ewangelicki ciągnął się wzdłuż ulicy Zygmunta Augusta; okalał go mur z czerwonej cegły. Przy cmentarzu stało mnóstwo kramarzy z budami, oferujących znicze i kwiaty dla tych, którzy odłożyli zakup na ostatnią chwilę. Teraz jednak stragany stały puste, jeśli nie liczyć śniegu, który w wielkich ilościach zalegał na ich płóciennych dachach. Ludzi również kręciło się niewiele, bo i po co. Czy to nieboszczyk z grobu wstanie, jeśli go kto odwiedzi? Nawet żebracy nie ukazywali swoich łachmanów pod bramą i nie wyciągali misek po datki.

Może zmarzli? – pomyślał Johann, przechodząc przez kutą żelazem bramę.

Przekraczając ją, poczuł się dziwnie nieswojo, jakby znalazł się w innym świecie. Przez mur nie przebijały się żadne dźwięki żyjącego miasta, a cisza była tak przytłaczająca, że aż dzwoniła mu w uszach. Jego wzrok ślizgał się obojętnie po ogołoconych z liści drzewach, które ukrywały w swym cieniu pokryte śniegiem nagrobki. Czasem dostrzegł zgasły znicz z poczerniałym knotem albo smętny samotny kwiatek leżący na nagrobku. Tyle po ludziach zostaje – pomyślał. Kamienna płyta z prostą tablicą, na której zawarte jest imię, nazwisko i dwie daty spinające nasze życie niczym kłamra. Ani słowa o tych ludziach. Jeden dobry, jeden zły. Nie sami pobożni czekają na zmartwychwstanie w dniu ostatecznym.

Mierziło go to wszystko; drażniła obłuda, to wyrachowanie, które napotykał na każdym kroku. Po uszy nurzał się w szambie ludzkich pragnień, nadziei, wybujałych ambicji i zbrodni. Wśród jego agentów nie było ani jednego, który wśród swoich nie uchodziłby za porządnego obywatela, przykładnego ojca rodziny i dobrego sąsiada. Tylko on wiedział, co tak naprawdę kryje się

w ich sercach, ukrytych pod maską, którą zakładali na użytek osób ze swojego otoczenia. Prawda, że często nie mieli innego wyboru. Ale sami zdradzali żony, popadali w długi, które przekraczały ich możliwości finansowe, a on tylko wyciągał do nich pomocną dłoń. Nie musieli jej przyjmować. A słyszał kto kiedyś o tym, żeby pomagano za darmo? Pomagał, ale żądał wymiernych dowodów wdzięczności.

Zresztą sumienie nic mu nie wyrzucało, bo był przecież Niemcem i jego psim obowiązkiem było ojczyźnie służyć, wykorzystując w tej służbie wszystkie zdolności, jakie posiadał. A czy Polacy nie robili tego samego? Z pewnością tak. I tak samo nie wahali się robić wszystkiego, co by im końcowy sukces dać mogło. Pewnie mieli swoich agentów i w Niemczech, których werbowali w dokładnie taki sam sposób, w jaki on robił to na ich podwórku.

Staął przed prostym nagrobkiem z nieco przechylonym drewnianym krzyżem i zwisającą smętnie tabliczką z napisem: „Marian Sroka, 30 grudnia 1894 – 1 stycznia 1919”. Rozglądał się po cmentarzu w poszukiwaniu Teofila, ale nie dostrzegł go nigdzie. Przygryzł wargi. Sam był nieco spóźniony, więc chłystek powinien tu na niego czekać. Wściekły przestępował z nogi na nogę, bo kilkunastostopniowy mróz nie nastrojał do stania na powietrzu. Co chwila rzucał okiem na przegub prawej ręki, by sprawdzić położenie wskazówek zegarka.

Niestety cierpliwość jego miała być wystawiona na próbę. Zaczynały już drętwieć mu palce, gdy wreszcie spostrzegł idącego w jego stronę Teofila.

– Długo każesz na siebie czekać – stwierdził szyderczo.

Teofil nie zmieszał się tym chłodnym przyjęciem. Ale chmurny był i zły. Współpraca z Niemcami zawiodła jego najskrytsze nadzieje i ambicje. Gdyby nie to, że zdradzając i biorąc pieniądze, spalił za sobą wszystkie mosty, byłby się teraz zastanawiał, jak

wyrwać się spod niemieckiej kurateli. Za późno zrozumiał, w co się wdał, jak straszne kłopoty na siebie sprowadził. Bo na przykład mógł zdradzić Niemców, ale jak to zrobić, by zguby własnej tym nie spowodować? Rzec nie była łatwa, bo przecież byli to ludzie możni i o daleko sięgających rękach, przed którymi trudno byłoby się schować. Mógł wprawdzie pójść z tą sprawą do swojego szefa, ale kto by mu zagwarantował dobre przyjęcie, a nie szubienicę z zapadnią? Zwłaszcza że nie pomógł Adamczewskiemu, gdy ten walczył z Wolfem. Też miał więc na rękach jego krew. Też był mordercą.

Wił się więc i szukał wyjścia z matni, w którą tak lekkomyślnie sam się zapędził. Problem, który przed nim stanął, był dla tego hulaki nie do rozwiązania. Wcześniej zastanawiał się tylko nad tym, w której knajpie już się zadłużył, by nie być przymuszonym przez właściciela do natychmiastowej spłaty wierzytelności. Teraz został zmuszony do walki o życie. Do prowadzenia tej walki nie miał już jednak ani siły, ani chęci. Poddawał się przeznaczeniu i pozwalał się mu nieść jak tonący prądowi rzecznemu, czekając, dokąd go zanieśie.

Na razie topił smutki i niepokoje w alkoholu, który stał się dla niego tym, czym dla zwykłych ludzi powietrze. Czas upływał mu w towarzystwie: opojów, panien lekkiego prowadzenia i ludzi o wątpliwej reputacji. Ale on o to nie dbał. Pił i pił, jakby się chciał na śmierć zapić. Zatracał się w pijaństwie i rozpuście. Pieniędźmi ze zdrady opłacał hulatyki i przyjaciół, którzy ogołacali go z pieniędzy.

Hulaszczy tryb życia, jaki prowadził, odcisnął na nim swe wyraźne piętno; wychudł, zsiniał na twarzy, a pod oczami, od ustawicznie nieprzespanych nocy, porobiły mu się czarne obwódki. Przestał dbać o siebie, bo jego reputacja legła w gruzach i nikt z szanowanych ludzi nie chciał nie tylko być widzianym w jego towarzystwie, ale nawet przyznawać się do znajomości

z nim. Mundur nosił rozpięty, bo guziki pogubił po wszystkich poznańskich restauracjach i karczmach. W ogóle trudno było rozpoznać oryginalną barwę munduru, bo pokryty był niemal w całości plamami po jedzeniu i różnych trunkach.

Johann od jednego rzutu okiem poznał, w jakim stanie jest Teofil, i gniew w nim zawrzał.

– Posłuchaj, pijanico! Nie płacę ci za to, żebyś zachlał się na śmierć, tylko za informacje! Widzę, że ostatnia lekcja, której ci udzieliłem, nie przebiła się do twojego zakutego łba! Masz przestać chlać, bo następnym razem zostaniesz na tym cmentarzu! Co masz dla mnie?!

Popełnił błąd. Teofil nie bał się już śmierci. Co więcej, szukał jej. Stoczył się na dno, jakie może osiągnąć człowiek w trakcie swojej ziemskiej egzystencji. Nie potrafił żyć w świecie, w którym inni mają wszystko, a on nic. Zbyt dobrze pamiętał swoje bogactwo, na które nie potrafił cierpliwie zaczekać, tylko dążył do celu po trupach tych, którzy umyślnie lub też przypadkiem stanęli mu na drodze. Ze wszystkich jego działań pozostała mu pusta flaszką jako jedyna nagroda. Inny człowiek byłby wybrał sobie gałąź i mocny sznurek, ale Teofil nie był zdolny zdecydować się na krok tak ostateczny. Poza tym gdyby tak postąpił, to ukarałby tylko siebie. A do winy się nie poczuwał.

– Mam dla ciebie coś interesującego. Z Warszawy przyszła zakodowana depesza o przygotowaniach Niemców do ściśle tajnej operacji. Dowiedziałem się też, że w trakcie zdobywania lotniska był w Poznaniu szef polskiego kontrwywiadu wojskowego. Zabrał ze sobą niejakiego Wiktora Adamczewskiego, młodszego brata człowieka, którego zabiłeś.

Johann zadrżał. Czuł, że jest blisko czegoś dużego, radość przytępiła mu instynkt i nie spostrzegł, że twarz Teofila tężeje, jakby ten podjął właśnie jakieś stanowcze, a nieodwołalne postanowienie.

– Co to za operacja? – pytał z wyraźnie wyczuwalnym podnieceniem w głosie.

– Wiosenne Słońce.

Gdyby któryś nieboszczyk wyszedł w tej chwili na spacer, to nie wywołałby na twarzy Wolfa takiego zdumienia, jak zasłyszana przed chwilą informacja. Spojrzał na Teofila, jakby chciał się upewnić, że ten jest w dostatecznym stopniu przy zdrowych zmysłach, by mógł potraktować jego informację poważnie. Ale twarz Polaka była w tej chwili śmiertelnie poważna. Zresztą przecież nie znał kryptonimu ich operacji, więc nie mógł go użyć przypadkowo.

Nawet on znał tylko kryptonim, choć co do jego lojalności nigdy nie było najmniejszych wątpliwości. Berlin trzymał ten projekt w tak głębokiej tajemnicy, że jego pełną treść znali tylko najwyżsi rangą oficerowie wojskowi. A tymczasem ten pijak mówił o niej tak, jakby chodziło o zwykłą wiejską plotkę, którą zna każda baba we wsi. Jak i kiedy Polacy wzięli tę sprawę pod swój nadzór? I co tak naprawdę o niej wiedzą? Może znają tylko kryptonim, a nie szczegółowe założenia tej operacji? Niemniej należało zawiadomić o tym centralę i to możliwie jak najszybciej.

– To jest kryptonim naszej tajnej operacji. Jakim cudem Polakom udało się wpaść na jej trop? Masz się tego dowiedzieć. A teraz gadaj mi, co robił tutaj ten pułkownik.

Teofil był jak wulkan, gotów wybuchnąć z lada powodu. Oto człowiek, który był przyczyną jego upadku, stał teraz przed nim. To on pozbawił go bogactwa, należnej z racji urodzenia pozycji społecznej i teraz stał obok triumfujący. Jeśli miał iść na dno, to nie sam. Opuścił ręce wzdłuż ciała.

– Nie wiem, co tu robił ani z kim rozmawiał, bo to się działo wtedy, gdy wezwalesz mnie na spotkanie. Wiem tylko na pewno, że rozmawiał wtedy z obydwojema Adamczewskimi i Kossowskim. Potem zabrał gdzieś młodszego z braci, a my dostaliśmy dokładne

wytyczne. Zmieniono dyslokację pododdziałów i wprowadzono zmiany w ich organizacji wojskowej. Te adresy, które ci podałem, są już nieaktualne. – Mówiąc, zbliżał się ciągle do Niemca jak lunatyk.

Tymczasem między nagrobkami wszczął się ruch. Kilkanaście niewyraźnych postaci sunęło w cieniu grobów; w ruchach ich było coś złowieszczonego i nieludzkiego zarazem. Skradali się niczym lisy do kurnika, ku obu spiskującym. Żaden dźwięk nie mącił upiornej ciszy, z jaką przemieszczali się ku celom; broń nie brzękała, usta nie wydawały nic prócz stłumionego oddechu, który niemal zamarł im na ustach.

Zresztą nawet gdyby szli z takim hałasem, jaki robi maszerujący słoń, to oni i tak nic by nie słyszeli ani nie widzieli. Teofil każdą myśl poświęcał bliskiej a strasznej zemście; sycił się krwią, którą dopiero miał rozlać. Był jak pogrążony w obłądziej; oczy wytrzeszczył, skupił się w sobie, a usta pianą mu się pokryły niczym u wściekłego psa. Myślał tylko o jednym i nic poza tym go nie interesowało.

Johann również nie zorientował się, jak blisko był śmierci. Zbyt skupił się na rewelacjach, które właśnie usłyszał. To, co rzekł Teofil, wyraźnie wskazywało na to, że polski wywiad nie tylko pogroził im palcem, likwidując zagrożenie ze strony Wiosennego Słońca, ale także, że wiedział o jego roli tutaj. Wszystkie dane, które z tak pieczołowitą starannością zbierał, mógł teraz cisnąć do kosza jak peta. Choć przecież zrobił wszystko, co dobry wywiadowca uczynić powinien, i niczego nie zaniedbał, by swoją robotę dobrze wykonać. A jednak nie ulegało wątpliwości, że został rozpracowany. Jeśli zaś tak, to znaczy, że...

Nie dokończył swojej myśli; nie zdążył. Poczul, jak czyjaś ręka chwyta go bezceremonialnie za ramię, odwraca ku sobie; spostrzegł parę oczu strasznych, przepełnionych obłądem, a w niego utkwionych. Nie myślał nawet o obronie, bo wiedział, że

i tak nie zdąży niczego skutecznego w tej kwestii przedsięwziąć. Zmrużył oczy, by nie widzieć, jak kilkunastocentymetrowe ostrze wzniesionego przez Teofila noża pogrąża się w jego piersi.

Huknął pojedynczy strzał; kula ze złowieszczym świstem przecięła powietrze i ugodziła Polaka w podstawę czaszki w momencie, gdy ten chciał zadać śmiertelny cios. Zanim Johann zdążył pomyśleć i zrozumieć, co się stało, zza nagrobków wysunęło się kilkunastu ludzi i otoczyło go zwartym kręgiem. Gdy widział kilkanaście luf pistoletowych w siebie utkwionych, nie pozostało mu nic innego, jak tylko podnieść ręce do góry i czekać.

Tymczasem pułkownik Krzysztof Kossowski podszedł do trupa Teofila, nie troszcząc się więcej o Niemca. Odwrócił go twarzą ku słońcu i dokładnie przeszukał. Nie znalazł nic prócz starannie wykonanej fotokopii Wiosennego Słońca, którą sam mu przekazał. Żał mu było chłopaka, bo ojciec powierzył go jego opiece, z której to opieki starał się wywiązywać w sposób należyty. A mimo to nie zdołał uchronić go przed tragicznym losem...

Nie musiał go zabijać, ale chciał. Bo co by go na tym świecie spotkać mogło? Proces publiczny, hańba, piętno zdrajcy i haniebna śmierć na szubienicy? Karę sam wymierzył, ludzie niech w nieświadomości lepiej pozostają. To był winien staremu przyjacielowi, który nie raz i nie dwa życie mu ratował.

Zleciwszy żołnierzom zadbanie o szczątki doczesne Teofila, podszedł do Niemca i zapytał:

– Poluję na ciebie od dłuższego czasu i zadowolony bym był, gdybym mógł poznać twoje nazwisko. Jak się nazywałeś?

Johann spojrział na niego z góry i nie odrzekł nic. Przeżywał własną klęskę i upokorzenie. A może żegnał się ze światem. Bo nie mógł mieć przecież żadnych wątpliwości co do tego, że nikt się do niego nie przyzna ani nie spróbuje wyrwać go z rąk Polaków. Była to reguła stara jak ich zawód i od wieków z wielką skrupulatnością przestrzegana. Żarł go ból i poczucie klęski. Tym większe, że nie

mógł zrozumieć, kto i w jaki sposób mu ją zadał. Jasnym dla niego było, że szli za Teofilem, by go schwytać. Ale skąd wiedzieli, że chłopak dla niego pracuje? Przecież trupy nie zdradzają tajemnic, a ten przeklęty Polak był tam wtedy sam.

Na próżno głowę sobie nad tym łamał. Myśl ta gnębiła go tak dalece, że zapomniał o planowaniu ucieczki, choć wiedział, co go czeka. Zresztą ulotnienie się nie było wcale łatwe, bo Polacy nie spuszczaali zeń oka nawet na sekundę. Za każdym razem, gdy usiłował wykonać jakiś ruch, czuł lufę pistoletu, którą przytykano mu między łopatkami.

Konwój dotarł za bramę cmentarza. W pobliżu stał wojskowy samochód półciężarowy. Pozwolił się do niego zaprowadzić, nie stawiając najmniejszego oporu. Kossowski nie odstępował go na krok. Od dawna on na tego Niemca polował. Ale zawsze bez skutku. Teraz jednak sprzyjało mu szczęście i przysiągł sobie, że go starannie przesłucha. Musiał to zrobić, bo wiedział, że aresztowanie mężczyzny sprawy nie kończy. Trzeba jeszcze aresztować tych, których Niemcy na terenie województwa pozostawia. Należało się nimi zająć, by szkód nie narobili.

Samochody ruszyły. Konwój sunął po powoli pustoszejących ulicach. W oknach mijanych budowli coraz częściej pojawiały się światła. Uliczne latarnie również były już zapalane. Dodatkowym źródłem jasności pozostawały więc reflektory samochodowe; w ich mdłym świetle Johann rozróżniał mijane ulice i place. Wystarczyły mu do tego owe krótkie momenty, gdy dostrzegał dziury w jezdni. Znał dokładnie ich umiejscowienie i wielkość.

Umożliwiał mu to ponadprzeciętny dar obserwacji. Potrafił jednym rzutem oka ocenić wielkość budynków, stopień zużycia obcasów i tym podobne. Był to zmysł, z którym przyszedł na świat. Potem wywiad dostrzegł w nim tę umiejętność i rozwinął ją niemal do mistrzostwa. Oczywiście ćwiczył się w tym prawie codziennie. Dzięki temu teraz mógł znakomicie orientować się w swoim

położeniu, korzystając z pomocy charakterystycznych dziur w jezdni.

Wiedział więc, że zbliża się do mostu kolejowego. To zaś kazało mu przypuszczać, że jest wieziony do gmachu cytadeli miejskiej. Zdawał sobie sprawę, że nie może tam dotrzeć, gdyż ucieczka stamtąd byłaby praktycznie niemożliwa. To mógł stwierdzić z całą pewnością. Znał bowiem tamto miejsce, ponieważ nieraz umieszczał w nim prawdziwych lub domniemanych wrogów kajzera. Jego architekci zadbali, by więzienie było trudne do sforsowania zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz. Wiedział więc, że teraz jego jedyną szansą jest ucieczka w czasie jazdy.

Zamysł był słuszny, lecz niełatwy do wcielenia w życie. Automobil wprawdzie nie rozwijał zbyt wielkiej prędkości – w jego ocenie było to jakieś piętnaście kilometrów na godzinę – prawdziwy problem stanowiła jednak polska obstawa. Wypatrywał czujnie momentu, który pozwoliłby mu mieć nadzieję na powodzenie zuchwałej ucieczki. Faktycznie wkrótce dostrzegł szansę.

Wjeżdżali właśnie na most kolejowy, który swego czasu między dwoma brzegami Warty rozpięto. Samochód zwolnił, bo jazda po torowisku i bez tego do przyjemnych nie należała. Automobil trząsał się i chwiało.

To moja szansa – pomyślał Johann i spojrzał na widoczne w oddali koryto Warty; rzeka była jeszcze skuta grubą pokrywą lodową. Nic dziwnego. Zima trzymała mocno i nic nie zapowiadało odwilży. Największym problemem mógł być sam lód. Od dawna bowiem nie chodził po tafli. Ale podjął już decyzję.

Skoczył do tyłu. Spadł bokiem na szynę i poczuł straszliwy ból, który zmaćcił mu wzrok. Ale trwało to ledwie ułamek sekundy. Zaraz potem adrenalina zrobiła swoje. Poderwał się i długimi susami zaczął biec ku barierze mostu. Za sobą słyszał pisk hamujących automobili i zgrzyt otwieranych zamków. Próbował

ocenić, ile ma jeszcze czasu. Zdawał sobie sprawę, że pewnie niewiele. Dlatego nie zwolnił ani na chwilę, by ocenić odległość.

W biegu dopadł do poręczy mostu, przesadził ją i skoczył prosto na lodową pokrywę. Jego umysł błyskawicznie skupił się na zadaniu. Szybko ugiął nogi w kolanach i rozluźnił mięśnie. Zdawał sobie bowiem sprawę, że to nie wysokość jest zagrożeniem, a przyspieszenie, które generuje się w momencie gwałtownego hamowania.

Na moście zrobiło się zwykle w takich razach zamieszanie. Automobile hamowały, a żołnierze rzucili się biegiem do mostowej bariery. Kossowski, którego uspił równy szum silników, poderwał się teraz i podążył ich śladem. Szedł szybkim, nerwowym krokiem, z obawą wypisaną na twarzy. Wiedział bowiem, że to jego niedbalstwo ułatwiło więźniowi ucieczkę. Wstydził się przed własnymi żołnierzami.

Oni najmniej byli wszystkim przejęci. Wychylając się przez poręcz, obserwowali, jak ledwie widoczna w panującym mroku sylwetka Niemca mknie po lodzie. O tym, by mogli go zastrzelić, nie było co marzyć.

– Piorunem na samochody! – zagrzemiał Kossowski. – Nie dadzą nam tu piwa grzanego, bośmy nie zasłużyli! Wracamy teraz, by pościg zarządzić, póki zwierny śladu za sobą nie zgubi!

Powiedział to tylko po to, by dodać im ducha. A po części zachować go i w sobie. Jako doświadczony żołnierz w pełni zdawał sobie sprawę z błędu, jaki popełnił. I z tego, że jest on w tej chwili nie do naprawienia. Minie bowiem kilka godzin, nim skostniała machina wojskowa zbudzi się z uśpienia. A wtedy Niemiec będzie już daleko.

Spojrzał w widoczną pod mostem czeluść i nie mógł oprzeć się mimowolnemu podziwowi dla odwagi swojego wroga. Patrzył na łód, na którym pojawiły się już plamy krwi. Nie było jej jednak na

tyle dużo, by mógł karmić się nadzieją, że jego wróg dokona żywota z powodu ran.



Johann szedł tak szybko, jak mu na to pozwalało pokiereszowane ciało. Wiedział, że zostawia za sobą wyraźny krwawy ślad. Ale niewiele mógł na to teraz poradzić. Mógł co prawda porobić prowizoryczne opatrunki, wykorzystując do tego części swojej garderoby. Nie chciał jednak odkrywać ani skrawka swojego ciała. Wiedział, że byłby to akt nierozważny, mogący się skończyć odmrożeniami. Zresztą i teraz nie był całkiem pewien, czy zdoła ich uniknąć, bo po rzece przeciągał lodowaty wiatr, który zdawał się przedostawać przez jego ubranie. Starał się iść blisko brzegu, gdyż tam pokrywa lodowa była najtwardsza. To było łatwe, bo kontury brzegu odcinały się wyraźnie od bieli lodu. Gorzej, że nie wiedział, dokąd idzie, gdyż gwiazdy zostały przesłonięte przez ciemne chmury. A zdawał sobie sprawę, że jest ledwie w połowie drogi i wiele jeszcze trosk i kłopotów go czeka, nim się szczęśliwie z tej przygody wyratuje.

Ale szedł wytrwale. Wiedział, że kto się na mrozie zatrzyma lub uśnie, ten nie ruszy już więcej. Poza tym zdawał sobie sprawę, że Polacy rychło w ślad za nim ruszą. Miał wprawdzie trochę przewagi nad nimi. Wyliczył bowiem, że oblawa nie prędeż jak za dwie godziny zarządzona będzie. Musiał do samego końca ów czas wykorzystać, więc sił nie szczędził. Wiedział wszak, że nie na długo już ich starczy. Wszechobecne zimno i niezatamowany upływ krwi odbierał mu wolę walki. Wargi i twarz mu posiniały, a ręce zgrabiwały tak, że najmniejszego ruchu zrobić nimi nie zdołał. Kroki też stawiał coraz krótsze, jak kaleka, co nogami powłóczy. Zatrzymał się wreszcie i zachwiał tak silnie, że musiał się rękoma

podeprzeć o lodową taflę. I byłby zginął niezawodnie, gdyby nie dostrzegł stożka, który widoczny był z daleka.

Ta myśl dodała mu sił i ruszył ku niemu, kierując się na jego szczyt. Miał nadzieję, że to kopiec, w którym Wielkopolanie pyry składowali. Pragnął się w nim przyczaić, by świtu doczekać. Przyspieszył więc – jak znużony koń, który wodę poczuł. Przed nim unosiła się mgiełka wydobywająca się z jego ust. Drogę miał do pokonania niezbyt długą. Ale wolno szedł, bo utrudzone nogi ledwie go już niosły. A i niełatwa była to droga. Lód, choć twardy, nie stanowił jednak pewnego podłoża. Nogi rozjeżdżały mu się. Killakrotnie w ostatniej chwili wyratował się przed upadkiem, który mógł mieć groźne konsekwencje. Złamanie nogi czy ręki mogło być równoznaczne ze śmiercią. Dlatego ostrożnie stąpał po lodzie, kierując się ku linii brzegu.

Wspinaczka po zamarzłej ziemi nastrożyła Johannowi sporo trudności. Musiał bowiem uważać na liczne rany, otarcia i stłuczenia. Nie chciał, aby któraś z ran się zaogniła. Czepiał się więc porastającego brzeg sitowia, które teraz było uwiędłe i pokryte szronem. Zgrabiałe ręce nie chciały go słuchać i co chwila opadał. Ale ponawiał próby z mozołem i uporem. I wreszcie wy dostał się na brzeg.

Przez chwilę oddychał z trudem, niczym ryba wyjęta z wody. Czuł w ustach lodowate powietrze, ale nie miał dość siły, by oddychać przez nos. Spojrzał na swoje ubranie i ze zdumieniem spostrzegł, że całe pokryte jest szronem.

Tęgi mróz być musi – pomyślał ze złością. Muszę wstawać, bo tu śmierć.

Lecz myśl tę niełatwo było Johannowi w czyn wprowadzić. Czuł wszechmocną senność, która zaczynała go ogarniać. Wycie wichury zaczynało docierać do niego, jakby był od niej oddzielony szybą. Wzrok mu się mącił, a głowa powoli opadała. Nagle

szarpnął się ostatnim wysiłkiem i potoczył się ku kopcowi jak pijany.

Na wpół świadomie zaczął odgarniać rękoma zamarznąłą warstwę słomy i oziminy ziemniaczanej. Na szczęście dla niego w kopcu był już niewielki otwór wentylacyjny, który miał zapewnić ziemniakom dostęp powietrza. Johann pogłębił go tylko nieznacznie i z niemalą ulgą ułożył się na pryzmie ziemniaków, chroniąc się przed zimnem i śniegiem pod warstwą ochronną kopca.

Chwilę jeszcze nasłuchiwał, osłaniając otwór, by zimno nie dostawało się do środka. Wiedział, że postępując tak, działa na czyjąś szkodę, bo ziemniaki mogły zwilgotnieć. Ale niewiele go to obchodziło. Z trudem ułożył się na szczycie kupki i zasnął.

Rozdział XV

Wersal stanowił pole zacieklejczych sporów i polemik dyplomatów, które zdawały się nie mieć końca. Przedstawiciele wszystkich państw ścierali się ze sobą, zabiegając o przychylność mocarstw, które arbitralnie ustalały powojenny ład. Ale i u nich nie było jednolitej koncepcji, która mogłaby zapewnić wieczysty pokój w Europie. Dawało to znakomite pole do działania mistrzom oszustwa – dyplomatom.

Paderewski patrzył uważnie na swoją twarz, widoczną w okrągłym lustrze. I niezbyt radowało go to, co w nim widział. Siwe włosy, przypominające lwią grzywę, pokryta gęstą siatką zmarszczek twarz i podkrążone oczy. Te ostatnie go nie dziwiły; od kilku dni spał ledwie po kilka godzin na dobę. I nie był to sen spokojny. Ale nie mogło być inaczej.

Od czasu przyjazdu do Wersalu niemal codziennie bywał na naradach, które dotyczyły jego ojczyzny. Za kulisami spotykał się z przedstawicielami wszystkich państw, które obradowały w Wersalu. Te spotkania nużyły go śmiertelnie. Musiał bowiem powściągać swoją naturę i zakładać maskę obłudy i cynizmu. Jak bardzo tęsknił wówczas do swojego fortepianu. Tam wszystko było prostsze i lepsze. A tu nie mógł się doprosić o spotkanie z prezydentem USA.

Wprawdzie wiedział, że kolejka była ogromna. O dostęp do ucha Wilsona zabiegali też bowiem Czesi, Litwini i wszyscy, którzy chcieli coś dla siebie ugrać. Wilson wszak wybijał się na

pierwszoplanową postać światowej sceny politycznej, a jego kraj miał ambicję odgrywania roli supermocarstwa i pierwszego arbitra międzynarodowych sporów. Było to widoczne zwłaszcza w Wersalu, gdzie głos potęgi z dziewiczego kontynentu zdawał się mieć większe znaczenie niż opinie starych demokracji.

Była to okoliczność dla niego pomyślna. Znał bowiem Wilsona jeszcze z okresu sprzed Wielkiej Wojny, kiedy to zadziwiał świat swoim kunsztem artystycznym. Lecz bywając w największych filharmoniach świata, salach balowych i na prywatnych koncertach, jakie od czasu do czasu dawał dla śmietanki towarzyskiej, nie zapomniał, skąd wyszedł i co dłużny jest swojej ojczyźnie. Dlatego pomiędzy kolejnymi uderzeniami w klawisze fortepianowe nie ustawał w licznych zabiegach, jakie podejmował dla sprawy polskiej.

Zawsze po koncertach prowadził agitację za niepodległością. Szukał kontaktów z politykami, wiedząc, że jest jedynym ambasadorem nieistniejącego państwa. Pieczołowicie szukał kontaktów z każdym, kto mógł okazać się przydatny dla dalekosiężnych planów. Wśród jego bliskich znajomych znajdowali się politycy, ludzie kultury i dziennikarze. Przyjaźnił się z nimi, by w odpowiednim czasie dla siebie korzyść wyciągnąć. I sumienie niczego mu nie wyrzucało. Teraz zbierał to, co zasiał.

Uśmiechnął się do swojego odbicia. Obrócił się w stronę kunsztownie urządzonego pokoju. Francuzi chcieli ich olśnić bogactwem i przepychem, dlatego umieścili wszystkie delegacje w komnatach wersalskich, które służyły niegdyś francuskim królom. Lecz jego nie zachwyciły eleganckie wnętrza, bo do nich dawno przywykł. Poza tym dobrze wiedział, że bogactwo siły i potęgi nie przysparza. Czego najlepszym dowodem był los, jaki zagłodzeni poddani zgotowali swemu królowi i jego małżonce. Złoto nie uchroniło ich od zagłady, którą sami na siebie

sprowadzili. Dlatego Ignacy na bogactwo patrzył jak na środek, a nie cel sam w sobie.

Zbytorny wystrój ów przypomniał mu jednak, że miał umówione spotkanie z amerykańskim prezydentem. Z góry wiedział, że rozmowa nie będzie należeć ani do łatwych, ani do przyjemnych. Przyjaźń przyjaźnią, a polityka polityką. Dobrze poznał już jej mechanizmy, choć nigdy nie pasjonowała go tak, jak muzyka. W każdym razie wiedział, że biorąc, musi coś dać. Tymczasem tu dużo miał do żądania, a mało do ofiarowania.

Depesze, które nadchodziły z Warszawy, były zapisane desperackimi apelami o pomoc. Potrzebowali zwłaszcza materiału siewnego, by z wiosną głód nie zaczął się panoszyć. Jak na złość, zima była nadzwyczajna w swej surowości. A zapasów nie było skąd wziąć, bo opuszczające Polskę armie zaborców pozostawiły za sobą spaloną ziemię.

Paderewski wiedział o tym, dlatego bez wahania chwycił za laskę z posrebrzaną gałką, poprawił cylinder i ruszył przed siebie.

Już wyciągał dłoń w białych rękawiczkach, gdy drzwi same otwarły się i do środka wszedł Dmowski. Paderewski przyjrzał się mu i spostrzegł na jego twarzy oznaki zmęczenia. Szef Polskiego Komitetu Narodowego rzucił się na miękkie łożo i schowawszy ręce pod głowę, rzekł:

– Nie zapytasz, jak mi poszło przemówienie na forum rady dziesięciu?

– To ja miałem je wygłosić – przypomniał Paderewski. – Ale mi na tę samą godzinę wyznaczono audiencję u Wilsona. Dowiedziałem się jednak, że zaszło tragiczne nieporozumienie.

Dmowski uśmiechnął się i bez słowa pociągnął Paderewskiego do wyłożonej niebieskimi kafelkami łazienki. Następnie podkreślał wszystkie kurki, puszczając strugi wody. Paderewski przyglądał się tym zabiegom ze zdumieniem wypisanym na twarzy. Dał się tu wprowadzić, bo całe zdarzenie go zaskoczyło.

– No, teraz nasi angielscy i francuscy sojusznicy usłyszą jedynie szum wody, a my będziemy mogli się spokojnie rozmówić. – Usiadł na brzegu wanny, wskazując Paderewskiemu miejsce obok siebie.

Ten usiadł, patrząc z niepokojem na szybko napełniającą się wannę.

– Pilnowałem naszych interesów dobrze – mówił Dmowski. – Mówiłem bite pięć godzin, ale wyłożyłem nasze postulaty terytorialne; jasno i klarownie. Za punkt wyjścia do rozmów uznałem granice sprzed pierwszego rozbioru. Zażądałem tego wszystkiego, co nam się słusznie należy. Uzasadniłem nasze żądania najlepiej, jak umiałem, ale ile z tego zdołamy wyrwać, to inna rzecz. Francuzi nas poprą, bo wiedzą, że każdy skrawek obecnego niemieckiego terytorium, który uda nam się im odebrać, będzie kroplą wody na ich młyn. Natomiast Anglicy otwarcie mnie zaatakowali. Sam ich premier nastawał na mnie, że chcę wziąć to, o co walczyli Amerykanie i Anglicy, a nie Polacy. Dobrze, że mamy tu własną armię, bo ten miłośnik herbaty byłby nas najchętniej między państwa centralne wepchnął. Dlatego i ciebie od tej sprawy odsunął, bo sądził, że we mnie łatwiej mu będzie uderzyć.

– Czemu zażądałeś aż tyle?

– By było z czego ustępować, jeśli konieczność zmusi nas do ustępstwa. A tak łatwo może się stać. Słyszałem, że brytyjski premier był już w naszej sprawie u Wilsona.

Paderewski drgnął.

– Czego od niego chciał? – spytał z niepokojem.

– Odgadnąć nietrudno. Chodziło mu pewnie o to, by Thomas wykreślił nas ze swoich czternastu punktów, bo tylko one obligują w tej chwili państwa sprzymierzone do wyznaczania nam naszych granic. Nie wiem, ile udało mu się w tej sprawie uzyskać. Ale to byłaby niepowetowana klęska.

Sam Paderewski doskonale zdawał sobie sprawę z niekorzystnych dla Polski uwarunkowań geopolitycznych. Odczuł

siłę ich oddziaływania już nie raz. Wszyscy uważali, że Polacy nie mają prawa rościć sobie pretensji do ziem położonych za linią Bugu. Jakby to nie oni byli krzewicielami postępu na tamtych terenach. Jakby nigdy nie stały tam dworki ich przodków. Jakby to były rdzennie rosyjskie ziemie, które oni próbowali wyrwać z ciała Rosji. Ale nie było ich na mapie od ponad stu lat i zaistniały stan rzeczy utrwalił się głęboko w pamięci ludzkiej. Nie mieli sojuszników³. Wprawdzie Francuzi chętnie wspomogą ich we wszelkich działaniach, które będą skutkowały osłabieniem Niemiec, ale nie wspomogą ich w żadnych działaniach na wschodzie. To dlatego nie chcą podejmować żadnych zobowiązań wobec Litwy czy Łotwy, bo wciąż liczą na odrodzenie Białej Rosji. I nie zawahają się zaspokoić ich pretensji terytorialnych naszym kosztem. Potrzebny im wschodni filar ładu, jaki chcieli stworzyć. A my tym filarem być nie możemy – pomyślał. Słabi, bezbronni, otoczeni przez dwa wrogie nam mocarstwa – będziemy istnieć tylko tyle, jak długo nam na to pozwolą.

Ukrył twarz w dłoniach. Myśli te przygniatały go coraz bardziej.

Dmowski patrzył na przytłoczonego ciężarem ciężającej na nim odpowiedzialności Paderewskiego z pewną dozą obojętności. Rozumiał go. Poznał go już bowiem gruntownie. I nie wątpił, że ma do czynienia z człowiekiem uczciwym, który wśród wielu ludzi cieszył się w pełni zasłużonym poważaniem. I byłby z pewnością doskonałym ministrem kultury czy ambasadorem w którymś z ościennych krajów, lecz nie premierem. Do tego bowiem brakowało mu wyrachowania.

Co innego on. Czuł się na siłach, by pokierować nawą państwową. I czuł, że ciężar władzy nie przygniótłby go do ziemi. Zdawał sobie sprawę z tragicznego położenia izolowanego państwa, ale czuł, że zdołałby zmienić jego położenie. Potrzebował jednak pomocy tego mizernego człowieka, który nie potrafił odnaleźć się w tym kłębowisku zmij, w którym on sam obracał się,

odkąd pamiętał. Dlatego i teraz krzepił mniej doświadczonego kompozytora.

– Nie jest tak źle – rzekł. – Francuzi już tam przypilnują brytyjskiego premiera, by zbyt łagodnie Berlina nie potraktował. A ja wierzę, że dobrze się z tego zadania wywiążą, bo ich własna korzyść tak im nakazuje. Bez tego nie utrzymają ani Alzacji, ani Lotaryngii. Zresztą nie wiadomo, czy Lenin swoich w Berlinie nie zainstaluje. Słyszałeś, że w Zagłębiu Ruhry trwają rozruchy? Kto wie, czy nad Bramą Brandenburską nie załopoczą wkrótce czerwone sztandary. No a wtedy to już chyba nikt nie będzie Niemcom niczego oddawał.

– A imperium rosyjskie? – pytał Paderewski, któremu słowa starego politycznego lisa wlały jednak pewną otuchę w serce. Przestał już tak czarno na rzeczy patrzeć i raźniej zaczął wyglądać. Na twarzy pojawił mu się nieśmiały uśmiech. – Jeśli do władzy dojdą duchowi spadkobiercy caratu, to z łatwością wyjedną u państw sprzymierzonych likwidację wszelkich ustępstw terytorialnych, jakie te dla nas poczyniły. A stało się to ich kosztem. Pamiętaj, że nikt nie lubi oddawać tego, co już w zębach miał. Co wtedy zrobimy? Do kogo pójdziemy po sprawiedliwość?

– Do nikogo – odparł Dmowski po dłuższym namyśle, w czasie którego szukał sensownych argumentów, by przekonać niedowiarka, że jeszcze mogą swoje ugrać. – Gdy zaczynała się Wielka Wojna, nikt nie przypuszczał, że potrwa aż cztery lata i będzie kosztowała miliony istnień ludzkich. Co więcej, sztabowcy po obu stronach okopów przekonywali nas, że będzie to krótkotrwały spacer, po którym żołnierze wrócą w glorii chwały. Gdy kto w drogę wyrusza, nie wie, czy dojdzie tam, dokąd sobie zaplanował. Tak i my nie wiemy, kto wyjdzie zwycięsko z zawieruchy, jaka teraz szaleje w Rosji. Sprzymierzeni kibicują Białym, bo zawsze uważali, że potrzebny im jest silny sojusznik na wschodzie. I nie ma tam miejsca na karłowate państewka. Poza

tym Anglicy chcą, by Niemcy i Rosja zawsze miały wspólną granicę, by w razie konieczności można było poszczuć ich na siebie. To jest oś brytyjskiej polityki. Ale jeśli będziemy działać razem, to powikłamy ich zamiary.

Paderewski patrzył na swego kolegę wielkimi z podziwu oczami. Bez chwili namysłu podniósł się z brzegu wanny i podał mu rękę, którą ten bez wahania uściśnął. Ci dwaj ludzie poczuli przez moment, że zawarli przymierze, które wiele burz zdoła przetrzymać.

Pierwszy Paderewski otrząsnął się z podniosłego nastroju chwili.

– Prowadź, bo ty jeden poprowadzić nas możesz. Ja nie radzę sobie z tym wszystkim. Moim orężem nigdy nie był fałsz, tylko nuty. Co mam zatem robić?

Dmowski zmrużył oczy, pokusa była silna. Chwycić tak w swe ręce wszystkie nici władzy. Odjąć Niemcom Prusy Wschodnie, by stanowiły wieczne spoiwo w polskim systemie gospodarczym. Czuł się na siłach, by to przeprowadzić. Wystarczyło w zamian dać Niemcom polską zgodę na zjednoczenie z Austrią. Powinni się wówczas zgodzić na oddanie nam tego spornego terytorium. Z Gdańskiem jako oknem na świat.

– Nie ja mianowałem cię premierem i nie ja będę zdejmował cię z tego urzędu. Bo to byłoby dawanie złego przykładu i prosta droga do anarchii. A tyle nam już złego narobiła. Drzewo gnije i próchnieje od środka. Ale przekłety ten, kto pierwszy ruszy drogą, która wiedzie ku zagładzie. Po drugie: jesteś premierem zgody narodowej. I sam do twojej kandydatury rękę przyłożyłem. Krucha owa zgoda. Wiesz o tym dobrze. Zaraz by wybuchły polityczne walki i niezgody partyjne. A z tego korzyść wyciągnęliby tylko postronni nieprzyjaciele, których nie brakuje. Dlatego niech wszystko pozostanie jak dawniej. Ja radą służyć ci będę. Ale tylko wtedy, jeśli o nią poprosisz.

Pocziwy Ignacy tylko westchnął. Ale rozumiał dobrze, że Dmowski ma słuszość. Wiedział bowiem, że był bezpiecznikiem między piłsudczykami a endekami, których wizje kraju były zgoła odmienne. A byli między nimi tacy, którzy gotowi byli siłą swoje zamierzenia przeprowadzić, co byłoby prostą drogą ku wojnie domowej. Do tego zaś nie chciał dopuścić. I dlatego pozwolił sobie tylko na ciche westchnienie.

Poniosę ten krzyż dalej – pomyślał.

Nagle przypomniał sobie o szyfrogramie, który niedawno dotarł do niego z Warszawy. Był to jakiś niemiecki plan dotyczący Wielkopolski. Piłsudski przysłał mu go, bo wierzył, że tu, w Wersalu, mógł przypomnieć wszystkim zgromadzonym, jak wielkim zagrożeniem dla światowego pokoju są Niemcy. Ten dokument miał dobitnie pokazać wszystkim, że nawet pokonane nie wyrzekły się swoich mocarstwowych ambicji. I dla ich realizacji gotowi byli sprzymierzyć się nawet z Leninem.

Ale on sam nie wiedział, co powinien zrobić. Zdawał sobie sprawę, że osobiście tych dokumentów opublikować nie może. Zaraz by go bowiem zakrzyczano. Zbyt słabą miał pozycję, by się w wielkie sprawy jawnie wdawać i mieszać w nich. Była to prawda bolesna, ale z premierem polskiego rządu nie liczył się tu nikt.

Spojrzał na twarz Dmowskiego. O tak, ten człowiek byłby radę znalazł na ich troski. Choć realnej władzy pozornie nie posiadał, to przypominał głaz, który zatarasował komuś drogę i ani myśli usunąć się z miejsca. Ten człowiek gotów był bez wytchnienia kroczyć do wyznaczonego sobie celu, z oczu go nie spuszczać.

Potrzebny mi jest – stwierdził.

W kilku słowach zreferował Dmowskiemu założenia Wiosennego Słońca. Starał się rekonstruować fakty z benedyktyńską cierpliwością. Roman słuchał go uważnie, nie przerywając. A gdy skończył, rzekł:

– Ten, kto wykradł te dokumenty, wart tyle złota, ile waży – skonstatował. – Ale i w tym masz rację, że my tych dokumentów opublikować nie możemy. Bo pierwsi Anglicy zakrzyknęliby, że z zawiści dokumenty preparujemy.

– Przecież ekspertyza wykazałaby ich autentyczność – zaprotestował nieśmiało Paderewski. – I Niemcom zabrakłoby wykrętów.

Dmowski uśmiechnął się.

– Rację masz. Ale to by sprawę przewlekło i rozmyło. A dla nas czas drogi. Dlatego dokumenty opublikować musi ktoś, kto cieszy się nieposzlakowaną opinią i komu wszyscy łatwo uwierzą. Diogenes miał latarnię, gdy prawego człowieka szukał, a my w ciemnościach brodzić musimy.

– Może jakiemu dziennikarzowi podesłać, by opublikował?

– Rada nie byłaby zła, gdyby nie to, że wszystko w prasie od wydawcy zależy, a ci niechętnie z władzą zadzierają, choć chętnie kreują się na obrońców wolności. Ale to władza ich żywi. Dlatego prędzej uprzedzą, kogo nie potrzeba, a tekst spocznie bezpiecznie na archiwalnej półce.

To powiedziawszy, wysilił umysł do wytężonej pracy. Kto z tych, których znał, nadawałby się do tego celu? Niestety, gorzka była to lustracja. Między jego ludźmi nie było takich, których kupić nie było można. Byli z nim wprawdzie, ale mógł to mieć pewność, że i pod naciskiem przy nim wytrwają? A nie było możliwości w tej sprawie zdać się na domysł. Kwestia zbyt bowiem była poważna, by ją w niepewne ręce powierzać.

Ale czy były gdzieś pewne? Znał ludzkie słabości. Zawsze czujnie ich wypatrywał, traktując potem jako sobie tylko znaną skazę na świetnej zbroi przeciwnika. Ale właśnie ta głęboka znajomość ludzkiej natury sprawiła, że był, kim był. Stał się zgorzkniały, opryskliwy dla ludzi. I przed oczami miał tylko cel, ku któremu bez ustanku dążył, wytężając wszystkie swoje siły.

– Mam – szepnął Paderewski. – Marszałek Foch. Niemców nienawidzi i gdzie może, im szkodzi. Co i niedziwne. Nawojował się w końcu przeciw nim niemało. A nasz to przyjaciel. Ma silne związki z Polską. Anglicy przeciw niemu nie wystąpią, bo by tym sposobem światową opinię publiczną do siebie zrazili. Nieprzekupny jest. O zaszczyty nie dba.

– Szkoda, że znaczenia nie ma – odparł Dmowski, który przez chwilę zapalił się do pomysłu. – Czas generałów przeminął. Teraz rządzą dyplomaci. A oni nie zezwolą, by się w ich sprawy wtrącał, bo wiedzą dobrze, że ten człowiek chce zniszczyć Niemcy.

– Ale wojsko ma – nalegał Paderewski, gdyż chciał przepchnąć swój pomysł. – Wciąż jeszcze jest naczelnym wodzem, a my na razie w stanie wojny jesteśmy. Jeśli się uda, to może niemiecką ofensywę w Wielkopolsce zatrzymamy. Inaczej cała praca powstańców na diabła zda się.

Dmowski miał mętlik w głowie. Wiedział dobrze, co działo się w Wielkopolsce, bo miał tam wielu swoich zwolenników. Od dawna kształcił ich, by byli przydatni dla nowej Polski. Ten właśnie region, który był niegdyś kolebką państwa polskiego, miał być bowiem rdzeniem państwa jego marzeń. Państwa bez mniejszości narodowych, które zaczynałyby mieć własne aspiracje narodowe, mogące rozsądzić każdą budowlę od wewnątrz. Ale cały ten projekt rozwieje się niczym dym, jeśli nie utrzymamy Wielkopolski – pomysłał.

Może Paderewski ma rację? Powstanie, nawet wspomagane od zewnątrz, nie utrzyma się. Nie utrzyma się tym bardziej, że wśród samych powstańców nie ma jedności. Wiedział przecież, jak się sprawy miały, bo trzymał rękę na pulsie. Białe pióropusze im się śnią. Chcieliby autonomii dla Wielkopolski, choć wiedzą, że sami ani jej nie odbiją, ani przed Niemcami nie obronią. I nie pomoże tu, że społeczeństwo było ofiarne i nie żałowało ani krwi, ani pieniędzy na obronę. W pocie czoła budowali administrację, do

której ochoczo wchodzili jego ludzie. Będzie komu witać Hindenburga chlebem i solą – pomyślał kwaśno.

Niewiele już do tego brakuje. Wieści o wielkiej kontrofensywie niemieckiej dotarły aż do Wersalu. I nie były zbyt pomyślne. Powstańcy, pomimo męstwa i ofiarności, cofali się, bici przez wojsko, które przyszło ze wschodu. I nie było nadziei, by gdziekolwiek przemocy oprzeć się zdołali. Nie pomogła nawet cicha pomoc, jaką świadczyło państwo polskie, dosyłając broni i ludzi; z czym przed państwami sprzymierzonymi umiejętnie kryć się należało.

Dmowski więc dobrze znał skomplikowane położenie. I na zimno je rozważając, skinął głową Paderewskiemu.

– Innej rady nie ma – przyznał. – Zaczynaj zabiegać o spotkanie, ale sieci ostrożnie zastawiaj, by nawet słońce o tym nie wiedziało. Bo Anglicy dziurę nam zrobić gotowi i to tak wielką, że wszystkie ryby ująć przez nią mogą.

Paderewski odetchnął. Wiedział już, co mu robić trzeba. I czuł, że Dmowski jest z nim jednomyślny. Chwila słabości, w którą był niedawno popadł, jak sen przeminęła. Zakręcił kurki w kranie. W sam czas to zrobił, bo linia wody docierała już do krawędzi wanny.

Spojrzał na Dmowskiego, który zaczął się już zbierać do odejścia.

– I tyle tylko. Co jeszcze zrobić możemy?

Roman odwrócił się.

– Możemy dać na mszę do katedry – odparł zgryźliwie, bo wierzący nie był.

³ Pomijam Królestwo Polskie z okresu 1815–1830 jako zależne od carskiej Rosji.

Rozdział XVI

Wiktor siedział w niewielkim pokoiku na Pradze w otoczeniu książek, które poukładał w dwa wielkie stopy. Nie były to jednak książki awanturniczo-przygodowe, a dzieła o tak zajmujących tytułach jak *Organizacja i stopnie Armii Republiki Weimarskiej*. Czekwały już na niego na biurku wraz z informacją, że ma je wszystkie dokładnie przestudiować i opanować zawarty w nich materiał. O ile dzieła dotyczące technik operacyjnych stosowanych przez niemiecki wywiad i kontrwywiad były faktycznie pasjonującą lekturą, o tyle schematy organizacyjne tych instytucji męczyły go.

Studiował podręczniki socjologiczne, które dotyczyły życia Niemców i Sowieców, i warunków panujących w ich krajach. Wiedział, jak zamawiają piwo, jak nawiązują relacje z ludźmi; szczególnie to ostatnie mogło mu się przydać przy pracy.

Przetarł znużone oczy i uniósł je znad schematu organizacyjnego berlińskiej policji. Zamknął skrypt i odłożył go na stos, gdzie gromadził już przeczytane. Następnie spojrzął na wciąż sporą wieżę, jaką tworzyły te, których jeszcze nie przestudiował. Nie dam rady – pomyślał ze złością i jednym chuchnięciem zgasił świecę. Niewielkie pomieszczenie pogrążyło się w ciemności.

Ale jemu to nie przeszkadzało. W pokoiku nie było nic wartego oglądania. Za całe umeblowanie służyła bowiem wielka gdańska szafa, regał na książki i tapczanik. Przy nim stał niewielki nocny stoliczek, na którym znajdowała się lampa nocna. Biurko, przy

którym siedział, zostało dostarczone przez oficerów wywiadu, wraz z wielkim pudłem fachowych woluminów.

Choć Wiktor wolałby, by dostarczyli mu coś innego. Książki nigdy go nie pasjonowały. A przygodę z literaturą zakończył na autorach obowiązkowych lektur szkolnych. Być może dlatego czytanie i zrozumienie tekstów, które miał przed oczami, zajmowało mu tak wiele czasu. Irytowało go to. Ale jego irytacja nie kierowała się przeciw sobie samemu. Nie rozumiał, co komu przyjdzie z tego, że będzie znał schematy organizacyjne niemieckich służb specjalnych, podział administracyjny republiki, szczegółowe zagadnienia dotyczące przemysłu przeciwnika i teorii lotnictwa niemieckiego. Jego zwierzchnicy zarzucali go bezwartościowym w jego mniemaniu materiałem, jakby miał polować na niemieckich i sowieckich szpiegów między bibliotecznymi półkami.

Wstał i zabrał się za ćwiczenia. Ograniczona powierzchnia zmusiła go do wykonywania treningu w ograniczonym zakresie. Ale nie miał zamiaru z niego zrezygnować. Dobrze wiedział, że w jego fachu rezygnacja z ćwiczeń fizycznych nie wchodzi w grę. Zaczął więc robić pompki, gdy nagle usłyszał ciche kroki i lekkie skrzypnięcie drzwi.

– Ciemno tu jak u murzyna pod koszulą. – Głos Stanisławy Grabowskiej przenikał przez oszklone drzwi. – Ja ci, chłopcze, kolację niosę, bo głodny być musisz okrutnie.

Szybkim ruchem przypadł do kontaktu i rozświetlił całe pomieszczenie.

Spojrzał w dobrotliwą twarz Stanisławy, która otworzyła drzwi na całą szerokość i wtoczyła się do pomieszczenia. Patrzył na kobietę starą już i mocno przez wiek pochyłą. Lecz dobrotliwy uśmiech widoczny na pomarszczonej jak jabłko twarzy rozbroił go. Podeszedł do kobiety i wyjął jej z dłoni talerz, na którym piętrzył się stos racuszków.

– Bóg zapłać – mruknęła, gdy podsunął jej własne krzesło. – Stare nogi nie chcą już mnie nosić.

– Trzeba było powiedzieć, że kolację szykujecie – rzekł z wyrzutem. – Pomógłbym.

Machnęła ręką, poprawiając kosmyk siwych włosów, który wydostał się spod czepca.

– Chłopu nie wypada gotować. Mój mąż, Panie, świeć nad jego duszą, wszystkożerny był, ale nigdy po kuchni mi się nie pałętał. Nie wiem, czy nawet wody by nie przypalił. Dobry był chłop, ale bajarz wielki. A jak zaczął gadać, to od śmiechu ludzie pękali. Pijący też był. Jeszcze teraz mam po nim kilkadziesiąt butelek, co w zapasie trzymał. Zbierał je jak sroka błyskotki.

Uśmiechnął się.

Stanisława mówiła dalej. Przez większość dnia nie miała ust do kogo otworzyć. Dawniej z mężem zwykła rozmawiać, a nawet i kłócić się, jak to bywa z reguły w małżeńskim stadle. Bo o ile wesola była, o tyle językowi zawsze folgowała. I cierpiała, nie mając przy kim ust otworzyć. Teraz więc z nawiązką wetowała sobie straty i zalewała Wiktora prawdziwym potokiem słów. On jednak gorliwie zajął się pochłanianiem ciepłuteńkich, pulchniutkich racuszków i co chwila ocierał tłuszcz z brody.

– Ust nie ma do kogo otworzyć. I dziwić się trudno. Stare drzewo, co samo ostanie, też nie ma do kogo zasumieć. Ale to rzecz zwyczajna i pretensji do młodych mieć nie można. A ja nie mam już nikogo. Miałam dwóch synów jako lwów, ale ich kości na wojnie zostały.

Zasmuciła się i wyraz smutku głębokiego odcisnął się na jej pulchnej twarzy i w niebieskich oczach. Bo istotnie nie miała już ona co na świecie robić. Póki mam dość sił, to sama o siebie zadbam, a potem co? Znajdę to ręce, które podeprą mnie, gdy całkiem już zniedołężnieję? – myślała.

Wiktor, który opróżnił już połowę półmiska, dostrzegł nagle zamilknięcie gospodyni. Zadziwił go smutny wyraz jej oczu.

– Coście tak posmutnieli? Jeśli o to wam chodzi, że wam mało placków zostawiłem, to wybaczcie, ale to niebo w gębie. Sam dla was usmażę, tylko nie wiem, jak ciasto rozczynię. Bo to nieprawda, że chłopu wypada źle gotować. Nie wypada gotować gorzej od kobiety. – Po chwili zrozumiał swój nietakt i zawstydzony wbił wzrok w prawie pusty półmisek.

– Nie będzie tej źle, która cię zaobrączkować zdoła – odparła ugodowo staruszka, biorąc placek z talerza. – O sobie myślałam. Żał samotnie umierać, ale taka widać była wola Boża. Myślałam, że obydwój z mężem dożyjemy resztek swych dni przy synach. Ciesząc się ich życiem i rozpieszczając wnuki. – W oczach Stasi pojawiły się dwie wielkie łzy, które osiadły jej na rzęsach. – A teraz nie mam już nikogo, kto by mi ostatnią posługę oddał. I wszystko to dlatego, że się paru królom i cesarzom wojować zachciało. Brakowało im czego? Srali złotem, na złocie jedli i za złoto dla siebie gotowi byli wytoczyć cudzą krew. I im nic. Niczego nie stracili. A mnie, co mało miałam, zabrali i to, co miałam.

Wiktor także spochmurniał. Wspomnił bowiem na ojca. Kiedyś miał ich dwóch. Teraz tylko on jeden mu został. Nic dziwnego, że wnuków i wyręki od niego oczekiwał. Żałował teraz, że mu słowa ostre rzekł na odjezdnym. Po co mu było wadzić się ze starcem, który wprawdzie surowo go chował, ale kochał po swojemu? Ale słów raz wypowiedzianych nie da się cofnąć.

A i to wiedział, że nie może pozwolić, by na ojcowym stanęło. Bo znał swego rodziciela i wiedział, że zaraz jego życie zacznie po swojemu zakręcać.

– Coś tak zwiesił łeb? – zapytała Grabowska, patrząc na niego uważnie. – No, mnie źle myśli w głowie szumią, ale w twojej to wino szumieć powinno. Gorąco od ciebie bije jak od sagana. No, młody jesteś. A młodemu świat otworem stoi, bo przed starym to

tylko ziemia się otwiera, aby jej za nawóz posłużył. Ale rada w starej głowie lepsza, bo dłużej z karku na świat patrzy. Więc mów, co ci na wątrobie leży.

Ale Wiktora tylko zezłościła życzliwa mowa starej.

– Wy, starzy, młodych za rękę prowadzić chcecie, choć i kotu wolno chodzić własnymi drogami. Ale ja już nie dziecko, by mną każdy rządził. I ojciec mój sam został, ale z winy własnej, bo mi w domu zakazał się pokazywać. Żenić mnie chce. Ale mnie nikt żony wybierał nie będzie! Kawalerem zostanę!

– Głupi ty jesteś – odparła Grabowska, bynajmniej nie zezłoszczona. – Za urodny jesteś, by cię która nie omotała. Stary ożenić cię chce, bo nic tak ogiera nie uspokaja, jak kłacz w stajni. A ciebie co od ożenku odrzuca? A może ty z tych, co to zamiast jeden kwiat wachać, co rusz inne bukiety w rękach mają?

Zarumienił się. Stara zaś patrzyła na niego, przewiercając go oczami. Uśmiechnęła się jednak w końcu i rzekła:

– Dobry z ciebie chłopak.

– A wy oczami w sercu czytacie? – zadrwił, choć był zadowolony, że go dobrze osądziła. Bo sam wiedział, że bawidamkiem nie był. A co gorsza do kobiet nie miał tej samej śmiałości, która cechowała go, gdy o inne sprawy chodziło. Nieraz już tak bywało. Ot, rzuci jaka na niego spojrzenie, a on zamiast równie śmiałym wejrzeniem odpowiedzieć, oczami uciekał. Albo i gorzej jeszcze. Omotać się dawał. Nie tak to było z Gerdą? Dużo mu było trzeba, by własną głowę naraził i sprawę?

Tu myśl jego mimo woli popłynęła ku Gerdzie. Co się z nią dzieje? Czy o nim pamięta? Czy wywiad niemiecki nie znęcał się nad nią, jeśli odkrył, że była mimowolną sprawczynią ich klęski? Sądził, że nie. Gdyby bowiem rzecz miała się inaczej, to echa berlińskich hałasów dotarłyby i tutaj. Tymczasem przychodziły wieści publiczne jedne od drugich nie lepsze. Wielkopolska, która już prawie zrzuciła jarzmo niemieckie, walczyła znowu na śmierć

i życie z wielką niemiecką kontrofensywą, która stopniowo coraz większe połacie regionu zajmowała. Z drżeniem czytywał relacje w gazetach. I rwał włosy z głowy, gdy widział na mapach, jak padały kolejne miasta. Było to dla niego bolesne przeżycie. Z trudem się opanowywał, by nie zerwać się i nie polecieć pod sztandary. Powstrzymywała go tylko myśl o konsekwencjach, jakie się z dezercją wiązały.

Stasia uśmiechnęła się, widząc jego rozdrażnienie, i spojrzała w twarz Wiktora z odcieniem nieklamanej życzliwości w oczach.

– Nie przeczę, że kto za młodu był głupi, ten i na starość mądry nie będzie. Nie powinno się udzielać rad temu, kto o nie nie prosi. Ale trudno dziwić się ojcu, że chce ujrzeć syna w otoczeniu kochającej rodziny, nim sam oczy zamknie. A ja w sercach nie czytam. Rozpusta i zbrodnia wyciska swe piętno na twarzy. Na twojej widzę tylko młodzieńcze zuchwalstwo pomieszane z nieśmiałością.

Czarownica – pomyślał.

– Mój ojciec chce mnie na przymus żenić. Ze starą kobietą, by poprzez nasz związek majątki rodzinne połączyć. Co miałem robić?! – krzyknął, podrywając się zza biurka. – Ustąpić mu? I do końca swoich dni żyć z kobietą, do której serca nie mam? To już lepiej kamień młyński sobie u szyi uwiązać i pójść na dno, bo w takim żywocie szczęścia bym nie znalazł.

Chytry stary – pomyślała Grabowska, patrząc na poczerwieniałą z nadmiaru emocji twarz Wiktora. Jeśli kobieta owa istotnie wiele jest starsza, to prawdopodobnie pierwsza pod wiekiem trumiennym wyląduje, a wtedy młokosowi przypadłby w udziale piękny majątek. Ale stary jednego nie policzył. Łatwiej wiatrem kierować niż tym młodzianem. I powaga rodzicielska nic tu nie pomoże.

Ale to dzieciak jeszcze. Jemu się wciąż wydaje, że w małżeńskim stadle szczęście znaleźć można. Ona zgoła inaczej na świat

patrzyła. Toż i z jej starym żyło jej się wcale nieźle, póki się w zrządę nie przemienił. Westchnęła cicho. Tak, stary chłop albo żona jest jak mebel, wyrzucić szkoda. A i ogień, który czasem jest na początku, wypala się z czasem, a pozostają tylko wzajemne smutki, zgryzoty i żale.

Ale co radzić młokosowi, który jeszcze tego zrozumieć nie mógł, bo nie miał w sobie ani krzty jej doświadczeń? Czy w ogóle radzić? Mogła być pewna, że pójdzie za jej radą, skoro za ojcową nie poszedł? Albo to koniecznie musiał się za bogatą wydawać? Dość jej było na niego spojrzeć, by zrozumieć, że panny będą się o niego zabijać. A między nimi będą pewnie i dygnitarskie córki, którym ani wiana, ani urody nie zbraknie. Takiemu jak on nie brać pierwszego kwiatu, bo go konieczność do tego nie zmusza.

Wiktor chodził nerwowo po całym pokoiku, chcąc żal i gniew z siebie wyparskać. Przechodził ciągle opodal okna, które na ulicę wychodziło. Za nim zaś rozciągał się już mrok zupełny. Bo o ile w innych dzielnicach Warszawy były już lampy gazowe, a nawet elektryczne, które umożliwiały spacerować po zmierzchu, o tyle na Pradze mrok miał swoje królestwo.

I po ludzku rzecz biorąc, nie mogło być inaczej. Na Pradze nikt się nocą nie ważył, by zguby na siebie nie przyprowadzić. Dzielnica ta była bowiem od zawsze królestwem rzeźmieszków i łotrów wszelkiej maści. Policja milcząco sankcjonowała ten stan rzeczy, niechętnie się zapuszczając w ciasne, mroczne uliczki. Na Pradze wszak nawet w dzień niebezpiecznie było, a cóż dopiero w nocy, gdy mrok dawał doliniarzom dodatkową osłonę. Trudno się więc było dziwić, że ludzie, którzy żyli zgodnie z prawem – bo i tacy na Pradze się trafiali – siedzieli w nocy po domach, nogi za próg nie wychylając.

Wiktor w pełni zdawał sobie sprawę z panujących w mieście reguł. Zadomowił się już tu na tyle, by poznać fatalną reputację Pragi oraz jej specjalny status. Toteż uradował się, że będzie przez

pewien czas mieszkał właśnie tutaj. Zła reputacja tego miejsca stanowiła dla niego tylko dodatkową podniętę. Żałował jedynie, że nie będzie miał dość czasu, by zwiedzić to miejsce, bo już rano znajdzie się w przedziale pociągu jadącego do Krakowa.

Przystanął nagle ze zdumieniem na twarzy, które nawet wyraz gniewu przytłumić zdołało, gdy spostrzegł przez okno kobiecą sylwetkę. Widział ją tylko przez jedno mgnienie oka, ale był pewien, że to nie przywidzenie. Miał bowiem sokoli wzrok i gołym okiem widział lepiej niż inni przez lunety.

Zaraz też roje myśli pojawiły się w jego głowie. Zaczął myśleć jak wywiadowca. Czego szukałaby samotna kobieta na Pradze, i to po zmierzchu? Nie wyglądała mu na kurtyzanę, gdyż z tego, co zdołał zobaczyć, była ubrana dostatnio. Wprawdzie trafiały się i utrzymanki, które mieszkały w opłacanych przez ich dobroczyńców mansardach, ale takie nie stawiały stóp na praskim bruku, mając się za lepsze od innych.

A tamta mu na taką nie wyglądała. O ile ktoś w jego wieku mógł mieć w tych sprawach jakieś rozeznanie. Ale on przecież widział wiele takich zabiedzonych bidulek, które oddawały się za pieniądze. Często były alkoholiczkami, bo tylko alkohol pozwalał im zachować zdrowie psychiczne. Spojrzał na Stanisławę, lecz ta była głęboko pogrążona we własnych myślach.

Szybkim ruchem sięgnął po pistolet, poprawił mundur, który miał na sobie. Nie był to ów mundur porucznikowski. Komisja ubiorcza wypuściła dotychczas ledwie kilka takich, dlatego dowództwo uznało, że nie powinien go nosić. Mundur spoczywał więc bezpiecznie w szafie. Nie był zadowolony z tego faktu. Teraz jednak zmienił zdanie.

Jakieś niejasne, nie w pełni wykrystalizowane przecucie mówiło mu, że nie wolno mu zwrócić na siebie uwagi tej kobiety. Sam nie wiedział, skąd taka myśl przyszła mu do głowy, ale miał co do tego przekonanie graniczące z pewnością. Dlatego cieszył się, że

ma na sobie goły mundur pruski⁴. To pomoże mu pozostać niezauważonym.

Właśnie sprawdzał mechanizm działania pistoletu, gdy Stanisława uniosła na niego oczy. Najwidoczniej dźwięk przeładowywanej broni wyrwał ją z apatii.

Spojrzała na przygotowania, jakie robił, i pokiwała w zadumie głową.

– Dokąd chcesz iść? Ciemno teraz i noc.

W kilku słowach wyjaśnił jej całą sytuację. Rozszerzyła oczy ze zdumienia.

– Dziewczyna tutaj? Chyba cnotę ma na zbyciu albo jej życie niemiłe. Ale i ty strzeż się. Nie licz na mundur, a jedynie na własne krzepkie ramię i głowę. Tu i godzina nie upłynie bez krzyków mordowanych. A władza państwowa żadnej powagi u ludzi nie ma. A już zwłaszcza taka, która świeżo nastała i nie wiadomo, czy się utrzymać zdoła.

Nie słuchał przestróg starej. Wiedział, że ma mało czasu. Dziewczyna mogła się już znacznie oddalić, a odnalezienie jej śladów w nieznanym dobrze mieście po zapadnięciu zmroku nie byłoby łatwe. Dlatego chwycił pistolet i zbiegł po schodach, że mało nóg nie pogubił.

Gdy wypadł na ulicę, rozejrzał się szybko dookoła. Dostrzegł jasną plamę, jaką odznaczała się na czarnym tle sukienka dziewczyny. Ostrożnie ruszył jej śladem. Starał się uważać na liczne wyboje i zasy pyłeczne, które pokrywały nierówną powierzchnię ulic. Trzymał się zawsze elewacji kamienic, by pozostawać w rzucanym przez nie głębokim cieniu.

Postąpił mądrze. Dziewczyna bowiem rozglądała się co chwila, nerwowo przypatrując się okolicy. W takich chwilach przywierał szczelnie do ściany budynku i błogosławił maskujący kolor munduru, który był nie do odróżnienia na tle wszechobecnej czerni. Na początku brał zachowanie dziewczyny za zewnętrzną

objaw strachu, jaki musiała odczuwać. Która bowiem nie bałaby się chodzić samotnie po okolicy, w której łatwo było o nieszczęście?

Gdy jednak kilkakrotnie przystanęła nagle na rozwidleniu ulic i rozejrzała się dookoła, zrozumiał, że szuka ogona. Ale nie tak jak spłoszona kobieta obawiająca się przestępców, tylko jak ktoś, kto przeszedł elementarne przeszkolenie.

Mimo to on stale zbliżał się do niej, wykorzystując sprzyjające warunki terenowe. Twarz miał skupioną, zważał na najmniejszy ruch, najmniejszy gest śledzonej postaci. I desperacko usiłował wyłuskać ze swojej pamięci, skąd ją zna. Ciągłe bowiem nie opuszczało go to wrażenie. Ale skąd ono się brało – nadal nie wiedział.

W Wielkopolsce nie znał zbyt wielu kobiet, bo ich towarzystwa nie szukał. Wolał z kolegami ze Strzelca szkolić się po lasach. A i między tymi, które znał, nie było kobiet dojrzałych, tylko panny i podlotki. W Warszawie nie zawierał nowych znajomości, nie licząc fordanserek, ale owa kobieta nie wyglądała na trudniącą się obtańcowywaniem gości po knajpach.

Sprawiała raczej wrażenie takiej, która niejedno w życiu przeszła i przetrwała. Widać to było w jej ruchach, w których brak było owej naturalnej żywotności, właściwej ludziom, którym się wiodło. Ona szła wolno, jakby każdy kolejny krok poprzedzała duszy rozterka.

Nagle stanął jak wryty. Serce zaczęło bić mu niespokojnie. Zachwiał się i byłby upadł, gdyby w ostatniej chwili nie wyciągnął ręki i nie zaparł się o mur. Dłuższą chwilę uspokajał rozdygotane serce, obserwując oddalającą się kobietą sylwetkę. Zaczekał, aż zniknie za załomem ulicy, i dopiero wtedy pozwolił sobie szepnąć:

– Zofia Jakimowicz.

Wzdrygnął się. Ale chłód, który go przeniknął, nie miał nic wspólnego z panującym na dworze zimmem.

Co sekretarka szefa polskiego wywiadu robiła w nocy na Pradze? Zachowując się tak, jakby obawiała się czegoś lub kogoś? Były to pytania ważne. Ale znajdowanie na nie odpowiedzi mogło być dla szukającego niebezpieczne. Wiktor był jednak w takim wieku, w którym człowiek na wszystko się waży. Dlatego sprawdził, czy broń łatwo wychodzi z kabury, i skierował swoje kroki za Zofią.

4 Pozbawiony wszystkich oznaczeń i symboli. Polskie mundury armia założyła w lipcu 1920 roku.

Rozdział XVII

Zima – pewniejszy od wszystkiego hamulec wojny – trzymała tego. Grube na kilka metrów białe zasy okrywały ziemię. Drzewa gięły się i łamały pod ciężarem śnieżnej otuliny, która w lasach tworzyła głębokie zwały. Wiatry porywiste hulały po świecie, nawiewając śnieg na trakty, czyniąc je nieprzejezdnymi. Lody popętały wody w rzekach i jeziorach. Powietrze było mroźne i suche.

Ale zima nie zdołała pogasić pożarów, które wzniecała tłąca się w Rosji od lat wojna domowa. I choć rezultat jej był już łatwy do przewidzenia, to walki nadal trwały. Wielu bowiem białych dowódców wołało śmierć w walce. Po starym płonęły więc wsie i miasteczka, a wycie mordowanych i tych, którzy ich oplakiwali, wzbijało się pod niebiosa. Ludzie spokojni chronili się po lasach, gdzie próbowali przetrwać, mimo zimy, która była nadzwyczaj surowa. Padali oni ofiarą łupieżców, łotrzyków i sfor wilków, które tworzyły stada. Dlatego nocami w lasach rozlegał się nieraz odgłos łamanych kości, gdy wilki organizowały swoje wesele.

Dlatego i Tomasz dreszcz przeszedł, gdy usłyszał w oddali wilcze zawodzenie. Spojrzał na konie, które stały opodal niego przywiązane do krzaków, następnie na Wieniawę, który spał spokojnie, okryty płaszczem. Pierś unosiła mu się w równym oddechu, a z ust wydobywał się obłoczek pary. Zawahał się, czy go nie zbudzić, ale po krótkim namyśle porzucił tę myśl. Dopiero niedawno się położył, niech złapie odrobinę snu – pomyślał.

Poza tym uspokoiło go zachowanie koni, które najspokojniej w świecie wygrzebywały pyskami paszę spod śniegu. Gdyby bowiem wilki istotnie były blisko, to zwierzęta najpierw by o tym wiedziały i nie zachowywałyby się tak swobodnie.

Uspokojony w tym względzie, wstał i dorzucił kilka drew do ogniska, a to buchnęło żywszym płomieniem, zwiększając krąg światła. Spojrzał z niepokojem, by sprawdzić, czy dymu nie widać ze zbyt wielkiej odległości. Ale jego niepokój był płonny. Spokojnie więc usiadł na kłodzie drewna i pogrążył się w rozmyślaniach. Była to bowiem pierwsza taka chwila, w której mógł pozostać sam i trochę podumać. Ostatnio wypadki następowały po sobie z taką prędkością, że i zastanowić się nad nimi nie miał czasu.

Oto upływał już drugi dzień od czasu, jak Wieniawa zorganizował mu ucieczkę. Przez ten czas zdołał poznać i polubić tego człowieka, który nigdy nie dał mu odczuć swojej wyższości, a służył pomocą i wsparciem. Okazało się, że nie miał w sobie nic z warszawskiego bawidamka, a konia prowadził tak, że sam nie potrafiłby lepiej, choć posiadał w tej kwestii nieliczne doświadczenie. Podróż skracał mu opowieściami ze swoich wojennych przygód. Jasno się z nich okazywało, że był doświadczonym żołnierzem, który nie zwykł pleców pokazywać. Tylko gdy próbował dowiedzieć się czegoś o jego miłostkach, o których słuchy chodziły szeroko – wówczas zbywał go półsłówkami lub w ogóle nie odpowiadał.

Widać jakiś żal w sercu nosił, którego dotąd nie zdołał do końca wytrzebić. Nie naciskał, bo każdy jakiś nosi. Czy to do siebie, czy do innych. I on sam nie był tu żadnym wyjątkiem. Oto już dziesiąty rok upływał, jak z pola nie schodził. A przecież chciałoby się zażyć trochę spokoju po tylu trudach i mękach, jakie stały się jego udziałem. Ale gdzie to schronienie, gdzie ten dach, pod którym chciałby skołatanego żywota dokończyć?

Sam na świecie jestem jak ten kołek w płocie. Gdzie mi czas teraz o jakimym siedlisku myśleć, kiedy w domu baba potrzebna i dzieci? A gdzie mi takowej szukać? Te, które znalazłem pannami, dawno pod czepcem mają włosy schowane i własnych dzieci się dorobiły. Mógłbym wprawdzie za jaką młódką się rozejrzeć, ale mam to czym przywabić? Są tam teraz młodszy, urodniejsi ode mnie, co gospodarki mają już urządzone. A z moją nie wiadomo, jak jest. Pewnie, że w sobie jeszcze krzepki i na kosturze wspierać się nie potrzebuję. Ale majątek... grunt...

Tu spojrzął na swoją rozrosłą, atletyczną sylwetkę i uśmiech rozjaśnił mu twarz. Rzeczywiście pobyt na suchym, mroźnym powietrzu wracał mu siły i zdrowie po dusznym lochu. Silny i przywykły do trudów organizm zwalczył nawet słabość ran, jakie mu na przesłuchaniu zadano. Niemala w tej poprawie była i Wieniawy zasługa, który na popasach zmieniał mu opatrunki i wodą rany przemywał. Dlatego goiły się na nim wszystkie, a że żadna z nich ciężka nie była, to i wróciły mu siły i zdrowie.

Wstał, gdy oświetliły go pierwsze promienie bladego słońca, które nieśmiało próbowało wydostać się zza chmur. Podszedł do Wieniawy i lekko pociągnął go za kożuch.

– Śpisz jak dziecko w kołysce, a słońce już do pracy wezwali...

Wieniawie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Odrzucił koc, którym był okryty, przetarł oczy, chcąc odegnać z nich resztki snu, i rozejrzał się po okolicy. Zaraz też przypomniał sobie wszystko, co się zdarzyło i gdzie jest. Obtarł kożuch ze śniegu, narzucił kaptur na czuprynę i z przyjemnością zanurzył się w ciepłe, jakie dawał.

Tomasz zaś patrzył na niego z podziwem.

– No niedziwne, że się panny o ciebie zabijają, bo jak żyję, foremniejszej gęby nie widziałem. A jeśli ci w kożuchu za gorąco, to pewnie niejedna by ci go zdjęła. – Klepnął go po ramieniu, bo się już był z nim oswoił i przestał go nabożnie traktować.

Wieniawa sapnęła, bo cios był silny, aż go ku ziemi ugiął. Ale uśmiechnęła się...

– Ciebie mogłyby niedźwiedzice za niańkę wynajmować, boś taki mocarny. Ale z tego widać, że zdrowiejesz. To i dobrze, bo droga przed nami daleka.

– Dzięki temu, żeś mnie zratował – odparł Tomasz jakoś miękko. – Inaczej zszedłbym w tamtym lochu od ran albo stanął przed plutonem egzekucyjnym. Nie wiem, czemu mnie ratowałeś i poszedłeś z Dzierżyńskim na układ, byle mnie z lochu wydobyć. Ale tego ci nie zapomnę i wyplacę się przy sposobności. Przekonasz się, że chłopskie słowo coś znaczy.

– Nigdy w to nie wątpiłem. Dobra rzecz dłużnicy, zwłaszcza tacy, którzy raty spłacają. A mój układ z Dzierżyńskim nie ciebie dotyczył. Na złość Stalinowi z lochu cię wydobył, bo nie przepadają oni tam za sobą i każdy z nich drugiemu chętnie swinię podłoży.

– Zjeść by co trzeba, bo od wczorajszego południa nic w gębach nie mieliśmy – rzekł Tomasz. – A ja pustkę w brzuchu czuję.

– Nie pora o brzuchu myśleć, gdy głowa w niebezpieczeństwie. Koniska trochę odetchnęły, a i my zdołaliśmy siły pokrzepić, więc nie ma co z podróżą zwlekać.

– Przecież Dzierżyński cię wypuścił i papier od niego masz, który to poświadcza. A i w moim uwolnieniu palce maczał. Nie będzie więc chyba pościgu?

Wieniawa starannie ukrył uśmiech politowania, schylając głowę pod kapturem. Tomasz może i był wspaniałym towarzyszem podróży, którego dobrze było mieć przy sobie, ale nie miał w sobie za grosz politycznego wyczucia. Trudno było go zresztą wymagać od człowieka, który ledwie się podpisać potrafił. On jednak wiedział dobrze, że gra jeszcze nie skończona. Feliks jego wprawdzie wypuścił, ale nie dawało to gwarancji, że Tomasza ścigać nie zacznie.

A już tam Stalin niczego nie zaniedba, by ziemię i niebo przeciw niemu poruszyć. Chyba żeby Tomasza swemu losowi pozostawić. Myśl ta przeleciała mu przez głowę, ale w niej nie wylądowała. Był bowiem Bolesław człowiekiem do gruntu uczciwym i szczyił się tym, że nigdy przyjaciela w potrzebie nie zostawił.

Bóg da, że się z tych opałów szczęśliwie sianem wykręcimy – pomyślał.

– Będzie albo i nie będzie – odpowiedział wykrętnie Tomaszowi. – A nam nie czekać, aż się rzecz wyjaśni, bo kto sobie sam nie pomoże, temu i Bóg nie dopomoże. Moje zdanie jest takie, że Dzierżyński ścigać cię będzie. Właśnie dlatego, że ci w ucieczce dopomógł. Konie i kozuch dał i zapasów na drogę nie pożałował. Ale Stalin głupi nie jest, a na ciebie pewnie jeszcze bardziej niż kiedyś zawzięty, bo mu spod ręki umknąłeś. A on diabłu służy; albo i on jemu. Feliks niemało będzie się musiał napocić, by od siebie podejrzewania odwrócić. Dlatego pościgu hamował nie będzie, ale wszystkich sił dołoży, by cię w swe ręce dostać.

Tomasz przeżegnał się pobożnie, gdy usłyszał o diable. Bo o ile w boju odważny był jak lew, o tyle wzorem wszystkich chłopów owych czasów zabobonny był i wszelka wzmianka o mocach piekielnych napawała go mimowolnym strachem.

– Skoro diabeł im służy, to my się lepiej od razu poddajmy, bo z diabłem tylko Chrystus Król wojować może. Byli u nas tacy we wsi, co do Częstochowy z pielgrzymką chodzili; tam diabła widzieli. Takiego z rogami i ogonem – mówił głosem przepełnionym strachem – widły ci miał. Pewnie nimi ludzi do kotła wsadza jak siano do brogu. Ludzie uciekali z krzykiem, by ich do piekła ze sobą nie zabrał. Dopiero jak księży wodą święconą go spryskali, to tak wył, jakby go rozpalonym do białości żelazem cechowali, i umknął.

Całą siłą woli Wieniawa hamował śmiech, nie chcąc zyczliwego sobie człowieka urazić. Ale jednocześnie myślał, jak wielu jest

takich ludzi, którzy żyją w zabitych dechami wiochach i boją się czorta. A przecież Tomasz bez wahania chwycił własną ręką za ostrze szabli, by jej cięcie zahamować. I tak o tym opowiadał, jak o najzwyklejszej w świecie rzeczy. A jednocześnie bał się jakiegoś alumna, któremu ogon i rogi doprawiono, by tym sposobem ludzi w wierze budował.

Ale mogli z tego i dla niego złe skutki wyniknąć. Po co o diable wspominał? Nie trzeba było ozdobnej retoryki używać, mając z ciemnym człowiekiem do czynienia. Grobel mógł zgoła zwątpić w powodzenie ich uciezki. A od zwątpienia już tylko krok do porażki.

– Diabeł z rogami i ogonem nie chodzi, bo w ludzkich sercach mieszkanie znajduje. A pod księżą sutanną najprędzej, bo długa do kostek i łatwo przed ludzkim wzrokiem go ukryje. Wreszcie obaj chrzczeni byliśmy, to niech się anielskie hufce o nas troszczą.

Na tym stanęło. Obaj zabrali się za zacieranie śladów swego pobytu. Gasili więc ognisko, a palenisko zasypali śniegiem. Następnie udali się do koni.

Były to rasowe zwierzęta, o białym umaszczeniu i bursztynowych oczach. Obaj potrafili docenić ich żelazną wytrzymałość i ułożenie. Z szybkością ujawniającą sporą wprawę przygotowali je do jazdy i po chwili pomknęli przed siebie.

Wieniawa mknął przodem. Jedynym, co słyszał, był wściekły szum wiatru, który chłostał go po twarzy. A wokół niego rozciągał się pokryty lodem i śniegiem step. Ale klacz, choć wytrzymała, nie mogła długo znieść tak szalonej jazdy, z jeźdźcem leżącym niemal płasko na grzbiecie i wtulonym w grzywę. Zwłaszcza że musiała przedzierać się przez zasypany śniegiem. Wreszcie ulitował się nad szlachetnym zwierzęciem i ściągnął wodze.

Spojrzał za plecy, ale spostrzegł tylko płatki śniegu, które wirowały w powietrzu, a były tak gęste, że świata spoza nich nie

było widać. Otrząsnął się ze śniegu, który pokrył go niemal całkowicie zmarzłą otuliną.

Niech diabeł porwie taki kraj, gdzie w promieniu kilkudziesięciu kilometrów ani jednej sadyby nie uświadczy – myślał.

Niepokoił się tym mocno. Wprawdzie od dwóch dni pędzili bez wytchnienia, tyle tylko wypoczywając, ile trzeba było, by konie nie padły, ale do linii demarkacyjnej, za którą byliby względnie bezpieczni, brakowało im jeszcze wielu kilometrów. A należał się im już wypoczynek. Ile jeszcze mogli wytrzymać wędrówki wśród wichru i mrozu?

Usłyszał za sobą stukot końskich kopyt. To Tomasz ciągnął swojego konia za uzdę, mocując się z wiatrem. Rumak próbował stawać dęba, ale żelazne ręce zmuszały go do posłuszeństwa. Sam Tomasz cały był białym puchem pokryty i skostniały, ale z uporem przebijał się przez śnieg, gdy nagle usłyszał wściekle ujadanie.

– Słyszysz to, co ja? – zapytał Wieniawę, który także wstrzymał konia i czujnie nasłuchiwał.

Powoli zaczął wyławiać odgłos ujadania, które zdawało mu się niezbyt odległym.

– Tak. To psy. Niedaleko. Pewnie widzielibyśmy wioskę, gdybyśmy własne palce w tej zadymce dostrzec mogli. Musimy tam zajechać, bo już i drogi nie widać. A jak zjedziemy z traktu, to w tych śniegach zostaniemy. A tam może choć tę garstkę owsa dla koni znajdziemy, bo na samych pędach spod śniegu długo nie pójdą.

Tomasz nie odpowiedział, bo nie było co rzec. Dla każdego, kto kiedykolwiek bywał na stepie, gdy zima trzymała świat w żelaznym uścisku, jasnym było, że zamiecie bywają dla zabłąkanych śmiertelne. Wyczerpani i głodni nie zdołaliby przetrwać.

Dlatego w milczeniu ruszyli przed siebie, ciągnąc konie za sobą. Zwierzęta wierzgały i biły kopytami o ziemię, strzygąc uszami i rozdymając chrapy. Przybierające na sile śnieg i wiatr płoszyły klacze, które szarpały się wściekle. Trzymali je jednak mocno, walcząc i z nimi, i z wiatrem. Powoli ubywało im sił, ale szli jednak wytrwale krok za krokiem, pozostawiając za sobą głębokie ślady, które natychmiast znikwały pod świeżym puchem.

Pot zalewał ich od stóp do głów, ale natychmiast zamarzał, krew buzowała w skroniach, a nogi ugiwały się coraz silniej. Zakwaszone mięśnie przeszywał ból. I tylko coraz bliższe ujadanie psów, które stawało się z każdą chwilą wyraźniejsze, dodawało im sił i zachęcało do maksymalnego wysiłku.

Wreszcie niemal uderzyli nosami o ścianę jednej z chat. I wtedy usłyszeli krzyk dziewczęcy.

Skrzypnęły wrota i na dwór wyskoczyła dziewczyna może szesnastoletnia z drewnianym wiadrem w ręku. Wieniawa pochwyił ją, nim zdołała ponowić okrzyk. Szarpała się i wiła jak piskorz, kapiąc i gryząc, gdzie popadło. Nie chciał jej uderzyć, choć miał dość siły, by jednym uderzeniem zakończyć nierówną walkę. Nie potrafił jednak przemóc w sobie starannego wychowania, jakie był odebrał. Wyręczył go w tym Tomasz, który bez namysłu uderzył dziewczynę, ogłuszając ją.

Wieniawa wziął ją na ręce i wniósł do obory. Miejsce, które wzięli za chatę, okazało się bowiem budynkiem gospodarczym.

Pomieszczenie pogrążone było w mroku, ale dostrzegł dwie łaciate krowy, które swobodnie machały ogonami, co chwila zanurzając pyski w drewnianych żłobach. Obie stały przywiązane parcianym sznurkiem do dwóch kołków. Pod sobą miały podścielane świeże siano. Dostrzegł także niewielki ceglany mur, który oddzielał oborę od innego pomieszczenia.

Ostrożnie ułożył dziewczynę na wiązce słomy. Wziął w dwie ręce grube sploty jej czarnych włosów i zbadał czaszkę. Znając siłę

Tomasza, obawiał się, że ten mógł coś dziewczynie przetrącić. Nie wyczuł jednak pod palcami najmniejszego zgrubienia, które mogłoby świadczyć o podskórnym krwiaku. Nie dostrzegł też jakichkolwiek śladów obrzęku. Za to mógł przyjrzeć się dobrze fizjonomii dziewczyny.

Na słomie leżał podłotek, którego natura nie zdołała jeszcze ukształtować. O twarzy chudej wprawdzie, bo głód panował i nikt do syta się nie najadał, ale rumianej. Oczy, teraz powiekami przysłonięte, otoczone były długimi, czarnymi rzęsami. Na głowie miała czarne włosy, które nosiła ciasno splecione w dwa długie warkocze opadające jej na plecy. Kto by tylko na twarz i włosy patrzył, ten łatwo mógłby wziąć ją za jakieś pańskie dziecko, które omyłce fortuny zawdzięczało swe miejsce zamieszkania.

Ale Wieniawie, który sam za pierwszego konesera kobiecych wdzięków uchodził, dość było spojrzeć na grubą, chropowatą skórę, jaka pokrywała jej dłonie, by się przekonać, z kim ma do czynienia. Poprawił jej tylko długą suknię, która się była nieco za wysoko uniosła, odsłaniając nadmiernie rozrośnięte mięśnie łydek.

Nagle usłyszał stukot spadającego kamienia. Spojrzał w stronę źródła owego dźwięku i od jednego rzutu oka pojął wszystko.

Patrzył teraz w przekrwione ślepia buhaja, który z namaszczeniem szorował kopytem po ziemi. I choć nie znał, co to strach, to z uczuciem pewnego niepokoju spoglądał na wielkie, zakrzywione ku górze rogi. Patrzył na gruby byczy kark i w myśli rachował szanse. Żałował teraz, że pistolety pozostawił przy siodle.

Cofnął się wolnym krokiem od dziewczyny, nie spuszczając buhaja z oka. Przez sekundę pomyślał, czy nie umknąć do drzwi i nie spróbować dopaść do konia. Ale wówczas musiałby zostawić dziewczynę na przepadłe. Nie wątpił bowiem, że byk zatopiłby swoje rogi w jej ciele. A do tego dopuścić nie chciał.

Dostrzegał teraz to, czego wcześniej nie zauważył, a mianowicie obłuzowany mur, który byk musiał uprzednio naruszyć łbem.

Zrozumiał też przestrach dziewczyny, która musiała spostrzec, co się stało, i wybiegła z krzykiem z obory, by ocalenia szukać.

Byk nie atakował. Spłoszył go bowiem śnieg, którym Wieniawa cały był pokryty. Dzięki temu podobniejszy był do bałwana niż do żywego człowieka. A że temperatura w oborze niewiele była wyższa od panującej na zewnątrz – bowiem wewnątrz ogrzewał tylko oddech bydłęcy – temu właśnie zawdzięczał, że buhaj nie zaszarżował na niego od razu. Stał tylko za murem, wpatrując się w tego dziwnego człeka, odmiennego od tych, którzy żreć mu dawali.

Lecz zaraz otępienie widocznie minęło, bo pochylił rogi, grzebnął raz i drugi kopytami w mokrej słomie i zbierał się do skoku. Wieniawa wpatrywał się w niego z nabożnym skupieniem. Twarz mu pobladła, pokryła się potem, a źrenice się rozszerzyły. Świat dookoła zastygł. Był tylko on i to głupie bydłę. Nieznacznie ugiął nogi w kolanach. Jego pokryte mięśniami uda przyjęły cały ciężar ciała, które zmieniło się w maszynę do walki.

Nagle uwagę byka odwróciły kroki i stukot kopyt. To Tomasz uporał się wreszcie z końmi, które okiełznać musiał i teraz właśnie wprowadzał je za uzdy do stajni. Wchodził z uśmiechem, który zamarł mu na ustach, gdy tylko zorientował się w położeniu.

Bez chwili wahania puścił końską uzdę i skoczył do rozhukanego buhaja. Poruszał się ze zręcznością niezwykłą dla tak dobrze zbudowanego człeka. Nim byk zdołał wyjść z szoku, jaki wywołało jego pojawienie się, przypadł do zwierzęcia i grzmotnął pięścią między przekrwione ślepia. Byk zachwiał się jak piorunem rażony, ale wstrząsnął tylko kudłatym łbem i ruszył ku Tomaszowi z pochylonymi rogami. Ten jednak wyprostował ramiona, pochylił grzbiet, stanął mocno na nogach i chwycił byka za rogi. Twarz mu poczerwieniała, żyły wyszły na wierzch. Schował głowę między ramionami i w milczeniu mocował się ze zwierzęciem.

Długoszowski zaś patrzył na to z szeroko otwartymi ustami. Widział on w swoim dość młodym życiu wiele dowodów ludzkiej odwagi, a niektóre nawet sam złożył. Ale na ten wyczyn patrzył jak na posąg, na którym wyobrażono wielkie czyny Herkulesa. Patrzył na to widowisko, niezdolny wykonać najmniejszego ruchu. Nie wiedział nawet, czy jego serce wciąż bije, tak pochłonęła go ta walka, która rozgrywała się na jego oczach.

Tymczasem człowiek i zwierz zmagali się ze sobą w ciszy zupełnej. Tomasz dygotał, a naprężone do granic wytrzymałości mięśnie zdawały się skórę rozsadać. Jego szeroka pierś unosiła się coraz szybciej, łapiąc coraz krótsze hausty powietrza. Na białkach jego oczu pojawiły się pęknięte naczynka krwionośne. Lecz trwał, bo rozumiał, że poddać się, to zginąć.

Jako carski wywiadowca nieraz bywał w prawdziwym niebezpieczeństwie, więc wiedział dobrze, że właśnie w chwili, gdy ciało opuszczają ostatnie siły, trzeba zdobyć się na ostatni wysiłek. Dlatego walczył z dziką zajadłością, nie chcąc ustąpić. Ale widać było, że jego ciało słabnie. Już tylko siłą własnego uporu trzymał się na rozstawionych szeroko nogach, które drżały pod nim.

Lecz i byk nie przywykł do tego typu zmagania. Nie był to tur, a zwykły gospodarski buhaj, dobrze odpasiony, gdyż gospodarze sobie od ust odejmowali, byle on miał siły. Ktoś musiał bowiem zapładniać jałowice i zapewniać stały dopływ pogłowia. Ale mimo tego i on nie jadł do syta. Poza tym nadwątlił swe siły, trykając łbem o mur. Dlatego teraz nogi nagle ugięły się pod nim i runął bokiem na słomę.

Wieniawa odetchnęła, jakby w tej chwili dopiero jakaś mistyczna siła pozwoliła mu ruszyć się z miejsca. Dopadł do sznurków i z wprawą skrępował nogi zwierzęcia. Następnie pomógł Tomaszowi ułożyć się na słomie. Przez chwilę słuchał jego nienaturalnie przyspieszonego oddechu i patrzył na pokrytą szkarłatną purpurą twarz. Objawy te nie budziły jego niepokoju,

były to bowiem jedynie oznaki nadzwyczajnego zmęczenia. Jego gruntowna wiedza medyczna pozwoliła mu wyrobić sobie nieomylny osąd w tej sprawie.

Uspokojony, zajął się więc końmi. Należało je bowiem rozkulbaczyć, przetrzeć im boki i je nakarmić. Pochłonięty realizacją tych czynności nie zauważył, że dziewczyna odzyskała przytomność. Zorientował się, gdy usłyszał szelest słomy. Odwrócił się w jej stronę.

Dziewczyna cofała się przed nim na rękach, aż poczuła za sobą drewnianą ścianę. Ostatnim, co pamiętała, były owe zimowe zjawy, które zaatakowały ją, gdy tylko przestąpiła próg obory. Spojrzała na byka, który wciąż nie mógł dojść do siebie po przebytej walce. Następnie na konie, które nieznajomy z wprawą oporządzał.

Jej oczy zatrzymały się przez dłuższą chwilę na rasowych zwierzętach i ich bogato zdobionych siodłach. Pierwszy raz takie widziała, choć jej ojciec był zasobnym gospodarzem. On również miał konie, póki mu ich wojsko nie zarekwirowało. Ale były to małe, silne wiejskie szkapy, przeznaczone do pług i sochy, a nie pod wierzch. I nie mogły się równać z tymi, które teraz widziała. Kim byli ich właściciele? Co przygnało ich do tej zagubionej w stepie wioszczyzny?

Spojrzała na twarz tego, który z taką troskliwością i znanstwem zajmował się końmi, i aż klasnęła w ręce. Wydał jej się bowiem podobny do świętych, których widziała wymalowanych na ikonach.

– Śliczny jesteś – szepnęła, zarumieniwszy się przy tym po same białka oczu.

Bolesław uśmiechnął się lekko. Od dawna przywykł do tego, że kobiety w każdym wieku nie zwykły mu odpuszczać. Przeklinał nieraz swoją urodę, bo nie pozwalała mu ona zrobić jednego spokojnego kroku. Kobiety traktowały go jak trofeum, które trzeba było zdobyć, by móc chwalić się tym między przyjaciółkami. To

wszystko sprawiło, że przyłgnęła do niego fama bawidamka, która zatrwała mu życie. Żeby tylko jemu. Zniszczyła ten cudny kwiat, jakim była jego żona – pocięła go kosą nieufności i zwątpienia, jakie ludzkie języki i gazetowe artykuły zdołały zaszcześcić w jej sercu.

Ale czasem bywały chwile takie jak ta, gdy jego uroda oddawała mu nieocenione usługi. Działo się tak, gdy należało wydobyć jakieś informacje. Wówczas przystrajał swą twarz w najbardziej czarujący uśmiech, jaki umiał przywołać, i udawał się na spotkanie. Na takich spotkaniach roztaczał swój czar, obsypując cel kwiatami, wysilając się na wyszukane pochlebstwa dla jego urody. I nie trafił jeszcze na niewiastę, która by nie skruszała pod wpływem tych usiłowań.

Teraz też podszedł do dziewczęcia i rzekł spokojnym, melodyjnym głosem, którym mógłby uspokajać dzikie zwierzęta:

– Nie bój się mnie. Sama powiedziałaś, że śliczny jestem, a piękno nikogo nie krzywdzi.

– I róża czasem krew upuści, choć płatki ma piękne – odparła śmiało i inteligentnie. – Jesteście w obojętności mojego ojca. Skrzywdziliście naszego byka, który jest naszym głównym źródłem utrzymania. Mnie samą uderzyliście tak, że mnie zamroczyło. Sam więc przyznasz, że mam dość słusznych powodów, aby się was bać.

Paruszył się śmiechem. Spojrzała na niego z oburzeniem. Zreflektował się, ale nie przestał się leciutko uśmiechać.

– Wybacz, o pani. Ale nie skrzywdziliśmy twojego byka. Chyba że związanie nóg można nazwać krzywdą. Jeszcze niejedną jałowicę wam zapłodni. Za uderzenie chciałbym cię przeprosić, choć noszę ślady twoich ząbków na skórze. Walczyłaś jak lwica. To mój towarzysz uderzył cię w głowę. Ale to prosty człowiek, który nawet będąc w armii, nie nauczył się dobrych manier. Ale wiesz co? Spełnię jedno twoje życzenie, które w myśli nosisz.

– A ty w myślach czytać umiesz? – prychnęła.

Ten człowiek przyciągał ją. Nie mogła patrzeć w jego oczy. Widziała, jaki żar w nich płonął. Żar ten zdawał się rozgrzewać ją od środka niczym piec. Czuła się tak, jakby cała płonęła. Ale broniła się jeszcze i hardo wydeła usta.

Ale on wiedział swoje. Oglądał już wiele efektów swego daru u różnych kobiet i potrafił te przejawy nieomylnie rozeznać. Widząc teraz falujące piersi dziewczyny, które próbowały rozsadzić jej koszulę, rozszerzone źrenice i palce zwinięte w pięści, zyskał niezachwianą pewność, że zmierza do portu. Chcąc całkowicie pogrążyć dziewczynę, ukląkł i na klęczkach zbliżał się do niej; wiedział, że nie ma dokąd uciec.

– Jestem moźnym czarnoksiężnikiem i wiem, że w tej chwili myślisz o tym...

Pochylił się nad nią, wziął jej twarz w swoje dłonie. Zobaczył, jak bezwiednie rozchyliła usta niczym ryba, która czeka na haczyk. Przejechał koniuszkiem palca po jej wardze. Poczuł ich wilgoć i dreszcz, który ją przeniknął. A potem powoli zatopił się w niej...

Ona zaś wchłonęła go w siebie, jakby chciała całego posiąść na wieki i żadnej innej nie oddać. Odchyliła się do tyłu i wsparła o deski tworzące ścianę, która zatrzeszczała niebezpiecznie pod jej naporem. Lecz ona nie zważała na to. Czuła, jak trawi ją wielkie pragnienie. Ogień dostał się do jej trzewi. Pragnęła więcej i więcej.

Ale Wieniawa przytrzymał ją za ręce i cofnął się. Osiągnął już bowiem, co chciał. Wiedział, że zdołał posiąść duszę tej dziewczyny. Od tej chwili będzie o nim myśleć, wijąc się w swoim łóżku z niezaspokojonej żądz. Żał mu jej było. Ale nie mógł inaczej postąpić. Potrzebował bowiem jej pomocy. Musiał mieć pewność, że ich nie zdradzi. Poza tym potrzebowali żywności, gdyż zapasy, które otrzymali od Feliksa, na czarną godzinę oszczędzać należało. Dziewczyna była dla niego użytecznym narzędziem, niczym więcej. Swoją przysięgę małżeńską szanował, choć nikt w to nie wierzył. Dlatego nie posunął się dalej. A nawet to, co zrobił,

napawało go obrzydzeniem dla samego siebie. I jeśli czym czuł się usprawiedliwiony, to tylko położeniem, w jakie popadł. W jego bowiem sytuacji każdy środek ratunku byłby godziwy. I nie należało poświęcać zbyt wiele uwagi rozterkom moralnym, które prowadziły donikąd. Zagłuszył je więc w sobie tak prędko, jak zwykle robią to chwasty z młodymi pędami roślin.

Dziewczyna zaś nie mogła pojąć tego, co się zdarzyło. Czyżby źle odczytała sygnały, jakie jej wysyłał? Czuła trawiącą go żądzę, która zdawała się być tak silna, jak jej własna. Znała przecież żołnierzy, bowiem wielu już przechodziło przez tę miejscowość. Wiedziała, że chłopcy w mundurach nie są zbyt wymagający. I nawet bezzębne staruchy, którym czas i trud prozy życia dawno zmyły krasę z twarzy, mogły zaznać z nimi przyjemności.

Ona wprawdzie wianek zachowała, ale znała takie, które tylko czyhały na sposobność, by pójść na stronę z żołnierzem. Wiele nasłuchiwała się ich opowieści. Gdy ich słuchała, jej zmysły szalały, a w wyobraźni widziała siebie z żołnierzami. Groźna twarz ojca stawała w poprzek tym marzeniom. Wiedziała dobrze, że zabiłby ją, gdyby odkrył, że straciła cnotę. A tu nadarzyła się okazja, by mogła urzeczywistnić swoje fantazje. Sama jedna z dwoma nieznanymi... na słomie. Powiedziałyby ojcu, że ją siłą zniewolili. I niechby się potem mścił i szukał wiatru w polu.

Patrzyła więc teraz na Wieniawę niedowierzającym wzrokiem, dysząc z rozbudzonego i niezaspokojonego pożądania. Z najwyższym zdumieniem patrzyła na jego obojętną twarz. Jakby zupełnie nie tę samą, którą widziała ledwie kilka minut temu. A może tylko jej się zdawało?

Biedna dziewczyna sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, gdy doszedł do niej głos tego człowieka, który wydał jej się podobny do anielskiego śpiewu:

– Ojciec musi się już niepokoić o ciebie. Niepodobna, żebyś mogła zabawić przy obrzędku tyle czasu, ile mi będzie potrzeba,

by zająć się twoimi potrzebami w należyty sposób. Wykradnij się do nas nocą i przynieś ze sobą trochę żywności. – Udał, że się waha. – Albo nie. Przynieś nam żywność teraz. Pożywimy się tu trochę, a wieczorem...

Odzyskała nadzieję. Poderwała się ze słomy i pomknęła ku drzwom. Lecz nagle zapała się rękami o framugę i rzekła podejrzliwie:

– A nie odjedziecie, nim do was przyjdę?

– Widzisz przecież, że mój towarzysz do jazdy niezdatny. – Popatrzył na dziewczynę i mrugnął. – Słyszysz zresztą, jaki wicher jęczy w powietrzu? W taki czas niepodobna ruszać w żadną drogę. Dni teraz są krótkie i wiele drogi byśmy nie zrobili. Poza tym niepilno mi od ciebie odjeżdżać. Zapnij koszulę, bo ci się otwarła.

Rzeczywiście – stwierdziła, patrząc na swoją koszulę, która się była w czasie poprzedniej szarpaniny z nieznanym otwarła i odsłoniła mlecznobiałą pierś. Takiego śladu to nawet mój ojciec by nie przeoczył – pomyślała w duszy, poprawiając ubranie.

Pobiegła do chaty. Po około półgodzinie wróciła do obory z dobrze wypchanym żywnością tłumoczkiem pod koszulą. I szybko wyszła, choć bardzo chciała zostać. Ale bała się zwrócić ojcową uwagę na oborę. Dotychczas bowiem kijem i twardym słowem musiał ją do oporządzania inwentarza zachęcać. Dziwnym więc wydać by mu się mogło jej dzisiejsze zbyt długie w oborze przebywanie. Odeszła do domu, pocieszając się myślą, że w nocy dłużej tu zostanie i nie sama.

Wieniawa i Tomasz rzucili się na jedzenie z łatwą do zrozumienia skwapliwością. Tym bardziej że dziewczyna bardzo się postarała. W tłumoczku znaleźli pół bochenka chleba, spory kawałek słoniny i baranie kości, które wysysali, aż im szczęki grały. I zjedliby wszystko, gdyby nie zapobiegliwość Tomasza, który przypomniał, że czeka ich jeszcze daleka droga, a nie wszędzie będzie można tak łatwo wystarać się o żywność. Nie potrafił się

przy tym powstrzymać od drobnej uszczypliwości, aczkolwiek zabarwionej podziwem.

– Nie na darmo tyle o tobie powiadają. Ja tych oczu to od ciebie chętnie pożyczę. I już ci przebaczę to, żeś mnie nazwał niezdatnym do jazdy. Dalibóg, jeszcze chwila i ona klękłaby przed twoim rozporkiem jak baba przed księdzem.

– Boga w to nie mieszaj – odparował Wieniawa, bo wcale nie był z siebie zadowolony. – Wiem, że wyrządziłem jej wielką krzywdę, ale nie można było inaczej. Mogła nas sprzedać. Na pełnym brzuchu dobrze spać. Więc kimnijmy się choć parę godzin.

Tomasz beknął, aż echo oddało, i nie myśląc wiele, poszedł za jego radą. Bolesław jednak sam za tą własną radą nie umiał pójść. Leżał tylko z otwartymi oczami, z rękami pod głowę i nasłuchiwał wycia wichru. W końcu jednak i on zasnął. A spali obaj tak mocno, że nie usłyszeli wojska, które nadeszło i rozłożyło się na postój we wsi. Wojskiem tym dowodził Mikołaj Łazariew – i posłano go w pościg za nimi.

Rozdział XVIII

Państwo bolszewickie rozszerzało swój stan posiadania, spychając białych generałów z zajmowanych pozycji. Sprawy wyraźnie zbliżały się ku ostatecznemu rozstrzygnięciu. Dlatego Lenin przestał interesować się przebiegiem wojny, która i bez jego uwagi dogaszona być mogła. Pozostawił te sprawy Trockiemu, który był najlepszym organizatorem, jakiego miał pod ręką. Sam zaś zajął się gorliwie urządzaniem nowo zajętych krajów i tworzeniem administracji. Była mu ona potrzebna do zarządzania gigantycznym państwem, które jego własnością być miało.

Ale to, co planował, nie było łatwe do przeprowadzenia. Doktryna komunizmu wojennego, który zakładał nacjonalizację gospodarki, odebranie ziemi chłopom i jej upaństwowienie, nawet w spokojnym czasie wzbudziłaby opór społeczny. Przemysł wprawdzie nie był zbyt rozbudowany, bo Romanowowie nigdy go nie cenili (i srodze za to zapłacili), ale chłopów było w kraju niemało. I było z góry wiadomo, że ci się takowemu rozwiązaniu sprzeciwią. Ludzie nawykli bowiem uważać się za dziedziców na swoich kilkunastu morgach.

Opór ten wprawdzie można było zdusić, siły używając, ale siła wszędzie była potrzebna, a Lenin nie miał jej w nadmiarze. Trzeba było bowiem ukończyć wpierw wojnę domową, potem przymusić do uległości tych carskich poddanych, którzy, korzystając z panującego w Kraju Rad zamętu, zaczęli budować własne państwa. Trzeba było posłać tam Armię Czerwoną, by przywrócić

ład. Nie wolno więc było tworzyć przedwcześnie frontów, które wcale nie musiały powstać. Dlatego Lenin zdecydował, że chwyci się innych środków.

Postanowił zaufać propagandzie. Nie raz już się bowiem przekonał, że pod gładkimi słowami łatwo można prawdziwe zamiary ukryć. Zwłaszcza w kontaktach z ludźmi, których świat zamykał się między rodzinną wioską a cerkwią. Liczył on, że łatwo mu przyjdzie przerobić tych ludzi tak, by z wiarą służyli jego celom. Poza tym w tym momencie nie mógł zrobić nic innego. A przyjęta przez niego taktyka dawała jakieś nadzieje powodzenia.

Zaczął więc wysyłać w teren specjalnie przygotowanych agitatorów, którzy surowych i twardych ludzi na komunistów przerabiał mieli. Jedną z takich wiosek były Smatrycze.

Mieszkańcy szli opatuleni szczelnie w kożuchy, pochylając się przed wiatrem, który dął nieprzerwanie. Płatki śniegu wirowały w powietrzu, opadając na pochylone głowy i ramiona. Sznur ludzki długi był, bo prawie z każdej chałupy ktoś szedł. Poszliby pewnie wszyscy, gdyby butów starczyło. Ale o tę część garderoby niełatwo było na wsiach. A siarczysty mróz, który nie folgował od tygodni, nie pozwalał nawet pomyśleć o tym, by ruszyć w drogę boso. Większość więc wieśniaków w domach pozostać musiała.

A ciężka była to pokuta, bo wszystkich podniecała ciekawość. Już dawno rozeszła się wieść, przez partyjnych puszczana, że ważni jacyś ludzie zjechać mają do wsi. Była to dla jej mieszkańców nowina zaskakująca, bowiem jak Smatrycze Smatryczami – nigdy się w nich nic nie działo.

Czasem który pies się wściekł i kogo pokąsał. Czasem kto kłonicą przez łeb za mocno dostał i kurować się musiał. To znów wojsko przeszło i komu strzechę nad głową zapaliło, a córkę z brzuchem zostawiło. Słowem działy się rzeczy zwyczajne, do których ludzie przez pokolenia nawykli i które były tematem pogwarek po chałupach, gdy je śniegi zasypały. Wielkie

wydarzenia omijały ich szerokim łukiem, choć nieraz odczuwali ich dalekosiężne skutki.

Toteż szli rozciągnięci w długi sznur, wybijając głębokie ślady w zalegającym na drodze śniegu. Rozrosłe na schwał chłopcy szły przodem, mocując się z wiatrem, a po ich śladach postępowaly kobiety. Były zaś one ozdobą tego pochodu, bo szły same młode niewiasty i panny, co jeszcze wianki przędły. Wszystko niewiasty hoże i rumiane, bo praca wyrobiła im mięśnie, szerokie plecy i rozłożyste biodra. Zerkającym ku nim chłopom zdało się, że śnieg od nich topnieje. Śnieg jednak ani myślał topnieć. Za to dziewczyny istotnie wiosnę przywiodyły chłopom na myśl. Bo każda włożyła, co miała najlepszego. Po to, by się przed chłopami popisać, bo niewiasty już takie są, że łakną podziwu męskich oczu. A jeszcze bardziej rade wyższość nad rówieśnicami okazać. Więc miały na sobie kolorowe chusty, które zdawały unosić się nad śniegiem, gdy ich właścicielki szły. Wszystkie chusty owe z wzorzystego materiału były najlepszego, jaki tylko w swych komorach znaleźć mogły. Ich głowy robiły wrażenie kielichów kwiatów, które znikąd pojawiły się na śniegu. Długie samodziałowe spódnice kontrastowały z tym, bo ich szorstki materiał nie mógł iść w paradę z chustami, ale przynajmniej gruby był i ciepły. A i to wiele znaczyło, gdy mróz różowił kobiece policzki i oszraniał męskie wąsy.

Cały ten wielobarwny korowód kierował się ku cerkiewnej budowlu, która sprawiała wrażenie, jakby górowała nad wioską. Zbudowana była na planie prostokąta. Zwieńczono ją cebulastą kopułą, na szczycie której umieszczono bogato zdobiony klejnotami krzyż. Sama cerkiew w całości pokryta była teraz śnieżną otuliną.

Gdy chłopcy doszli pod wielkie wrota cerkiewne, spostrzegli stojącą przed świątynią dorożkę i kilku czerwonoarmistów, którzy zbijali ręce od mrozu. Każdy z nich miał na sobie futrzane szuby,

białe kobuzy z naszytą czerwoną gwiazdą, po której łatwo można było poznać, kim są. Przy nogach trzymali mosiny⁵ z nasadzonymi bagnetami. Chłopi patrzyli na nich ciekawie, a nawet z zazdrością. Wielu zazdrościło żołnierzom, gdyż im dawano jeść, by mieli siły do walki. Także wiele dziewczyn rzucało ku nim spojrzenia, a oni z zadowoleniem podkreślali węża. Dopiero później chłopci nauczyli się bać takiego munduru. A wobec tych, którzy go nosili, czuć strach pomieszany z nienawiścią – lecz wówczas było jeszcze do tego daleko.

Zaczęła się przyjazna pogawędka. Prowadzili ją mężczyźni, gdyż młodym dziewczętom nie wolno było przy starszych głosu zabierać.

Żołnierze jednak żadnych bliższych objaśnień dać wieśniakom nie mogli, sami bowiem niewiele wiedzieli. Wskazali tylko na doróżkę i rzekli:

– Ważny to człowiek, skoro mu naszą eskortę przydzielili. Widać im zależy, by jego krew pozostała w żyłach. A to nie jest w dzisiejszych czasach takie pewne.

Chłopi pokiwali głowami. Nie trzeba im było tego powtarzać. Dość mieli przykładów tego, czego na własnej skórze doświadczyli. Niemal każdy z nich poniósł jakąś szkodę, którą mu ręce zbójckie zadały. Czy to w dobytku, czy na ciele. To sprawiało, że zaczęli tęsknić nawet za carskimi urzędnikami. Ci bowiem zapewniali przynajmniej jakiś ład. Było przed kim dopominać się o sprawiedliwość. A dziś? Ten tylko sprawiedliwość mógł zyskać, kto ją sam wymierzyć zdołał. Pozostali mogli tylko na Boskie miłosierdzie liczyć.

– A pewnie – przytaknęła gorliwie chudy chłop, z siwą brodą okalającą twarz. Jego szare, bystre oczy wpatrywały się uważnie w czerwonoarmistów. – Widziałem wiele. Ale tego, co jest teraz, nie było nigdy. Było prawo. Inne dla wielkich, inne dla małych, ale było. A dziś dzień bez strażów nie upłynie, bo się ludzie na siebie

rzucają jak te psy wygłodniałe. I dziwić się trudno – dodał zgryźliwie. – Gdy pana w domu nie ma, nie ma komu psów nakarmić. Krów nie ma czym odkarmić. Zboża nie ma, bo co wzeszło, to swoi i obcy zniszczyli. Gdy zwierzęta zarżniemy, chyba sami siebie jeść zaczniemy. I jak słyhać, w niektórych stronach ludzie już tak robią. – Splunął, albowiem cięty był na wszystkich, a na wojnę zwłaszcza, bo sam już na nią pójść nie mógł.

– Stulcie pysk! – rzekł jeden z chłopów, któremu o to chodziło, by stary nie rzekł słowa, którego się cofnąć nie da. Bo wiedział, że był do tego zdolny. Był to bowiem znany na całą okolicę gębacz, a od czasu jak zdrowie stracił, stał się jeszcze bardziej złośliwy i zgorzkniały.

– Was pierwszego zjemy, jak nie będzie kogo. Zbójów teraz nie ma, bo zimową porą ruch na traktach zamiera. A i burza nad krajem się już przetoczyła. Zaraz ład będzie zaprowadzony. Nie taki, to inny, a nam do tego nic. Zagród nam pilnować i około płonów gorliwie zabiegać, byśmy głodem nie przymierali.

Wasył – bo tak nazywał się mężczyzna ów, który próbował pohamować narzekanie starca – uniósł na niego zdziwione oczy. Najwidoczniej gotował się do dania ostrej odpowiedzi, bo wygiął wargi w złośliwym grymasie.

W tej jednak chwili uwaga ludzka zwróciła się w inną stronę. Wrota cerkiewne otwarły się na oścież, tłum zafalował. Część ludzi uklękała na śniegu w pełnej czci postawie, jaką wobec Boskiego majestatu przyjmowali. Zaczęli posuwać się na klęczkach ku wrotom kościoła. Za sobą zostawiali wąskie pasmo śniegu. Wstali dopiero w przedsionku świątyni, gdzie wedle przepisów kanonicznych wolno było przebywać ludziom wykluczonym ze wspólnoty.

We właściwej świątyni mrok panował niemal zupełny, bo za oknami pochmurnie było. Nie mogły go rozproszyć nawet palące się przy ołtarzu świece. Na przytwierdzonych do drewnianych

ścian półkach stały ikony, które same w sobie mogły stanowić o bogactwie. Były to arcydzieła sztuki snycerskiej i malarskiej. Lecz jeszcze okazalsze wisiały na ikonostasie.

Pod ścianami stały wąskie drewniane ławy, przykryte narzutami. Reszta podłogi była pusta, co dawało wiernym większą swobodę ruchu. Nawa oddzielona była od prezbiterium ruchomym ikonostasem, na którym pyszniły się najcenniejsze ikony. Były one przedmiotem dumy dla małej wspólnoty, choć większość jej członków nie zdawała sobie sprawy ani z ich kulturalnej, ani z materialnej wartości.

Ołtarz znajdował się w części wschodniej świątyni. Do tej części wchodzić mogli tylko mężczyźni. Ołtarz zwrócony był na wschód, w stronę, gdzie wedle tradycji judeochrześcijańskiej miał znajdować się raj. W części ołtarzowej stał tron. Było to miejsce najświętsze, zbudowane z drewna; okrywano je specjalną szatą.

Po północnej stronie ołtarza umiejscowiono stół ofiarny w kształcie sześcianu. Na nim znajdował się kielich i okrągły metalowy talerzyk, na którym trzymano chleb eucharystyczny. Opodal niego leżał trójkątny nóż służący do krojenia prosfor. Można było dostrzec małą srebrną łyżeczkę, przy pomocy której udzielano wiernym komunii pod dwiema postaciami.

Ludzie stanęli w nawie, w środkowej części świątyni, nie na nabożeństwo ich tu bowiem wezwano. Najlepszym tego dowodem była obecność sowieckiego oficera, który swobodnie sobie siedział na miejscu przeznaczonym dla biskupa, gdy ten wizytował cerkiew.

Twarz bolszewika skryta była w półmroku, którego nie mógł rozproszyć mdły blask świateł. Ubrany był w czarny wojskowy płaszcz, wojskowe bryczesy i długie buty z cholewami. Pod płaszczem kryła się krępa sylwetka, obciążona kilkoma zbędnymi kilogramami. Ale owe kilogramy nie psuły korzystnego wrażenia, ponieważ był dość rosy. Miedziane włosy nosił krótko ostrzyżone.

Twarz jego zdobiła cienka blizna, widocznie nożem zadana, która ciągnęła się przez całą długość policzka.

Podniósł się, by zacząć przemowę, którą był przez drogę sobie ułożył, gdy uwaga jego i obecnych zwróciła się ku cerkiewnym wrotom. Weszło bowiem przez nie kilku ludzi. Szli obojętni na patrzących na nich wieśniaków i na sowieckiego żołnierza. Jeden z nich, najwidoczniej dowódca, wskazał palcem na oficera.

Oficer spostrzegł ten ruch i ów niemy rozkaz i zrozumiał, że życiu jego albo wolności grożą. Poderwał się więc co prędzej z biskupiego tronu i sięgnął po broń. Leczył i pół ruchu nie zdążył wykonać, gdy ręce wrogów wyciągnęły się do niego. Walczył, bo niepospolitą obdarzony był siłą. Wyrwał się dwukrotnie i po dwakroć chwycono go ponownie. Wreszcie osłabł i pozwolił się powieść przed dowódcę wrogów. Tam ciśnięto go na posadzkę.

– Witajcie, komisarzu Bykowski. Już twoi żołnierze w łykach, a ty sam zaraz w drogę do piekła ruszysz. Ale zanim tam dojdiesz, to się jeszcze kilku rzeczy dowiesz.

Odwrócił się w stronę zgromadzonych w świątyni, którzy z całkowitą obojętnością przyglądali się rozgrywającej się przed nimi scenie. Ani jeden mięsień nie drgnął na ich twarzach. Nawykli już do zmian, mniej lub bardziej krwawych, które im żadnych korzyści nie przynosiły. Poszczególni władcy za nic ich bowiem mieli. Czerpali tylko korzyści z ich potu i krwi, do czego oni już dawno przywykli; byli jak wół, który przyzwyczał się do batów, uważając je za naturalną część swego życia. Miłowanie cara wpajano im od wczesnego dzieciństwa, więc go kochali, choć nigdy nie widzieli.

– Ludzie – mówił dowódca napastników – jeszcze nie wszystko stracone! Jeszcze wszędzie słończko Romanowów. Nie będą się ateści na świętej Rusi panoszyć. Nie szanują oni niczego. Wiarę mają za nic, słowo Boże mają za nic. Niszczą cerkwie, konfiskują ziemię, do której nijakich praw nie mają. Ale wrócą jeszcze dobre

czasy. Car Mikołaj nie żyje. Zabili go leninowscy siepacze, by nie upomniał się o nasze prawa i o zadośćuczynienie za nasze krzywdy. Nie uszanowali majestatu Pomazańca Bożego. Ale Bóg nie odwrócił od nas oczu swoich. Żyje bowiem jeszcze córka jego – Anastazja. Ona przywróci dawną chwałę naszego państwa. Znajdzie u niej ochronę słaby przeciw silnemu, bo czas już, by się ów nieład wreszcie skończył. Niech żyje Anastazja! Śmierć bolszewikom i Leninowi! Krew z krwi Romanowów nami rządzić będzie!

Ukończywszy mowę, zaczął rozdawać ludziom gazetki i ulotki. Wprawdzie nie sądził, aby wielu z tych ludzi umiało czytać, ale miał wyraźny rozkaz, od którego ani na jotę odstąpić mu nie było wolno. Dlatego odwrócił się w stronę Bykowskiego i bez chwili wahania strzelił mu w czoło.

Na czole oficera pojawiła się okrągła rana, z której wyciekła cienka strużka krwi. Bykowski zachwiał się i osunął na cerkiewną posadzkę. Strzelec nawet okiem na niego nie rzucił. Razem z ludźmi wyszedł na dwór, wsiadł na konia i pomknął przed siebie.

W Smatryczach opowiadano sobie o tym zdarzeniu przez wiele lat. Z czasem jednak do prawdziwych wydarzeń dodawano coraz dramatyczniejsze szczegóły, aby ubarwić opowiadanie. Czas zacierał prawdę w ludzkiej pamięci. Ale żadne z owych fikcyjnych ubarwień nie mogło równać się z prawdą. Lecz tej mieszkańcy wioski nie mieli poznać nigdy.



Włodzimierz Lenin spoglądał z błyskiem gniewu w oczach na grupę swoich najbliższych współpracowników. Gniew ten wywołało wiele czynników.

Zły był, bo po zamachu wszystkich sił jeszcze nie odzyskał. A sprawy czekać nie chciały, aż ze wszystkim do siebie przyjdzie.

Niedawno przebyte zmagania ze śmiercią mocno nadwątlily jego nietęgie nigdy zdrowie, o które pochłonięty wielkimi sprawami nie nauczył się dbać należycie. Zresztą, nawet gdyby troszczył się o siebie, to i tak zdrowy by nie był, bo ciało jego toczył syfilis, który za czasów swej młodości od krakowskich prostytutek w darze dostał⁶.

Zresztą i bez wstydlivej choroby nie mógłby poszczycić się zbyt przyjemną aparycją. Wcześniej wyłysiał, tylko z boku głowy pozostały mu niewielkie kępki rudych włosów. Małe, mongolskie szerokie oczka idealnie komponowały się z twarzą, w której odbijały się silne azjatyckie rysy. Nad małymi ustami pyszniły się czarne wąsy. Nosił czarną kozią bródkę, która dodawała mu lat i czyniła poważniejszym.

Słowem, wyglądał mizernie i każdy łatwiej wziąłby go za zwykłego rosyjskiego chłopca, którego przodkinię swego czasu dopadł jakiś Tatarzyn, niż za człowieka, który zatrząsł światem w posiadach. Lecz wszak to nie wygląd stanowił o jego sile. Od dawna nawykł rozumem się kierować. Wcześniej też przyzwyczaił się do życia na własny rachunek, choć nie musiał, urodził się bowiem w rodzinie urzędniczej, która nie narzekała na brak zasobów finansowych. Wychowywał się więc w przyzwoitych warunkach i miał szczęśliwe dzieciństwo.

Zostało ono jednak zaprzepaszczone po śmierci jego brata Aleksandra, który był uczestnikiem spisku na carskie życie. Został skazany na śmierć i stracony. To wówczas serce zapalało w nim nienawiścią przeciwko wszystkiemu, co wiązało się z carską rodziną. I wtedy właśnie wszedł na drogę, która zawiodła go na kremlofskie wzgórze.

A teraz siedział u szczytu stołu, wpatrzony w swoich współpracowników. Oczy iskrzyły mu się od hamowanego gniewu. Nie chciał wybuchnąć. Przekonał się już, że uleganie gniewowi i niekontrolowane wybuchy nie przynoszą oczekiwanych efektów.

Znacznie lepiej sprawdzał się spokój. Było to korzystne także i dla jego zdrowia.

– Co ja słyszę!? – rzekł, gdy był już pewien, że gniew go nie poniesie. – Na chwilę was samych zostawić nie można, bo zaraz zmarnujecie owoce mojej pracy. Oto wstaję z łóżka po postrzale, od którego dusza mało ze mnie nie wyszła, i co zastaję? Rewolucja w Niemczech upadła. Związek Spartakusa szlag trafił, a Radek, który miał tamtejszą partię zakładać, zwiedza ichniejsze więzienia. Wasza to robota, towarzyszu Dzierżyński. I wasza odpowiedzialność. Co macie na swoje usprawiedliwienie? Dobrze wiecie, jak mi zależy na połączeniu się z rewolucją niemiecką. A jak mam się z nią połączyć, skoro jej już nie ma? – Dyszał ciężko, a na twarzy wykwitły mu niezdrowe rumieńce.

Dzierżyński słuchał skierowanych pod swoim adresem uwag z obojętnością. Przywykł już do częstych wybuchów wódza rewolucji. Nie obawiał się ich jednak. Znał bowiem swoją wartość. I wiedział, że pomiędzy najbliższymi współpracownikami Lenina nie ma nikogo, kto mógłby go w jego zadaniach zastąpić. Lenin także dobrze o tym wiedział. Jediną niedogodność stanowił Stalin, uśmiechający się teraz spod wąsów.

Pewnie liczył na to, że na trwale stracił łaskę Lenina. Głupiec, ale groźny. Zwłaszcza teraz, gdy uwolnił Wieniawę i ułatwił ucieczkę temu drugiemu Polakowi. Dobrze wiedział, że Stalin szuka obydwu gorliwie, w czym musiał mu pomagać, by od siebie podejrzania odsunąć. Nie wątpił bowiem, że Stalin domyślił się, kto pomagał im w ucieczce. I gdyby przez jakiś trafunek dostał ich obydwu, to z pewnością ukułby z nich broń przeciwko niemu.

– Działo się to w czasie, gdy walczyliście ze śmiercią. Sam musiałem myśleć o wszystkim. Ale niesłusznie mnie obwiniacie. Niemcy wprawdzie już się nie palą, ale na pogorzelniku wciąż jest sporo iskiei, które można w łunę zamienić. Hindenburg pochwycił władzę w ręce. Ma za sobą wojsko. Radkiem bym się nie

przejmował. Z tego, co udało mi się ustalić, to jest dobrze traktowany. Ma przestronną celę, która jest pełna książek. A to temu poliglocie z Tarnowa wystarczy. – Dzierżyński uśmiechnął się, bo lubił tego grubego gadułę. – Jest jeszcze Bawarska Republika Rad, którą wspomagam, czym mogę, ale nie mam dość sił, by zadbać o wszystko. A nie zapominajcie, że muszę mieć na oku także Polaków.

– Polaków! – prychnął Lenin. – Zszywają to swoje państewko z trzech lat w jedną szatę. Ale my sprujemy tę partanię. Niemcy już się do tego zabierają. I jak wróbelki ćwierkają, dobrze im idzie. Zaraz cała Wielkopolska będzie w ich ręku. Znam ja ich, Polaków. Zawistni, małostkowi. O polityce tylko nad kieliszkiem rozprawiać umieją. A jednomyślności wśród nich nie ma nigdy.

Spostrzegł uśmiech, jaki przemknął przez wargi Dzierżyńskiego. Czyżby wiedział więcej, niż mówił? Możliwe. Nie byłby to pierwszy raz. Zawsze zostawiał jakieś asy w rękawie, z których robił użytek, gdy sam uznał, że pora nadeszła. Nigdy mu tego nie wyrzucał, bo wiedział, że Feliks służy mu wiernie. Wiernie i dobrze. W ciągu niespełna dwóch lat potrafił dokonać tego, na co inni pracowali całe dziesięciolecia; często bez powodzenia.

Wbił w niego badawcze spojrzenie. Ale natrafił na jego spokojny, nieprzenikniony wzrok. Postanowił więc mówić otwarcie.

– Wiesz coś, co może wpłynąć na moje postanowienie o sojuszu z Niemcami? Muszę wiedzieć, czy zdołają zająć Wielkopolskę. Moje strategiczne decyzje od tego zależą. Dlatego jeśli cokolwiek wiesz, to mów.

– Niemcy nie zajmą Wielkopolski – odparł. – To pewne. Nie pytajcie tylko o źródło tych informacji. Za dużo tu ludzi. A do negocjowania sojuszu z Niemcami Radek nada się najlepiej.

– Ciekawym, jaka armia ich powstrzyma – rzekł z drwiną Stalin, który już przednio z trudem się powstrzymywał, by nie skoczyć

Dzierżyńskiemu do gardła.

Dawno już miał chrapkę, by przejąć kontrolę nad tajnymi służbami, których rolę rozumiał i doceniał. Dzierżyński był mu w tych planach zawadą, bo słuchać nie lubił nikogo, a najmniej jego. Czuł jego pogardę dla siebie. Drażniła go w nim jego układność i ów sposób mówienia, właściwy ludziom wysokiej godności, który cechował się pogardą i chłodną uprzejmością. Starał się mocno, by przyswoić sobie tę manierę, i nieskładnie mu szło.

Ale zółć w jego sercu odkładała się łatwiej. Nawykł już nie ulegać popędom. Narzucił im wędzidła. Wiedział, że Dzierżyński jest zbyt silny, a on jeszcze zbyt słaby, by mu otwartą wojnę wypowiedzieć. Ale umiał już czekać. Tymczasem kaptował stronników. Takich jak Mikołaj Łazariew. Ich wyniesienie od jego przyszłej kariery zależało.

Dostrzegł, jak Lenin odwraca się ku niemu. Rad był, że wraca do zdrowia. Gdyby był umarł teraz, nie mógłby stanąć w szranki o władzę. Tacy jak Trocki i Dzierżyński rozgnietliby go między palcami. Ale jeśli pociągnie jeszcze choćby te kilka lat, a jemu los będzie się szczęścił tak jak dotychczas, to wkrótce oni wszyscy będą musieli się z nim liczyć. Byle tylko syfilis przedwcześnie Uljanowa do grobu nie pociągnął. Musiał się z kurwami za młodu zabawiać – pomyślał niechętnie.

Lenin jednak tylko spojrzeniem Stalina uciszył i zwrócił się ponownie ku Dzierżyńskiemu.

– Uważaj, przed kim mówisz. Zarzucasz temu szacownemu gremium zdradę?

– Niczego nikomu nie zarzucam. Tylko życie nauczyło mnie tego, że wszystko przewidywać należy, a już zwłaszcza to, czego się człowiek najmniej spodziewa. Za dużo zachodu kosztowało mnie stworzenie siatki wywiadowczej na terenie Polski, bym ją

lekkomyślnie na zniszczenie narażał. Co zaś wiem, tego przed wami nie ukryję i wszyscy to samo zaraz wiedzieć będziemy.

Z zadowoleniem spostrzegł, że wszystkie oczy skupiły się na jego ustach. Podelektował się więc tym przez chwilę.

– Hindenburg, podobnie jak my, Polaków osacza. I srodze się zawiedzie. Nie są oni tacy słabi, na jakich wyglądają. Mają już pod bronią milion żołnierzy. To armia złożona z samych weteranów Wielkiej Wojny, którym życie zeszło pośród krwi rozlewu. Siła to znaczna, z którą liczyć się trzeba.

– I dlatego tajemne rokowania z wrogiem wszczynacie? – spytał Stalin, patrząc na niego bystrze. – Wiem dobrze, że był u was Wieniawa-Długoszowski, z którym w tajne konszachty weszliście. Polska krew się w was odezwała czy zwątpiliście w potęgę proletariatu? – Lenin uniósł pytająco brwi.

Feliks jednak się nie zmieszał. Od dawna już przygotowywał się do odparcia tego ciosu. Wiedział bowiem dobrze, że Stalin wysunie tę sprawę w walce przeciwko niemu. Dlatego uśmiechnął się z wyraźnym politowaniem, które miało do reszty rozwścieczyć Dżugaszwilego.

– Tak, był tu. Przyjechał, by zaproponować nam tajny rozejm, który pozwoliłby nam wykończyć Białych, a im przygotować się do walki. Nie przyprowadziłem go do was, bo byliście wtedy po rekonwalescencji – zwrócił się do Lenina. – A nie chciałem, by wróg widział was chorego i słabego. Nie zobowiązałem się do niczego. Pomyślałem, że sami rzecz rozstrzygnąć zechcecie, gdy czas i spokój siły wam wróci.

Punkt dla ciebie – pomyślał Stalin. Ale nie odpuszczał jeszcze, bo go upokorzenie i nienawiść do walki popychała. Choć wiedział, że tacy jak Feliks nawet przed siłą i przemocą ustępować nie zwykli, a cóż dopiero przed słowem. Ale on siły jeszcze nie miał, walczył więc tym, co miał pod ręką. A na resztę czekał cierpliwie.

– Wroga żywego puściliście. Choć co najmniej kuli był wart. Po to go wypuściliście, by znów kąsał i chłęptał naszą krew niczym wilk?

Dzierżyński spojrzał na Lenina, rozmyślnie przy tym ignorując Stalina, by pokazać mu, jak mało dba o jego słowne ataki. Lenin jednak zmarszczył brwi, dając mu ręką znak, żeby się ze swojego postępowania względem Wieniawy wytłumaczył.

– Człowiek to znaczny między swymi. Zabić go więc nie mogłem. Poza tym przyjechał tu w poselskim charakterze i dopiero by krzyczano na nasze tyraństwo i samowolę, gdyby się wieść o jego śmierci między ludźmi rozeszła. Zresztą może bym i na to nie zważał, bo nasza reputacja w Europie jest mocno ugruntowana i jeden zły uczynek jej nie zmienia, ale Piłsudski traktuje go niemal jak syna. I nie wiadomo, co by zrobił, gdyby się o jego śmierci dowiedział. Mógłby nawet na nas uderzyć. A ja takiej odpowiedzialności wziąć na siebie nie mogłem.

– Dobrze – odparł Lenin, choć po jego twarzy nie można było poznać, czy to tłumaczenie ukoło jego niepokój. – Gdy zajmiemy Polskę, wszyscy polscy burżuje pójdą na sznurki, a on w pierwszej kolejności. Masz kontakt z Radkiem?

Była to jedna z charakterystycznych cech Lenina: ciągle przeskakiwał z tematu na temat. Lecz jego nieprzeciętny intelekt pozwalał mu wiązać je wszystkie tak, by całość danego zagadnienia nigdy mu nie umykała. Wszyscy z tu obecnych znali dobrze jego zwyczaje, więc nagła zmiana wątku nikogo nie zdziwiła.

– Mam – odparł. – Wiadomość łatwo mu przesłać, bo mur tylko człowieka powstrzyma, papieru nigdy. Zresztą, przychodzi tam do niego wielu oficerów, którzy go sondują i objeżdżają z daleka w sprawie sojuszu z nami. O tym myślicie?

– Tak – przyznał niechętnie, bo nie lubił, by mu kto w myślach czytał. Nieufność do ludzi pozostała mu jeszcze z czasów, gdy go

jak zwierzę ścigali. Dobrze pamiętał te czasy. – Trzeba by dać Niemcom coś, co przekonałoby ich o szczerości naszych intencji. Macie coś takiego? Może coś o Wielkopolsce. Zgaduję, że tego, co nam powiedzieliście, z fusów nie wywróżyliście.

Feliks pomyślał o Wiosennym Słońcu. Ale za nic nie chciał ujawniać swojego źródła. Poznał jednak, że dłużej opierać się niebezpiecznie. Postanowił więc naświetlić Leninowi swój punkt widzenia i zdać wszystko na jego wolę.

– Mam coś takiego. I pewnie by nam za to łakoci nie pożałowali. Ale musiałbym ujawnić swoje źródło. I nie ukrywam przed wami, że mi to nie w smak. To agent o randze wprost niezwyklej. I może nam oddać jeszcze wiele usług o nieocenionej wadze, gdy przyjdzie do wojny z Polską. A chyba wszyscy się zgodzimy, że naszym dalekosiężnym celem jest przeniesienie światowej rewolucji na zachód. O ileż będzie to łatwiejsze, gdy będziemy mieli swego człowieka w ich obozie. Tymczasem taka operacja, jaką proponujecie, mogłaby się skończyć jego zdemaskowaniem. I to po to tylko, by się Niemcom przypodobać. Raczcie przy tym pamiętać, że oni Polaków lekceważą, podobnie jak wszystkich Słowian. Jeśli się przekonają dowodnie, że sami tego orzecha nie rozłupią, to mięksi będą przy rozmowach.

Leninowi to samo przyszło na myśl. Znał i on pychę niemiecką. Odczuł ją na własnej skórze w Brześciu, gdzie wyzyskiwali jego rozpaczliwe położenie. Ale nie to go bolało. Sam bowiem, będąc na ich miejscu, pewnie nie postąpiłby inaczej. Bolała go owa pogarda, którą na każdym kroku okazywali jego ludziom. Jakby nie byli ludźmi, a psami, które gryzą się pod ich stołem. To nieuprzejme traktowanie zostawiło w jego duszy palącą ranę. Gdy więc z kolei wojennej karuzeli tak wynikło, że niemieckie powodzenie było zależne od jego decyzji, nie umiał oprzeć się pokusie, by im szyków nie pomieszać. Tym bardziej że własna korzyść nie nakazywała im pomagać.

Machnął ręką, dając tym sposobem znać, że sprawę uważa za ostatecznie załatwioną i nie życzy sobie dalszych sporów w tym temacie.

Stalin skurczył się w sobie. Zdawał sobie bowiem sprawę, że przegrał to starcie na całej linii. A na dodatek Lenin zwrócił się teraz w jego stronę:

– Nastajecie na towarzysza Dzierżyńskiego, a sami własnych grządek upilnować nie potraficie. Umknął wam bowiem człowiek, który katu wydany zostać powinien.

Twarz Stalina spurpurowiała, kark napęczniał, a oczy zwężyły się w wąskie szparki. Gdyby był sam, rwałby włosy z głowy i zadawał ciału ból. Ale że znajdował się w dostojnym towarzystwie, więc tylko oczy mrużył. Jakby to mogło sprawić, że trawiący go gniew osłabnie. Ale przeszkadzała mu w tym twarz Dzierżyńskiego. Raduje się moim upokorzeniem – myślał – a ja nawet nie mogę się bronić.

Nie mógł bowiem powiedzieć, że ów uciekinier nie powąchałby wolności bez pomocy z zewnątrz. Nie mógł przecież oskarżyć jednego z pierwszych dostojników w państwie o zdradę. Jego własna pozycja w hierarchii państwowej jeszcze na to nie pozwalała. Co gorsza nie dysponował nawet cieniem dowodu na potwierdzenie swojej tezy. Na dodatek Feliks dobrze się zabezpieczył. Natychmiast zaoferował mu daleko idącą pomoc swoich ludzi. Jak miał go teraz oskarżyć? Jedyнным jego atutem był Łazariew, który z ochotą sam zgłosił się do zadania i ruszył na polowanie. Znając jego zawziętość, mógł żywić nadzieję, że jeszcze zdoła dogonić i schwytać uciekiniera. Zwłaszcza że Mikołaj miał z nim jakieś porachunki, które stanowiły dla niego osobistą motywację. Stalin prędko układał sobie w myślach gładką i zręczną odpowiedź.

– Nie przynosi mi to zaszczytu – odparł, starając się nie patrzeć na Feliksa. – Ale aż tyle on nieaczy, by mógł całe nasze dzieło

zniszczyć. I jest jeszcze nadzieja, że zdołamy go schwytać. Posłałem już telegrafem wiadomość, by go łapano, jeśli gdziekolwiek się pojawi. Z Rosji muszę się wymknąć niełatwo, a cóż dopiero człowiekowi, który nie ma zapasów jedzenia i wody. A nikt mu ich nie udzieli, bo strach trzyma wszystkich w ryzach. Szybko powinniśmy go dopaść. Zwłaszcza że towarzysz Dzierżyński nie zwlekał z udzieleniem mi pomocy. – Zmrużył oczy jak lew, który sposobi się do zatopienia kłów w szyi gazeli. – Choć po prawdzie są chyba pilniejsze sprawy, którymi powinien się zajmować. Doszły już chyba do was wieści o tym, co wydarzyło się w Smatryczach. A jeśli nie, to chętnie was z nimi zapoznam. W mojej opinii są to sprawy tak ważne, że Czeka powinna rzucić wszystko, by się tym zająć – zasugerował napastliwie.

Tu streścił zdarzenia, które miały miejsce w wiosce. Z zadowoleniem obserwował, jak twarz Lenina to błednie, to czerwienieje. Stalin dobrze bowiem znał jego słabości i celnie uderzał. Lenin nienawidził carskiej rodziny, gdyż to ją winił za śmierć swojego brata. Teraz Gruzin nie wątpił, że gniew wodza zwróci się w pierwszym rzędzie przeciwko Feliksowi. On to bowiem odpowiadał za sprawne przeprowadzenie mordu na ostatnich latoroślach rodu Romanowów, a szerzące się od dłuższego czasu pogłoski o Anastazji zdawały się zaprzeczać sprawnemu wykonaniu roboty.

Gdy jeszcze mówił, spojrzął na twarz Dzierżyńskiego, jakby chciał sprawdzić reakcję na cios, który mu właśnie wymierzał. Jednak nie bardzo zawiść swoją nakarmił. Feliks bowiem zdawał się nudzić. Na jego wargach wciąż błąkał się uśmiech, którego znaczenia nie umiał odgadnąć. Dżugaszwili z rozdrażnieniem obserwował, jak nalewa sobie wódkę. Zdawał się skupiać wyłącznie na tej czynności, jakby cała ta narada zupełnie go nie dotyczyła. Stalin nie potrafił sobie tego logicznie wytłumaczyć.

Za to Lenin zareagował zgodnie z planem. Usłyszawszy te rewelacje, aż poderwał się z miejsca, które był dotychczas zajmował. A twarz skurczyła mu się jak u wściekłego psa, gdy chce kąsać. Przez chwilę stał, wsparty rękami na blacie od stołu. Następnie wskazał ręką na drzwi, dając znać, że nie życzy sobie niczyjej obecności przy rozmowie, jaką chciał przeprowadzić. Rozległ się hałas odsuwanych krzeseł. Jego współpracownicy wychodzili prędko.

Znali Dzierżyńskiego. Wiedzieli, że to hardy człowiek, który zważa tylko na to, co mówi, a nie przed kim. Lenin zaś słynął szeroko z wybuchowego temperamentu. To kazało ludziom przypuszczać, że zadzierka takich charakterów na byle czym się nie skończy.

Stalin miał triumfującą minę. Już sobie układał, jakie korzyści mógłby z tego sporu dla siebie wyciągnąć. Dlatego z pewnym żalem zamknął za sobą drzwi. Wiele by bowiem dał, by móc słyszeć tę rozmowę.

Lecz gdyby ją słyszał, to musiałby przyznać, że nie poszła po jego myśli.

Feliks sączył swoją wódkę z najwyższą obojętnością, jakby nie zauważając gromadzących się nad jego głową czarnych chmur. Obserwował Lenina przez grube szkło swojej szklanki, a na koniec rzekł z uśmiechem:

– Rad wam jestem w waszym domu jakoby w swoim własnym. Usiądźcie lepiej, bo jeszcze was krew zaleje.

– Bardzo jesteś pewny mojej łaski, jeśli nie słabości, skoro posuwasz się do kpin. Ale ja jestem tu panem i wiedz, że swoją wolę potrafię przeprowadzić. – Lenin usiadł na krześle, wspierając ramię na poręczu krzesła.

– Waszej łaski nie potrzebuję, bom nie starzec, który cudzymi siłami musi się wspierać, kiedy własnych już nie ma. I nie zdałbym się na nią, gdybym jej pewnym być nie mógł. Naprawdę słowa tego

Gruzina o mentalności złodzieja, który tylko dziwnym kaprysem losu otrzymał tak dużą władzę, tak was poruszyły?

Lenin uderzył pięścią w stół.

– Nie o niego tu chodzi! Miałaś zakończyć sprawę Romanowów raz na zawsze! A czego się dowiaduję?! Oto uciekła ci panna, która ma legalne prawo do następstwa po ojcu! A wiesz równie dobrze, jak i ja, że nadal są w tym kraju ludzie, którzy usiłują ją na ten tron wprowadzić!

– Marni oni i bez znaczenia.

– Teraz, dziś – warknął. – Ale ja nie mam zamiaru żyć z taką perspektywą. Może ona bowiem zachęcić państwa zachodnie do ponownej interwencji. Masz ją znaleźć!

– Nie muszę – odparł, sięgając po kolejną szklanekę. – Wiecie, że w Polsce dobra jest tylko wódka i dziewczyny?

Oczy Lenina błysnęły gniewem. Ale mimo całego oburzenia zaczął go zastanawiać dobry humor Feliksa. Prawda, był potężny i nie byle kto mógł go swoją zemstą osiągnąć. Ale on mógł to zrobić. Dlaczego więc Dzierżyński drażnił go bez potrzeby?

– Co ty w tym masz? – zapytał zdławionym od gniewu głosem. – Mów! Zanim stracę cierpliwość. Nie mam wcale dobrego serca, o czym powinienś wiedzieć najlepiej.

– Dobra może być tylko dupa. Ale myśleć zaczynacie. To dobrze. Naprawdę sądziliście, że podłotek zdołałby umknąć spod mojej ręki? Ręczę wam moim osobistym słowem honoru, że ciało córki Mikołaja II spoczywa sobie spokojnie na dnie szybu kopalnianego. I o ile wiem, to nigdzie się stamtąd nie wybiera.

Lenin oddychał szybko. Nie potrafił uwierzyć, że dał się podejść jak dziecko. On, o którym mówiono, że w intrydze i przebiegłości nie ma sobie równego między politykami. Spojrzał na Feliksa z podziwem. Wprawdzie nie bardzo jeszcze rozumiał, jaki sens miało tworzenie mitu cudownie ocalonej carskiej córki, ale nie wątpił, że w samym tym działaniu tkwił głęboki sens. Po prostu

człowiek, którego miał przed sobą, nie zwykł poruszać się po omacku.

– Nie rozumiem, czemu ma służyć taka zabawa. I pamiętaj, że ludzie mogą w to nie uwierzyć. Zgaduję, że to z twojego rozkazu przeprowadzono masakrę w Smatryczach. Bykowski był moim dobrym sługą.

– Uwierzą – odparł kpiąco. – A kobiety zwłaszcza. Jaka piękna historia. Śliczna carówna ucieka z rąk bolszewickich siepaczy. Sama, samusieńka błąka się po zaśnieżonych stepach. W końcu, ledwie żywa, dociera do swoich zwolenników, a ci robią z niej symbol, który ich jednoczy. – Pociągnął nosem, udając wzruszenie. – Już sobie wyobrażam, jak kobiety wycierają łyzy w fartuchy kuchenne. Wy sami uwierzyliście, a należycie do inteligentnej mniejszości.

Spostrzegł, że Lenin aż pokraśniał z zadowolenia. Łasy na komplementy jak panienka – pomyślał.

– Co do Bykowskiego: nie ma większego zaszczytu dla sługi, jak oddać życie za sprawę swego pana. Dobrze wiecie, że Biali i ich zachodni sojusznicy bardzo chcą zbudować na naszym terenie swoje siatki wywiadowcze. Wydadzą na to każde pieniądze. A mnie się gotowy grosz przyda. Już teraz jedzie tu brytyjski kurier, który wiezie kilkadziesiąt milionów funtów w złocie i w papierach. Kontrolują go moi ludzie. W ten sposób uzyskam fundusze na działania wywiadowcze i będę dezinformował przeciwnika.

Lenin z wzrastającym zdumieniem słuchał kreowanej przed jego oczami wizji wielkiej gry operacyjnej. Obserwował zarumienioną z emocji twarz Dzierżyńskiego, który intensywnie gestykułował. Przez chwilę z podziwu aż oddechu złapać nie mógł, i tylko patrzył na Feliksa rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

Feliks zaś wziął się pod boki, bo sam zadowolony był z siebie. Potrafił docenić wielkość swojego dzieła i z góry już cieszył się na

swój sukces. I to mimo tego, że Lenin rzucał mu kłody pod nogi. Po zamachu na swoje życie kazał aresztować wszystkich agentów przeciwnika. W tym niejakiemu Sidneya Reilly'ego. Pamiętał dobrze, ile się naprosił, nabłagał, by nie niszczone mu wielowątkowej tajnej operacji, której Anglik był kluczową częścią. Ale na próżno rwał włosy z głowy – rozkaz musiał wykonać. Tyle przynajmniej zdołał wymóc, by go nie zamęczono, bo był mu potrzebny.

– Teraz rozumiem, czemu tego Anglika tak bardzo oszczędzić chciałeś – rzekł Lenin. – Pozostawię tę sprawę pod twoim nadzorem, bo widzę, że sam ją dalej do szczęśliwego końca doprowadzić potrafisz.

Rychło w czas – pomyślał Dzierżyński. Trzeba było wcześniej dać się przekonać. Ale nie pokazał ogarniającej go irytacji. Dobrze potrafił to, co myślał, na dnie serca schować. Na jego twarzy Lenin dostrzegł tylko zadumę.

– Zostawcie sprawy wywiadowcze w moich rękach. Wiecie, że służę wam zrećnie i wiernie. I choć nie wszystkie moje działania są dla was jasne i wydają plony od razu, to proszę mi wierzyć, że służę dobremu celowi. W tym, co robię, najważniejsza jest zrećność i finezja.

– Dlatego włączasz do swej służby byłych carskich ludzi, którzy z jego rozkazu wiele złego tobie i mnie zrobili? Ty takich ludzi na swoim wikcie trzymasz, których lojalności pewnym być nie można.

– Gdy kto miecz wrogowi wytrąci, sam go wziąć może – odparł z pozornym spokojem, choć w duszy kipiał z gniewu. Sam nawykł sobą rządzić. I nie lubił, by jego wolę ktokolwiek śmiał naginać do swojej. Teraz poczuł, że w tym kraju istnieje siła, która ręce skrećpować mu może. Budziło to jego gniew, bo od dziecka wiedział, co znaczy siły nie mieć. Gdy był słaby, pogardzał nim każdy i tręcał nogą niczym tego wygłodniałego, starego psa, który już nawet kąsać nie mógł. Dziś to poczucie zależności było dla niego tym

boleśniej, że nawykł rządzić się jako pan samowładny. Tymczasem Lenin wtrącał się do jego gospodarstwa, które dotąd Feliks sam własnym pomysłem urządzał.

– Ci ludzie są mi potrzebni, póki własnych nie wychowam. Potem sam się nimi zajmę. Na razie jednak włos im z głowy nie spadnie – stwierdził, patrząc wyzywająco w oczy Lenina.

Ten miał rozwścieconą twarz i brwi groźnie marszczył. Krew napłynęła mu do lica, które rumieniło się i bladło na przemian. Pierś unosiła się w szybkim oddechu, jakby nie miał czasu, by tchu zaczerpnąć. Oczy iskrzyły mu się i rozszerzyły z wściekłości, a warga zaczęła się trząść. Rękoma sięgnął do kołnierzyka, by go rozpiąć; palce mu drżały.

– Tamci ludzie umrą teraz... – rzekł rwanym przez szal głosem. – Nie będę tolerował tego, by pod moim bokiem tkwili dawni carscy agenci. Jeszcze dzisiaj każ ich ściąć.

– Nie – odparł. – Nie pozwolę zniszczyć wam tego, na co latami pracowałem. Idźcie do Trockiego i zapytajcie go, czego mu brakuje.

– Armia Czerwona to potęga! – wrzasnął Lenin, opryskując go kroplami śliny. – Podbiliśmy całą Rosję. Upokorzyliśmy białych generałów, którzy lada dzień trafią na drzewa. Ja w tym... Pilnuj się, byś miary nie przebrał. Pamiętaj, że to moje ręce wyniosły cię na piedestał i one też strącić cię mogą – rzekł groźnie. – Trafisz do obozu, gdzie żałował będziesz, że wzgardziłeś moją łaską.

Otarł swoją twarz wierzchem dłoni.

– Nie boję się, bom żołnierz. A Trockiemu brak dobrych oficerów. I gdyby Biali mniej szarpali się między sobą, to oni by nas wieszali, a nie my ich. Wielu oficerów średniego szczebla nie kocha swych dowódców. Dość będzie rękę do nich wyciągnąć, by na naszą stronę przeszli. Generałowie bowiem batem zmuszali ich do posłuszeństwa i utrzymywali w dyscyplinie. Sami o tym wiecie. Nie są to bowiem żadne dla was nowinki. Ale co mają robić, jeśli my oferujemy im tylko śmierć? Trocki o tym nie powie, bo boi się

waszej niełaski, ale bitwy z dobrze zorganizowanym wojskiem bardzo się obawia. Nie ma dość środków łączności ani ludzi.

Lenin zagryzł wargi. Bał się ust otworzyć, by w pierwszym odruchu nie kazać strącić tej zuchwałej głowy z karku. A miał na to straszliwą chęć. Poczul teraz swą zależność od tego człowieka. Brak mu bowiem było takich ludzi, którzy bez jego nadzoru wiedzieli, co robić należało. Wizjonerów. A z drugiej strony nie chciał mieć przybocznych, którzy o byle co do oczu by mu skakali. Taki był tylko jeden Dzierżyński. Ale tylko on mógł piastować tę funkcję. I nie było go kim zastąpić. Kto z tych swoich ostał się przy nim?

Trocki. Ale on miał dość pracy z organizacją Armii Czerwonej, którą jak najprędzej należało w sprawną maszynę zamienić, jeśli miała podołać zadaniu, jakie Włodzimierz przed nią postawił. Trocki pracował teraz nad przeprowadzeniem powszechnego poboru, który na kwiecień wyznaczył. Ledwie miał czas, by siły snem pokrzepić, i nową funkcją nie należało go obarczać, bo by jej nie podołał. Stalin? Dobry do służby i do niczego więcej. Inni byli jeszcze mniej przydatni. I w dodatku każdy z nich miał swoje sprawy. Ten parszywy Polak był jedynym człowiekiem, który zdawał się w ogóle nie czuć trudu w kościach.

Wie cwaniak, że ma mnie w garści i warunki stawiać może – pomyślał. Dobrze, że o małą rzecz chodzi. Bo w tym ma słuszość, że dobrze jest wrogów wyzyskać, nim się ich pozbędzie na zawsze. Ale myśli, że nie może swej woli przeprowadzić, nie potrafił przełknąć.

– Co w sprawie polskiej przedsięwziąłeś? – rzekł ochryplym głosem. – Trzymaj sobie tych carskich ludzi, jeśli ci tak na tym zależy, tylko uważaj, by ci się z rąk nie wymknęli. Oczywiście w tym, co mówiłeś o polskiej potędze, nie ma słowa prawdy. Ale wojna z Polską jest nieunikniona. Dlatego już dziś zaczniemy się do

niej przygotowywać. Chcę otrzymywać dokładne meldunki o stanie polskich przygotowań obronnych.

Dzierżyński tylko się uśmiechnął. Nie jemu mówić takie rzeczy. Dawno już zaczął się pleść. Wciągał do niej całe mnóstwo ludzi kierujących się różnymi motywacjami: kolejarzy, lekarzy, bogate panny, włóczęgów i dziadów. Miał pod swoimi rozkazami praktycznie cały przekrój społeczny. Wiedział bowiem, że im się ma więcej oczek, tym łatwiej szczupaka w nią pochwycić. Ale wiedział też, że takim ludziom wiele szczęścia potrzeba, by na jakiś ślad wpadli. Dlatego prawdziwe nadzieje wiązał z kilkoma agentami, których umieszczenie kosztowało go niemało zachodu. Ale tego Leninowi wyjaśniać nie myślał.

– Niczego ja więcej też sobie nie życzę – odparł, odnosząc się do kwestii wierności byłych wiernych carowi. – A co do Polaków? Nie przeceniam ich. Ale też i siebie. Zbroją się na potęgę. Wszystko, co mają, przetapiają na gotowy grosz i nowe oddziały wystawiają. Wieniawa nad tym ślęczy, a to żołnierz dobry i doświadczony, który wie, jak rekrutów w zdyscyplinowanych i dobrych żołnierzy zamienić. Nasze szczęście, że nie tylko nas wśród swoich wrogów mają. Dlatego siły rozdzielać muszą.

– Zbroją się?! To niemożliwe! – ryknął Ilicz Uljanow, nie panując nad ogarniającymi go emocjami.

– Dla Polaków niemożliwe jest tylko to, co im żony zrobić każą. Taki obraz wyłania się z meldunków, które otrzymuję. Dlatego powtarzam: czekajmy cierpliwie. Nie brak w Polsce ludzi ambitnych, którzy mają na uwadze tylko koniuszek własnego nosa. Tych zręcznie użyć mogę, by wbić klin w dzieło zjednoczenia. Skłóćmy ich ze sobą. Inaczej we własnej krwi pójdziemy do Berlina.

– I myślisz, że nas pokonają? – zapytał.

– Tego nie myślę. Mniemam jednak, że czeka nas długotrwała i ciężka kampania, która może nas kosztować mnóstwo sił.

Lenin przyznawał w duszy słuszność rozumowaniu Feliksa. Miał jednak pewne powody, dla których nie chciał i nie mógł odwiekać akcji przeciwko Polsce. Znał tamten kraj i ludzi go zamieszkujących. Wiedział, że drogą, którą wskazał mu Dzierżyński, sugerując czekanie, doszedłby do celu. Ale droga ta nie będzie krótka. A korzystna koniunktura polityczna nie będzie trwała wiecznie. Niemcy opanują sytuację w kraju i uspokoją wrzenie. Polacy też nie będą czekać beczynn timer, skoro już teraz robią wszystko, by się wzmocnić, w przewidywaniu nadchodzącego starcia. Machnął ręką.

– Wojna z Polską jest nam niezbędna. Jest naszą koniecznością życiową. Wolna Polska, wolna Łotwa i Litwa są dla nas nie do przyjęcia. Musimy jak najszybciej połączyć się z niemiecką rewolucją, póki Hindenburg nie opanował sytuacji. Wszystko nie ułoży się nigdy. Lepiej niech runie, co słabo stoi, bym wiedział, co i z kim mam budować.

– Jak chcecie – odparł krótko Dzierżyński, a następnie wstał i wyszedł.

Z trudem powstrzymał się, by nie trzasnąć drzwiami. Szedł szybko, nie odpowiadając na powitania pochlebców, którzy wieszali się przy nim dla własnej korzyści. Czasem rzucał im jakieś ochłapy ze swojego stołu, by głód nie zachęcił ich do skoczenia mu do gardła. Teraz jednak nie zaszczycił ich nawet jednym spojrzeniem.

Wyszedł na zaśnieżone ulice Moskwy. Wsiadając do czekającej na niego dorożki, obojętnym wzrokiem zlustrował kilka sztywnych trupów, które właśnie załadowywano na niewielkie dwukołowe wózki. W bramach kamienic siedzieli żebracy w łachmanach i wyciągali chude ręce do potencjalnych ofiarodawców... Ci jednak, puste kieszenie mając, obojętnie ich mijali. Sami bowiem snuli się niczym cienie, patrząc na swoje drewniaki. Ich twarze był wymizerowane i zobojętniałe na wszystko.

Po zaśnieżonych ulicach nie poruszały się inne dorożki, bo prawie nikogo nie było stać na utrzymanie konia. A gdyby nawet było, to poszedłby na rzeź, by głód właściciela zaspokoić. Ludziom brakło bowiem wszystkiego. Sterany wojną kraj nie potrafił zapewnić im rzeczy niezbędnych do egzystencji. Brakło opału. Ludzie rąbali meble, napadali na pociągi z węglem i żywnością, która szła na front. Głodno było nawet na wsi.

Feliks wiedział o tym, dlatego nie zdziwiły go długie kolejki stojące przed pustymi sklepami. Ludzie stali w nich chyba tylko po to, by cokolwiek zrobić. Półki sklepowe były bowiem puste, jeśli nie liczyć portretów przywódców. Patrzył na to ze swojej dorożki i rzekł do siedzącego obok Miszy Kostriułewa:

– Dostałeś od moich ludzi po gębie, ale nie wyglądasz gorzej niż oni. Lada chwila sami będziemy mieli rewolucję, która nas zmiecie. Ci ludzie nie mają co jeść, gdzie mieszkać, czym domów ogrzać. A zaraz będzie nowa wojna, na którą łożyc będą musieli.

Misza zawahał się. Ani myślał przekomarzać się z Dzierżyńskim. Nie jego poziom. Poza tym nie wiedział, do czego jego rozmówca tak naprawdę zmierzał. Poznał go już bowiem na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy słów bezcelowo nie wypowiadał. Teraz chyba rozmawiał sam ze sobą, bo ani jednym ruchem czy gestem nie dał mu do zrozumienia, że życzy sobie, by był jego partnerem do rozmowy.

Spostrzegł, że wyszedł z narady bardzo wzburzony. Zastanawiał się, co mogło być przyczyną owego wzburzenia. Nie znał zbyt wielu ludzi, którzy mogliby mu się przeciwstawić. Słyszał wprawdzie, że Stalin z nim walczył, ale on był zbyt słaby, by Feliks mógł traktować jego wrogość poważnie. Gdyby bowiem tylko zechciał, mógłby go zniszczyć.

– Dobrałeś już ludzi, którzy wykonają zadanie w Krakowie?

– Tak.

– To dobrze – odparł Dzierżyński, uśmiechając się złośliwie. – Sam najpierw pojedziesz do Torunia. Tam nawiądziesz kontakt z naszymi dwiema agentkami, które mają rozpracowywać obronę brodów na Wiśle. Potem wyjedziesz do Warszawy.

– A Kraków? Miałem pokierować tą akcją – przypomniał, okrywając się szerszej paltem, bo wiatr zaciął mokrym śniegiem.

Dzierżyński nie odpowiedział, tylko wychylił się z dorożki, by obserwować dzieciaka, który właśnie usiłował zręcznie przechwycić bochenek chleba. Chłopak miał na sobie znacznie za duże i za obszerne palto. Na nogach nosił pantofle, co samo w sobie budziło zdziwienie Feliksa. Drobne bosc stópki ledwie się w nich mieściły. Na kędzierzawej blond czuprynie tkwił beret z antenką, który nosił przechylony w prawo. W jego młodzieńczych rysach widać było to, co musiał przeżyć. Nos miał rzymski, a w błękitnych oczach czaiła się szalona determinacja.

Feliks wychylił się głębiej i kazał zatrzymać dorożkę. Ciekaw był rezultatu tego pojedynku. A poza tym miał już swoje na chłopca widoki. Potrzebni mu byli ludzie na wszystko gotowi. Jeśli chłopak tak długo przetrwał na ulicy, oznaczało to, że miał w sobie naturalny talent, który należało tylko rozwinąć w odpowiednim kierunku. Spodziewał się tanio go kupić. A potrzebował ludzi lojalnych tylko wobec siebie. Z dzisiejszego starcia z Leninem wynikało niezbiecnie, że on dziś z nim, jutro przeciw niemu.



Tymczasem chłopiec wolnym, pozornie obojętnym krokiem zbliżał się do straganu. Klient, którego poprzednio miał na oku, zniknął mu gdzieś w tłumie. Poza tym nawet mając pieniądze, mógł towaru nie dostać, ponieważ go nie było. Młody organizm chciał jeść, zwierzęcy instynkt nakazywał mu sięgnąć po rumiany, okrągły,

ciepluteńki bochenek, bez względu na okoliczności i niebezpieczeństwo. Ślina spływała mu do gardła, a wściekłe ssanie w żołądku walczyło o lepsze ze strachem.

Tak, bał się. Każda żyłka jego drobnego, zabiedzonego ciała trzęsa się w nim ze strachu. Ręce mu drżały, a oczy błyszczały gorączką, gdy patrzył na bochenek. Każdy krok, który robił, zbliżał go ku niemu. Serce biło mu niespokojnie, a oddech przyśpieszał. Wiedział, że zbliża się decydująca chwila. Jeszcze jeden krok, szybki ruch i schowa chleb pod paltem.

Tu przed oczyma wyobraźni stanęła mu Tania – jego mała siostrzyczka. Dobrze pamiętał, co przysiągł umierającej matce. Dał słowo, że mała będzie bezpieczna pod jego opieką. Nie dopuści, by trafiła do zeków czy sprzedawała swoje wdzięki za kawałek chleba. Jak na razie wywiązywał się z danego słowa, jak potrafił. To on buszował po ciemnych zaułkach, by zwędzić choć trochę żywności. I choć czasem z takich wypraw przywoził tylko guzy i rany, to ich nie zaniechał, bo wiedział, że jest odpowiedzialny nie tylko za siebie, ale przede wszystkim za Tanię. Czasem udało mu się przynieść odrobinę żywności. Wówczas mała ścisłała go, a jego przenikało dziwne ciepło, które nie pochodziło z pieca. Mieszkali bowiem po piwnicach, za towarzystwo mając szczury i koty. Szybko nauczył się od innych, jak należy je łapać i piec. Szczurze i kocie mięso było ich jedynym wysokobiałkowym pokarmem. Nie potrafił, tak jak inni, napadać na kostnice, choć słyszał od ludzi dobrze poinformowanych, że ludzkie mięso smakuje jak kurczak. Sam nigdy nie posunął się do kanibalizmu, choć głód odcisnęła i na nim swoje piętno. I nie raz stawiał go na progu szaleństwa. Ale nie przekroczył jeszcze granicy, spoza której nie było już odwrotu, choć mógł przekroczyć ją łatwiej niż inni. Cierpiał bowiem sroższe katusze głodowe niż oni. Oni mogli skupić się tylko na własnym przetrwaniu. On miał na głowie siostrę, a nigdy mu przez myśl nie

przeszło, żeby ją porzucić. Był bowiem ostatnim mężczyzną w rodzinie.

Aby tylko go chwycić – myślał, patrząc na pachnący bochenek. Starczy na jakieś dwa tygodnie. Mamy początek lutego. Inne zaraz będą noce. Byle tylko udało się kwietnia doczekać. Pojadą na wieś. Tam o jedzenie i o robotę łatwiej. Choćby miał się po łokcie urobić, to ich nie będzie żałował, byle Tani przyszłość zapewnić.

Zręcznym ruchem uchwycił chleb, schował go pod palto, by mu go kto silniejszy nie wyrwał; nieraz już tak bywało. Natychmiast pomknął w dół ulicy. Za sobą słyszał krzyki i wrzaski przerażonej babiny, której wypiek zawinął. Nie zważał na nie. Wygrywa silniejszy, zręczniejszy, tego nauczyło go życie. Biegając, wywraçał przechodniów, którzy nie dość szybko ustępowali mu z drogi lub usiłowali przechwycić chleb. Bycie szybkim i drobnym ma swoje zalety. Z wprawą manewrował między nogami i rękami ścigających go ludzi.

Niedopasowane pantofle ślizgały się na ubitym, mokrym śniegu. Zimny wiatr chłostał go podmuchami i lodowatymi drobinkami śniegu, ale odsadził swoich prześladowców na dobre kilkadziesiąt metrów. Mógł mieć nadzieję, że zdoła się wymknąć, ponieważ w czasie swoich nocnych wojaży poznał wszystkie mroczne zaułki tego miasta. Potrafił w nich wyparować jak kamfora. Rozejrzał się dookoła, wypatrując odpowiedniego momentu. Wtedy dostrzegł dorożkę i wychylonego z niej człowieka.

Pewnie ktoś znaczny – pomyślał, patrząc na dorożkę, do której zaprzężono dwa kare konie. Dostrzegł też liczną obstawę. Nie zdziwiło go to. W tej dzielnicy często natknąć się można było na przeróżnych oficjeli. On sam widział już kilku. Naturalnie oni nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Był dla nich mniej ważny niż kostka brukowa, po której stąpali. Dlatego nie spodziewał się ze strony pasażera dorożki jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Co

mógł go bowiem obchodzić jakiś lichy moskiewski złodziejaszek? Liczono ich przecież w setki, jeśli nie w tysiące. Rzucił spojrzenie do tyłu. Pogoń znikła mu już z oczu zupełnie. Szkoda im bezcennych kalorii, by mnie ścigać – pomyślał.

Pogodny uśmiech rozjaśnił mu twarz. Czuł ciepło chleba pod paltem. Brała go nieprzewyciężona ochota, by pochłonąć go na ulicy. Poczuc jego smak na języku. Najeść się wreszcie! Należało mu się to. Jakaś nagroda za trud, który wziął na swoje słabe jeszcze barki. Czego Tania nie widzi, tego i jej nie żal. A on siły mieć musi, by o nią dbać. Jeszcze dwa, trzy dni i to jego wezmą na wózek i zawiozą do najbliższej kostnicy, by rodziny lekarzy najadły się nim do syta.

Nie wiadomo, jak by się skończyła ta jego wewnętrzna walka, która powtarzała się każdego dnia z podziwu godną regularnością. Jak do tej pory to serce zwyciężało instynkt, który nakazywał mu, by zadbał o siebie. Ale dziś był już u kresu wytrzymałości. Ogarniało go znużenie śmiertelne i zubożenie. Musiał pokrzepić czymś swe ciało, by mu służyć nie przestało. Ale zaraz owa walka wewnętrzna zesłała w jego umyśle na dalszy plan. Dostrzegł bowiem, że od strony dorożki biegnie ku niemu człowiek. Jednym rzutem oka ocenił swoje położenie i szanse. Był młodszy i zręczniejszy, ale miał za sobą wyczerpujący bieg. Poza tym tamten nie wyglądał na takiego, co nie dojadł, chociaż nie wyglądał zbyt okazale. Z tego, co zdążył spostrzec, miał powybijane zęby i ślady po sińcach na twarzy. Były stare, ale rozpoznał je nieomylnie.

Tamten posłał go za mną – pomyślał; chodziło mu o Dzierżyńskiego. Nie oddam ci mojego chleba, padalcu. Przynajmniej nie bez walki.

Porwał się do biegu. Liczył na to, że zdoła zgubić ścigającego w labiryncie uliczek. Ale przeliczył się z własnymi siłami. Już po kilkudziesięciu metrach płuca zaczęły palić go żywym ogniem.

W skroniach huczała krew. Czuł coraz bardziej nieregularne bicie serca, które wściekle pompowało krew. Zdawało mu się, że za chwilę rozsądzi jego wątłą klatkę piersiową. Tlen nie dochodził do wszystkich komórek. Ból rozgrzanych długotrwałym wysiłkiem mięśni stawał się nie do zniesienia. Coraz częściej potykał się na ukrytych pod grubą warstwą białego puchu nierównościach gruntu, a przed oczami momentami widział już tylko mroczki.

Ale myśl o Tani sprawiała, że biegł dalej. Wiedział, że ona tam na niego czeka. Wolał nie myśleć, co by się z nią stało, gdyby jego życie dziś znalazło swój kres. A jednak rozkołysana wyobraźnia podsuwała mu coraz okrutniejsze obrazy. Miała w czym wybierać, bo od dawna już zespolił się i zżył z tym dzikim światem, w którym królowała przemoc i zbrodnia. Chronił przed nim Tanię, starając się ze wszystkich sił, by nie odczuwała zbyt grozy swego położenia. Lecz kto to dalej robić będzie, jeśli on tu zginie?

Bo nie łudził się, że sprawa zakończy się na odebraniu chleba. Nieznajomy będzie pewnie wolał nie zostawiać zbędnego świadka i pchnie go nożem. Zostanie na tym śniegu – sztywny, ze szronem na twarzy, aż go ktoś uprzątnie. Coraz częściej spoglądał do tyłu. I za każdym razem nieznajomy był coraz bliżej. Niemal słyszał jego przyśpieszony oddech i czuł go na plecach. Mógł po nim poznać, że goniący jest jeszcze dość daleki od wyczerpania sił. Wiedział też, że jego własne skończą się wcześniej i że ocalić go może tylko jakiś rozpaczliwy atak.

Wsunął drobną rączkę do kieszeni palta. Poczł pod powierzchnią dłoni rękojeść noża i przeszył go dreszcz. Nigdy jeszcze nikogo nie zabił. Nie wiedział, jak to jest patrzeć w gasnące oczy żywego jeszcze przed chwilą człowieka. Nóż nosił ze sobą, żeby nie czuć się całkowicie bezbronnym, lecz nie zamierzał go używać. Ale teraz, gdy nadeszła chwila stanowcza, nie potrafił podjąć rozstrzygającej decyzji.

Jeśli go nie zabiję, ja i moja siostrzyczka umrzemy z głodu – pomyślał, jakby chciał przekonać sam siebie do podjęcia rozstrzygającej wszystko decyzji. Raczej instynktownie wyczuł, niż konkretnie poczuł, że napastnik jest już dokładnie za jego plecami. Nieporadnym ruchem wydobył i otworzył sprężynowy nóż, po czym natychmiast obrócił się i wprowadził cios. Nie celował w konkretny punkt – nie potrafił tego.

Małe wątle ramię wystrzelił przed siebie, a czubek wąskiego, stalowego ostrza pomknął ku przeponie Kostriulewa. Ten jednak chwycił podlotka za pokryte skórą ramię. Nacisnął nieznacznie na nadgarstek. Nóż wypadł z dłoni chłopca i potoczył się na ziemię. Mimo to młodzik szarpał się niczym świeżo schwytane lwiątko. Choć Miszy przypominał raczej zabiedzone kocię, próbował bowiem dosięgnąć pazurkami jego twarzy i oczu. Kostriulew mógł uderzyć go w splot słoneczny lub w nasadę nosa, ale nie chciał używać przemocy. Dlatego czekał cierpliwie, aż chłopak po prostu opadnie z sił i sam uzna własną klęskę.

Chwycił go za kark i choć dzieciak się opierał, poprowadził go do Dzierżyńskiego, który wyskoczył z dorożki, by kości rozprostować. Feliks spojrzął na zabiedzone oblicze malca i zaczął się zastanawiać, czy zdoła swój zamysł w życie wprowadzić.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał.

Chłopiec uniósł znużone, zaczerwienione i zapłakane oczy. Patrzył przez łzy w zimne oczy tego człowieka, w tę twarz, która wydała mu się znajoma. Desperacko myślał o chlebie. Byłe nie zabrali – powtarzał sobie w duszy.

– Znacni być musicie. Grubi jesteście – rzekł prostolinijnie.

– Przy tobie to każdy gruby.

Feliks patrzył na jego przezroczystą skórę, bez grama tłuszczu. Zastanawiał się, czy mogłoby poczuć każdą ukrytą pod nią kosteczkę. Pewnie tak. Ale jeśli go odchowa, odkarmi, to może z tego spotkania korzyść dla siebie wyciągnie.

– Jak masz na imię?

– Iwan – padła cicha odpowiedź. – Iwan Saszkin.

– Niepotrzebnie pytałem. U was co drugiemu Iwan. Dawno na ulicy żyjesz?

– Czwarto rok.

– Sam?

Pospiesznie kiwnął głową. Nie chciał za nic w świecie, by ten człowiek dostał w swe ręce Tanię. Siebie już odżalował. Śmierci się nie bał. Spowszedniała mu. Poza tym batuszka mówił, że po śmierci człowiek ani głodu, ani pragnienia nie czuje. Ani zimna, ani chłodu. Dobrze w tym rajku być musi. Kraść nie trzeba i skakać z wiaduktów na lory z węglem, byle choć kilka bryłek na torowisko rzucić. Żałował tylko tego chleba, co go za pazuchą miał.

– Chcecie mnie zastrzelić, to zastrzelcie. Dawno na śmierć tylko czekam – rzucił jak wyzwanie.

– Nie żal ci życia? – pytał Feliks, patrząc w poważne, jakby pogodzone z losem oczy chłopca.

– Nie takiego, jak moje.

– Kłamiesz. Masz ty kogoś bliskiego. Nauczę cię kłamać, bo bez tej umiejętności ciężko by ci było wyżyć na tej ziemi. A na śmierć nie czekaj. Przyjdzie bez czekania, ani się spostrzeżesz kiedy. Ale jeszcze nie teraz. Tymczasem do mojej osobistej służby cię biorę. Tam nauczysz się wszystkiego. I kłamstwa też. Twoimi bliskimi też się zajmę.

– Nie mam żadnych bliskich – odrzekł Iwan nieco za szybko. – A ty kim jesteś, by mi takie propozycje składać?

Dzierżyński uśmiechnął się przekornie.

– Nie kłam... – rzekł z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Lepiej bierz to, co sam los wkłada ci w ręce. Chyba że wolisz zostać w tym rynsztoku i do śmierci kraść babinom bochenki ze straganów. Ja oferuję ci wpływ na historię. I gwarantuję, że ani ty, ani twoi bliscy krzywdy w nowej służbie nie zaznacie. Ile ty masz lat? Może

jeszcze za młody jesteś, by umieć należycie dar mój docenić. Radzę ci, namyśl się dobrze, nim go odrzucisz.

– Czternaście – padła szybka odpowiedź.

Obaj czekałsi unieśli brwi ze zdziwienia. Uprzednio bowiem sądzili, że mają do czynienia z dzieckiem góra dziesięcioletnim. Ale nie było w tym nic dziwnego. Iwan bowiem nie mógł się normalnie rozwijać. Nie dostarczał swojemu organizmowi tych mikroelementów, których ten tak bardzo potrzebował, dojrzewając. Skutkiem tego chłopiec wydawał się znacznie młodszy, niż był w rzeczywistości. I dużo słabszy, niż być powinien. Ale obaj odgadli, że mają przed sobą człowieka, którego dość będzie odchuchać, by się przydatnym dla ich zamiarów okazał.

– Ja jestem Feliks Dzierżyński, a to Misza Kostriulew. – Wskazał oczami na swego towarzysza. – On cię wojennego rzemiosła uczyć będzie. Już go wypróbowałeś i wiesz, że wiele nauczyć cię może. A milczeniem nikogo nie ocalisz. Sam znaleźć potrafię tego, kto mi potrzebny. Zdecyduj się mi pomóc. Lepiej jej będzie pod moimi skrzydłami i twoją opieką niż pod latarnią. A wiedz o tym, że ja dzieci nie krzywdzę.

– Przecież wy jesteście... jesteście... Krwawy... – wyjąkał blady jak płótno. – To o was mówią, że diabeł wam buty oczyszcza. Mogę to ja wam wierzyć?

Misza zląkł się o chłopca. Polubić go bowiem zdołał, a i współczuł mu. A znając dobrze Dzierżyńskiego, wiedział, jak niebezpieczną było rzeczą zwracanie się do niego przydomkiem, który nadali mu wrogowie. Z najwyższym zdumieniem spostrzegł więc, że słowa chłopca nie zrobiły na Feliksie żadnego wrażenia. Co więcej, zdawały się humor mu poprawiać. Podkreślił bowiem węża ku górze i parsknął śmiechem. Misza nie umiał wytłumaczyć sobie tego zachowania.

Bo nie znał on tak dobrze Feliksa Dzierżyńskiego, jak sam myślał. Nie wiedział, że nie był to do szczętu zepsuty człowiek.

Okrutny był, ale okrucieństwo nie sprawiało mu radości. Bywał wrażliwy na ludzką nędzę, bo dobrze jeszcze pamiętał, jak ta suka gryzie. Sam wychowywał się na takich właśnie ulicach. Robił to samo, co ten młokos. Ba, więcej jeszcze. Bo jego dodatkowo ścigała carska tajna służba. Ulica była mu kolebką. I w tym dzieciaku widział samego siebie sprzed lat tak wielu, że prehistorią się już niemal wydawały. Może dlatego chciał mu pomóc. Ale myśl tę schował w swym sercu tak głęboko, że sam jej niemal nie dostrzegał. Wolał sobie bowiem mówić, że robi to tylko dla własnej korzyści.

– Dzieci nie krzywdzę, bo to zbyt łatwe i przez to nie jest źródłem najmniejszej satysfakcji. A „Krwawy” jestem, temu przeczyć nie będę. Ludzie prawdy znać o sobie nie chcą, bo głupiemu łatwiej żyć. I ty sam też głupcem jesteś, skoro w diabła wierzysz. Cerkiew głosi naukę o miłosierdziu, a przecież potępieniem wiekuistym i ogniem piekielnym grozi, bo wie, że tylko strachem można ludzi w posłuszeństwie utrzymać. Dziś jeszcze niewiele z tego, co powiedziałem, zrozumiesz. Ale wkrótce otworzę twoje oczy na światło wiedzy i wtedy pojmiesz wszystkie prawa, jakie od wieków rządzą tym światem. Służ mi dobrze, a nie pożałujesz.

Iwan wahał się w sposób wyraźny. Sam wiedział, że nie podoba trudowi, jaki wziął na barki. Słabł z każdym tygodniem. Miał świadomość, że wygląda jak pokurcz. A to spotkanie korzystnym okazać się mogło. Tylko trzeba wstąpić na tę drogę, a i siostrę, i siebie będzie mógł należycie zabezpieczyć. Pojętny jest. Szybko nauczy się wszystkiego, co mu w nowym życiu będzie potrzebne. Nie będzie już głodny chodził. Nie będzie się zamartwiał, jak i za co przeżyć każdy następny dzień. A jeśli ten człowiek ma rację i diabła rzeczywiście nie ma?

A niechby i był – pomyślał z nagłym gniewem. Mnie Bóg manny nie spuści z nieba. Trzeba się martwić, jak żyć tu, a nie jak trafić

tam.

– Zgoda. Ja wasz. Ale jeśli poznam, że mnie lub moją siostrzyczkę skrzywdzić chcecie, to pilnujcie się dobrze, by was zły koniec nie spotkał.

Normalnie roześmiałyby się w twarz temu cherlawemu wyrostkowi, który mu groził pomstą. Wielu już skrzywdził, a jego pomsta nie dosięgła. A byli między nimi i mężowie stanu, którym tysiące ludzi służyło. Ale w twarzy tego chłopca pojawiła się w chwili wypowiedzania tych słów taka zawziętość, że ani przez chwilę nie wątpił w ich szczerość i realność. Poznał bowiem, że komu ten młody człowiek zemstę w sercu poprzysięgnie, ten powinien się strzec. Car też pewnie ze ślubów Lenina niewiele sobie robił, a dziś ziemię przez niego gryzie. Skinął więc wyrostkowi głową.

– Dobrze – odrzekł. – Wierzę ci. A śmierci nie pragnę, dlatego ci słowa dotrzymam. Teraz siadaj do dorożki. Trzeba, żebyś się ze swoim mistrzem zapoznał, który mi raporty o twoich postępach składał będzie. Powiedz mu, gdzie siostrę ukryłeś, to i nią się zajmie. Umieści ją gdzieś w szkole, by uczyć się mogła. Zobaczysz, że kiedyś rad będziesz, że nas spotkałeś.

Iwan wskoczył do dorożki. Podał Miszy adres swojej siostry i zabrał się łapczywie za pałaszowanie chleba. Napychał go palcami do ust, aż go Misza powstrzymać musiał z obawy, by się o śmierć nie przyprawił, zapełniając długo nienawykły do pokarmu żołądek.

– Kraków nieważny – odparł Dzierżyński, wracając do urwanej poprzednio rozmowy. – Ta akcja ma służyć tylko odwróceniu uwagi Polaków. W Warszawie spotkasz się z Zofią Jakimowicz i przekażesz jej kolejne listy od męża.

– Gdzie mam się z nią spotkać?

– W sklepie z kapeluszami. To jej punkt kontaktowy. Na twoim stoliku ma być czerwona róża. Ma ci przekazać dokumenty z kasy

pancernej szefa polskiego wywiadu.

• • •

– Miszka. – Głos Iwana wyrwał Kostriułewa z zamyślenia.

– Co? – odparł miękko, bo na pamięć przyszedł mu ktoś, kto niemal tak samo wypowiadał zdrobniale jego imię.

– Będziesz ty dla mnie dobry?

– Będę. Idź spać, smyku.

Iwan poszedł za jego radą. Pierwszy raz od dawna zasnął z pełnym brzuchem i z błogim uczuciem sytości wypisanym na twarzy.

⁵ Typ karabinu używany w Armii Czerwonej od zarania jej istnienia.

⁶ Fakt historyczny. Spory toczą się tylko o to, czy były to prostytutki krakowskie czy paryskie.

Rozdział XIX

Zofia Jakimowicz szła wolno, jakby jej kto ciężki worek kamieniami wypełniony na plecy włożył. Gięła się pod brzemieniem strachu i niepokoju. Szarpały ją wyrzuty sumienia, przez które ani jednej nocy przespać spokojnie nie mogła. Wiła się na łóżku niczym zwierz. A nawet gdy na chwilę udało jej się zmrużyć powieki, to pogrążała się w sennych rojeniach, które sprawiały, że budziła się z krzykiem. Rozkołysana wyobraźnia nasyłała jej przed oczy wizje straszliwych katuszy, jakie cierpiał jej mąż w więzieniu; wyzierały one z przesyłanych jej listów.

Nie raz je rzewnymi łzami oblewała. Wówczas ogarniała ją szalona determinacja, by się do jego uwolnienia przyczynić. Wiedziała, że zdradza, nadużywa zaufania człowieka, który do niej dłoń pomocną wyciągał, gdy w toni była. Bo i cóż ona by zrobiła bez tej pracy? Nie miała ani gruntownej wiedzy, ani fachu w ręku, bo na wszystko pracował mąż. Był inżynierem wodnym. Jeździł po całym świecie, budując zapory i elektrownie wodne. Miał więc dostatecznie duże zarobki, by ona nie musiała parać się pracą.

Za to mogła prowadzić dom otwarty, w którym gościła śmietankę towarzyską i kulturalną ówczesnego Krakowa. Jej światem były sale balowe, przyjęcia, na których brylowała, gasząc pięknnością wszystkie panny. Jej szafy nie domykały się od nadmiaru wieczorowych kreacji, w różnych fasonach i krojach. Nie brakło jej też biżuterii, której używała jako gustownego

dotadku do stroju. Jej życie dopełniały podróże, które odbywała do aktualnego miejsca pracy męża.

Do Rosji też by pewnie z nim pojechała, bo niezbyt obawiała się wojny, gdyby nie to, że znajdowała się wówczas w stanie błogosławionym. I choć ciąża rozwijała się prawidłowo i zdaniem lekarzy podróż nie stanowiłaby dla płodu najmniejszego zagrożenia, to jej mąż o wspólnym wyjeździe nawet słyszeć nie chciał. A ona nie nawykła się mu sprzeciwiać, zawsze grając w ich związku drugie skrzypce.

Ileż razy gorzko tego żałowała. Ile razy robiła sobie wyrzuty. Gdyby wówczas postawiła na swoim, nie byłoby tego wszystkiego, co się zdarzyło. Gdy o tym nieraz myślała, gryzła palce do krwi, darła stroje, niszczyła kosztowne meble, które wielkim nakładem finansowym sprowadziła aż z Włoch. Te ciosy, które na nią spadły, byłyby zbyt silne dla człowieka przywykłego do życia pośród cierni, a cóż dopiero dla niej, która zawsze była bezpieczna w cieniu męża.

A nie miała czasu na naukę. Uderzenia spadały na nią jedno za drugim. Najpierw pokończyły jej się zasoby. W czym niemało było i jej winy, bo nigdy nie potrafiła zarządzać funduszami. Przez lata robił to jej mąż, a ona nie miała o tych sprawach pojęcia. Była przyzwyczajona do tego, że pieniądze są. Za to nie bardzo wiedziała, skąd się biorą. I nie potrafiła odmienić swoich wieloletnich nawyków.

Wciąż rozrzucała pieniądze na stroje, biżuterię i wydawanie przyjęć. Takie postępowanie rychło doprowadziło ją do utraty płynności finansowej. Wówczas zwróciła się o pomoc do rodziny męża. Ta jednak też zubożała, bo wojna nie oszczędzała nikogo – od jednych żądała przelania krwi, a od innych pieniędzy. Dlatego krewni ani myśleli brać na swój garnuszek powinowatej, która po części sama była winna położeniu, w jakim się znalazła. Musiała się więc ratować innymi sposobami.

Zaczęła wyprzedawać swoje srebra, z których posiadania była tak dumna. Pod młotek poszły kunsztowne meble, wieczorowe suknie i biżuteria. Te doraźne działania nie mogły jednak w niczym zmienić jej położenia, bo nie likwidowały podstawowego problemu. Owym problemem była wojna i jej nieporadność życiowa, które skumulowały się w barierę nie do przekroczenia.

Sumy, które uzyskiwała, nie były zbyt wysokie. W czasach powszechnej nędzy nie ma bowiem popytu na dobra luksusowe. Ludzie kupują to, co jest im niezbędne do życia, a nie to, co ładnie wygląda. Tak więc Zofia znalazła się pod ścianą. Miała syna, którego koszty utrzymania rosły razem z nim samym. Sprzedawała więc kolejne swoje dobra za ułamek ich rzeczywistej wartości. Ale i to źródło dodatkowego dochodu prędko wyschło. Już wkrótce nie miała nic, co mogłaby spieniężyć. Wtedy też z pomocą przyszedł jej pułkownik Dobrowolski.

Znał on bowiem Zofię z tych dawniejszych czasów, kiedy to brylowała na krakowskich salonach. Bywał on u niej dość często na owych przyjęciach i przyznać musiał, że nie miały sobie równych w całym Krakowie. On jednak nie oddawał się na nich tylko i wyłącznie rozrywce, bo bywał tam w charakterze służbowym, choć ani gospodarze, ani tym bardziej nikt z gości nie zdawał sobie z tego sprawy. Była to bowiem świetna okazja do nawiązania przyjaznych stosunków z wieloma ludźmi, gdyż każdy, kto obracał się wśród krakowskich elit, miał za punkt honoru bywanie u Jakimowiczów.

Dobrowolski dobrze znał więc Zofię, i nie potrafił odmówić jej prośbie, gdy poprosiła go o pomoc. Praca, którą jej załatwił, nie była zbyt odpowiedzialna, znał on bowiem wady kobiety. Niemniej dla bolszewików Jakimowiczowa była istotnym nabytkiem, gdyż mogła bez wzbudzania podejrzeń poruszać się po centrali polskiego wywiadu.

Wiktor ani nawet słyszał o tym wszystkim. Nie znał przeszłości Zofii. Niemniej teraz nie opuszczało go złe przeczucie. Trzymał się cały czas za Zofią, pilnie uważając, by nie rzucić się jej w oczy. Jednocześnie dbał o to, by cały czas mieć ją w zasięgu wzroku. Obserwował, jak kobieta patrzy nerwowo na swój wydłużony cień, widoczny na elewacjach kamienic. Zakładał, że spodziewa się napadu.

On sam czuł się tu niepewnie, dlatego cały czas trzymał rękę na kaburze z pistoletem. Chciał, by był pod ręką, gdyby zaistniała potrzeba jego użycia. A w tych mrocznych zaułkach o taką potrzebę było łatwiej niż gdziekolwiek indziej. Wystarczył jeden człowiek z nożem ukryty za węglem, by pożegnać się z życiem. Chłopakowi udzielała się zresztą mroczna atmosfera tego miejsca, której nie mogła rozproszyć biel bijąca od śniegu.

Czasem widział jakieś wydłużone cienie w lachmanach, kryjące się w ciemności. Wówczas robiło mu się ciepło i po jego krzyżu przechodził dreszcz. Do nozdrzy docierał specyficzny smród unoszący się z szynków, melin, w które zmieniała się większość mieszkań. Dobrze, że mróz przytępiał ten zapach. Zapach uryny, kału, który oddawano wprost na ulicy. Mróz nie mógł jednak przytępić wszechobecnego pijaństwa. Pito po bramach, w szynkach, na placach.

Wiktor nie liczył, ilu pijaków go mijało. Większość z nich pogrążona była w pijackim widzie i zataczała się po całej ulicy. Ich przepite twarze i pokryte lachmanami ciała przyprawiały go o mdłości. Ich sylwetki przypominały mu szczury, gdyż podobnie jak one również oni kryli się przed blaskiem słonecznym. Jednak owych ludzi obawiał się daleko więcej niż wszechobecných szczurów, nawet pomimo tego, że te przenosiły zarazę.

Wiedział bowiem, że z pozoru niegroźny pijaczek mógł być w rzeczywistości cwany mordercą, a pijacki krok jest tylko sprytnym kamuflażem, który ma mu ułatwić niespodziewany atak.

Dlatego cały czas był skupiony i czujnie wypatrywał niebezpieczeństwa. Lecz stałe napięcie uwagi męczyło go. Obawiał się rozluźnić napięte mięśnie, gotowe odeprzeć niespodziewany atak.

Omali nie podskoczył, gdy jeden ze zwisających sopli rozprysł się przed jego stopami. Tkwił właśnie pod murem jednej z kamienic i obserwował, jak Zofia rozgląda się dookoła. Skurczył się w sobie. Pochylił głowę, by go nie dostrzegła. Sekundy wydłużały się w minuty, serce biło niespokojnie.

Myśli natarczywie pchają się do głowy. Dojrzy, nie dojrzy. A jeśli tak, to czy pozna? Widziała go przecież tylko raz w życiu i przez krótką chwilę. Mimo to bał się głośniej odetchnąć. Wypuścił powietrze z płuc dopiero wtedy, gdy znikła w bramie kamienicy naprzeciwko.

Teraz stanął przed kolejnym wyborem: iść dalej czy nie? Ciekawość i właściwa młodemu wiekowi brawura pchała go do następnego kroku. Ale pamiętał o tym, co przez kilka miesięcy wpajał mu Mikołaj. Niemal widział w tym momencie, jak wrzeszczy w jego głowie: „Człowiek to nie smok, ma tylko jeden łeb”.

Zapamiętał to przysłowie i starał się każdy krok robić dopiero po namyśle. Obojętnie, co Zofia tam robiła, nie przyszła tu na chwilę. Miał więc przed sobą trochę czasu. Iść do kamienicy za nią byłoby szaleństwem. Po drugie miał niejasne przeczucie, że działalność Zofii jest związana ze szpiegostwem. A jeśli tak, na pewno zostało to w jakiś sposób zabezpieczone.

Niech to szlag! – pomyślał. Jeśli tam wejść, to natychmiast ktoś pchnie mnie nożem. Oni sami między sobą się gryzą, ale przeciwko obcemu zawsze się zjednoczą.

Zdawał sobie sprawę, że potrzebuje jakiegoś bezpiecznego pretekstu, by dostać się tam bez wzbudzania większych podejrzeń. Głowa szumiała mu od nadmiaru myśli, ale żadnego sposobu nie

potrafił opracować. A czas płynął. Zofia wyjdzie, a on nie będzie miał żadnych dowodów, by nimi poprzeć swoje hipotezy. A nie sądził, by pułkownik wierzył mu na słowo. Nie znał go zbyt dobrze. Nie wiedział, jak zareaguje, jeśli rzuci cień podejrzenia na jego współpracowniczkę. A i sam nie chciał jej oskarżać, opierając się jedynie na przeczuciach.

Nerwowo rozglądał się wokoło, jakby w nadziei, że sam Bóg mu dopomoże. Dostrzegł tylko dziewczynę. Nie wiedział jednak, w czym mu ta kiecka mogłaby być pomocną. Niemniej przyjrzał się jej z należytą uwagą.

Normalnie nawet by jej nie zauważył. Bo i nie było czego. Dziewczyna była niska i wiotka. Czarne, przetłuszczone włosy nosiła rozpuszczone, tak że opadały jej na plecy. Na sobie miała prostą, długą spódnicę, spod której ledwie widać było drewniane pantofle. Biała bluzka skrywała małe piersi, ale Wiktor patrzył głównie w jej oczy, z których wycierał bezgraniczny smutek i żal. A że serce jeszcze w nim nie stwardniało, zrobił kilka kroków do przodu.

Lecz dziewczyna dostrzegła go wyraźnie już wcześniej. Z gracją znamionującą sporą wprawę przeszła przez kładkę rozwieszoną nad rynsztokiem. Szła szybkim, lekkim krokiem. Serce jej bowiem zabiło nadzieją. Od dwóch tygodni nie złapała żadnego gościa, a na gorzałkę i komorne zebrać trzeba.

Dlatego podeszła do Wiktora bez zawahania. Przyjrzała mu się krytycznym wzrokiem, choć jako pracownica fachu pokrewnego miłości nie mogła dobrać sobie klientów wedle własnej woli. Ale rezultat oględzin wypadł jej tym razem wyjątkowo pomyślnie. Podobała jej się smągła twarz nieznanomego, o dziecińczych, niestwardniałych rysach... ale i ciało. Nad miarę rozrosło i silne. Jakże odmienne od obrosłych tłuszczem sylwetek, które zwykle czuła na sobie. Podziw dla jego urody mieszał się u niej jednak ze strachem.

Rozumiała bowiem dobrze, że taki jak on płacić nie musiał. Raczej to jemu płacono. Ale położenie jej istotnie było bliskie desperacji, dlatego podeszła, by choć spróbować szczęścia. Chwyliła go za rękaw i rzekła przymilnym tonem:

– Po co samemu macie na zimnie stać, kiedy moglibyście się zagrzać. Ot, mam w tej oto kamienicy pokoiczek, na poddaszu, a w nim łóżeczko. Chodźcie ze mną, a nie pożałujecie.

Zawahał się. Poczul bijący od niej zapach gorzałki i niedomytego ciała. Mógł się tylko domyślać, jakimi drogami życie zaprowadziło ją między wyrzutek społecznych. Sam nie wiedział, co powinien był zrobić. Nie chciał spać z nią. I to nie tyle dlatego, że cuchnęła gorzałką i potem, bo o to mniej dbał. Przede wszystkim nie chciał czerpać korzyści z jej krzywdy. Do tego nie miał ani sił, ani chęci. Ojciec wpajał mu od lat dziecinnych, by nigdy nie korzystał z krzywdy ludzkiej. Poza tym wstydził się jej. Tak jak wszystkich kobiet. Bał się, że nie okaże się dość dobry, a najgorszą obawą napełniała go myśl, iż będzie zbyt szybki. Dlatego stał teraz zarumieniony aż po same cebulki włosów, zgoła nie wiedząc, co powinien był zrobić. Gdyby jeszcze to nie była akurat ta kamienica, wówczas umknąłby przed tą dziewczyną w najbliższy zaułek i wiatr za sobą zostawił. Ale czy powinien zrezygnować z takiej okazji, którą mu Bóg przez ręce tej dziewczyny zsyła?

Przez ręce – pomyślał i mimo woli uśmiechnął się na myśl o tej dwuznaczności, która przemknęła mu przez głowę.

Spojrzał na dziewczynę. Dostrzegł w jej oczach obawę pomieszaną z nadzieją. Nagle zdał sobie sprawę, że ona wcale nie zaprotestuje ani nie będzie zawiedziona, jeśli nie zdoła w pełni jej zadowolić. To dla niej tylko sposób zarabkowania. Nie dba o nic więcej. Nie będzie zawiedziona nawet, jeśli w ogóle odrzuci jej awanse – byle tylko zapłacił.

Spojrzał na bryłę kamienicy, która stała naprzeciwko. Może tam właśnie knuto spisek przeciwko państwu, a on urządza sobie

duchowe rozterki o seksualności. Zdawał sobie sprawę, że znalazł się w tym miejscu za sprawą przypadku. Przecież mogli go umieścić w każdej innej dzielnicy Warszawy. A jednak trafił właśnie tutaj. I prawdopodobnie chwycił w swe ręce końcówkę nici spisku, która mogła go doprowadzić nawet do samego kłębka. Ale przypadek mógł mu się przysłużyć tylko raz. Dlatego nie należało zwlekać, tylko korzystać z tego, co się trafiło.

– Dobrze, pójdę z tobą – rzekł, myślami będąc już w budynku naprzeciwko.

Odetchnęła. Przez długi czas bowiem wątpiła, czy uda jej się pociągnąć tego chłopca za sobą. W końcu życie nie kołysało jej na obłokach i urodą nikogo kusić już nie mogła. Ale teraz uśmiech rozjaśnił jej wychudzoną twarz, bo już przeliczała w myślach te pieniądze, które uda jej się dzięki chłopczkowi zarobić. I w dodatku praca zapowiadała się całkiem przyjemnie, a zarobek był pewny – klient nie wyglądał jej na takiego, który potrafiłby kogokolwiek oszukać. Był taki słodki z tym swoim rumieńcem. Niemal jak cukiereczek. Już cieszyła się na myśl, że wkrótce go rozpakuje.

Życie jej bowiem składało się od dłuższego czasu tylko z kolejnych mężczyzn, którzy przewijali się przez jej łóżko. Na szczęście była istotą kompletnie pozbawioną wyobraźni. Dlatego nie zdawała sobie nawet sprawy z zupełnej nędzy swojej egzystencji. Nie miała marzeń, dalekosiężnych planów. Cała jej energia skupiała się tylko na tym, jak przetrwać najbliższy tydzień. I teraz też cieszyła ją tylko ta myśl.

Dziś jest poniedziałek – myślała. Jeśli dziś zarobię, to będę miała co jeść we wtorek, a może i w środę. Kupię u Ryśka na melinie słoik ogórków, bułkę, śledzia. To starczy, żeby przez jakiś czas odpocząć.

Przeszli przez ulicę, minęli bramę. Przeskakując po dwa stopnie, wspinali się po skrzypiących schodach. Wiktor obserwował zabiedzone ściany z odklejającym się tynkiem.

Szczególnie przypatrywał się drzwiom do poszczególnych lokali, ponieważ zastanawiał się, za którymi znalazłby Zofię. Pozwalał prowadzić się swojej przewodniczce, zakładał, że dobrze wie, dokąd zmierza. Sam wypatrywał wartowników, którzy powinni byli zabezpieczać wywiadowcze spotkanie. Przynajmniej tak mu podpowiadało jego dziecinne jeszcze wyobrażenie o pracy w wywiadzie. Nie po raz pierwszy przyszło mu żałować, iż szybki bieg wypadków uniemożliwił mu rozpoczęcie i ukończenie szkolenia. Miał już w tej kwestii obietnicę pułkownika Dobrowolskiego, który zapewne nie przypuszczał, jak szybko owe umiejętności będą mu potrzebne.

Ale czy on sam mógł choć przez jedną chwilę snuć przypuszczenia, iż będzie się pakował w jedną kabałę po drugiej? Niektórzy przez całe życie nie mieli czego wspominać. Życie upływało im pośród trudów dnia codziennego. Tak żył jego ojciec. I prawdopodobnie miliony duchem do niego podobnych. Ale ludzie ci zapewne nie uważali swojej drogi życiowej za błędną ani krzywdzącą. Bo nawet nie przypuszczali, że gdzieś obok nich żyją tacy, których wszelka rutyna doprowadza do szału. Którzy nie mogą i nie chcą prowadzić uporządkowanego życia, niczym wół w kieracie. On sam należał właśnie do takich ludzi, czego jego ojciec żadną miarą nie chciał przyjąć do wiadomości.

Dziewczyna wpuściła go do swego pokoiku. W powietrzu czuć było stęchliznę – najwidoczniej nie wietrzono tu zbyt często. Wyczuwał także duszącą woń samogonu. Szczelnie zasłonięte zasłony utrzymywały poddasze w półmroku. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, wówczas dostrzegł niewyraźne kontury mebli. I mógł się przekonać, że umeblowanie tego pomieszczenia było nad wyraz skromne.

Na środku stała żelazna prycza, przykryta materacem. Pościel była rozrzucona w nieładzie. Zupełnie jakby ktoś szybko wstał z łóżka i nie trudił się sianiem legowiska. Przy łóżku znajdował

się stolik, na którym stało lustro w czarnej oprawie. Przy nim leżały szminki i kredki do oczu. Pod ścianą, przy niewielkim stole drewna, stała koza, która stanowiła jedyne źródło ciepła. Na niedbale pomalowanych ścianach widać było ciemne, mokre plamy, pozostawione przez wilgoć. Na drewnianej podłodze wały się butelki.

– Łóżko też płatne – rzekła dziewczyna niechętnie. – Luksusowo to tu nie jest, ale lepiej tu, jak na śniegu. – Zdobyła się na wymuszony uśmiech, który przypominał grymas bólu.

Nie słuchał jej. Chodził nerwowo po pokoju. Szukał jakiegoś pozoru, byle tylko opuścić to miejsce. Należało przecież zacząć szukać Zofii, jeśli cała ta wyprawa miała mieć jakikolwiek sens. Nagle przystanął. Uniesieniem dłoni nakazał dziewczynie milczenie. Zdawało mu się bowiem, że usłyszał cichy szmer głosów, który dobiegał chyba spod drewnianej podłogi. Wyteżył słuch i posłyszał kobiecy głos, ale słów rozróżnić nie mógł, mimo że bardzo tego pragnął.

Omam nie podskoczył z radości. Młodym będąc, nie umiał jeszcze tak panować nad emocjami, jak robią to ludzie, którzy zdobyli już tę umiejętność wraz z doświadczeniem życiowym. On go nie miał. A mimo to, a może właśnie dlatego los zdawał się mu sprzyjać. Bo szczęście lubi pomagać ludziom stanowczym i przedsiębiorczym. Takim, którzy w chwili brzemiennej potrafią wykrzesać z siebie: męstwo, ofiarność i odwagę. Wiktor zaś miał tych cech w nadmiarze. Zmieszane były one z młodzieńczą pychą i pewnego rodzaju naiwnością.

Nie tracąc nawet chwili, położył się płasko na drewnianej podłodze, odchylił jedną z desek, odsłaniając niewielki okrągły otwór, który ktoś uprzednio wydrążył w stropie. Był on na tyle mały, że przysłonił go całkowicie swoim uchem, ale dzięki temu mógł teraz słyszeć wszystko to, co działo się w pomieszczeniu pod nim.

– Wykonam rzecz zamówioną przez panią w terminie. – Głos mężczyzny był obojętny, jak u człowieka, który zwykłą czynność wykonywał. – A nie deptał kto pani po piętach? Taka damulka tutaj mogła niejedne oczęta przyciągnąć. A ja lubię ciszę i spokój, bo mi w nich dobrze pieniądze rosną.

Wiktor wstrzymał oddech, bojąc się tego, co usłyszy w jej odpowiedzi. Mogła go przecież dostrzec. Z drugiej strony za nic w świecie byłby stąd nie odszedł. Paliła go bowiem ciekawość. Zastanawiał się, kim był ten człowiek. Co Jakimowicz u niego zamówiła? Co w ogóle można tu dostać? Dlatego leżał jak sparaliżowany, z uchem przytkniętym do otworu i zaciśniętymi szczękami. Zapomniał zgoła o otaczającej go rzeczywistości. Był jak ogar, który po długim pościgu złapał wreszcie trop i wszystkie swoje zmysły podporządkował jednemu celowi: pościgowi.

– Nikt za mną nie szedł. – Rozpoznał głos Zofii i odetchnął z ulgą. – A wy pamiętajcie, co obiecaliście. Przyjdę tu wkrótce odebrać zamówienie.

– Nie. Ja jestem solidna firma i warunki naszej umowy spełnię co do joty. Ale nie spotkamy się już więcej. Jeszcze was kto wytropi i znajdzie moje legowisko. A choć moje kości mają swoje lata, to chciałbym, żeby mi jeszcze trochę posłużyły. Dostarczę wam zamówienie do mieszkania.

Usłyszał kroki, odgłos otwieranych drzwi, a potem wszystko ucichło. Podniósł się, gdy zdał sobie sprawę, iż nic już więcej nie usłyszy. Jednym ruchem umieścił deskę na swoim miejscu, zasłaniając wydrążony otwór. Dopiero po uporaniu się z tym przypomniał sobie o dziewczynie, o której obecności zdołał prawie zapomnieć. Szybkim ruchem wydobył z kieszeni nieduży plik marek polskich. Spojrzał na nie przez chwilę z żalem, bo to były już ostatnie jego zasoby. Ale się przełamał i rzekł:

– Tu masz trochę forsy. Starczy ci na parę dni. A nie wspominaj nigdy nikomu, żeś mnie tu widziała. Twoje własne bezpieczeństwo

w tym.

Spojrzała w oczy tego dziwnego człowieka, którego motywów i intencji przejrzeć nie umiała. Co on był za jeden? Skąd się wziął? Taki czysty, przystojny i z manierami znamionującymi staranne wychowanie. Zgoła nie przypominał ludzi, do których przez lata przywykła. Nie, tacy jak on zwykle nie szlifowali praskich bruków. Kim więc był? Płacił jej za usługę, choć tej nie wykonała, czyli nie dla niej tu przyszedł. Więc dlaczego?

Zwykle nie zadawała sobie takich pytań. Ten świat nauczył ją już, że nadmiar wiedzy skraca życie. Nie raz przecież słyszała o trupach wyławianych z Wisły, którym przed utopieniem wyrwano języki. A i od koleżanek po fachu, które długo już własnym ciałem handlowały, słyszała też niejedno. To sprawiło, że w jej głowie błysnęła pewna myśl.

– Czy ty aby z policji obyczajowej nie jesteś? Jakby co, to ja czarną książeczkę⁷ mam. Ale jak chcesz prawdziwego sukcesu, to mogę ci powiedzieć, kiedy zrobić nalot na Jezuicką czternaście⁸. Pracowałam tam kiedyś u małżeństwa Anczela i Tauby Bergierów⁹. – Spojrzała na niego z nadzieją.

Z trudem powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem. Ale nagle żal go jakiś ogarnął. Miał tak wyjść i zostawić tę dziewczynę w tym bagnie? Pozwolić jej zestarzeć się tutaj, by stała się jeszcze jedną podstarzałą damulką, wabiącą klientów już tylko na litość? Albo przyciągającą tylko robotników, których na świeższe nie stać? Żal mu jej było. Jeszcze nie nauczył się traktować ludzi instrumentalnie. I mimo woli zaczął się zastanawiać, jak jej pomóc.

Ale była to rzecz trudna. Zwłaszcza dla kogoś, kto sam w bogactwa nie opływał i nie wiedział, co się jutro z nim stanie. W imieniu pułkownika nic obiecać przecież nie mógł. A nie znał nikogo innego, kto miałby możliwości, by pomóc tej dziewczynie. Poszedł jednak za porywem serca.

– Nie chciałabyś żyć normalnie? Przestać zalewać się wódką i spać z każdym, kto może zapłacić? Młoda jeszcze jesteś, to zawsze chętnego złapiesz. Ale co się z tobą stanie, gdy się zestarzejesz?

Parsknęła złym śmiechem.

– Dobry samarytanin się znalazł. – Pochwyciła pieniądze w palce. – Ale przynajmniej hojny jesteś. Dajesz pieniądze, a nie żądasz nic za to.

– Pieniądze to nie wszystko.

– Dla mnie wszystko, bo od dziecka wiem, co znaczy nie mieć ich.

Dostrzegł, iż łyzy osiadły jej na rzęsach.

Silnym, zdecydowanym ruchem chwycił ją za rękę i przemocą wyciągnął z mieszkania. Nie bardzo wiedział, dokąd powinien ją zaprowadzić, ale za żadną cenę nie chciał jej tu zostawić. Dziewczyna nie opierała się. Najwidoczniej niewiele interesowało ją to, dokąd jest prowadzona ani po co. Niemniej zdołał naciągnąć ją na zwierzenia, dzięki którym po części zrekonstruował jej biografię.

Lucyna – bo tak miała na imię – przyjechała do Warszawy wraz z matką w poszukiwaniu lepszego życia. Obie podjęły pracę w fabryce amunicji. Na swoje nieszczęście Lucyna wpadła w oko majstrowi, który złożył jej propozycję nie do odrzucenia. W zamian za lepsze pobory i znośniejsze warunki pracy miała uczestniczyć w orgiach urządzanych przez warszawskich fabrykantów. Albo do końca swoich dni harować ponad siły. Na początku nowe życie przypadło jej do smaku: rauty, bogate stroje, wykwintne jedzenie. To był inny świat niż ten otoczony szarzyzną i ubóstwem, który znała dotychczas.

Wszystko zmieniło się, gdy zaszła w ciążę. Wówczas majster wyrzucił ją z fabryki, a matka wyrzekła się wyrodnej córki. A twarda to była kobieta, która tego, co powiedziała, nie zmieniła nigdy. Lucyna została sama, nie mając jednej bliskiej duszy wokół

siebie, która mogłaby jej pomóc w biedzie. A właśnie miała kłopot niemały. Nie wiedziała, co miała robić, będąc sama w obcym mieście z szybko rosnącym brzuchem, który ukrywała, jak długo mogła. Ale wkrótce sprawy nie dało się dłużej przewlekać. Zmusiło ją to do wykonania aborcji.

Zajęła się tym miejscowa znachorka, wprawna w takich sprawach, bo niejedna robotnica do niej z problemem zwykła przychodzić. Ale i to nie odmieniło jej losu na lepsze. Okazało się bowiem, że jej szefowie zapewнили jej wilczy bilet i nigdzie pracy nie mogła znaleźć. Zaczęła więc robić to, do czego rozumu nie potrzeba. Pracowała i w Lublinie, i w Warszawie. Teraz jednak wróciła na stałe do stolicy.

Wiktor słuchał, silnie wzruszony. Pierwszy raz zetknął się z takim złem. Oto miał przy sobie kobietę, która zabiła własne dziecko. Ale nie potrafił jej potępić. Nie potrafił, bo rozumiał, że nie widziała innego wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazła. Za to jego gniew kierował się przeciwko tym, którzy jej nieszczęść byli przyczyną. Ojciec wpajał mu surową etykę moralną. Sam zawsze mówił, że nigdy nie skrzywdził nikogo. Chyba w handlu, ale to zasługa, nie grzech.

– Jak się ten fabrykant nazywał? – zapytał zmienionym głosem, gdy stanęli przed kamienicą, w której mieszkała Stanisława Grabowska.

– Ludwik Mierosławski – odparła. – Ale ty mu w oczy nie włącz, bo cię między palcami rozgniecie. Bogacz to, ludzie u niego siedzą w kieszeni. Sam mi opowiadał, ile rocznie na swoich klientów wydaje. Politycy, generałowie, ludzie kultury, wszyscy się u niego w grosz zaopatrują. Bo to każdemu potrzeba. Na żonę, na kochankę, na stroje, garnitury. Wystawne życie swoje kosztuje, a skąd na nie brać? Co dla niego taki żołnierz jak ty? Przydarzy ci się co złego i tyle. – Głos jej, gdy to mówiła, zaprawiony był zgorzknieniem.

Zanotował to nazwisko w pamięci, obiecując sobie za krzywdę Lucyny zawiązką odpłacić, jeśli los pozwoli.

Na razie jednak zaprowadził dziewczynę do Stanisławy. Ta przyjęła go z marsową miną, wspierając ręce na biodrach.

– Szczęście twoje, że wałka znaleźć nie mogłam, bo od czasu jak wdową zostałam, niepotrzebny mi. A po sprawiedliwości to należałoby ci skórę przetrzepać. Ty wiesz, szczeniaku, co ja się nerwów najadłam? Już myślałam, czy ci trumny nie kupić.

Łajała go w ten sposób przez dłuższą chwilę, ale oczy jej błyskały radością. W końcu wzrok jej padł na Lucynę, która trzymała się przez cały czas za plecami Wiktora.

Czuła się tu nieswojo i niezręcznie. Wolałaby uciec do swoich „slamsów”. Tam czuła się u siebie. A tu? Ta staruszka była chyba dewotką. Na pewno zgorszyłaby kobiecinę opowiadaniem o swoim życiu. Dostrzegła wiszące na ścianach obrazy świętych i krzyżyki. Ale wyczuła coś jeszcze. Od tej kobiety biło ciepło. Zdawało jej się, że przenika ją ono na wskroś. Chciała znajdować się w jego blasku jak najdłużej.

– A ty młody, co? Za jedną wychodzisz, z drugą przychodzisz? – Jej bystre oczy zdawały się przenikać dziewczynę na wskroś. Uśmiech rozjaśnił jej pomarszczoną twarz. – Siadaj do stołu. Gość w dom, Bóg w dom – zwróciła się ciepło do Lucyny. – Jeszcze ten dach nikomu gościny nie odmówił. I nie odmówi, póki żyję.

Lucyna nieśmiało usiadła przy stole, a Stasia zaprzęła Wiktora do pomocy przy posiłku. Obydwoje przeszukali całą spiżarnię. Stawiali przed zdumioną Lucyną kolejne potrawy i niemal siłą przymuszali ją do jedzenia. Grabowska z radością patrzyła, jak młoda je, podsuwając dziewczęciu pod usta co smaczniejsze kąski. Rozradowana gospodyni kursowała między stołem a spiżarnią. Wiktor zaś wyręczał ją w dźwiganiu półmisek.

Lucynę wzruszenie ścisnęło za gardło. Łzy przemocą pchały jej się do oczu. Od tak dawna nie siedziała za stołem, przy lnianym

obrusie. Przez chwilę miała wrażenie, że jest znowu pod rodzinną strzechą. Ale ono zaraz pierchło. Co powiedziałyby o niej ta kobieta, gdyby знаła jej historię? Czy nie odwróciłyby się od niej tak, jak jej własna rodzina? Czy przyjmowałyby ją po królewsku, czy raczej wypędziła z domu, w mroczną nicość?

Stasia dostrzegła wreszcie jej łzy i zaraz wsparła się rękami o blat stołu, patrząc na nią.

– Czemu płaczesz? Cebuli tam nie ma.

– Bo pierwszy raz od dawna, bardzo dawna, ktoś traktuje mnie jak człowieka. Jak miłego gościa, któremu chce się nieba przychylić. Ja już zapomniałam, co to znaczy budzić się i zasypiać pod rodzinnym dachem. A pani pozwoliła, bym przypomniawsobnie to uczucie. Choć gdyby mnie pani lepiej znała, to pewnie pogardziłyby mną jak plugawym gadem. Mnie się moja własna rodzina wyrzekła, więc nie powinnam oczekiwać akceptacji od obcych. – Tu opowiedziała jej wszystko, co leżało jej na duszy. Pochyliła głowę. – Kiedy mam się wynieść? – zapytała, pociągając nosem i ocierając zaczerwienioną i zroszoną łzami twarz.

Sam Wiktor utkwiał w swojej gospodyni wzrok niespokojny. Znał ją bowiem zbyt krótko, by móc przewidzieć, jak zareaguje. A przyszedł tu z dziewczyną, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Co jednak przyjdzie zrobić, jeśli Stanisława odmówi przyjęcia jej pod swój dach? Dokąd ją zaprowadzić? Sam własnego lokum nie miał, a ojcowym dachem nie mógł i nie śmiał rozporządzać. Poza tym wiedział, że jego ojciec nie przyjąłby takiego lokatora, który nie mógł przysporzyć mu splendoru. Tym bardziej teraz, gdy koty ze sobą darli. Chyba żeby się przed ojcową wolą ukorzył...

Zacisnął szczęki na samą myśl o tym rozwiązaniu. Perspektywa taka napawała go niechęcią. Mimo tego zaczął ją poważnie rozważać. Dwie racje ścierały się w nim. Pycha szarpała go w duszy i nie chciała się ugiąć. Ale serce mówiło, iż wziął

odpowiedzialność za tę dziewczynę – choć ta bynajmniej go o pomoc nie prosiła – i teraz, chce czy nie, jest za jej los odpowiedzialny. I na niego spadnie hańba, jeśli jej pomoc nie zdoła.

Diabeł chyba podsunął mi tę myśl, bym ją stamtąd zabrał. Niechby była tam została – myślał, zły na samego siebie.

Na szczęście Stanisława wybawiła go z kłopotu i od duszy rozterek. Położyła swoją starczą i nieco wychudłą dłoń na głowie Lucyny. Zaczęła gładzić ją czule po włosach, póki ta się całkiem nie uspokoiła.

– No cichaj – rzekła delikatnie. – Dachy nad głową nie zabraknie, a jedzenia też.

Lucyna uniosła na nią swoje załzawione oczy i nieporadnie usiłowała je przetrzeć, rozmazując przy okazji cały makijaż. Jej zaczerwieniona twarz wyglądała przez to jeszcze gorzej niż wcześniej.

– Wiele wam nie zjem, a pomogę, w czym będzie trzeba – rzekła, gdy przestała ocierać łzy. – Ale ludzie was na języki wezmą i żyć nie dadzą. Jakże to kurwa pod dachem? To dla nich gotowy żer.

– Tym się wcale nie troskaj. Ja długo żyć już nie będę, bo swoje lata mam. Poza tym nie zwykłam przejmować się opiniami istot, które prawdopodobnie pochodzą od małpy. A mój stary, niech z Bogiem spoczywa, to by się jeszcze ucieszył. – Roześmiała się. – Ale on by ci krzywdy nie zrobił, bo on tylko językiem... Jak ta krowa, co dużo ryczy, a mleka mało daje.

Wiktor wysunął się cicho z pomieszczenia. Na jego wargach wykwitł szeroki uśmiech, mógł być bowiem pewien, że zdołał związać ze sobą losy dwóch kobiet. I obie sobie wzajemnie pomogą. Kochana staruszka będzie miała bratnią duszę blisko siebie i zapomni przy niej, co to samotność. A dziewczyna może zdoła wyjść na prostą, prowadzona przez doświadczoną rękę.

Do jego uszu doszedł podniesiony głos Stanisławy, w którym słychać było radość.

– Ludzie cię potępiają, a myślałby kto, że sami śpią tylko z własnym żonami. Albo one tylko z nimi. Znałam i ja takich, co zdradzając na prawo i lewo, pod samym ołtarzem siadali. Ale co wspominać, nad nimi dawno trawa rośnie. I nad ich niewiernymi żonami także. A żona to co innego? Tylko że za darmo robi. Gacie zaceruj, żreć daj, ubierz jak człowieka, rozbierz...

Śmiech obu kobiet zmieszał się ze sobą. Dawno go tu nie słyszano.

Spokojny już, zajął się sianiem swojego łóżka. Uporał się z tym szybko, bo nawykł sam dbać o siebie. Szybko zmówił pacierz, potem ułożył się w miękkiej pościeli. Patrzył na bielony pułap i myślami był już przy czekającej go podróży do Krakowa. Zasnął, kołysany do snu przez rozentuzjasmowane głosy dwóch kobiet, które, idąc za podszeptem serca, połączyły ze sobą...

⁷ Przed wojną rejestrowano prostytutki. Te legalne miały tak zwaną czarną książeczkę. Zawierała ona świadectwa szczepień. Oczywiście istniały też panie, które tego typu świadectwa nie posiadały.

⁸ Adres autentyczny. Pod tym adresem znajdował się zamtuż w Lublinie.

⁹ Imiona i nazwiska autentyczne.

Rozdział XX

Hindenburg żelazną ręką sprawował władzę w Niemczech. Zdusił rozruch komunistyczny, który zaczął już państwo niszczyć. Niemalą pomocą byli w tym jego żołnierze, którzy wróciwszy z wojny, broni z ręki nie wypuścili i z miejsca zabrali się za energiczne działania przeciw komunistom. Ulice niemieckich miast spływały krwią i trup ścielił się gęsto. Zamachy bombowe i strzały na demonstracjach stały się codziennym widokiem. Lecz skutek owych działań był pozytywny.

Komunistyczni wichrzyciele albo, poznawszy bezowocność własnych usiłowań, uszli za granicę, albo gryźli piach lub znaleźli wikt i opierunek w jednym z rządowych więzień. Taki właśnie los przypadł w udziale Karolowi Radkowi, który miał z ramienia Międzynarodówki tworzyć Komunistyczną Partię Niemiec.

Karol przyszedł na świat we Lwowie jako syn urzędnika pocztowego Bernarda i Zofii z Lieferantów, nauczycielki. To matce zawdzięczał swą intelektualną formację, gdyż ojciec osierocił go, gdy miał pięć lat. Od dziecka chłonał książki, czytał wszystko, co wpadło mu w ręce. Choć miał żydowskie korzenie, nie odebrał żydowskiego wychowania. Sam bowiem uważał się za Polaka i edukował się w tarnowskim gimnazjum. Już tam dał się poznać jako niespokojny duch i rewolucjonista.

Mianowicie założył w szkole tajną organizację Promień. Aktywnie udzielał się też w innych stowarzyszeniach patriotycznych. W Dąbrowie Tarnowskiej wygłosił

okolicznościowe przemówienie z okazji rocznicy zwycięstwa grunwaldzkiego. Władze szkolne relegowały go. Choć postarał się o cofnięcie kary, to jednak wkrótce wydano go definitywnie, ponieważ został przyłapany na kolportowaniu wśród kolegów socjalistycznej bibuły. W tym okresie zaczął aktywnie działać w polityce.

Po wyrzuceniu ze szkoły wstąpił do Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego, kontaktował się także z przedstawicielami innych stronnictw socjalistycznych oraz rozpoczął działalność publicystyczną. Wtedy to zaczął używać pseudonimu Karol Radek, który stał się z nim nierozzerwalnie związany. Zaczął zaczytywać się w największych dziełach kultury polskiej i niemieckiej. Namiętnie też czytywał polityczne manifesty socjalistów. Pochłonięty polityką i pierwszymi próbami dziennikarskimi nie zapomniał jednak o uzupełnieniu wykształcenia.

Maturę zdał eksternistycznie. Dostał się na wydział prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie studiował jednak zbyt pilnie, zaangażowany w pracę dziennikarską, społeczną i polityczną. Współpracował między innymi z Różą Luksemburg i Feliksem Dzierżyńskim. Dzięki nim na trwałe związał się z ruchem. Kursował po wielu miastach, służąc swoim piórem organom SDKPIL¹⁰.

Lenina znał jeszcze sprzed wojny i przydało mu się to, gdy popadł w konflikt z dawnymi towarzyszami. Nie przyjechał wprawdzie z nim do Rosji, gdyż miał austriacki paszport, a Austria była w stanie wojny z Rosją, lecz Lenin pamiętał o nim. Został więc Radek kimś w rodzaju czarnej eminencji bolszewickiej dyplomacji. Podróżował po całej Europie, załatwiając liczne sprawy i jednocześnie kolekcjonując odznaczenia państwowe. Doskonale czuł się w jądrze politycznych rozgrywek. Dlatego z chęcią wybrał

się do Berlina, który był podówczas okiem politycznego cyklonu, by na miejscu nadzorować tamtejsze sprawy.

Tam jednak powinęła mu się noga. Nie przewidział bowiem zdecydowanej reakcji Hindenburga. Trafił do więzienia w Moabicie. Nie miał na co się skarżyć, gdyż zapewniono mu tam znośne warunki egzystowania, podczas gdy inni jego współpracownicy skończyli smutno. Jego cela była obszerna i przypominała bibliotekę, gdyż zgromadzono w niej setki woluminów. Były ułożone pod ścianami na uginających się pod ich ciężarem półkach. Na środku pomieszczenia znajdował się niewielki stoliczek z dwoma krzesłami po obu stronach. Na nim stała lampa naftowa, więc mógł czytać także w nocy.

Był niski, grubawy. Nosił okulary, które opadały mu na semicki nos. Jego twarz okalały czarne bokobrody. Ciemne, kręcone włosy miał lekko potargane. Skupiały się one z boku czaszki, bo środek zajmowała łysina. W ustach tkwił cybuch małej fajki, którą ciągle pykał. W szarych oczach błyszczała żywa inteligencja, połączona z twardą nutą. Ten, kto patrzył w te oczy, nie mógł mieć wątpliwości, iż ma do czynienia z człowiekiem o nieprzeciętnej inteligencji.

Radek siedział przy stoliku, nisko pochylony nad *Szyzyfowymi pracami* Żeromskiego. Wodził palcem wskazującym po literach, ze szczególnym skupieniem czytając te ustępy tekstu, które poświęcone były Radkowi. Nigdy nie sądził, że kiedykolwiek żyje się tak bardzo z postacią literacką. A jednak, gdy czytał o chłopcu, który wbrew wszystkim i wszystkiemu postanowił się uczyć, jak żywe stawały mu przed oczami jego własne dzieje. Zawsze parł do wiedzy, bo wiedział, że tylko ona może go wydzwignąć z nizin społecznych. I oto dziś był więźniem specjalnym republiki i kanclerza Philippa Scheidemanna.

Oto do czego człowiek doszedł – pomyślał. Przychodzą tu na wyścigi przeróżni niemieccy dygnitarze. Do mnie. Żydka, który do

szkoły chodził w jednej parze butów.

Uśmiechnął się, patrząc na wychodzące z fajki kółeczka szarego dymu.

Dobrze bowiem wiedział, czemu Niemcy byli tak bardzo uprzejmi i starali się, by miał zapewnione wszelkie możliwe wygody. Choć za murami zamknięty, docierały do niego wieści, co się na świecie dzieje. Wiedział, że Niemcy prowadzili ofensywę w Wielkopolsce, chcąc za wszelką cenę utrzymać się przy tamtych terenach. Prowadzili ją od dwudziestego ósmego stycznia w okolicach Bydgoszczy i Nakła. I jak donosił mu grypsami Feliks, nie szło im tam zbyt dobrze. Oddziały Heimatschutzu okazały się nie być dla powstańców równorzędnym przeciwnikiem. Były przy tym bardzo drogie w utrzymaniu, bo żołnierzy przywabiał do szeregów tylko wysoki żołd.

Zręcznym ruchem wydobył jeden z ostatnich grypsów przesłanych mu przez Dzierżyńskiego. Rozwinął cienki papier zapisany drobnym maczkiem i pochylił nad nim głowę. Nawet wtedy musiał wyteżać wzrok, by odczytać wiadomość.

Kochany grubciu. Ufam, że masz czym psuć wzrok. Ale myślę, że nie wzgardzisz garścią informacji ze świata.

3 lutego 1919 – Rozwijająca się pomyślnie ofensywa niemiecka na północy załamała się. Niemcy zostali wyparci za Noteć. Powstańcy odbili Rynarzewo i odnieśli zwycięstwo pod Kcynią. W dniu następnym odzyskano Szubin.

4 lutego 1919 – Działania zaczęły na południu. Powstańcy dotarli do przedmieść Rawicza, jednak zostali odparci. Ciężkie walki na tym odcinku.

7 lutego 1919 – Ciężkie walki o Kolno, które przechodzi z rąk do rąk.

9 lutego 1919 – Na zachodzie w rejonie Trzciela powstańcy odparli niemieckie natarcie.

10 lutego 1919 – Odparcie natarcia niemieckiego pod Rawiczem.

12 lutego 1919 – Natarcie niemieckie, przy wsparciu pociągów pancernych, na Kargowę i Babimost odniosło sukces. Atak niemiecki został powstrzymany pod Kopanicą.

Niemcy prawdopodobnie przeniosą swoje naczelne dowództwo do Kołobrzegu, co sugeruje ofensywę przeciwko Wielkopolsce. W Wersalu rozpoczęto rozmowy na temat przedłużenia rozejmu. Polsko-niemieckie rokowania w Berlinie, przeprowadzone na początku lutego nie dały najmniejszych rezultatów.

Felek

Uśmiechnął się, ujrawszy ów podpis, bo nie wątpił, że Feliks nie sporządzał osobiście grypsu dla niego. Następnie wsunął karteczkę do ust i połknął. Nie była to zbyt smakowita potrawa, ale nie była to dla niego pierwszozna. Był w końcu starym kolporterem i nie pierwszy raz pozbywał się tego typu rzeczy. A przebogate doświadczenie mówiło mu, że nie ma dla kompromitujących pism pewniejszej kryjówki niż własny żołądek. Właśnie miał ponownie zabierać się za lekturę, gdy przerwał mu chrzęst klucza w zamku.

Do środka wszedł generał von Seeckt. Wyglądał nieco starzej niż zwykle. Ziemista cera i podkrążone oczy aż nadto wyraźnie to podkreślały. Jego krok utracił nieco z dawnej sprężystości, a przygarbiona sylwetka nie była godna defilady. Wyraźnie giął się pod ciężarem kłęsk, jakie na niego spadały. Kłęski te były tym bardziej hańbiące, że ów generał był żołnierzem z rzemiosła, a miał przeciwko sobie wychowanków Sokoła i Strzelca, którym jeszcze broda nie rosła. Bolało go to szczególnie, albowiem nienawidził Polaków. A teraz odbierał od nich ciężki.

Niezgorsze też dostawał od Hindenburga i kanclerza, gdyż obydwaj żywo interesowali się wypadkami, jakie zachodziły w prowincji Pozen, a on nie miał dla nich dobrych wieści. Trzydziestotysięczna Armia Wielkopolska powstrzymała ich kontrofensywę. Był to fakt tak niezbity, że nawet on nie mógł się dłużej ludzić wiarą w powodzenie tej operacji. Teraz całe swe nadzieje opierał na Wiosennym Słońcu. Niezbędnym ogniwem tego planu byli jednak bolszewicy. Musieli uderzyć na wschodzie, by zmusić polskie siły do skoncentrowania wysiłków na tamtym teatrze działań. Była to sprawa kluczowa, ale by nie wzbudzić czujności w Kanclerzu i jego ludziach, należało ją prowadzić ostrożnie. I tu spadł mu z nieba Radek.

Był to bowiem człowiek, którego potrzebował, by móc nawiązać kontakt z samym Leninem. Nie chciał rozmawiać z sługami, mogąc z panem. Dotychczas kontaktował się jedynie z Trockim, który wprawdzie z wdzięcznością przyjął pomoc ich naukowców w pracach konstrukcyjnych nad nowymi rodzajami broni, ale od zobowiązań politycznych się uchylał. Czy nie mógł ich dać, czy po prostu nie chciał? Tego Seeckt nie wiedział. Ale jedno czuł jasno: grunt osuwał mu się spod nóg.

Dlatego kazał traktować Radka nie jak więźnia, lecz raczej jak dostojnego gościa. Liczył, że tą swoistą uprzejmością uda mu się pozyskać jego sympatię. Wiedział bowiem, że Radek należy do ścisłego kręgu najbliższych zwolenników wodza rewolucji i ten bardzo liczy się z jego zdaniem.

Spojrzał na Radka, który zdawał się być pogrążony w lekturze. Chrząknął. Gdy to nie pomogło, rzekł wprost:

– Nie prosisz siadać? Powinieneś docenić fakt, że masz obszerną celę, która chyba w pełni odpowiada twoim literackim upodobaniom. – Wskazał na półki z książkami. – Przecież mogłeś skończyć jak twoja współpracowniczka Róża Luksemburg, której ciała dotychczas nie wyłowiono. A upłynął już ponad miesiąc od

czasu, jak została zastrzelona przez oddziały Freikorpsu. Albo mogłeś wylądować w znacznie mniej komfortowych warunkach, razem ze szczurami.

Radek obojętnie pykał z fajki, nie odrywając ani na moment oczu od lektury.

– Więzienie nie jest czymś, co budziłoby mój strach – odrzekł, nie patrząc na generała. – Odsiadywałem wyroki: w Krakowie, Warszawie i Łodzi. Przywykłem. A co do towarzystwa szczurów, to nie różni się ono zbyt od ludzkiego. Szczur tak samo przenosi zarazę, zagryza pobratymców i ucieka, gdy coś mu zagraża. Szczury mają jednak nad nami pewną przewagę: wszystkie są inteligentne, czego o nas powiedzieć nie można...

Rozparł się wygodnie na krześle, splótł ze sobą dłonie, jakby brał udział w akademickiej dyspucie, a nie rozmawiał z niemieckim generałem w więziennej celi. Oczekiwał na polemikę.

Seeckt jednak nie przyszedł tu po to, by toczyć jałowe rozmowy.

– Nie niepokoi cię odbudowa państwa polskiego?

Szybko skręcasz – pomyślał Radek, nabijając swoją fajkę tytoniem i obserwując wyraźne błyski zniecierpliwienia aż nadto widoczne w oczach generała.

– Sam niemało się nad tym natrudziłem za młodu. Przemawiałem pod pomnikiem Wiktorii Grunwaldzkiej w Tarnowskich Górach. Może słyszeliście?

Tyle było kpiny w jego głosie, iż twarz Johannesesa pokryła się ceglastym rumieńcem. Uszy mu poczerwieniały, a oczy się rozszerzyły. Zacisnęła szczęki tak silnie, że omal nie połamała sobie zębów. Już jako elew wiele czytał o bitwie pod Tannenbergiem.

– Dalej was to boli – stwierdził Radek. – A nie powinno. Od tych wydarzeń minęło już ponad pięćset lat. A ja chcę wam przekazać, że wychowałem się w polskiej kulturze i nie po myśli mi wasze działania. Ale polityk to zawodowy oszust i kłamca, który myśli

jedno, a robi drugie. I nie zamyka sobie żadnej drogi, póki nie sprawdzi, dokąd go zaprowadzi. Mówcie więc. Mam dobrą wolę, by was wysłuchać.

Generał odetchnął. Przez chwilę zdawało mu się, że pomylił się w ocenie sytuacji, i nie znajdzie tu sojusznika, lecz szydercę, który skompromituje go całkowicie w oczach jego zwierzchników. Z ulgą wypuścił z nabrzmiąłych policzków powietrze. Siedział w milczeniu, by dać sobie czas na uspokojenie starganych nerwów. Nie chciał powiedzieć ani jednego słowa, póki znów nie będzie panem samego siebie. Zbyt wiele od przebiegu tej rozmowy zależało.

W celi zapanowała więc przytłaczająca cisza. Radek w najwyższym skupieniu obserwował pleśń, która przybierała na ścianie niesamowite kształty. Zdawał się być pochłonięty tylko tą czynnością. Generał zaś wpatrywał się w swoje dostojne, proste palce i zastanawiał się, jak rzecz całą poprowadzić. Jakie dobrać słowa? Co powiedzieć? Co zostawić dla siebie?

Nie chciał mówić za dużo o sytuacji w Wielkopolsce. Palił go bowiem wstyd i czuł upokorzenie. A poza tym nie chciał, by jego rozmówca zorientował się, iż nie ma on w rękę prawie żadnych atutów. Teraz błogosławił swoją przezorność, która kazała mu zadbać o staranne odizolowanie Radka. Gdyby ten bowiem wiedział, w jak katastrofalnym położeniu znalazł się na wschodzie, to on stałby się panem sytuacji, a jemu nie pozostałoby nic innego, jak tylko przyjąć podyktowane mu warunki.

– Za młodu człowiek robi wiele nierozsądnych rzeczy. I dopiero z wiekiem zaczyna pojmować, co mu korzyść przynosi. Tak więc myślę, że trafię do waszych przekonań, jeśli powiem, że odrodzona Polska jest dla nas wszystkich problemem. Rości sobie bowiem pretensje do waszych i naszych terenów. Od nas żądają: Pomorza, Wielkopolski, Warmii i Mazur oraz Śląska. Ziemi, które my zagospodarowaliśmy i uczyniliśmy kwitnącymi prowincjami. To

my sprawiliśmy, że Wielkopolska stała się spichlerzem Niemiec, ponieważ unowocześniliśmy tamtejsze rolnictwo. To nasi ludzie zarządzają kopalniami, hutami, stalowniami, które własnym potem i krwią budował niemiecki osadnik. Jest bowiem rzeczą powszechnie wiadomą, że Polacy nie potrafią się sami rządzić. Nadają się jedynie do szlifowania bruków i pracy w kopalnianych szybach.

Radek słuchał tej przesyconej duchem pruskiego militaryzmu tyrady, obojętnie pykając z fajki. Znał dobrze świat i ludzi i wiedział już, z kim ma do czynienia. Ale w jednym przyznawał Niemcowi słuszność: Polska nie mogła istnieć. Było to sprzeczne z dalekosiężnymi koncepcjami Lenina. Spojrzał w zarumienioną z emocji twarz generała. Czy ten człowiek jest aż tak zaślepiiony swoją nienawiścią do Polaków, by nie widzieć, że układ, który chce zawrzeć, jest początkiem końca jego ojczyzny? Naprawdę sądzi, że Lenin poprzestanie tylko na Polsce? A może liczy na to, że jednostki Freikorpsu okażą się wystarczająco silne, by powstrzymać Armię Czerwoną, gdy ta upora się z Polską? W każdym razie warto się dowiedzieć, co go tu sprowadza. A co dalej, to już nie moja głowa – postanowił.

– Niektórzy się rodzą – rzekł drwiąco. – Ale my mówmy ze sobą o czym innym. Jesteście żołnierzem doświadczonym, który brał udział w niejednej wojennej kampanii. Może wytłumaczycie mi więc, jak to się stało, iż armia, która jeszcze niedawno stała u wrót Paryża, dziś nie może sobie poradzić z trzydziestotysięczną Armią Wielkopolską?

Przez twarz generała przewinęła się cała paleta barw i cała gama uczuć. Od wstydu, po gniew i zaskoczenie. Nerwowo zacisnęła pięści, aż wbił sobie paznokcie w wewnętrzną część dłoni. Przez dłuższą chwilę nie potrafił nic z siebie wydusić, tylko poruszał oczami, po czym jedynie można było poznać, iż w ogóle żyje.

W głowie zaś kłębiło mu się tak wiele myśli, iż wydawało mu się, że zaraz pęknie mu czaszka.

Skąd Radek miał dokładne relacje o tym, co dzieje się na świecie? Jaką drogą przychodziły do niego te informacje? Kto był źródłem przecieków? Niech diabli porwą oficerów wywiadu, którzy zapewniali go, że tego więzienia nie da się zinfiltrować. Miał teraz nagrodę za okazane im zaufanie. Przez ich niekompetencję wyszedł na durnia. Jak ma teraz bronić swojego honoru i honoru armii, który wyżej cenił niż własne życie?

– Mamy przejściowe militarne trudności – zaczął z bolesnym uśmiechem, przyklejonym do spierzchniętych warg.

Ale Radek przerwał mu bezceremonialnie.

– Wiem dobrze, że większość waszych żołnierzy ma czerwone kokardki na mundurach i bynajmniej nie przejawia już najmniejszej ochoty do walki. Chyba że za duże pieniądze. A tych, o ile wiem, nie macie. Mówmy więc ze sobą otwarcie, bo podchody są dobre dla skautów, a nie dla ludzi w naszym wieku.

Seeckt tylko kiwnął głową. Czuł się kompletnie zbity z tropu i pokonany. Ale nie mógł stąd wyjść. Cała jego dotychczas pomyślnie rozwijająca się kariera zależała od tej rozmowy.

– Chcemy, żebyście pochłonęli Polskę. My pomożemy wam pokroić ten bochenek od zachodu.

– Jak za starych dobrych czasów, co? Zgaduję, że nie mówicie tego tylko we własnym imieniu. Chciałbym poznać nazwisko człowieka, który was do mnie przysłał.

Generał zawahał się na sekundę.

– Muszę to wiedzieć. Nie poślę Leninowi takiej wiadomości, opierając ją tylko na waszym słowie. Nasze uderzenie na Polskę grozi nam konfliktem z Francją i Ameryką, a na to nie mamy ochoty. Dlatego musimy mieć absolutną pewność, że w Niemczech istnieje wola polityczna, by nas wspomóc, a wy nie jesteście

odpowiednim gwarantem. Macie zbyt lichą pozycję polityczną. Raczcie darować szczerość.

– Hindenburg – odrzekł generał z wysiłkiem. – To sprawa kół wojskowych, dlatego ani kanclerz, ani nikt z rządu nie jest poinformowany. Będą mogli z czystym sumieniem zaprzeczać, gdy zaczniesz się huczek.

Mogłem się domyślić – pomyślał Radek. Stary wilk nie odda nory, w której na świat przyszedł.

– Opinią zachodu bym się nie przejmował – kontynuował Seeckt. – Francuzi nie pójdą na kolejną wojnę. Wystarczy im, że odzyskali Alzację, Lotaryngię i odebrali nam nasze kolonie. Anglicy zaś i tak stoją po naszej stronie. Nie kiwną palcem w bucie, by ratować Polaków. Tym bardziej że my skutecznie ich wyizolujemy.

Radek nadstawił ucha.

– Rozpętamy przeciw Polsce i Polakom kampanię prasową. Zresztą jako dziennikarzowi nie muszę ci pewnie tego tłumaczyć. Prasy drukarskie będą się grzały od łzawych reportaży o prześladowanych Niemcach na naszych ziemiach wschodnich. Wszystko oparte na schemacie: niosący postęp osadnicy kontra dzicy Indianie. Sam Alfred Hugenberg zaangażuje do tego swoje media. Urobimy opinię publiczną we wszystkich krajach, a gdy Polacy zostaną już osamotnieni...

– Takiej kampanii, o jakiej myślicie, nie zrobi się za czapkę śliwek. Będzie potrzeba pieniędzy i to dużych – przerwał mu Radek.

– I ten problem już został rozwiązany – odrzekł Seeckt. – Niemieccy przemysłowcy założyli Fundusz Obrony Wschodu. Pieniądze wpłacają chętnie, bo nikt strat nie lubi. A oni tracą dużo, jeśli ich fundusze i fabryki przejdą pod polską władzę.

– Cóż, motywem wszystkich ludzkich działań zawsze są pieniądze. Ale oni nigdy się do tego nie przyznają – rzekł Radek. – Sondowałem już Lenina w tej sprawie i na razie nie jest

przekonany. Wy zyskacie swój wschód, a co będzie korzyścią dla nas?

– Jak to sondowaliście? – zapytał Seeckt z nieskrywanym zdumieniem, nie spostrzegając, że użył bolszewickiego sposobu formułowania wypowiedzi.

Radek uśmiechnął się z politowaniem.

– To już przecież wiecie, że mimo zamknięcia mam ze światem kontakt. A gdybym ja własnym rozumem trafnych wniosków nie umiał wyciągać, to zajmowałbym się pisaniem nekrologów, a nie publicystyką polityczną. Nie było trudno zgadnąć, do kogo przyjdziecie w kumy, gdy z wami nikt gadać nie chce. Nas też za pariasów wszyscy mają, więc na jednym wozie jedziemy. Ale jeszcze raz powtórzę: jaka nam z tego aliansu korzyść w udziale przypadnie?

Seeckt poczuł się pewniej, bo się mu wydało, że wreszcie do brzegu dopływa i sprawy pomyślny przybierają obrót. Dlatego uśmiechał się, mówiąc:

– Korzyści już odnosicie. Czy myślicie, że bez woli Hindenburga nasza zwijająca się ze wschodu armia pozostawiłaby wam swoje magazyny uzbrojenia? Policzcie to. Możemy nawiązać dalszą i, jak mi nie mam, owocną dla obu stron współpracę wojskową. My w Niemczech nad wieloma rzeczami pochylić się nie możemy, bo nam międzynarodowe komisje rozbrojeniowe na ręce patrzą. A wiadomo to, co z obrad wersalskich wyniknąć może? A Rosja duża. Tam będzie można testować wiele rodzajów uzbrojenia za plecami zachodu. Potrzebujecie też środków łączności – my je wam damy. Radiostacje, telefony polowe, węzły łączności, to wszystko zbudują wam nasi ludzie, jeśli tylko ruszycie na Polskę.

– Nie będziemy musieli – odrzekł Radek. – Polacy głupi by być musieli, żeby nie zrozumieli, przeciwko komu siły gromadzimy. I to, że nam swoje magazyny zostawiacie, też wiedzą. Dlatego idą na wschód, by jak najwięcej ziemi zająć, nim my ich uprzedzimy.

My idziemy na zachód, a oni na wschód, to się musimy spotkać...
Przekażę wasze słowa wiernie.

Seeckt bynajmniej niczego więcej nie oczekiwał. Wstał pośpiesznie i wyszedł, nie siląc się na pożegnalne uprzejmości. Już po wyjściu z celi zatarł ręce. Wszystko bowiem szło po jego myśli. Wiosenne Słońce miało już niedługo usmażyć Polskę.

10 Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy – działająca na przełomie XIX i XX wieku polska marksistowska partia polityczna. Początkowo nosiła nazwę Socjaldemokracja Królestwa Polskiego. Od 1900 roku Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy. Od kwietnia 1906 roku była autonomiczną sekcją Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji, zachowała jednak samodzielność ideologiczną i organizacyjną.

Postowie

11 listopada 1918 roku. Znaczenia tej daty nie trzeba wyjaśniać nikomu, kto urodził się między Odrą a Bugiem. Wtedy to Polska odzyskała niepodległość. Tak uczą nas w szkole. Oczywiście jest to data najzupełniej umowna. Jej ustalenie stało się przedmiotem żywiołowego sporu elit II RP. Chodziło zaś o rzecz najprostsza. O walkę polityczną. Wszystkie stronnictwa polityczne starały się zawłaszczyć wielkie zwycięstwo jedynie dla siebie. Stać się depozytariuszem legendy, o której przyszłe pokolenia miały śpiewać pieśni.

Rzeczywistość zaś przedstawiała się mniej kolorowo. W chwili, gdy Piłsudski wysiadał w Warszawie z pociągu, nic nie było pewne. Nikt nie wiedział, jaka właściwie ma być ta Polska, ile jej ma być i kto ma nią rządzić. Wszystkie stronnictwa polityczne miały swój program zjednoczenia i kształtu prawno-ustrojowego państwa polskiego. Roman Dmowski ze swoją Narodową Demokracją orientował się na Rosję, a poprzez nią na państwa Ententy. Piłsudski i jego zwolennicy orientowali się na państwa centralne, czyli Niemcy i Austro-Węgry. Potem zmienili front i odmówili złożenia przysięgi na wierność cesarzowi. Takim to sposobem przyszły naczelnik państwa znalazł się w Warszawie i przejął ster.

Sytuacja nie była zachęcająca. Polska miała dwa gremia, które uzurpowały sobie prawo do władzy – Komitet Narodowy Polski, uznawany przez Francuzów i zarazem resztę zwycięskich aliantów, oraz Piłsudskiego, który sprawował władzę

w kadłubkowej jeszcze wtedy Polsce. Wtedy to dochodzi do chwilowego zawieszenia broni. Roman Dmowski uznaje władzę Warszawy, a sam uzyskuje swobodę ruchów i trafia na obrady konferencji pokojowej w Paryżu. Ignacy Jan Paderewski pojawia się tam później. Pozwoliłem sobie na zmianę tej historii, gdyż ułatwiło mi to konstruowanie wątku fabularnego.

Konferencja wersalska i działania polskich dyplomatów będą się przewijać przez następne trzy tomy. Tutaj wspomnę więc tylko o pewnych zmianach, które wprowadziłem w faktografii. Polska delegacja miała ograniczone prawa, czyli mogła uczestniczyć w obradach gremium tylko wtedy, gdy dotyczyły one uporządkowania sprawy polskiej. Stanowisko mocarstw wobec naszych postulatów oddaję zgodnie z rzeczywistością. Paderewski i Dmowski nie lubili się wzajemnie. Dmowski oskarżał Paderewskiego o zbytnią uległość wobec Londynu, no i żony. Nie bezpodstawnie. Zdaniem Dmowskiego nasz premier nie miał zadatków na polityka i otaczał się pochlebcami. Paderewski natomiast uważał, że antysemityzm Dmowskiego szkodzi sprawie polskiej. Nie wspominam też o roli Władysława Grabskiego, eksperta do spraw geograficznych i gospodarczych, pominąłem także całe intelektualne zaplecze naszej delegacji.

Konflikt Piłsudskiego i Dmowskiego wpłynął na dzieje II RP bardziej niż cokolwiek innego. Przedstawiłem program i poglądy obu wybitnych polityków na podstawie ich własnych wypowiedzi. Robiłem wszystko, by to oni sami opowiedzieli Wam o sobie. Zaprezentowałem program polityczny, który usiłowali urzeczywistnić. Starąłem się także nakreślić ich charaktery. Bez uprzedzeń, ale i bez prób wybielania. Dmowski był więc antysemitą. Różnica pomiędzy antysemityzmem Dmowskiego a współczesnym mu antysemityzmem dominującym w życiu publicznym Francji, Wielkiej Brytanii, silnym w USA, nie mówiąc już o antysemityzmie niemieckim czy rosyjskim, dowodzi po

prostu ogromnej moralnej przewagi Polski nad tymi krajami. I daje nam powód do dumy. Nie z samego faktu, że byliśmy wrody Żydom, bo to oczywiście powodem do chwały nie jest (ale i do przesadnego wstydu też nie – była to swego czasu powszechna przypadłość i ci, którzy próbują nas z niej rozliczać, sami mają więcej na sumieniu), ale z faktu, że ta wrogość w niczym nie przypominała rasowych szaleństw Rosenberga.

To nie może odbierać Dmowskiemu nawet części zasług wersalskich. Jego poglądy na kwestię żydowską są dla mnie nie do przyjęcia. A jednak to jego zasługą jest ustalenie korzystnych granic zachodnich. To przede wszystkim on będzie zabiegał o Wielkopolskę, Górny Śląsk, a zwłaszcza o Gdańsk i Prusy Wschodnie. Dla mnie Roman Dmowski to mąż stanu i najwybitniejszy Polski dyplomata w dziejach. Jego zasług nie przysłonią poglądy, które dzieliło z nim wiele najtęższych umysłów ówczesnej Europy.

Podobnie jak zasługą Piłsudskiego i jego polityki była granica wschodnia. Staralem się oddać sposób myślenia człowieka, który dla wielu Polaków jest wzorem.

Tak wygląda zaprezentowany w powieści świat polityczny.

Teraz czas na bohaterów tej historii.

Wiktor Adamczewski i jego brat to fikcja literacka. Podobnie rzecz się ma z Olgą i Jerzym. Ale operacja Wiosenne Słońce to fakt historyczny. Tak samo jak bitwa o lotnisko Ławica. Starcie miało jednak mniej dramatyczny przebieg. Ogień polskiej artylerii, który prowadzono z tak zwanego Wzgórza Berlińskiego, całkowicie sparaliżował niemiecką obronę. Zryw Wielkopolan zdecydował o losie tej dzielnicy na kolejne dwadzieścia lat. Powstanie było ukoronowaniem ponad stu lat pracy organicznej i walki o przetrwanie nad Wartą.

Johann Wolf to postać fikcyjna, choć wzorowana na pewnym asie niemieckiego wywiadu. Los książkowego bohatera i jego

rodziny będzie się trwale wiązał z dziejami Niemiec w XX wieku.

Iwan Saszkin i ludzie z nim związani to także jedynie fikcja literacka. Jego los będziemy śledzili na tle przemian zachodzących w bolszewickim kraju.

Poglądy elit postcesarskich Niemiec i bolszewickiej Rosji były istotnie zbieżne. Karol Radek przyjmował w swojej celi najwybitniejszych niemieckich dygnitarzy. A wywiady obu państw zgodnie współpracowały ze sobą, knując przeciwko Polsce. Stan bolszewickiej Rosji oraz pokonanych Niemiec przedstawiam zgodnie z wiedzą historyczną.

Załamanie się frontu i powrót milionów zdemobilizowanych żołnierzy doprowadził w państwie niemieckim do chaosu. Chaosu, który podsycali bojówki prokomunistycznych organizacji, między innymi Spartakusa. Zamachy i mordy stały się wówczas chlebem powszednim. Nastąpił upadek dyscypliny w wojsku. Także powstawanie rad robotniczych i żołnierskich to wszystko fakty, które są nieodłącznie związane z nieudaną rewolucją niemiecką.

Bolszewicka Rosja to osobny akt dramatu. W Rosji szaleje wojna domowa. Podzielone i skonfliktowane wewnętrznie środowisko Białych nie jest w stanie przeciwstawić się zdeterminowanym i gotowym na wszystko bolszewikom. To doprowadza do straszliwego zubożenia ludności. Masakry i mordy stają się codziennością. Głód skłania ludzi do kanibalizmu. Płoną wsie, giną ludzie. Działania Czeka ująłem w sposób lekko stonowany. Mit o Anastazji jest prawdziwy – Dzierżyński wykorzystywał go naprawdę. Z dobrym skutkiem. Konflikt między Leninem i Stalinem to fikcja. Stalin był jeszcze wtedy zbyt słaby, by stawiać opór szefowi Czeka.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski rzeczywiście trafił na Łubiankę, choć stało się to znacznie wcześniej, niż ma to miejsce w powieści. Negocjacje polsko-bolszewickie miały miejsce w lipcu 1919 roku, kiedy to Anton Denikin odmówił uznania wschodniej

granicy Polski. Choć nie ma pewności, czy do tajnych kontaktów nie dochodziło i wcześniej...

Unikatowym wątkiem są dzieje Tomasza Grobla – postaci autentycznej. Jego losy rekonstruuje na podstawie skąpych przekazów rodzinnych, które uzupełniam własną fantazją.

Drodzy Czytelnicy! Powieść, którą trzymacie w ręku, stanowi tylko małą część cyklu, który będzie się ukazywał partiami. Nie będę więc wybiegał do przodu. Dalsza lektura udzieli odpowiedzi na wiele pytań. Staralem się oddać realia epoki, opisując je na podstawie ogólnie dostępnych źródeł. Dać Wam do ręki wartościową lekturę. Czy taką będzie – nie wiem. Dajcie mi, proszę, znać, czy ta powieść jest potrzebna.

Spis treści:

Okladka

Karta tytułowa

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Posłowie

Karta redakcyjna

W tajnej służbie II Rzeczypospolitej. Tom I. Operacja berlińska
ISBN: 978-83-8219-920-8

© Krzysztof Goluch i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt
jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego
przekazu
wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Paweł Pomianek

Korekta: AEmlia Kapłan

Okładka: Paulina Radomska-Skierkowska



zaczytani | AMARE | NOVAE RES

**Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej
Zaczytani.**

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek